

BESTSELLEROWY AUTOR „NEW YORK TIMESA”

# JEFFERY DEAVER

NOWY  
THRILLER  
KRÓLA  
SUSPENSU

# NOCNY OBSERWATOR

CYKL O LINCOLNIE RHYME

*Prószyński i S-ka*

**JEFFERY  
DEEVER**

**NOCNY  
OBSERWATOR**

Przełożył  
Łukasz Praski

*Prószyński i S-ka*

Tytuł oryginału  
THE MIDNIGHT LOCK

Copyright © 2021 Gunner Publications, LLC  
All rights reserved

Projekt okładki  
Tal Goretsky

Zdjęcie na okładce  
Miguel Sobreira / plainpicture

Redaktor inicjująca  
Magdalena Gołdanowska

Opieka redakcyjna  
Adrian Markowski

Redakcja  
Aneta Kanabrodzka

Korekta  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-452-4

Warszawa 2023

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Dla Andrew, Wendy i Victorii*

*Najwyższe prawo w dziennikarstwie to mówić prawdę  
i zawstydząć diabła.*

WALTER LIPPMANN

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **Klucz cylindryczny**

26 MAJA, GODZINA 8.00

# 1

Coś było nie tak.

Annabelle Talese nie potrafiła jednak odgadnąć co.

Jednym z powodów tego niepokoju, dezorientacji czy dziwnego poczucia mógł być kac, choć niezbyt odczuwalny. Wypiła półtora kieliszka sauvignon blanc za dużo i miała teraz „kacątko”, jak nazywała ten stan. Spędziła wieczór z Trish i Gab w Tito’s, chyba najdziwniejszej restauracji na manhattańskiej Upper West Side, która serwowała połączenie kuchni serbskiej i teksasko-meksykańskiej. Specjalnością lokalu był smażony ser z fasolą i salsą.

I lejące się strumieniami wino.

Leżąc na boku, odgarnęła kosmyk gęstych blond włosów, który łaskotał ją w oczy. Jaki szczególnie nie pasuje tu do obrazka?

Po pierwsze, okno było uchylone na kilka centymetrów; do pokoju wpadał majowy wiatr, przynosząc zapachy Manhattanu, przede wszystkim asfaltu i spalin. Rzadko je otwierała. Dlaczego zrobiła to poprzedniego wieczoru?

Dwudziestosiedmioletnia Annabelle, kiedyś amatorsko pojawiająca się na wybiegu, a dziś mająca satysfakcjonującą pracę w kulisach świata mody, podniosła się na łóżku, opuściła i wygładziła T-shirt. Poprawiła jedwabne bokserki. Przeczesała palcami włosy.

Spuściła nogi za kraj łóżka, usiłując namacać bosymi stopami kapcie.

Nie było ich tam, gdzie zrzuciła je wczoraj wieczorem, zanim weszła pod kołdrę.

No dobrze. O co chodzi?

Talese nie cierpiała na żadne fobie ani zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, prócz jednego: nie znosiła nowojorskich ulic. W wyobraźni zawsze widziała warstwę zamieszkujących asfalt drobnoustrojów i innych strasznych mikroskopijnych stworzeń, które przynosiła do mieszkania, nawet mimo tego, że co dzień wkładała buty do kartonu przy drzwiach (i nalegała, by jej znajomi robili to samo).

Nigdy nie chodziła po mieszkaniu boso.

Zamiast kapci zobaczyła pod nogami elegancką marszczoną sukienkę w kwiaty, którą miała na sobie wczoraj.

Jej rąbek był pociągnięty niemal pod dekolt, jak gdyby sukienka sama chciała odsłonić to, co zwykle zakrywała.

Zaraz... Talese przypominała sobie – raczej mgliście niż wyraźnie – że przed wieczorną toaletą wrzuciła ją do kosza z brudną bielizną.

Zmodyfikowała swoją wersję zdarzeń. Kapci nie było tam, gdzie sądziła, że je zostawiła. Sukienki nie było w koszu, choć była przekonana, że ją tam wrzuciła.

Może barman Draco, który zawsze lubił czarować klientki, był wczoraj hojniejszy niż zwykle.

Czyżby przekroczyła limit o dwa i pół drinka?

Ostrożnie, dziewczyno. Musisz się pilnować.

Jak zawsze po przebudzeniu sięgnęła po telefon.

Nie znalazła go na nocnym stoliku.

Talese nie miała telefonu stacjonarnego i komórka była jej jedynym łączem ze światem. Zawsze trzymała ją pod ręką, zawsze naładowaną. Pępowina podłączona do ładowarki w kontakcie była na miejscu, ale telefon nie.

Jezu, co się dzieje?

Wtedy zobaczyła różowe puszyste kapcie – w głębi pokoju, ustawione po bokach drewnianego krzesła, które stało bliżej łóżka niż zwykle. Kapcie były zwrócone w jego stronę w dziwnie obsceniczny sposób – jak gdyby ich właściciel siedział komuś na kolanach z rozstawionymi nogami.

– Nie... – wykrztusiła Talese. Zobaczyła, że na podłodze obok krzesła stoi talerz z nadgryzionym ciastkiem.

Serce podeszło jej do gardła, oddech stał się płytki. Ktoś w nocy był w jej mieszkaniu! Przełożył ubrania w inne miejsca, poczęstował się ciastkiem.

Niecałe dwa metry od niej!

Telefon... Gdzie ten cholerny telefon?

Sięgnęła po leżącą na podłodze sukienkę.

I znieruchomiała. Nie! Intruz – przypuszczała, że to mężczyzna – musiał jej dotykać.

Boże... Podbiegła do szafy, włożyła džinsy, bluzę New York University i pierwszą parę sneakersów, jaka wpadła jej w ręce.

Musi stąd wyjść, natychmiast! Sąsiedzi, policja...

Powstrzymując łzy przerażenia, ruszyła do drzwi, ale zanim wyszła z sypialni, zauważyła lekko wysuniętą szufladę komody. Tę, w której trzymała bieliznę. Jej wzrok przyciągnęło coś kolorowego.

Powoli podeszła, wysunęła szufladę do końca i zajrzała. Wstrzymała oddech i przestała panować nad płaczem.

Na majtkach leżała strona z gazety. Nie pochodziła z żadnego z tytułów, które czytała, więc to on musiał ją przynieść. Szminką w jej ulubionym odcieniu – Fierce Pink – intruz napisał dwa słowa:

Rozliczenie.  
Ślusarz



Annabelle Talese rzuciła się do wyjścia, lecz po kilku metrach zatrzymała się jak wryta. Zwróciła uwagę na trzy rzeczy.

Po pierwsze, w bloku noży stojącym na wyspie w niewielkiej kuchni było puste miejsce, w prawym górnym rogu, gdzie zwykle tkwił największy nóż.

Po drugie – otwarte drzwi szafy w korytarzu przed drzwiami wyjściowymi. Zawsze je zamykała. Był w nich umieszczony automatyczny włącznik, kiedy więc otwierała szafę, wewnątrz zapalało się światło. W środku było jednak ciemno. Aby dostać się do wyjścia, musiała przejść obok szafy.

Po trzecie, zasuwki obydwu zamków w drzwiach były zamknięte.

Skoro człowiek, który wszedł do mieszkania, nie miał kluczy, oznaczało to, że wciąż tu był.

## 2

Obrońca, podchodząc do pustego miejsca dla świadka, przy którym na elektrycznym wózku siedział Lincoln Rhyme, powiedział:

– Przypominam, panie Rhyme, że wciąż obowiązuje pana przysięga.

Rhyme spojrział spod zmarszczonych brwi na solidnie zbudowanego, ciemnowłosego prawnika, który nazywał się Coughlin. Przywołał na twarz wyraz zadumy.

– Nic mi nie wiadomo, by zdarzyło się coś, co uchyliło przysięgę.

Czyżby sędzia lekko się uśmiechnęła? Rhyme nie widział wyraźnie jej twarzy. Znajdował się na głównym poziomie sali rozpraw, a sędzia znacznie wyżej i prawie całkiem za jego plecami.

Przyrzeczenie przed składaniem zeznań w sądzie zawsze wydawało się Rhyme'owi zbyteczną gadaniną, nawet po obcięciu odwołania do Boga.

„Czy uroczyście przyrzeka pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?”

Dlaczego przyrzekanie musi być uroczyste? I jeśli już ktoś zobowiązał się do pierwszej prawdy, to po co ta przesada? Może wystarczyłoby: „Czy przyrzeka pan nie kłamać? W przeciwnym razie pana aresztujemy”.

Brzmiałoby racjonalniej.

– Potwierdzam, że obowiązuje mnie przysięga – ustąpił.

Proces toczył się w Sądzie Najwyższym Nowego Jorku, który wbrew nazwie był stanowym sądem pierwszej instancji. W sali wyłożonej nieco sfatygowanym drewnem wisiały portrety sędziów z przeszłości, chyba od czasów Rekonstrukcji. Sprawę procedowano jednak według zasad z dwudziestego pierwszego wieku. Na pulpitych obrony i oskarżenia stały komputery i tablety, sędzia też miała płaski monitor o wysokiej rozdzielczości. Na sali nie było ani jednej książki prawniczej.

Publiczność liczyła około trzydziestu osób, z których większość przyszła zobaczyć osławionego oskarżonego, ale być może ktoś chciał też zobaczyć Rhyme'a.

Coughlin, którego wiek Rhyme oceniał na jakieś pięćdziesiąt lat, powiedział:

– Przejdę do sedna.

Przejrzał notatki. Wprawdzie książek nie było, ale na stołach obu stron piętrzyło się chyba z pięćdziesiąt kilogramów papieru kancelaryjnego.

– Dziękuję panu – odezwała się sędzia.

Zadanie eksperta kryminalistyki, który pomaga w dochodzeniu, polega nie tylko na pracy w laboratorium, lecz także na wystąpieniach w sądzie. Biegły jest potrzebny

prokuratorowi, by w klarowny sposób zaprezentował ustalenia śledztwa i cierpliwie, a także skutecznie odparł zarzuty obrońcy starającego się podważyć tezy postawione w akcie oskarżenia. W trakcie ponownego przesłuchania dobry prokurator potrafi czasem zrehabilitować świadka poobijanego przez obronę, ale najlepiej jest po prostu nie dać się zapędzić w kozi róg. Lincoln Rhyme z natury był samotnikiem i uwielbiał spędzać czas w laboratorium, trudno byłoby go jednak nazwać stuprocentowym introwertykiem. Któż mógłby się oprzeć pokusie popisu przed ławą przysięgłych i sparingu z obrońcą?

– Podczas przesłuchania przez prokuratora zeznał pan, że na miejscu zdarzenia, gdzie został zamordowany Leon Murphy, nie było odcisków palców mojego klienta, zgadza się?

– Nie.

Coughlin zmarszczył brwi i zerknął do żółtego notatnika, który mógł zawierać szczegółowe zapiski, ale równie dobrze konferencyjne bazgroły czy przepis na mostek wołowy. Rhyme właśnie poczuł głód. Była dziesiąta rano, a on nie jadł jeszcze śniadania.

Obrońca spojrział na swojego klienta. Viktor Antony Buryak, pięćdziesiąt dwa lata. Ciemne włosy jak u jego rzecznika, lecz bardziej masywny, słowiańskie rysy, blada cera. Nosił dopasowany grafitowy garnitur i bordową kamizelkę. Dziwne, ale twarz Buryaka wyglądała niegroźnie. Rhyme potrafił go sobie wyobrazić, jak serwuje naleśniki na kościelnym festynie dobroczynnym, pamięta imiona wszystkich rodziców i daje dzieciom dodatkową porcję syropu klonowego.

– Chce pan, żebym odczytał fragment pańskiego zeznania? – Coughlin, który krążył w pobliżu Rhyme’a jak rekin obok przynęty, uniósł dłonie.

– Nie ma takiej potrzeby. Dobrze pamiętam. Zeznałem – pod przysięgą, jeszcze raz pana zapewniam – że spośród odcisków palców zabezpieczonych na miejscu zabójstwa Leona Murphy’ego żaden nie został zidentyfikowany jako pozostawiony przez pańskiego klienta.

– Jaka to różnica?

– Pana zdaniem zeznałem, że pański klient nie zostawił odcisków palców na miejscu zdarzenia. Równie dobrze mógł ich zostawić milion. Zespół techników po prostu nie zabezpieczył ani jednego.

Coughlin przewrócił oczami.

– Składam wniosek o usunięcie tej odpowiedzi z protokołu.

– Proszę nie brać pod uwagę tych słów pana Rhyme’a – zwróciła się do przysięgłych sędzia Williams. – A pan niech spróbuje jeszcze raz, panie Coughlin.

Wyraźnie zdenerwowany obrońca powiedział:

– Panie Rhyme, czy to prawda, że nie ujawniono odcisków palców mojego klienta na miejscu zdarzenia, gdzie zastrzelono skazanego przestępcę Leona Murphy’ego?

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć, ponieważ nie mogę ustosunkować się do kwestii, czy ofiara była skazanym przestępcą, czy nie.

Coughlin westchnął.

Sędzia drgnęła.

– Zgadzam się z częścią zdania, w której mowa o ujawnieniu – dodał Rhyme.

Coughlin i Buryak spojrzeli po sobie. Klient przyjmował to lepiej niż jego adwokat. Prawnik wrócił do stołu i spuścił wzrok.

Rhyme spojrzął na ławę przysięgłych i zauważył wiele par oczu skierowanych w swoją stronę. Najprawdopodobniej ciekawił ich jego stan. Podobno niektórzy obrońcy prywatnie narzekali na jego obecność na sali rozpraw. Ich zdaniem tetraplegik zeznający na wózku budził współczucie, co było korzystne dla oskarżenia.

Cóż jednak mógł na to poradzić. Był przykuty do wózka. I był kryminalistyką.

Rhyme przeniósł wzrok na oskarżonego. Buryak był wyjątkową postacią w historii przestępczości zorganizowanej w regionie. Miał kilka firm w mieście, ale to nie one stanowiły główne źródło jego dochodów. Oferował mianowicie jedyne w swoim rodzaju usługi w świecie przestępczym, które prawdopodobnie pochłonęły więcej ofiar niż działalność jakiegokolwiek gangu w kryminalnej historii Nowego Jorku.

Sprawa Stan Nowy Jork przeciwko Viktorowi Buryakowi nie miała z tym jednak nic wspólnego. Chodziło tu o pojedyncze zdarzenie, jedną zbrodnię, jedno zabójstwo.

Leon Murphy został śmiertelnie postrzelony mniej więcej tydzień po spotkaniu z kierownikiem magazynu należącego do Buryaka. Murphy był psychopatą pozującym na gangstera i uważał się za potomka Westies, brutalnego irlandzkiego gangu, który kiedyś rządził w Hell's Kitchen na Manhattanie. Podczas rozmowy z kierownikiem magazynu proponował mu ochronę.

Oferta tego produktu akurat temu konsumentowi okazała się bardzo złym pomysłem biznesowym.

– Czy znaleziono odciski butów w pobliżu ciała Leona Murphy'ego? – spytał Coughlin.

– Albo w pobliżu miejsca, gdzie leżała łuska pocisku?

– W pobliżu ciała podłoga była trawiasta, nie można było stwierdzić obecności śladów. Obok łuski technicy zabezpieczający ślady znaleźli odciski butów, ale niedawny deszcz uniemożliwił ustalenie rodzaju obuwia.

– Czyli nie może pan zeznać, że na miejscu przestępstwa znaleziono odciski butów mojego klienta?

– Nie sądzi pan, że odpowiedź można wywnioskować z mojej poprzedniej wypowiedzi?

– odparł kwaśno Rhyme. Przekonał się już, że nikt nie przejmuje się adwokatami, gdy podczas przesłuchań świadkowie wbijają im szpile. W końcu za to im płacą.

– Panie Rhyme, czy wydział kryminalistyki policji Nowego Jorku rutynowo zabezpiecza ślady DNA na miejscu zdarzenia?

– Tak.

– A czy na miejscu zabójstwa Leona Murphy'ego ujawniono DNA mojego klienta?

– Nie.

– Panie Rhyme, przeprowadził pan analizę pocisku, który zabił pana Murphy'ego, zgadza się? Czyli ołowianej kuli?

- Tak.
- Analizował pan także łuskę?
- Zgadza się.
- Proszę przypomnieć, jaki to był kaliber?
- Dziewięć milimetrów parabellum.
- Zeznał pan również, że ślady pól i bruzd, czyli gwintowania lufy, wskazują, że pocisk wystrzelono z glocka siedemnaście.
- Z pewnością glock, najprawdopodobniej model siedemnaście.
- Panie Rhyme, czy pan lub ktoś ze śledczych, z którymi pan współpracował, zajrzał do ewidencji broni palnej w stanowej czy federalnej bazie danych w związku z moim klientem?
- Tak.
- Czy jest lub był posiadaczem glocka, a dokładniej modelu siedemnaście?
- Nie mam pojęcia.
- Proszę to wyjaśnić, panie Rhyme.
- Mógł być posiadaczem kilkunastu sztuk broni.
- Wysoki sędzie – zwrócił się Coughlin do Williamsa. Wydawał się nieco urażony, że Rhyme traktuje go z góry.  
Czyżby na ustach Viktora Buryaka igrał uśmiech?
- Panie Rhyme. – Sędzia wyglądała na coraz bardziej znużoną.
- Pan Coughlin spytał, czy oskarżony był posiadaczem glocka, więc zeznałem, że nie mam pojęcia. To prawda. Mogę zeznać, że według ewidencji stanu Nowy Jorku nie jest posiadaczem legalnie zarejestrowanych glocków.
- Wysoki sędzie – odezwał się Sellars, zastępca prokuratora okręgowego – obrona odchodzi od tematu. Udział kapitana Rhyme’a w dochodzeniu nie polegał na sprawdzaniu list kupców broni palnej. Chodziło wyłącznie o jego kompetencje w dziedzinie analizy dowodów fizycznych.
- Proszę pozwolić mi na to wprowadzenie, wysoki sędzie – powiedział Coughlin. – Za chwilę stanie się zrozumiałe, do czego zmierzam.  
Rhyme spojrzał w jego przenikliwe oczy, zastanawiając się, jaki to może być cel.
- Proszę – na razie – kontynuować.
- Panie Rhyme, reasumując, może pan potwierdzić, że śladów DNA mojego klienta nie znaleziono ani przy zwłokach, ani przy łusce naboju?
- Zgadza się.
- Ani na ciele ofiary, ani na łusce.
- To prawda.
- I w żadnym z tych dwóch miejsc nie znaleziono jego odcisków palców ani śladów butów?
- Zgadza się.

– Nie znaleziono również żadnych włókien ani włosów, które można by zidentyfikować jako pochodzące od niego?

– Zgadza się.

– Z ewidencji stanowych i federalnych nie wynika, że posiada lub posiadał pistolet samopowtarzalny Glock?

– Zgadza się.

– Czyli w istocie jedynym śladem, jaki łączy mojego klienta z zabójstwem Leona Murphy’ego, jest parę ziarenek piasku na ziemi w miejscu, gdzie znaleziono ofiarę.

– Sześć – odparł Rhyme. – Więcej niż parę.

Coughlin uśmiechnął się z myślą o ławie przysięgłych.

– Sześć ziaren piasku... Proszę jeszcze raz wyjaśnić, dlaczego ten piasek łączy mojego klienta z zabójstwem.

– Skład tego piasku był nietypowy. Dihydrat siarczanu wapnia, ditlenek krzemu oraz inna substancja, C<sub>12</sub>H<sub>24</sub>, złożona w około trzech czwartych z węglowodorów nasyconych i w jednej czwartej z węglowodorów aromatycznych.

– Zatrzymajmy się na tej „innej substancji”, jak pan ją nazwał. Mógłby pan to przetłumaczyć?

– Szczególny gatunek oleju napędowego.

– Ale dlaczego miałyby łączyć mojego klienta z miejscem przestępstwa?

– Ponieważ pobrano próbki na ulicy przed podjazdem jego domu w Forest Hills w Queens i podobny piasek znaleziono na miejscu zdarzenia. Próbki kontrolne pobrane z miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, nie wykazały obecności takiego piasku.

– Czy piasek pobrany przed domem mojego klienta był zgodny z piaskiem w miejscu, gdzie zamordowano Leona Murphy’ego?

Rhyme zawahał się przez chwilę.

– W kryminalistyce słowo „zgodny” oznacza identyczność. Identyczne mogą być odciski palców. DNA. Niektóre mieszanki chemiczne są tak złożone, że można je uznać za identyczne. Przy identyfikacji obiektu tworzącego ślad mówimy o identyfikacji grupowej. Innymi słowy, substancja jest bardzo, bardzo podobna do próbki porównawczej.

– Bardzo, bardzo podobna... – powtórzył Coughlin. – Rozumiem. A więc nie może pan zeznać, że ziarna piasku przed domem mojego klienta są identyczne z ziarnami na miejscu przestępstwa.

– Właśnie powiedziałem...

– Może pan powiedzieć, że ziarna piasku sprzed domu mojego klienta są identyczne z sześcioma ziarnami piasku ujawnionymi na miejscu zdarzenia? – warknął obrońca.

Po długiej chwili milczenia Rhyme odparł:

– Nie, nie mogę.

Coughlin przejechał dłonią po gęstych włosach.

– Już prawie skończyłem, panie Rhyme. Zanim opuści pan salę, chciałbym zadać jeszcze kilka pytań. – Przelotnie spojrzął na ławę przysięgłych, po czym wrócił wzrokiem do niego. – A dotyczą one pana.

### 3

Dojdzie do zabójstwa czy nie?

Będę oglądał krwawy koniec istoty ludzkiej?

Polanę otacza bujna zieleń, a dalej piaszczysta przestrzeń. W oddali za mgiełką rysują się wzgórza przypominające garby wielbłąda. Wysoko, wysoko błękit nieba przecina smuga kondensacyjna odrzutowca. Zbliża się chmura burzowa o ponętnych kształtach i niedługo spadnie deszcz.

Przeciągam się i uważnie obserwuję dwóch mężczyzn, muskularnych, o ciemnej karnacji, czarnych włosach i latynoskich rysach. Są w szarych spodniach i T-shirtach z nadrukowanymi obrazkami i literami.

Jestem ubrany podobnie, chociaż moje spodnie są beżowe, a na czarnym T-shircie nie mam żadnych napisów.

Wszyscy jesteśmy w butach do biegania.

Mężczyzna z nożem ma T-shirt z napisem AC/DC. Ten, który stoi przed nim ze związanymi z tyłu rękami, nosi wyblakłą żółto-zieloną koszulkę. Z przodu miała chyba logo jakiejś drużyny sportowej, ale już się sprąło. Może brazylijskiego klubu piłkarskiego.

AC/DC mówi coś głośno, po hiszpańsku. Porusza nożem, ale niegroźnie. Po prostu gestykuje. Podkreśla gestem każdą wypowiedzaną uwagę. Z mowy ciała można wyczytać, że jest zdenerwowany. Ostre słowa padają z jego ust staccato, krótkimi seriami.

Mężczyzna z rękami związanymi byle jak długim sznurem wydaje się równie oszołomiony jak przestraszony.

Mówca unosi wysoko nóż. U dołu ostrze jest gładkie, na końcu ząbkowane.

Pozostaje pytanie: czy dojdzie do zabójstwa?

Może to tylko ostrzeżenie. Czczą gadanina. Zastraszenie.

Kiedy ludzie mają umrzeć, nie wpadają w rozpacz, nie próbują walczyć ani uciekać. Są bierni, może płaczą, może pytają: „dlaczego, dlaczego, dlaczego?“, ale niewiele więcej. Może prowadzą jakieś negocjacje: obiecują pieniądze albo seks. Obiecują, że zmienią zachowanie. Próbuje wykrztusić słowa skruchy.

Nigdy nie błagają o litość. Wydaje mi się to interesujące.

Tyrada AC/DC chyba dobiega końca. Nóż porusza się wolniej. Związany człowiek płacze.

Oczywiście zastanawiam się, co ja powinienem teraz zrobić.

Jeśli chce się odgrywać rolę Boga, trzeba podejmować trudne decyzje.



Siedząc jak na szpilkach, nie odrywając wzroku od groźnego noża, na którym chyba ciemniały plamy zaschniętej krwi, zadaję sobie pytanie: co się teraz stanie?

## 4

Panie Rhyme – mówił Coughlin – analizuje pan dowody w swoim domu, zgadza się?

– Owszem, w laboratorium, które mam urządzone w domu.

– Wygodny dojazd do pracy – rzucił z uśmiechem adwokat. Kilku przysięgłych uśmiechnęło się w odpowiedzi.

Rhyme skwitował letni dowcip lekkim skinieniem głowy.

– Jakie stosuje pan środki ostrożności, by uniemożliwić zanieczyszczenie dowodów zabezpieczonych na miejscu zdarzenia przez substancje znajdujące się w pańskim domu?

– Stosujemy się do wytycznych w zakresie zanieczyszczeń otoczenia opracowanych przez Amerykański Instytut Kryminalistyki. W stu procentach.

– Może nam pan wyjaśnić, na czym konkretnie to polega?

– Laboratorium jest szorowane trzy razy dziennie środkami dezynfekującymi na bazie wybielacza. Od reszty domu oddziela je szklana przegroda sięgająca od podłogi do sufitu. Panuje w nim wyższe ciśnienie niż w otoczeniu, by nie doszło do przedostania się do środka substancji z zewnątrz. Nikt nie może wejść do laboratorium bez ubrania ochronnego – czepka, ochraniaczy na buty, maski i fartucha laboratoryjnego. I rękawiczek. Ta bariera chroni pracownika i dowody przed zanieczyszczeniem.

– Wspomniał pan o ochraniaczach na buty.

– Podobne noszą chirurdzy.

– Z całym szacunkiem dla pańskiego stanu, panie Rhyme, nie może pan chyba założyć ochraniaczy na koła pańskiego wózka.

– Przeważnie nadzoruję pracę w laboratorium.

– Czyli w ogóle nie przebywa pan w... części sterylnej – tak to się nazywa?

Rhyme znowu się zawahał. Zerknął na prokuratora. Przez twarz Sellarsa przemknął cień niepokoju.

– Tak, w części sterylnej. Od czasu do czasu zaglądam tam, żeby przeprowadzić analizę dowodu. Mam na sobie kompletny strój ochronny, o którym przed chwilą wspomniałem, i...

– Chciałbym się skupić na kołach pańskiego wózka. Jak chroni je pan przed zanieczyszczeniem?

– Zanim wjadę do laboratorium, koła są czyszczone przez mojego asystenta, który dokładnie je szoruje.

Coughlin zerknął na wózek. To był model Invacare z dużymi kołami pośrodku, dwoma samoskrętnymi z przodu i dwoma z tyłu. Dzięki temu Rhyme mógł skręcać w każdą stronę, bez konieczności manewrowania.

– Czy na tym wózku wjeżdża pan do laboratorium?

– Tak, ale powtarzam...

– „Tak” mi wystarczy. Jaki to rodzaj kół?

– Trudno mi powiedzieć.

– Jeżeli to standardowe wyposażenie, to czternastocalowe koła Invacare 3.00-8 wypełnione pianką. Nazywa się je też antyprzebiciowymi lub pełnymi.

– Przypuszczam, że to się zgadza. – Adwokat dobrze się przygotował. Ciekawe, kiedy jego detektyw szpiegował Rhyme’a.

– Invacare jest znany z produkcji wysokiej jakości sprzętu dla niepełnosprawnych, prawda?

– Sprzeciw – odezwał się Sellars. – Świadek nie jest ekspertem w dziedzinie reputacji producentów. Poza tym do czego mają zmierzać te pytania?

– Wycofam pytanie o sprzęt wysokiej jakości, wysoki sędzie. Już przechodzę do sedna.

– Dobrze. I może bardziej *vivace*. – Wszystkim było wiadomo, że sędzia jest miłośniczką opery.

– Oczywiście, wysoki sędzie. Panie Rhyme, czy jest pan zadowolony z funkcjonowania kół w swoim wózku?

– Hm... tak.

– Z ich przyczepności również?

– Tak.

– Czy nie sądzi pan, że to zasługa głębokiego bieżnika?

– Sprzeciw.

– Panie Coughlin, jeśli chce pan włączyć koła do materiału dowodowego, proszę złożyć wniosek.

– To nie będzie konieczne, wysoki sędzie.

Oczywiście, że nie było. Wszyscy przysięgli przyjrzeni się bieżnikowi kół, który istotnie był głęboki. obrońca osiągnął to, co zamierzał.

– Panie Rhyme, ile czasu potrzebuje pański asystent, by wyczyścić bieżnik tych kół?

– Zapewne około dwudziestu minut.

– Na obydwie?

– Owszem.

– Czyli dziesięć minut na jedno koło.

– Tak wynikałoby z matematyki. – Jemu też udało się wywołać uśmiech na kilku twarzach.

– Czytałem pańskie rozprawy, panie Rhyme. Pisał pan, że mikroślady przyklejają się jak klej do dłoni, stóp i włosów. I bywają tak małe, że praktycznie nie sposób ich wykryć bez

specjalistycznego sprzętu, na przykład silnych mikroskopów. To pańskie słowa, prawda?

– Tak, ale...

– Wspomniał pan o wytycznych w zakresie zanieczyszczeń Amerykańskiego Instytutu Kryminalistyki. Czy nie myślę się, że te wytyczne odnoszą się wyłącznie do kwestii zanieczyszczenia śladów DNA?

Rhyme wahał się przez moment. Napotkał wzrok prokuratora.

– Zgadza się.

– Nie mówią o żadnych innych substancjach?

– Nie, chociaż wypełniając je...

– Panie Rhyme, proszę... Tych wytycznych nie opracowano z myślą o innych formach mikrośladów analizowanych w laboratorium. Czy takie twierdzenie jest zgodne z prawdą?

– Tak – mruknął Rhyme.

Oczy Coughlina zabłyśły.

– Skoro wiedział pan, że wytyczne mają zastosowanie tylko do DNA, to dlaczego pan się na nie powoływał, by dowieść swojej staranności w badaniu mikrośladów świadczących przeciwko mojemu klientowi?

– Nie pomyślałem o tym.

– Może chciał pan zyskać na wiarygodności, ponieważ w rzeczywistości nie jest pan do końca pewien, czy przedstawione dowody świadczą o winie mojego klienta?

– Sprzeciw.

– Podtrzymany.

Ale pamięci przysięgłych oczywiście nie można było wymazać. Właśnie usłyszeli, że Rhyme nie całkiem gra fair.

– Panie Rhyme, czy był pan w sterylnej części swojego laboratorium podczas przeprowadzania analizy tego piasku?

Rhyme umilkł. Spojrzał na siedzącego w głębi sali Thoma. Jego asystent miał dziś na sobie nienaganny granatowy garnitur, koszulę w kolorze złamanej bieli i ciemnoszary krawat.

– Panie Rhyme? – ponaglił go Coughlin.

– Tak, byłem.

– Czy zanim się pan tam znalazł, pański asystent wyszorował bieżniki tych kół?

– Tak.

– W jaki sposób?

– Ściereczkami i wybielaczem.

– Czy używał patyczka kosmetycznego lub podobnego przedmiotu, aby wyczyścić wnętrze bieżnika?

– Nie. Używał ściereczek.

– I poświęcił zaledwie dziesięć minut na każde koło.

– Sprzeciw.

Coughlin cofnął tylko słowo „zaledwie”, poprawiając pytanie:

– I poświęcił dziesięć minut na każde koło?

– Tak, mniej więcej.

– Panie Rhyme, na pewno ma pan w laboratorium dużo sprzętu. Chromatografy, mikroskopy elektronowe, suszarki... Typowe urządzenia kryminalistyczne.

– Zgadza się.

– Generują dużo ciepła?

– Kiedy działają, tak.

– Czy w laboratorium są wentylatory?

Rhyme milczał przez chwilę.

– Tak.

– Teoretycznie wentylator mógłby rozwiać mikroślady. I obca substancja naniesiona do laboratorium mogłaby zanieczyścić próbkę gleby...

– Sprzeciw.

– Świadek jest biegłym – odparła sędzia. – Dopuszczam pytanie hipotetyczne. Panie Rhyme, proszę odpowiedzieć.

– Teoretycznie tak.

– Panie Rhyme, według protokołu pańskie laboratorium przeprowadziło analizę próbek ziemi pobranych na miejscu zabójstwa i na posesji mojego klienta dwudziestego kwietnia.

Czy to się zgadza?

– Wydaje mi się, że tak.

– Czy tego dnia z jakiegoś powodu opuszczał pan dom?

– Nie pamiętam.

– Wobec tego odświeżę panu pamięć. Miał pan wykład w manhattańskiej Szkole Prawa Karnego na Zachodniej Siedemdziesiątej Czwartej. O dziesiątej rano.

– Musiałbym sprawdzić.

– Pański wykład można obejrzeć na YouTube. Nagranie jest opatrzone datą.

– Wobec tego odpowiedź chyba brzmi twierdząco – odparł lodowatym tonem Rhyme.

– Wysoki sędzie – Coughlin wziął do ręki następny dokument i zbliżył się do stołu sędziowskiego – chciałbym włączyć do materiału dowodowego Dowód Rzeczowy Obrony numer jeden. – Podał dwie kopie woźnej sądowej, która przekazała jedną sędziemu, a drugą Sellarsowi. Prokurator przeczytał treść i spod zmarszczonych brwi spojrział na Rhyme’a.

Sędzia przebiegła wzrokiem tekst.

– Panie Sellars?

Westchnienie.

– Nie zgłaszam sprzeciwu.

Coughlin podszedł do Rhyme’a i położył przed nim jeszcze jedną kopię.

– Panie Rhyme, oto raport z firmy Usługi Kryminalistyczne Albrecht i Tanner. Zna ją pan?

– Tak.

– Mógłby pan ją przybliżyć sądowi?

– To prywatne laboratorium kryminalistyczne. Świadczą usługi komercyjne przede wszystkim przedsiębiorstwom budowlanym i produkcyjnym.

– Czy to szanowana firma?

– Tak.

– Raport został zamówiony przez moją kancelarię, dodam, że za tę usługę zapłaciliśmy firmie standardową stawkę. Czytam z przedstawionego nam raportu: „Nasi technicy zebrali osiemdziesiąt cztery próbki podłoża z chodników, ogrodów, kwietników i miejsc prowadzenia robót publicznych. Próbki te w sterylnych pojemnikach przetransportowano do naszego laboratorium w celu przeprowadzenia analizy. Zgodnie z instrukcją nasi technicy sprawdzali je na obecność dihydratu siarczanu wapnia i ditlenku krzemu w połączeniu z C<sub>12</sub>H<sub>24</sub> – węglowodorami nasyconymi (siedemdziesiąt pięć procent) i węglowodorami aromatycznymi (dwadzieścia pięć procent). Nasi analitycy znaleźli znaczne ilości tych substancji”.

Coughlin posłał wymowne spojrzenie przysięgłym, a potem świadkowi.

– Panie Rhyme, przedmiotem opisu tego raportu jest szczególnie rodzaj piasku zmieszanego z olejem napędowym, zgadza się?

– Tak.

– Widzi pan proporcje substancji chemicznych w tych próbkach?

Rhyme spojrział na dokument.

– Widzę.

– Czy te proporcje są identyczne z proporcjami substancji ujawnionych na sześciu ziarnach piasku, które oskarżenie przedstawiło jako dowód łączący mojego klienta z miejscem zabójstwa?

Rhyme popatrzył w stronę Sellarsa, lecz szybko odwrócił wzrok.

– Tak, są.

Coughlin wrócił do raportu.

– W punkcie „Lokalizacja” raport mówi: „Te próbki piasku pochodzą z placu robót w zachodniej części Central Park West, z kwartału numer trzysta”. Panie Rhyme – Coughlin odwrócił się do niego – czy pański dom, w którym znajduje się pańskie laboratorium, mieści się w kwartale numer trzysta Central Park West?

Rhym odchrząknął i odparł:

– Tak.

– Czy to możliwe, panie Rhyme, by te sześć ziarenek piasku, które, jak pan twierdzi, łączą dom mojego klienta z miejscem, gdzie zamordowano Leona Murphy’ego, nie pochodziło z żadnego z tych dwóch punktów miasta, lecz dostało się do laboratorium na bieżnikach

kół pańskiego wózka, a w związku z tym nie istnieją żadne mikroślady wskazujące na winę mojego klienta?

Rhyme zacisnął usta.

– Wysoki sędzie? – zwrócił się Coughlin do Williams.

– Proszę odpowiedzieć, panie Rhyme.

Znowu odchrząknął.

– Sytuacji, którą pan opisuje, nie można wykluczyć.

– Nie mam więcej pytań.

## 5

Widzę, że jednak nie, to nie jest taktyka zastraszenia.

Dojdzie do zabójstwa. Prawdziwego.

Poleje się krew.

Strumieniami.

AC/DC, ten z nożem, lewą ręką łapie ofiarę za włosy, odchyła do tyłu jej głowę i przeciąga ostrzem po szyi, tak jak odcina się papierową owijkę z butelki whisky. Ofiara wydaje pisk, jak gdyby zaskoczona strugą szkarłatnego płynu. Rany, ależ tryska. Mężczyzna osuwa się na bok. Ten z nożem piłuje z wysiłkiem – broń tylko wydawała się ostra – i w końcu oddziela głowę od tułowia. Z pogardą rzuca ją na bok i kontynuuje przemowę. Ciało nie wije się ani nie drga. Leży zupełnie nieruchomo.

Przychodzi moja kolej.

Czas na moją decyzję.

Wciskam spację, by zatrzymać wideo. Wypijam łyk bezkofeinowej coli – zdaję sobie sprawę, że stała się ciepła i ulotnił się z niej gaz – pochłonęły mnie klipy, które oglądam od godziny. Przy filmach tego rodzaju człowiek traci poczucie czasu.

Prostuję się, unoszę jedno ramię, potem drugie. Chrząści staw. Siedzę przy swoim stole na wyściełanym krześle, które nie jest zaprojektowane do długiego siedzenia, chociaż zwykle spędzam na nim sporo czasu. Zamierzam sprawić sobie nowe, i to niebawem. Mam na oku model na zamówienie, za tysiąc dolarów.

Czytam komentarze, od których roi się pod zatrzymanym w stop-klatce obrazem.

Epickie!!!!

Trzeba zgarnąć Los Zetas i zastrzelić.

To zrobił meksykański gliniarz, oni chodzą na pasku karteli.

Gorsze niż w zeszłym tygodniu czemu nie ma zbliżeń!!!

Dlaczego nie załatwili tesz jego dziewczyny!

No właśnie, dlaczego?, zastanawiam się. Trochę rozczarowujące.

No dobrze, pora podjąć decyzję.



Wciskam kilka klawiszy, a potem ENTER.  
Ekran ciemnieje i wideo ustępuje miejsca słowom:

Wideo zostało usunięte z powodu naruszenia standardów naszej społeczności.

To wkurzy sporą część naszych widzów. Czasem czytam komentarze, w których autorzy narzekają, że firma usunęła klip. Grzmią o cenzurze. Jak możemy ignorować pierwszą poprawkę?

Ale wśród użytkowników mediów społecznościowych rzadko trafiają się konstytucjoniści, więc nie zwracają uwagi na istotny fakt, że pierwsza poprawka zabrania urzędowej cenzury. Moja firma, ViewNow, podobnie jak YouTube, Instagram i reszta, może usuwać, co tylko jej się spodoba. Zupełnie legalnie. Jeżeli ci się nie podoba, wpisz do przeglądarki inny adres i przenieś się gdzie indziej.

Wahałem się, czy nie wybrać innego wyjścia. Zamiast usuwać wideo, mógłbym je ukryć za stroną wejściową. Gdyby użytkownik kliknął na tytuł „Sprawiedliwość w stylu karteli”, zobaczyłby wyskakujące okienko.

Treść przeznaczona dla dorosłych. Zaloguj się, aby potwierdzić swój wiek.

Wideo, jak większość dzisiejszych klipów, było jednak w wysokiej rozdzielczości. Krew płynęła obficie i realistycznie, przedśmiertny skowyt – ostatni dźwięk wydany przez ofiarę – brzmiał wyjątkowo czysto. Egzekucja była więc do wyrzucenia.

Moje zadanie jako moderatora treści polega na tym, by mieć na uwadze interes pracodawcy, a to oznacza konieczność odnalezienia równowagi między tym, co podnieca, szokuje i brzydzi, a tym, co bawi, inspiruje i budzi sympatię. Podejrzewam, że jeśli chodzi o łamanie prawa, to cudowne dzieci, które kierują siedzibą ViewNow w Dolinie Krzemowej, mają gdzieś, czy produkują treści zgodne z zasadami moralnymi; boją się tylko tego, by nie odstraszyć reklamodawców, gdyby klipy okazały się zbyt okropne (choć rozbawił mnie zamieszczony pod filmikiem z obcięciem głowy przez kartel Los Zetas baner, który reklamował ubezpieczenia na życie Family Pride).

Pozostaje jedno pytanie: powinienem usunąć konto użytkownika z powodu naruszenia przez niego zasad?

Dotąd zamieszczał sceny z gier wideo – *Grand Theft Auto* i *Red Dead Redemption* – pełne przemocy, ale generowane przez komputery. Podczas produkcji tych fabułek nie zginęli żadni prawdziwi obywatele San Andreas ani osadnicy z Dzikiego Zachodu.

Widzę jednak, jaką przebył drogę. Po grach i krwawych japońskich anime zaczęły wrzucać coraz więcej scenek ściągniętych z innych stron, krwawych jatek i martwych osób zabitych w aktach ludobójstwa czy masowych morderstwach.

Dzisiejsza egzekucja wykonana przez kartel to pierwsza zamieszczona przez niego scena morderstwa w czasie rzeczywistym.

Może pewnego dnia uzna, że to za mało, i porzuci rolę obserwatora, by stać się uczestnikiem?

Nie sposób oprzeć się żądzy.

Ja akurat dobrze o tym wiem.

Skasować czy nie?

Jestem Bogiem. Mogę zrobić, co zechcę.

Mój palec zawisa nad klawiaturą.

Dobra, niech sobie uprawia to hobby.

Kiedy zamykam wideo z obcinaniem głowy, zaraz wyskakuje nowe. Podsuwa mi je usłużny algorytm.

Film został nagrany przez zwolennika teorii spiskowych ukrywającego się pod pseudonimem Verum, który odzywa się w serwisie kilka razy w tygodniu. Oprócz przemocy i seksu mamy się na baczności przed politycznymi materiałami o prowokacyjnym charakterze. A anonimowy Verum balansuje na granicy.

Przy biurku siedzi postać z twarzą rozmazaną w mozaice pikseli, która uniemożliwia jej rozpoznanie. Pokój jest biały, duże okno zakrywa zasłona. Na ścianach widać haki w miejscach, gdzie prawdopodobnie wiszą obrazy, gdy lokator nie nagrywa.

Verum ma obsesję na punkcie spisków.

Nie bez powodu.

Głęboki głos też jest zniekształcony, co dodatkowo potęguje efekt niesamowitości.

*– Przyjaciele, w moje ręce trafił tajny raport na temat programu prowadzonego przez Ukrytych w Los Angeles, Chicago i Nowym Jorku. Projekt Poprawy Szkolnictwa to tajny program, który ma na celu zarejestrowanie wszystkich uczniów w systemie rozpoznawania twarzy. Informacje będą wykorzystywane do ustalania miejsca pobytu młodzieży i ich rodziców, pozwolą władzom stworzyć profile polityczne, religijne i ekonomiczne, co będzie naruszeniem ochrony danych osobowych na niespotykaną dotąd skalę.*

*Ukryci nie cofną się przed niczym, by pozbawić nas prywatności! W komentarzach pod tym materiałem znajdziecie nazwiska i adresy kuratorów nadzorujących te szkoły. Nie pozwólcie im bezkarnie traktować naszych dzieci jak mięso armatnie na wojnie!*

*Módlcie się i bądźcie gotowi!*

*Nazywam się Verum, po łacinie „prawda”. Oto wiadomość ode mnie. Od was zależy, co z nią zrobicie.*

Pod spodem wyświetla się adres strony w dark webie, gdzie można wpłacać pieniądze na walkę z Ukrytymi, których Verum zaciekle atakuje, ale nigdy nie ujawnia, kim właściwie są. Filmikowi towarzyszą targetowane reklamy: sprzętu surwiwalowego, broni, książek na temat innych teorii spiskowych.

Można zablokować filmy Veruma za to, że zawierają niesprawdzone fakty, które są „nieścisle” lub „nie mogą być zweryfikowane”.

Albo – to zawsze jest pod ręką – za niezgodność ze standardami społeczności.

W niektórych postach podzegał swoich wyznawców do przemocy. „Musimy walczyć z Ukrytymi”.

Zostawiam wideo.

Wstaję i przechodzę po stu pięćdziesięcioletnich, zdartych i nierównych deskach podłogi warsztatu. Biorę sobie zimną colę.

Pomieszczenie jest niewielkie. Ceglane ściany, belki u sufitu podparte drewnianymi słupami. Okna zabezpieczają stalowe płyty. Zamontowano je sto dwadzieścia lat temu po to, by nikt nie włamał się do firmy Sebastiano Bakery Supply i nie ukradł sprzętu. Okiennice służą też moim celom. Złodzieje niezbyt mnie martwią, za to nie chciałbym tu innych intruzów, którzy mogliby mi złożyć wizytę.

Dbam o to, by pomieszczenie było mocno oświetlone, bo kiedy jest ciemne, przypomina mi Pokój Konsekwencji i doprowadza mnie to do szału.

Mój wzrok pada na ścianę z surowej cegły, w którą wbiłem trzycalowe gwoździe i powiesiłem na nich swoją kolekcję zamków. Sto czterdzieści dwa egzemplarze. A także siatki z kluczami, których mam co najmniej tysiąc.

Na ścianach warsztatu nie ma żadnych innych dekoracji, bo jeżeli powiesi się zamki i klucze, po co komu inna sztuka?

Zerkam na telefon, by sprawdzić godzinę.

Wylogowuję się i w jednej chwili znikają egzekucje Los Zetas, naruszenia praw autorskich i anarchistyczna retoryka Veruma.

Muszę opracować plan.

Ostatnia nocna wizyta u Annabelle Talese była wyzwaniem. Ale to nic w porównaniu z dzisiejszą.

To zadanie będzie ode mnie wymagało znacznie więcej finezji.

## 6

Śledczy nazywają potencjalnych podejrzanych o popełnienie przestępstwa „osobami w kręgu zainteresowania”.

Lincoln Rhyme ukuł sobie odpowiednik tego terminu na własny kryminalistyczny użytek: „substancja w kręgu zainteresowania”. Używał tego określenia do niepasującego do otoczenia materiału, który pojawiał się na miejscu zdarzenia, choć nie było ku temu żadnego powodu.

Słyszając tę charakterystykę, Ron Pulaski, młody funkcjonariusz patrolu, który często asystował Rhyme’owi i Amelii Sachs, powiedział:

– Aha, to jak w książeczkach dla dzieci. Co jest nie tak z tym obrazkiem? Wiesz, na przykład rekin w gnieździe na drzewie. – Sam miał dwoje dzieci.

Choć z początku Rhyme potraktował jego porównanie z lekceważeniem, to po zastanowieniu odparł:

– Otóż to.

W tym wypadku zagadkową substancją był związek  $\text{NaClO}_2$ , powszechniej znany pod nazwą chloryn sodu.

Jego ślady znaleziono po zabójstwie w ogrodzie skromnej rezydencji w eleganckiej części Queens. Alekos Gregorios, zamożny właściciel sieci pralni samoobsługowych, został obrabowany i zakłuty nożem. Sprawę prowadziła para detektywów z posterunku 112 przy Austin Street – Tye Kelly i Crystal Wilson – a ze względu na zatory w głównym laboratorium kryminalistycznym nowojorskiej policji zgłosili się do Rhyme’a z prośbą, by obszedł procedury i rzucił okiem na ślady zabezpieczone na miejscu zdarzenia. Powiedzieli mu, że będą wdzięczni za wszelkie opinie.

Zgodził się.

Gregorios, wdowiec, mieszkał sam. W czasie zabójstwa sąsiedzi nie zauważyli niczego podejrzanego, ale jego dorosły syn, który tamtego dnia jadł z nim kolację, powiedział policji, że ojciec miał scysję z jakimś bezdomnym. Mężczyzna majstrował przy furtce do ogrodu i ojciec go przepędził. Bezdomny zaczął się odgrażać, ale Gregorios nie potraktował tego poważnie.

Syn przekazał, jak intruza opisał ojciec: biały, z rozczochranymi i nieumytymi ciemnymi włosami, ubrany w brudny płaszcz przeciwdeszczowy.

Innych szczegółów nie znał.

Populacja bezdomnych w Nowym Jorku liczyła około pięćdziesięciu tysięcy, więc wypytywanie na ulicach i w schroniskach nie wydawało się skutecznym sposobem działania. Detektywi mieli nadzieję, że Rhyme'owi uda się zawęzić pole poszukiwań.

I tu pojawiło się NaClO<sub>2</sub>, substancja w kręgu zainteresowania, którą wyizolował Rhyme.

W tym momencie był w swoim domu przy Central Park West – tym samym, który stał się tematem dyskusji podczas rozprawy przeciwko Viktorowi Buryakowi.

Okazały budynek pochodził z epoki, gdy w Anglii panowała królowa Wiktorja, a w Nowym Jorku William „Boss” Tweed. Każde z nich sprawowało niekwestionowaną władzę, a rządy przez nich światy wcale tak bardzo się od siebie nie różniły, jeśli pominąć zasięg geograficzny.

Poza wyłożonymi boazerią ścianami, ciemnymi dębowymi deskami podłogi i sztukaterią na suficie salon w niczym nie przypominał pomieszczenia sprzed półtora stulecia. W jego części urządzono współczesny pokój dzienny z fotelami, stolikami i regałami, ale resztę, zgodnie z tym, co Rhyme mówił Coughlinowi, zajmowało świetnie wyposażone laboratorium kryminalistyczne, jakiego mogłaby mu pozazdrościć średniej wielkości jednostka policji albo biuro szeryfa. Wokół terminali komputerowych stały optyczne spektrometry emisyjne i fluorescencyjne, suszarki, cyjanoakrylowa komora filtrująca, analizator obrazów hiperspektralnych, automatyczny sekwencjoner DNA, analizator biochemiczny do badań krwi, chromatografy gazowy i cieczowy oraz zamrażarka, jaką można znaleźć w każdej kuchni.

W kącie znajdowały się mikroskopy – optyczny, dwuokularowy, laserowy konfokalny i elektronowy skaningowy – oraz dziesiątki ręcznych instrumentów, które są niezbędnymi narzędziami w pracy specjalisty kryminalistyki.

Laboratorium miało zdecydowanie przemysłowy charakter, ale Lincolnowi Rhyme'owi wydawało się przytulne.

Na chwilę wrócił myślą do rozprawy, zastanawiał się, jak przebiega narada przysięgłych.

Sam nigdy nie został powołany do ławy. Konsultanci kryminalistyczni współpracujący z policją lub FBI odpadają z selekcji po sześćdziesięciu sekundach.

Przyjrzał się białej tablicy, na której zapisano markerem niektóre szczegóły na temat zabójstwa Gregoriosa. Rhyme pełnił tylko funkcję doradcy, więc nie notowano i nie zawieszano na tablicy wszystkich detali ustalonych w trakcie dochodzenia, lecz tylko podstawowe informacje: krótki rysopis podejrzanego, czas śmierci (około dziewiątej wieczorem), dane o kamerach monitoringu (jedna działała w pobliżu, ale nie obejmowała miejsca zdarzenia), informację o tym, że zabójca nosił buty nie do pary (często spotykana rzecz u bezdomnych), oraz fotografię trzech ran kłutych na tułowi ofiary. Brak innych obrażeń świadczył o tym, że zabójca ukrył się na terenie posesji i zaskoczył Gregoriosa. W niektórych stanach, na przykład w Kalifornii, zostałyby to uznane za „czyhanie na ofiarę”, a sprawcy za taki czyn groziłaby kara śmierci. W nowojorskim kodeksie karnym

nie było zapisu o czyhaniu, ale zachowanie podejrzanego pomogłoby oskarżycielowi udowodnić premedytację.

Zdjęcia wyraźnie ukazywały wypatroszone ciało i przypominającą kartę z testu Rorschacha plamę krwi na ścieżce z białych i beżowych kamieni.

No i pojawił się ten mikroślad.

Z kieszeni spodni na biodrze – gdzie prawdopodobnie ofiara nosiła portfel – technik zabezpieczający ślady pobrał próbkę zawierającą NaClO<sub>2</sub> oraz kwas cytrynowy i syrop wiśniowy.

Rhyme podyktował notatkę dla detektywów z posterunku 112, której kopia była już na tablicy.

*Po zmieszaniu chlorynu sodu z kwasem cytrynowym powstaje dwutlenek chloru, ClO<sub>2</sub>, powszechnie używany środek dezynfekujący i czyszczący. ClO<sub>2</sub> stosuje się jednak także jako fałszywe panaceum na liczne schorzenia, między innymi na raka i AIDS. Kiedy sprzedaje się ten związek jako szarlatański lek, na ogół dodaje się do niego środek smakowy, na przykład cytrynę, cynamon albo – tak jak w tym przypadku – syrop wiśniowy.*

*Gdyby zidentyfikowano osoby w kręgu zainteresowania i stwierdzono, że są w posiadaniu ClO<sub>2</sub> o wiśniowym smaku, należałoby sprawdzić, gdzie przebywały w czasie zabójstwa, a gdyby udało się zdobyć nakaz – zbadać dodatkowe dowody, które mogłyby łączyć potencjalnych podejrzanych z miejscem zdarzenia.*

Niedługo potem nadeszła odpowiedź od detektywa Tye'a Kelly'ego:

*Cholera jasna, kapitanie Rhyme. Jesteśmy panu winni butelkę pana ulubionego trunku, nawet jeżeli to Johnnie Walker Blue.*

Rhyme zorientował się, że otwierają się drzwi do domu. Usłyszał szum samochodów pędzących Central Park West.

– Jak poszło? – spytała Amelia Sachs, wchodząc z korytarza do salonu. Zrozumiał, że nie chodzi jej o sprawę Gregoriosa, lecz o jego zeznanie w procesie Buryaka.

– Poszło – poinformował żonę. Wzruszył ramionami – to był jeden z niewielu gestów, jakie potrafił wykonać. – Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Wysoka i szczupła Amelia Sachs odgarnęła z twarzy długie rude włosy.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Poczł słodkavo-kwaśny zapach osadu powystrzałowego.

– Wyglądasz, hm... na zmartwionego – zauważyła.

Skrzywił się.

– Ten obrońca. Sam nie wiem. Był dobry czy nie? Nie mam pojęcia.

– Nie będę pytać, jak długo twoim zdaniem będzie trwała narada.

Sachs, wytrawna detektyw nowojorskiej policji, sama zeznawała w setkach procesów. Wiedziała, że takie pytania są bezcelowe.

– A tobie jak poszło? – zainteresował się Rhyme.

Żona brała udział w zawodach strzelectwa praktycznego, nazywanego inaczej strzelectwem dynamicznym. Zawodnicy przemieszczali się pomiędzy stanowiskami, strzelając do papierowych albo stalowych celów, a punktacja była uzależniona od celności, czasu pokonania toru i fatora, czyli mocy amunicji. Strzały oddawało się z pozycji leżącej, klęczącej i stojącej, uczestnicy często nie znali też konfiguracji toru ani lokalizacji celów. W strzelectwie praktycznym dużą rolę odgrywała improwizacja.

Sachs lubiła zawody i ćwiczenia na strzelnicy, nie mniej niż wciskanie pedału gazu w czerwonym fordzie torino z potężnym silnikiem, kiedy pędziła nim po torze albo po zatłoczonych ulicach miasta.

– Nie za dobrze – odpowiedziała.

– To znaczy?

– Byłam druga. – Naśladując go, wzruszyła ramionami.

– Słyszałem, że do zawodów stanęło pięćdziesięciu uczestników...

Znów uniosła ramiona.

Choć Sachs była swoim najsurowszym krytykiem, przyznała:

– Facet, który zdobył pierwsze miejsce, robi to zawodowo.

Rhyme wiedział od niej, że strzelcy wyborowi mogą zarobić całkiem niezłe pieniądze na startach w zawodach – nie z nagród, lecz ze sponsoringu i prowadzenia szkoleń.

Thom przyniósł kubki z kawą i tacę z ciastkami.

W tym momencie Rhyme nie miał jednak apetytu. Ani pragnienia – w każdym razie nie miał ochoty pić kawy.

– Nie – stwierdził Thom.

Rhyme zmarszczył brwi.

– Nie przypominam sobie, żebym zadał jakieś pytanie.

– Faktycznie, ale zauważyłem je w twoich oczach.

– Myślałeś, że patrzę na whisky? Wcale nie.

Patrzył.

– Jest za wcześnie.

Rhyme nigdy nie widział opinii medycznej, która mówiłaby o konieczności ograniczenia spożycia alkoholu przez osoby dotknięte tetraplegią, zresztą gdyby nawet takie badania istniały, to raczej by je zignorował.

– Miałem ciężki poranek. Na rozprawie. Przecież tam byłeś.

– Za wcześnie – orzekł Thom i postawił kawę na stole obok wózka. – Nawiasem mówiąc, uważam, że dobrze sobie poradziłeś. Mówię o zeznaniu.

Rhyme westchnął – sam musiał przyznać, że zbyt teatralnie i głośno. Spojrzał na butelkę, którą jego asystent zostawił w salonie, ale za wysoko, by mógł jej sam dosięgnąć. Niech to szlag! Whisky oczywiście znajdowała się w zasięgu Sachs, ale w kwestii zdrowia Rhyme’a najczęściej zdawała się na decyzje Thoma. Wyglądało na to, że dzisiejszy ranek nie będzie wyjątkiem od tej reguły.

Uniósł kubek i wypił łyk. Niechętnie stwierdził, że kawa jest całkiem smaczna. Odstawił ją, nie roniąc ani kropli. Dzięki operacji i niezmordowanej fizjoterapii miał już prawie całkowitą kontrolę nad prawą ręką i dłonią. W ostatnich latach postęp w leczeniu pacjentów z urazem rdzenia kręgowego znacznie przyspieszył i lekarze zaproponowali Rhyme’owi różne nowe możliwości poprawy jego stanu zdrowia. Nie miał nic przeciwko temu, zdawał sobie jednak sprawę, jaki będzie niezadowolony, jeśli zabieg i rekonwalescencja pochłoną mnóstwo czasu, który mógłby poświęcić na pracę.

Na razie wystarczała mu zdolność poruszania jedną kończyną – a także, dziwnym zrządzeniem losu, palcem serdecznym lewej ręki, który mógłby się wydawać do niczego niepotrzebny, lecz doskonale radził sobie ze sterowaniem wózkiem. Dzięki temu Rhyme mógł prawą dłonią trzymać dowody... albo szklaneczkę dwunastoletniej szkockiej.

Choć nie dziś.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do prokuratora. Ale po co się tym przejmować? Sellars sam zadzwoni, kiedy się czegoś dowie.

Zabrzęczał telefon i Rhyme polecił odebrać połączenie.

– Cześć, tu Lon.

– Przydałaby mi się pomoc w dziwnej sprawie, Linc – odezwał się zrzędlawy głos. Amelia?

– Słyszę cię, Lon.

W domu Lincolna Rhyme’a telefony zawsze miały włączony głośnik.

– Mielibyście dla mnie chwilę?

– Najpierw wyjaśnij, w jakim sensie sprawa jest dziwna – odparł Rhyme.

– Zrobię to osobiście. Właśnie parkuję pod waszym domem.



## 7

Upper East Side.

Wychodzę ze stacji metra, nie za szybko, nie za wolno. Wtapiam się w tłum i ruszam na północ.

Każdy, kto by na mnie spojrział, nie zauważyłby niczego niezwykłego: bujne ciemne włosy, nieco przydługie, raczej rozczochrane niż kędzierzawe. Jestem szczupły, powiedziałbym nawet, że chudy. Mam długie palce i trochę za duże uszy. Chyba właśnie dlatego rzadko chodzę do fryzjera – żeby zasłonić ten defekt. Często też noszę wełniane czapki. Takie nakrycie głowy można nosić w Nowym Jorku prawie przez cały rok i nikogo to nie dziwi, zwłaszcza u kogoś poniżej trzydziestki, jak ja. (Różnica polega na tym, że moja czapka to kominiarka, którą zawsze mogę zasłonić twarz).

Mam buty do biegania podobne do tych, jakie nosili członkowie Los Zetas. Nieznanej marki, produkcji chińskiej. Są całkiem wygodne. Chodzę w nich najczęściej, bo słyszałem, że policja może mieć bazy danych protektorów podeszew butów i łatwiej byłoby jej zidentyfikować i namierzyć dobrze znany model. Być może przesadzam, ale ostrożności nigdy dość.

W tej chwili mam na sobie dzinsy, czarną wiatrówkę i różową, ładną koszulę; dostałem ją w prezencie od dziewczyny, dzisiaj już eks. To mi przypomina o Aleksandrze, która, w przeciwieństwie do tamtej, nie jest eks. Niedawno wspomniała przypadkiem, że różowy to jej ulubiony kolor.

Podczas jednej z naszych sesji doktor Patricia dostrzegła dla mnie szansę, gdy w odpowiedzi na jej pytanie, czy się z kimś widuję, powiedziałem, że tak, i opowiedziałem jej o Aleksandrze.

– Ładna, z Rosji, profesjonalna charakteryzatorka. Ma sylwetkę tancerki. Zresztą tańczyła, kiedy była mała.

Dowiedziałem się od Aleksandry, że wszystkie rosyjskie dziewczynki w dzieciństwie są albo tancerkami, albo gimnastyczkami.

– Nie ma żadnych wyjątków od reguły – oznajmiła z czarującą profesorską powagą.

Skręcam w Dziewięćdziesiątą Siódmą i gdy nikt nie patrzy, przeciskam się przez ogrodzenie z siatki, by wejść do w połowie zburzonego budynku, w którym czuć pleśń, ceglany pył i mocz.

Zgodnie z rzeźbionym napisem nad wejściem, obiekt należał kiedyś do jakiegoś Bechtela albo rodziny Bechtelów.

Budynek jest obrzydliwy, ale znakomicie się nadaje do moich celów: okna wychodzą na boczne wejście do apartamentowca, w którym planuję dzisiejszą wieczorną Wizytę.

Ta cieniasta część dzielnicy to East Nineties, ulice z numerami zaczynającymi się od 90. Strefa przejściowa. Mnie wydaje się ponura i bez wyrazu. Nie wpadają tu promienie słońca, co najwyżej odbłaski światła. Na myśl przychodzi mi słowo „rozrzedzone”.

Wszedłem ostrożnie, rozglądając się za lokatorami. Jeżeli ktoś tu jest, to pewnie leży zamroczony metą, heroiną albo crackiem, o ile jeszcze pali się crack, ale to nie znaczy, że nie może być świadkiem. Oczywiście mam przy sobie nóż, lecz nie mam ochoty go używać – po co pakować się w taką aferę?

Budynek jest pusty, tak jak poprzednio, kiedy byłem tu dwa razy. Nic dziwnego. Wygląda, jakby lada chwila miał się zawalić.

Obawiam się jednak śmieci. Protektor chińskich butów jest wprawdzie anonimowy, nie wiem jednak, na ile skutecznie gumowa podeszwa chroni przed zakażonymi igłami sterzczącymi ze strzykawek.

Wyglądam na zewnątrz i zatrzymuję wzrok na niektórych przechodniach. Jestem specjalistą od obserwacji i dlatego świetnie się orientuję, kiedy sam jestem obserwowany. W tym momencie nie jestem. Chowam się za szybami, tak samo jak chowam się przed tymi, którzy wrzucają klipy na ViewNow – niewidzialny, chociaż wszystko widzę.

Przyglądam się budynkowi, w którym ona mieszka: bury kamień, aluminiowe wykończenia okien, wyblakła od słońca i deszczu zielona markiza nad wejściem od ulicy. Dziesięć kondygnacji. Mieszka tu niezbyt wielu młodych ludzi i emerytów. To droga część miasta, mimo że blada, bez wyrazu i nijaka pod względem architektonicznym.

Carrie Noelle stać jednak na mieszkanie w tej dzielnicy. Podobno jej firma całkiem nieźle prosperuje.

Odwiedziny w tym budynku to element moich przygotowań do Wizyt. Zawsze je planuję z wyprzedzeniem.

Są dwa sposoby pokonywania zamków. Metoda prostacka polega albo na użyciu urządzenia pistoletowego, które wkłada się do otworu na klucz i naciska się spust, a wtedy zamek się odblokowuje, albo na technice nazywanej bumpingiem, kiedy po prostu do skutku wbija się do zamka klucz uderzeniowy. Druga metoda to *raking*, czyli grabienie – subtelny sposób, wirtuozerski. Mój sposób.

Podobnie są dwa sposoby na włamanie. Niektórzy improwizują. Zjawiają się pod drzwiami i idą na żywioł.

Ja tak nie potrafię. Moje Wizyty wymagają żmudnych przygotowań. Muszę wszystko wiedzieć o zabezpieczeniach w budynku, o wejściu głównym i pozostałych, o kamerach w holu, korytarzach i na zewnątrz, o portierach, o punktach obserwacyjnych, o kocujących w pobliżu bezdomnych, którzy mogli być naćpani, pijani albo niespełna rozumu, ale mimo to potrafiliby mnie świetnie zapamiętać i podać szczegółowy rysopis.

Ciekawe, ale niedawno dowiedziałem się, że seryjnych morderców też można podzielić na dwie kategorie – niezorganizowanych i zorganizowanych.

Widzę, że nic się nie zmieniło. W apartamentowcu Carrie i w jego okolicach nie zainstalowano nowych kamer. W sąsiednich bramach nie koczują bezdomni. Boczne wejście zabezpiecza prosty webb-miller. Ten się prawie nie liczy. Takie zamki to dla mnie pestka.

Pozostaje sprawdzić jedną rzecz.

Nie muszę długo czekać. Zaledwie chwilę później moim oczom ukazuje się Carrie Noelle we własnej osobie, wracająca z lunchu, na który była umówiona.

Jest wysoka, ma około trzydziestu pięciu lat. Dziś ubrała się w dżinsy, skórzaną kurtkę i buty do biegania, pomarańczowe, ale eleganckie, nie tandetne. Kasztanowe włosy związała w kucyk. Nie ma urody modelki, ale jest całkiem ładna. Idzie sprężystym krokiem. Ma w sobie coś ze sportsmenki. Coś kociego. Nie tylko przypomina moją cudowną Aleksandrę, ale i porusza się z taką samą gracją.

*Każda mała rosyjska dziewczynka gimnastyczką albo tancerką jest...*

Carrie idzie chodnikiem przed budynkiem Bechtel. Mija okno w odległości niecałych trzech metrów, ale nie zerka w szybę.

I ostatni element przygotowań: upewniam się, że jest sama. Carrie nie prowadzi pod ramię mężczyzny, który pokrzyżowałby mi plany (powiedziałbym „mężczyzny albo kobiety”, ale wiem, że jest hetero).

Oczywiście jakiś adorator mógłby ją odwiedzić wieczorem, ale to nie w jej stylu.

Sama jak palec.

Zbliża się do frontu apartamentowca. Wita sąsiada, który wygląda na emeryta. On też zmierza do wejścia do budynku. Uśmiechają się do siebie – ma promienny uśmiech – i zamieniają kilka słów. Sąsiad otwiera kluczem drzwi (śmieszny zamek bębenkowy Hendersona).

Torby, które taszczy Carrie, wyglądają na ciężkie, więc emeryt, z pewnością dżentelmen, ofiarowuje jej pomoc. Podaje mu jedną. Sąsiad zagląda do środka i znowu się uśmiecha, unosząc z uznaniem brew.

Odgaduję, że ktoś, dla kogo jest przeznaczona zawartość, będzie zachwycony zakupem. Chociaż z drugiej strony, myślę na widok logo sklepu na torbie, dzieci zawsze szaleją z radości, kiedy dostają od rodziców tę wyjątkową zabawkę, prawda?

## 8

Wymięty – to słowo najlepiej charakteryzowało Lona Sellitta, detektywa pierwszego stopnia, który przed laty był partnerem Rhyme’a, zanim ten przeniósł się do kryminalistyki, a potem awansował na szefa wydziału wsparcia dochodzeniowego nowojorskiej policji, który obejmował sekcję techniki kryminalistycznej.

Krępy gliniarz w średnim wieku, z przerzedzonymi włosami, których odcień można by określić jako szarobrązowy, wszedł do salonu z telefonem przy uchu, skinieniem głowy przywitał Rhyme’a i Sachs, po czym błyskawicznie wziął kurs na tacę z ciastkami. Przytrzymując telefon ramieniem, ostrożnie przełamał ciastko i odłożył większą część z powrotem, a następnie przekreślił ten pokaz siły woli, pochłaniając kawałek, który miał w dłoni.

Najprawdopodobniej rozmówca kazał mu czekać, bo powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego:

– Płatki owsiane. Rodzynki. Cholera, facet zna się na pieczeniu. – Zerknął w stronę Sachs. – A ty czasem pieczesz?

Posłała mu zdumione spojrzenie, jak gdyby zapytał ją o stary problem: ile aniołów mieści się na główce szpilki, czy jakoś tak.

– Chyba raz piekłam. Nie, to było co innego.

– Jak poszło na rozprawie? – zapytał Sellitto.

– Nie mam bladego pojęcia – odburknął Rhyme. – Wszystko w rękach przysięgłych. – Ton jego głosu sugerował, że nie ma ochoty myśleć, a co dopiero rozmawiać o procesie. – „Dziwna”? – spytał. – Mówiłeś, że to dziwna sprawa. – Serce zabiło mu trochę mocniej, jak zwykle poczuł to w skroniach. Lincoln Rhyme żył dla spraw, które były „dziwne”, a także „niezwykłe” i „niewytłumaczalne”. Spraw, które stanowiły wyzwanie. Sytuacje, kiedy to Zbir A strzela do Zbira B, a dziesięć minut później zostaje złapany z dymiącą bronią w ręku, w ogóle go nie interesowały. Jego największym wrogiem nie był psychopatyczny morderca, lecz nuda. Zarówno przed wypadkiem, jak i po nim uważał, że nuda to mały krok do śmierci.

Amelia Sachs też wyczekująco przyglądała się gościowi. Była przydzielona do wydziału specjalnego, któremu w randze porucznika szefował Sellitto. Mogła poprowadzić sprawę z każdym funkcjonariuszem wydziału, ale najczęściej pracowała właśnie z nim – w każdym razie zawsze, kiedy Rhyme uczestniczył w śledztwie w charakterze konsultanta.

Po chwili detektyw odezwał się do telefonu:

– Tak jest... Pracujemy nad tym... Dobrze... Hm... – Podeszedł do nieskazitelnie czystej szyby oddzielającej niesterylną część salonu od laboratorium. W zamyśleniu zabębnił palcami w szkło. Skinął głową, jak gdyby na pożegnanie, mimo że rozmówca był wiele kilometrów dalej i nie widział go w kamerze. – Tak jest. – Telefon zniknął w kieszeni brązowego garnituru. Detektyw wybrał dzisiaj ubrania w innych kolorach, ale ilekroć Rhyme myślał o Sellitcie, zawsze przed oczami miał brąz.

Pojawił się Thom z następnym parującym kubkiem.

– Proszę, Lon. Co u ciebie? Jak Rachel? Sprawiliście sobie tego psa, o którym mówiliście?

– Nie przerywaj mu, Thom. Przyszedł opowiedzieć nam coś ciekawego, prawda? Jakąś dziwną historię.

– Nikt nie parzy lepszej kawy niż ty.

– Dziękuję.

– Dodajesz do ciastek melasy?

– Nie za dużo. Żeby nie zdominowała smaku.

– Mówiłem coś o przerywaniu – wtrącił spokojnym tonem Rhyme, wolno wymawiając każde słowo.

– Rachel też piecze – ciągnął Sellitto. – Parę dni temu zrobiła bułeczki scones. Nie wiem nawet za bardzo, co to takiego. Trochę suche. Ale dobrze smakują z masłem. Dobrze już, dobrze, Linc. Dwaj mundurowi z patrolu z dwudziestego dostali wezwanie...

Posterunek, mieszczący się w budynku z lat sześćdziesiątych, z fasadą z białego kamienia, która zawsze wydawała się brudna, znajdował się w odległości paru minut piechotą – albo wózkiem – od domu przy Central Park West i w ciągu ostatnich lat Rhyme był tam wiele razy w związku z różnymi dochodzeniami.

– Nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką sprawą.

A Lon Sellitto jako gliniarz patrolujący ulice, a potem detektyw, naprawdę wiele już widział.

– Naświetlę wam es-te.

– Es co? – zdziwiła się Sachs.

– Sytuację. Wszyscy w OnePP mówią „es-te”.

Innym razem Rhyme wygłosiłby byłemu partnerowi wykład na temat świętości języka i zasugerowałby, że masakrowanie słów wiele mówi o inteligencji i próżności oprawcy – dodałby też, że nie jest zachwycony przedziwnym skrótem nadanym komendzie głównej policji Nowego Jorku – One Police Plaza.

– Ofiarą jest kobieta, Annabelle Talese. Dwadzieścia siedem lat. Menedżerka marketingu w firmie odzieżowej i influencerka.

– Kto to jest „influencerka”? – spytał Rhyme.

– W ogóle nie oglądasz telewizji, Linc? Nie surfujesz w sieci? Nie słuchasz podcastów?

– A co to jest „podcast”? ... Żartuję. Ale „influencerka”?

– Ktoś, kto mówi w internecie o jakimś produkcie – wyjaśniła Sachs. – Rano maluję rzęsy tą mascarą. Podoba mi się ta linia swetrów z dzianiny. Dostają pieniądze od producentów albo zarabiają na reklamie. Influencerki i influencerzy są ładni i bardzo im to pomaga w pracy. Nagrywają też filmy z unboxingu. Wiem to wszystko od Pam.

Tak miała na imię młoda kobieta, którą Sachs wzięła pod swoje skrzydła, gdy uratowała ją z rąk terrorystów. Pam studiowała teraz kryminalistykę w Chicago.

Rhyme posłał jej pytające spojrzenie.

– Ktoś kupuje produkt i kręci wideo, kiedy go rozpakowuje i przygotowuje do użytku.

– Cudom nie ma końca – stwierdził Rhyme i zerknął na Sellitta, przynaglając go wyrazem twarzy.

– Sprawca włamał się do jej mieszkania w środku nocy.

– Zabójstwo? – spytał Rhyme.

– Nie.

– Naruszenie nietykalności osobistej? – domyśliła się Sachs.

– Prawdopodobnie nie.

Rhyme i Sachs spojrzeli po sobie.

– Prawdopodobnie? – powtórzyła policjantka.

– Właśnie dlatego to takie dziwne. – Sellitto wypił spory łyk kawy, co najwyraźniej dało mu asumpt do sięgnięcia po następne ciastko. – Być może jej dotykał, ona sama tego nie może jednak potwierdzić. W zasadzie tylko poprzemienił w inne miejsca rzeczy w mieszkaniu. Ubrania, przedmioty osobiste, przybory do higieny. Siedział przy łóżku i zjadł jedno takie. – Pokazał trzymane w ręce ciastko.

– Jezu – odezwał się Thom.

– Ja myślę. Dziewczyna była sparaliżowana ze strachu. Kiedy się obudziła, myślała, że on ciągle jest w mieszkaniu.

– Dlaczego?

– To drugi element, który powoduje, że sprawa jest dziwna. Drzwi były zamknięte na klucz, zatrask i dwa zamki, więc doszła do wniosku, że intruz musi być w środku. Tyle że go nie było.

– Czyli miał klucz – orzekła Sachs.

– Nie miał. Dziewczyna jest tego pewna. Otworzył zamki jakimś narzędziem. I w ten sam sposób zamknął je, gdy wyszedł. Słyszeliście o włamywaczu, który robi coś takiego?

## 9

I jest pewna, że nie ma zapasowych kluczy? – zapytała Sachs.

– Zamierzała dać je matce, ale jeszcze tego nie zrobiła. Według mundurowych, którzy pojechali na miejsce, przyznała się, że poprzedniego dnia piła alkohol. Ale nie więcej niż na typowym babskim wieczorku. Można powiedzieć „babski wieczorek”?

– Lon – rzucił Rhyme zniecierpliwionym tonem.

– W każdym razie to jej sformułowanie, nie moje. Patrol zastanawiał się, czy sama nie poprzestawiała rzeczy – żeby na przykład wrobić swojego byłego albo właściciela mieszkania. Ale nie wskazała żadnego podejrzanego, więc ta wersja odpadła. Zresztą twierdzili, że była naprawdę spanikowana, potwornie. Przez chwilę myślała, że to duch, ale doszła do wniosku, że, cytując: „to nieprawdopodobne raczej”.

Sachs usiadła przy komputerze i otworzyła przeglądarkę. Wcisnęła parę klawiszy i na ekranie zaczęło się odtwarzać wideo. Przedstawiało atrakcyjną jasnowłosą kobietę w swetrze z głębokim dekoltem, siedzącą przy kuchennym stole w jasnym wnętrzu, w którym panował nienaganny porządek – wyglądało na typowe nowojorskie mieszkanie. Uśmiechała się promiennie do kamery. Czułym gestem pokazywała jakieś akcesorium do makijażu.

Widocznie właśnie uprawiała influencerstwo.

Sachs zatrzymała obraz i uważnie przyjrzała się kobiecie.

– Annabelle – szepnęła.

Rhyme wiedział, że to jej sposób podejścia do śledztwa. Chciała znać ofiary w prowadzonych przez siebie sprawach, poznać ich historie, ich upodobania i lęki, jak najwięcej szczegółów z ich życia – a w przypadku zabójstwa chciała też wiedzieć, z czym wiązały się ostatnie minuty ich życia. Uważała, że dzięki bliskości z ofiarą jest lepszą śledczą, a proces tworzenia więzi zaczynała od poznania jej imienia.

Mimo że Rhyme żywił nie mniejsze współczucie dla ofiar niż Sachs, to takie szczegóły raczej go nie interesowały i z pewnością nie pobudzały do działania.

Niektórzy gliniarze specjalizowali się w ludzkich aspektach policyjnej roboty, inni w naukowych. Sachs reprezentowała pierwszą kategorię, Rhyme drugą. Na tym tle od czasu do czasu dochodziło między nimi do spięć, ale w zasadzie chyba właśnie dzięki temu przeciwieństwu tak dobrze się uzupełniali.

– Czyli mamy włamanie – rzekł Rhyme, odrywając wzrok od ekranu i kierując go w stronę sufitu. – Przystawianie rzeczy w mieszkaniu. Jest szansa na odciski palców, DNA,

ślady butów. Coś jeszcze?

– No... ukradł nóż i parę majtek.

– Hm... – Elementy związane z seksem i przemocą zawsze budziły niepokój, nawet jeśli sprawca nie przeszedł jeszcze do czynów.

– Ale najdziwniejsze jest to, że zostawił wiadomość. Na stronie wydartej z gazety – zostawił ją w szufladzie z bielizną – napisał szminką „rozliczenie” i podpisał się „Ślusarz”.

– Co to była za gazeta? – spytała Sachs.

– „Daily Herald” – odparł Sellitto. – Z lutego tego roku.

Rhyme nie znał tego tytułu. Nie zwracał większej uwagi na wiadomości, chyba że jakiś artykuł mógł rzucić nieco światła na sprawę, nad którą pracował, albo przynosił informacje, które mogły się okazać użyteczne w przyszłości. Do większości mediów nie miał cierpliwości.

– Brukowiec – ciągnął porucznik. – Tabloid, pisze tylko o skandalach. Firma, która go wydaje, jest jeszcze właścicielem kanału telewizyjnego – taki sam profil – i wydaje jakiś radiowy talk-show, który chlusta bluzgami.

– W porządku, Lon – powiedział w zamyśleniu Rhyme. – Dziewczyna jest zdenerwowana. Trudno się dziwić. Może przyczepił się do niej jakiś stalker. A może wybrał ją przypadkowo. W każdym razie nie doszło do czynnej napaści.

Warunkiem napaści jest świadomość fizycznego kontaktu. A ofiara spała.

– I prawdopodobnie nie było też naruszenia nietykalności cielesnej – dodał Rhyme.

Czyli kontaktu seksualnego bez obopólnej zgody.

– Ale nawet to trudno byłoby udowodnić, jeżeli nie ma dowodów, że jej dotykał. Czyli mamy włamanie drugiego stopnia.

Bezprawne wejście do komercyjnego budynku wymagało kilku warunków, by uznać czyn za włamanie kwalifikowane, gdy na przykład sprawca był uzbrojony w niebezpieczną broń albo zadał komuś obrażenia. Takich obwarowań nie było jednak w przypadku wtargnięcia do prywatnego domu. Dokonując zwykłego włamania, Ślusarz popełnił poważne przestępstwo.

Trudno jednak nazwać je przestępstwem stulecia.

Sellitto wyczuł tę sugestię.

– Dobra, rozumiem, Linc. Namieszał jej w głowie, ale jeżeli pomyślisz, co mógłby zrobić... Chcesz po prostu wiedzieć, po co tu przyszedłem, pomijając pretekst, by skosztować wypieków Thoma. To nie jest żadna sprawa, zgadza się. Otóż to nie wszystko.

Wyjął telefon, pomanipulował przy nim, po czym pokazał ekran Rhyme’owi i Sachs. To była fotografia zamieszczona w mediach społecznościowych: strona z „Heralda”, o której wspomniał Sellitto, leżąca na białej bieliźnie w szufladzie komody, z ledwie widoczną wiadomością i podpisem sprawcy; zdjęcie było ciemne, zrobione bez lampy błyskowej, prawdopodobnie sprawca nie chciał obudzić dziewczyny. Pod spodem był adres Annabelle oraz pytanie: „Kto będzie następny?”.



– Wrzucił to do jakiegoś podziemnego serwisu, ale szybko rozprzestrzeniło się jak viral na Facebooku i Twitterze – przede wszystkim na stronach gazet i telewizji. Wiadomość się rozniosła i teraz dziennikarze wydzwaniają na komendę. Istne piekło. Góra nie pozwoli sknocić sprawy, w której sprawca przyciąga prasę jak magnes, nie może sobie na to pozwolić, zwłaszcza teraz.

Rhyme doskonale wiedział o skandalu, jaki wybuchł niedawno w Nowym Jorku po spapranych śledztwach i procesach.

– Kiedy tu wszedłem, właśnie gadałem przez telefon z kimś z szefostwa.

Rhyme zastanawiał się, do kogo było adresowane to „tak jest”.

– Czyli chodzi o politykę, Lon. Kto by na to tracił czas? Zresztą też mam swój udział w sprzątanii po tych kompromitacjach. – Wskazał głową na tablicę z detalami śledztwa w sprawie Viktora Buryaka.

– Wiem. Poza tym nie skończyłem. Raport ze zgłoszenia trafił na biurko Benny’ego Morgensterna.

– Detektyw, złota odznaka, wydział specjalny – powiedziała do Rhyme’a Sachs. – Długi staż.

– Aha – przytaknął Sellitto. – Traktujemy go jak wydziałowego starego mędrca. Yodę.

Rhyme zmarszczył brwi.

– Nie znam w dowództwie nikogo, kto nazywa się Yoda.

Sellitto przyglądał mu się przez chwilę, a gdy doszedł do wniosku, że jego były partner mówi serio, zaproponował:

– Po prostu posłuchajcie, co ma do powiedzenia.

## 10

Rhyme – i pozostali w salonie – patrzyli na korpulentnego mężczyznę o bladej, usianej piegami twarzy, który spoglądał na nich z okna Zooma.

Benny Morgenstern miał pięćdziesiąt kilka lat i raczej nie wyglądał na „starego mędrca”, jak sugerował Sellitto. Był ubrany w białą koszulę z krótkim rękawem, bez krawata. Siedział przy zaśmieconym biurku, na którym piętrzyły się teczki z dokumentami, a obok leżały chyba zamki i klucze oraz narzędzia ślusarskie.

Zakres działań wydziału specjalnego policji Nowego Jorku obejmował przede wszystkim dochodzenia w sprawie włamań, kradzieży i uprowadzenia pojazdów – przestępstw, których sprawcy dostawali się do miejsc zwykle zamkniętych na klucz.

– Kapitanie Rhyme, pewnie pan mnie nie pamięta. Poznaliśmy się jakiś czas temu. Przy okazji sprawy Whitestone’a Brinksa.

Sprawę pamiętał – skok, w którym łupem sprawców padły cztery miliony – ale detektywa już nie.

W odpowiedzi skinął głową.

– Witaj, Benny – powiedziała Sachs.

– Cześć, Amelia. Przypuszczam, że Lon już was o wszystkim poinformował, ale przedstawię sytuację.

Hm, „sytuację”, nie „es-te”. Rhyme zerknął na Sellitta, który w odpowiedzi szepnął:

– Aha, aha.

– Człowiek z patrolu, który zjawił się na miejscu, zrobił zdjęcie drzwi mieszkania pani Talese. Chwileczkę.

Udostępnił na Zoomie ekran i Rhyme zobaczył gałkę z dziurką od klucza pośrodku oraz dwa różne zamki ryglowe, jeden nad gałką, drugi pod nią.

– To chyba niewiele wam mówi... – ciągnął Morgenstern – ...na razie. Cierpliwości. W gałce jest zwykła wkładka bębnekowa. Każdy może ją otworzyć, jeżeli ma pod ręką podstawowe narzędzia i wolną godzinę, żeby obejrzeć instruktażowe wideo na YouTube. Ale spójrzcie na zamki: górny to model czterdzieści jeden Hendricksa, a dolny stahl-groen szesnaście. Na zjazdach lockpickingu to modele turniejowe.

– Zjazdach lockpickingu? – powtórzył Rhyme.

– Przypominają zjazdy hakerów. Czasem pojawiają się na nich zawodowi ślusarze, ale prym wiodą niesforne dzieciaki. Półświatek lockpickerów. Aktywiści, wyznawcy społeczeństwa otwartego, WikiLeaks i tego rodzaju towarzystwo. Organizują turnieje,

w których w określonym czasie trzeba sobie poradzić z otwarciem skomplikowanych zamków. Nawet najlepszym specem na świecie nie udaje się pokonać tych cacek na czas. Niektórzy w ogóle nie potrafią tego zrobić. A ten wasz Ślusarz nie mógł stać przed drzwiami apartamentowca w Nowym Jorku i przez pół godziny grzebać w zamku. Mógł mieć najwyżej pięć minut, może mniej. – W głosie Morgensterna brzmiała nuta zdumienia. Chyba też podziwu.

– A teraz coś lepszego. Albo gorszego. – Detektyw zmienił obraz i na ekranie ukazała się fotografia ściany z zamontowanym cyfrowym panelem.

– Pokonuje zamki ryglowe, a potem ma pięć sekund na wyłączenie alarmu. I daje radę.

– Może znał kod – ciągnął Morgenstern. – Mógł jej zabrać torebkę i znaleźć go w środku, ale to mało prawdopodobne. Założmy, że znalazł sposób, by odłączyć alarm. Ten model działa bezprzewodowo. Istnieją trzy sposoby, by go unieszkodliwić. Wszystkie wymagają nadajnika RF – częstotliwości radiowych. Pierwszy to metoda na siłę: trzeba stanąć przed drzwiami i nadawać wszystkie możliwe kombinacje czterocyfrowego kodu, od 0000 do 9999. Zajmuje to około godziny i dwudziestu minut. Oczywiście to nie do wykonania w przypadku mieszkania na Manhattanie. Drugi sposób polega na tym, by ukryć w pobliżu rejestrator i przechwycić częstotliwość kodu, który rozbraja alarm. Po wejściu do mieszkania trzeba go odtworzyć nadajnikiem. Ale tu też jest problem: trudno się schować w takim budynku, w jakim mieszka ta kobieta.

Dlatego wydaje mi się, że Ślusarz wybrał trzecią metodę: zablokował system. W chwili otwarcia drzwi mieszkania czujnik wysyła do głównej skrzynki sygnał aktywujący alarm. Jeżeli w ciągu pięciu sekund nie wprowadzi się prawidłowego PIN-u, alarm się uruchamia.

Ale przed otwarciem drzwi można nadać sygnał o stałej częstotliwości, który zablokuje łącze między czujnikiem a skrzynką. Wiadomość „drzwi otwarte” nigdy nie trafia do panelu. Prawdopodobnie użył Hack-InRF – to najpopularniejszy system.

– Można go tak po prostu kupić? – zdziwił się Rhyme.

– Można. Albo zrobić, jeżeli ktoś ma smykałkę do elektroniki. – Morgenstern wyłączył udostępnianie ekranu i większe okno znowu wypełniła jego twarz. Na biurku miał ze trzydzieści zamków. Czyżby hobbystycznie ćwiczył ich otwieranie?

– Musicie wiedzieć jedno. Jesteśmy prawie pewni, że to nie jego pierwszy raz. Ktoś w szóstym odebrał wezwanie w sprawie z podobnym modus operandi. To było w lutym.

– W Village? – spytał Rhyme.

– Tak, przy Greenwich Street. Pewna kobieta po powrocie do domu stwierdziła, że ktoś tam był podczas jej nieobecności. Poprzestawiał rzeczy. Zdjął pościel. Zjadł jakieś przekąski.

– I wszyscy byli pewni, że nikt nie ma klucza? – zapytał Rhyme.

– Zgadza się.

– Zabrał sobie coś na pamiątkę albo zostawił wiadomość?

– Nie.

– Może dawna sympatia, która ma o coś żal? – zasugerowała Sachs.

– Patrol pytał, ale nikt taki nie przychodził jej na myśl.

– Detektyw nie wysłał na miejsce ekipy techników? – spytała Sachs.

– Nie, wydział kryminalistyki nie został włączony do sprawy. A jeżeli zastanawiasz się, Amelio, czy teraz należałoby przeszukać tamto miejsce, to od razu ci powiem, że zostało wyczyszczone ze wszystkich śladów. Tydzień po tym zdarzeniu kobieta się wyprowadziła – była tak spanikowana, że wyjechała z miasta. To Nowy Jork, więc chwilę później pojawił się nowy lokator, odmalował ściany i parowo wyczyścił dywan.

– Tamte zamki też były równie trudne do pokonania jak te dzisiaj rano? – zapytał Rhyme.

– Nie wiem. Spisano tylko raport ze zgłoszenia, nie zostało wszczęte śledztwo. – Opuścił wzrok i przeczytał informację z kartki. – Drugi incydent, z marca, południowa część Midtown, w bok od Dziewiętej Alei. Modus operandi zbliżony do wczorajszego. Sprawca włamuje się do mieszkania, kiedy ofiara śpi. Przekłada w inne miejsca jej bieliznę i inne rzeczy. Posłuchajcie: zrobił sobie kanapkę i zjadł. To znaczy nie dokończył – żeby wiedziała, co zrobił. Na nocnym stoliku zostawił brudny talerz.

– Ofiara też przespała te odwiedziny? – upewniła się Sachs.

– Podobno była na jakimś psychotropie. Ubiegnę twoje pytanie. Nie było techników, nie było śledztwa. Kobieta opuściła mieszkanie po trzech dniach. Zapasowe klucze miała tylko jej siostra, ale nie zginęły. Eks też nie był w kręgu podejrzeń.

– Zauważyliście tendencję? – odezwał się Sellitto. – Pierwszej ofiary nie było w domu. Druga była, ale facet nie bawił się nożami ani bielizną. Dzisiaj w nocy: zostawił gazetę z wiadomością, która może być pogroźką, i posunął się dalej, bo zabrał ostre narzędzie i garderobę intymną.

– Słyszał pan kiedyś pseudonim „Ślusarz”? – spytał Rhyme.

– Nie, nigdy.

– A ta pamiątka, którą zostawił, „Daily Herald”, ma jakieś znaczenie w społeczności wielbicieli zamków? – indagowała Sachs.

– Ten szmatławiec? Nie przypuszczam. Może po prostu miał go pod ręką.

– Gdzie możemy zacząć szukać kogoś o takich umiejętnościach? – spytał Morgensterna Lon Sellitto.

– Myślicie, że to ktoś z branży. Otóż prawdopodobnie nie. Po pierwsze, wszyscy ślusarze prowadzący legalną działalność wiedzą, że w przypadku tak wyrafinowanego sprawcy znajdą się pod lupą jako pierwsi. Po drugie, rzemieślnicy uprawiający ten fach mają swoją etykę zawodową, a to oznacza, że nie są skłonni wykorzystywać umiejętności do celów niezgodnych z prawem.

Mogę przekazać wam listę kilku z nich, którzy zeszli na manowce, ale moim zdaniem sprawca zarabia na życie w innej branży, a zamki to jego pozazawodowa obsesja.

Studiował lockpicking na boku. Mam na myśli naprawdę intensywne studia. Pewnie na zjeździe nawiązał kontakt z jakimś mentorem – i to nie było jakim.

– Jakiś charakterystyczny element? – spytał Sellitto.

– Nie, nie zostawił podpisu, że się tak wyrażę. Jest po prostu bardzo dobry. Z lepszym nigdy się nie zetknąłem. Bez psów obronnych, systemu alarmowego, jakiego używa CIA, i blokady drzwi – mam na myśli sztabę od sufitu do podłogi – nie ma szans, żeby ten facet nie dostał się do środka.

– Dzięki, Benny – powiedziała Sachs do ekranu.

– Ostatnia rzecz. O otwieraniu zamków musicie wiedzieć jedno: jeżeli ktoś potrafi to dobrze robić, zwykle jest wybitny. Trzeba przechytrzyć producenta zamka, przechytrzyć zamek. Myśleć jak szachista. I pamiętać, że upływa cenny czas. Facet jest obdarzony wielką inteligencją i nieprzeciętnymi zdolnościami. To fatalne połączenie u kogoś, kto ma taki plan gry jak on. Jeżeli chcecie posłuchać dobrej rady, to nie szcędźcie środków. Znajdźcie go. I to szybko. Coś paskudnego wisi w powietrzu.

Morgenstern zakończył połączenie.

Rhyme patrzył przez okno. Wydawało mu się, że Sellitto coś do niego mówi, ale nie słuchał. Myślał o innym sprawcy, człowieku, którego mógł nazwać swoją nemezis – uważał to słowo za wyjątkowo nieprofesjonalne, ale najlepiej oddawało istotę ich relacji.

W ciągu paru lat Rhyme kilkakrotnie ścierał się z Zegarmistrzem. Za każdym razem udaremniał jego plany zamachu albo ataku terrorystycznego, ale przestępcy zawsze udawało się umknąć, by dokonać kolejnych zbrodni tam, gdzie nie sięgały wpływy Rhyme'a. Podczas ich ostatniego spotkania Zegarmistrz zapewnił go, że następnej próby sił jeden z nich nie przeżyje.

Niedawno Rhyme dowiedział się z pewnego źródła w Anglii, że ktoś planuje go zabić. Wciąż toczyło się dochodzenie w tej sprawie, on sam podejrzewał, że jest w nią zamieszany Zegarmistrz. Czy powinni zakładać, że Ślusarz pracuje dla jego „nemezis”? A może wręcz on sam był Zegarmistrzem?

Sposób działania Ślusarza i jego obsesyjne zainteresowanie urządzeniami mechanicznymi do złudzenia przypominały zamiłowania Zegarmistrza. Może wrócił, by rozprawić się z Rhyme'em? Po zastanowieniu kryminalistyk doszedł jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne. Pasją jego wroga były zegarki, nie można się więc spodziewać, by na tak późnym etapie kariery pochłonęły go tajniki zamków.

Niemniej jedna rzecz nie dawała mu spokoju: Zegarmistrz po mistrzowsku opanował umiejętności iluzjonisty. Potrafił skutecznie odwrócić uwagę policji i opinii publicznej od prawdziwych ofiar swoich zbrodni.

Rhyme zastanawiał się, czy Ślusarz ma taki sam talent.

O co tak naprawdę tu chodziło?

– No więc jak, wchodzić w to? – spytał Rhyme'a i Sachs Sellitto.

Wymienili spojrzenia i Amelia skinęła głową w imieniu ich obojga.

– Sprawdź w NCIC, Interpolu i naszych bazach danych – polecił jej Rhyme.

Ostatni raz rzuciwszy okiem na Annabelle na ekranie – Rhyme zapomniał nazwisko dziewczyny – Sachs zamknęła stronę i zalogowała się na zabezpieczonym serwerze policji Nowego Jorku. Po klawiaturze śmigały jej palce z niepomalowanymi, krótko przyciętymi paznokciami. Po chwili oznajmiła:

– Nie ma żadnych informacji o Ślusarzu, nie figuruje ani jako nazwisko, ani pseudonim. Jest paru zawodowych ślusarzy, ale mają na koncie przestępstwa zupełnie niezwiązane z profesją i albo dawno nie żyją, albo mieszkają daleko stąd.

– Czyli zbudował sobie tożsamość od zera – rzekł w zamyśleniu Rhyme.

Sachs wylogowała się z serwera.

– Czy strona z gazety, którą zostawił, ma dla niej jakieś znaczenie?

– Nie wiem – odparł Sellitto. – Mundurowi wycofali się, kiedy uznali mieszkanie za miejsce zdarzenia.

– Ktoś z wydziału cyberprzestępczości mógłby namierzyć zdjęcie, które wrzucił do sieci? – pytała dalej Sachs.

– Nie, trafiło do podziemnego forum – nie ma żadnego tropu.

– W takim razie jedź do jej mieszkania – zwrócił się do niej Rhyme. – Zrobisz obchód po siatce.

– Przesłucham ją i powiem paru mundurowym, żeby wy pytali sąsiadów.

– W budynku są kamery? – spytał Rhyme.

Sellitto odpowiedział przecząco.

Rozmowy z sąsiadami niewiele dadzą, skoro policja nie ma żadnego rysopisu, pomyślał Rhyme. Można było ich tylko pytać, czy zauważyli „coś podejrzanego” – brzmiało to jak kwestia z filmów o prywatnych detektywach z lat czterdziestych. Tym się jednak nie przejmował. I tak nie ufał świadkom i ich relacjom.

Chciał mieć dowody.

– Gdzie teraz jest Annabelle? – zapytała Sachs.

– U sąsiadów – odrzekł Sellitto. – Nie chce wracać do mieszkania.

– Trudno jej się dziwić.

– Zadzwoń do Mela – powiedział Rhyme. – Lon, możesz sprowadzić Pulaskiego? Jest wolny. Chciałbym, żeby był wolny – dodał.

– Będzie.

Sachs odsunęła na bok tablice ze sprawą Buryaka i Gregoriosa, po czym ustawiła na środku salonu nową i pustą. Wzięła marker. W każdej sprawie, jeśli nie znali prawdziwej tożsamości przestępcy, Rhyme i jego zespół zwykle nazywali go NS, nieznanym sprawcą, dodając liczbę oznaczającą dzień i miesiąc zdarzenia. W tym przypadku nie musieli jednak tego robić.

Sprawca sam im się przedstawił.

U góry tablicy, dokładnie pośrodku, starannym i czytelnym charakterem pisma zanotowała: *Ślusarz*.

# 11

Gdy wracam do warsztatu z obserwacji mieszkania uroczej Carrie Noelle, rozglądam się po brudnej i odrapanej ulicy. Dwoje ludzi stoi odwróconych do mnie plecami. Spokojnie. Poznają w nich miejscowych, parę hipsterów, jeżeli hipsterzy jeszcze istnieją. Mężczyzna nosi fantazyjną brodę. Ja zawsze golę się gładko, dzięki temu gubię mniej włosów i policji trudniej je znaleźć.

Podchodzę do wejścia do starego budynku Sebastiano Bakery Supply, znajdującego się w rozsądnej odległości od mojego mieszkania.

Przed drzwiami wyjmuję pęk kluczy z czarno-czerwonym breloczkiem, tandetną pamiątką, do której mam jednak sentyment – przedstawia londyńską Tower. Kluczy mam sześć, w większości nietypowych. Jeden z nich jest szwajcarski, z zaokrąglonym tytanowym trzonem, jego krzywka – ząbki, które wciskają kołki w bębenu – spoczywa w osłonie, by nikt nie mógł go skopiować, robiąc zdjęcie czy odcisk. Ten klucz otwiera górny zamek.

Dwa dolne wymagają innych kluczy na moim breloku: frezowanego i łańcuszkowego, który składa się z segmentów połączonych ze sobą jak ogniwa łańcucha, dzięki temu zamka nie można otworzyć za pomocą narzędzi. To znaczy nie może go otworzyć nikt inny. Mnie udało się dokonać tego w dwie minuty i siedem sekund.

Wchodzę do środka, zamykam z powrotem wszystkie zamki, podnoszę stalową sztabę z metalowego uchwyty na podłodze i mocuję do podobnego uchwyty na drzwiach, pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Każdy, kto otwiera zamki, zdaje sobie sprawę, że wszystkie można otworzyć. Wobec metalowych sztab wytrych jest bezradny.

Na stole przy drzwiach kładę klucze i składany mosiężny nóż, z którym nigdy się nie rozstaję. Zdejmuję kurtkę i czapkę, a potem w telefonie sprawdzam wiadomości. Jestem ciekaw, co mówią o mojej Wizycie u ładnej – nie, pięknej! – influencerki Annabelle Talese. O, zdaje się, że zostałem celebrytą. Całe miasto ogarnęła gorączka. Ślusarz to, Ślusarz tamto. Zastanawiałem się, kiedy zdjęcie wrzucone na jedno z forów trafi do popularnych ogólnodostępnych mediów.

Wygląda na to, że wyciekło rekordowo szybko.

Poświęcam trochę czasu narzędziom, by wyczyścić i naoliwić te, które tego potrzebują. Zebrałem sporą kolekcję: dwuczęściowy zestaw do szyfrowych zamków mechanicznych, zakładane na palec grabki do małych otworów na klucz, inne minigrabki, termokurczliwe nakładki na uchwyty picków, papier ścierny, trzonki do wytrychów, klucze uderzeniowe,



młotki do kluczy uderzeniowych, napinacze, pierścienie napinające, symulatory kluczy, klucze szkieletowe, grabki do wkładek zapadkowych, wytrychy do wkładek dwustronnych, picki do zamków na klucze frezowane, standardowe grabki, haki, wężyki, zestaw picków z uchwytem długopisowym i tak dalej, i tak dalej...

A w skrzynkach równo ułożone pistolety igłowe i elektropickery, które wyglądają jak elektryczne szczoteczki do zębów ze stali nierdzewnej, wyposażone w dziesiątki końcówek igłowych. Narzędzia szybkie i skuteczne, do wykorzystania od czasu do czasu, choć prymitywne w swojej prostocie.

Do tego zamki treningowe (w przezroczystych plastikowych obudowach, żeby można było obserwować swoje postępy).

Siadam na krześle, które pewnego dnia wymienię, i przysuwam się, by powitać mojego dzisiejszego przeciwnika.

Wspaniały model 85 SecurPoint, który doprowadza mnie do szału. Jest zamocowany na drewnianej płycie jak obraz w ramie, płytę z kolei przykręciłem śrubami do stojaka. Mimo że widziałem go na żywo setki razy – a tysiące razy w wyobraźni – to jeszcze raz przyglądam się zamkowi, być może tak, jak szachista lustruje przeciwnika, zanim wykona pierwszy ruch.

Patrzę na zamek SecurPoint jak na olśniewająco piękną i pełną kokieterii kobietę, której myśli nie sposób przeniknąć i która ma jakieś skryte plany – by oddać ci serce i ciało. Albo nie.

Powoli robię wdech, wypuszczam powietrze.

Przysuwam zamek jeszcze bliżej. A potem biorę napinacz i grabki i wsuwam do środka.

## 12

Amelia Sachs nigdy nie widziała tak zdenerwowanej ofiary.

Siedziały w należącym do policjantki czerwonym fordzie torino, zaparkowanym przed apartamentowcem Annabelle Talese.

Kobieta wierciła się, szukała zajęcia dla rąk – zdradzała większą nerwowość niż Sachs, kiedy była pod wpływem stresu, a w takich sytuacjach Amelia nie umiała usiedzieć na miejscu.

Talese owijała palce pasmami jasnożółtych włosów, ściągała je do tyłu, puszczała kosmyk i okręcała następny. Z najwyższym niepokojem przyglądała się każdemu przechodniowi na ulicy. W jej spojrzeniu podejrzliwość mieszała się z lękiem.

Zgodziła się asystować Sachs w oględzinach mieszkania, nałożyła strój ochronny i pokazywała miejsca, gdzie przebywał Ślusarz, i przedmioty, których dotykał, choć potrzebowała kilku minut, by zebrać się na odwagę.

Po sprawdzeniu mieszkania, zebraniu próbek i sporządzeniu dokumentacji fotograficznej kobieta koniecznie chciała wyjść, zatem przesłuchanie odbywało się w bezpiecznym wnętrzu solidnego pojazdu wyprodukowanego w Detroit.

Sachs wyjęła notes i długopis. A także cyfrowy dyktafon, który postawiła na desce rozdzielczej.

– Nie ma pani nic przeciwko temu? – Wskazała na smukły aparat Sony.

– Nie, proszę bardzo.

Sachs wcisnęła przycisk i zapaliło się czerwone oko cyklopa.

– Jest pani absolutnie pewna, że nikt nie mógł mieć dodatkowych kluczy?

– Na sto procent.

Nie była lokatorką, lecz właścicielką mieszkania, mogła wstawić swoje zamki, co zrobiła jakieś pół roku wcześniej.

– Kto je montował?

Podawała nazwę firmy.

Dyktafon rejestrował dźwięk, podczas gdy Sachs notowała.

Benny Morgenstern przesłał nazwiska ofiar, które przeżyły podobne zdarzenie w Village w lutym i na Dziewiątej Alei w marcu. Sachs pokazała ekran telefonu.

– Zna pani te kobiety?

– Nie, nigdy o nich nie słyszałam.

Skłaniała się ku teorii, że sprawca wtargnął do przypadkowych mieszkań. Co jednak nie oznaczało, że wybrał lub zamierzał wybrać na ofiarę konkretną osobę, a pozostałe były tylko zasłoną dymną.

– A ta gazeta, którą zostawił?

– Nędzne pisemko. Nie czytam „Heralda”.

– Zna pani kogoś z redakcji? A może z ich telewizji?

– Ma pani na myśli kanał WMG? To też chłam. Nie, nikogo tam nie znam.

– Artykuły?

Sachs pokazała fotografię strony z gazety.

– Nic mi nie mówią.

– A to słowo, „rozliczenie”? Sugeruje, że ktoś chciał wyrównać rachunki. Nie przypomina pani sobie nikogo takiego, kto pojawił się w pani życiu?

– Boże, nie.

– Może to wtargnięcie miało panią zastraszyć? Była pani sygnalistką? Świadkiem jakiegoś przestępstwa?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Sachs nie wiedziała, skąd Ślusarz dowiedział się o kobietach, które wcześniej padły jego ofiarą, ale przyszło jej do głowy, że mógł zwrócić uwagę na Talese z powodu jej zajęcia.

– Widziałam kilka pani klipów. Dobre. Wyglądają profesjonalnie.

– Dzięki.

– Czy wśród pani fanów mogli się znaleźć stalkerzy?

– Możliwe. Używam tylko imienia, ale chyba łatwo ustalić nazwisko i adres. Tyle się mówi o eksploracji danych.

– Mogłaby pani przejrzeć komentarze i wybrać z nich te niestosowne?

– Mam wyłączone komentarze. Użytkownicy mogą tylko oglądać wideo. To najmądrzejsza decyzja, kiedy zostaje się influencerem. Rozmawiałam z paroma znajomymi dziewczynami w tej branży. Zostawiły możliwość komentowania. Powinna pani zobaczyć, co ludzie tam wypisują; czasem obrzydliwe rzeczy.

Kobieta rozejrzała się po ulicy, lekko szarpnęła się za włosy. Z torebki wyjęła gumkę obszytą jasnoczerwoną tkaniną i zaczęła ściągać włosy w kucyk, ale po chwili zarzuciła ten pomysł. Znowu sięgnęła do torebki i zamieniła jaskrawą gumkę na zwykłą, prawdopodobnie po to, by mniej rzucać się w oczy. Westchnęła i opuściła głowę. Sachs zastanawiała się, czy Annabelle się rozplacze, miała jednak suche oczy.

– Na pewno sporo pani wie o komputerach i internecie – powiedziała Sachs.

– Niewiele. Tylko tyle, ile trzeba, żeby kręcić klipy i wrzucać je do sieci.

– Myślę, że moglibyśmy skontaktować się ze wszystkimi platformami, na których zamieszcza pani filmy, i porozmawiać z działami zabezpieczeń. Uzyskalibyśmy adresy IP wszystkich, którzy panią oglądają. Może trafimy na parę nazwisk, które powinniśmy sprawdzić.

Na twarzy Talese pojawił się ledwie widoczny cień uśmiechu.

– Pani detektyw, zamieszczam filmy na pięciu platformach i z analiz wynika, że w sumie obserwuje mnie około dwustu trzydziestu tysięcy subskrybentów i fanów. Żeby ocenić, ilu ludzi wchodzi na strony i ogląda mnie bez subskrypcji, trzeba pomnożyć tę liczbę przez trzy.

Czyli miała już odpowiedź.

– Czy w budynku mieszka ktoś, kto mógłby sprawiać pani problemy?

Wzruszenie ramion.

– Większości sąsiadów nie znam. Przecież to Nowy Jork.

– Zauważyła pani kogoś, kto śledził panią albo obserwował w ciągu kilku ostatnich tygodni?

– Nie.

– Jest pani pewna, że wziął tylko nóż i bieliznę?

– Chyba tak. Nie zabrał biżuterii, książeczek czekowych, laptopa, telewizora. Rzeczy, które wyniósłby zwykły złodziej.

Sachs zamknęła notes i wyłączyła dyktafon.

Talese utkwiała wzrok w fasadzie budynku.

– Przeniosę się do matki. Na Long Island. Dopóki nie sprzedam tego mieszkania i nie kupię nowego. Mogę spakować walizkę?

– Oczywiście.

– Pójdzie pani ze mną?

Sachs uśmiechnęła się do niej.

– Pewnie.

Wysiadły z samochodu i Talese stanęła z rękami na biodrach, jeszcze raz przyglądając się wysokiemu apartamentowcowi.

– Wie pani, zabrał jednak coś jeszcze.

Sachs spojrzała na nią.

Annabelle Talese zniżyła głos do szeptu.

– Ukradł mi dom. Uwielbiałam go, a on mi go odebrał.

## 13

Gdy Amelia Sachs weszła, Rhyme uniósł wzrok.

Był w korytarzu i przez otwarte drzwi spojrzął na pozostałości po robotach budowlanych na ulicy.

*Te próbki piasku pochodzą z placu robót w zachodniej części Central Park West, z kwartału numer trzysta...*

Serce zabiło mu szybciej, kiedy pomyślał, jaki będzie werdykt przysięgłych w sprawie Viktora Buryaka. To było bardzo ważne. Od tego zależało życie ludzi.

Sachs właśnie wróciła z oględzin mieszkania Annabelle Talese, które znajdowało się pięć skrzyżowań od domu Rhyme'a na Upper West Side.

Niosła plastikową skrzynkę, do której włożyła torebki z zebranymi śladami. Stwierdził z rozczarowaniem, że jest tego niewiele.

– Amelia! – Mel Cooper, główny technik laboratoryjny Rhyme'a, był detektywem policji. Trudno powiedzieć, czy bardziej niemodnym dodatkiem do jego stroju były okulary w grubych oprawkach, czy buty, choć na zdjęciach z konkursów tańca towarzyskiego, na których występował w smokingu, u boku swojej prześlicznej skandynawskiej dziewczyny, prezentował się wspaniale. W tym momencie miał na sobie ochronny strój laboratoryjny, rękawiczki, ochraniacze na buty i czepek.

– Wezmę to, dzięki. – Cooper zabrał z jej rąk skrzynkę i cofnął się do sterylnej części laboratorium.

– Ron zasięga języka – poinformował ją Rhyme.

Ron Pulaski, sumienny i pełen zapału funkcjonariusz patrolu, dzięki Rhyme'owi został ekspertem kryminalistyki, a dzięki Sachs fachowcem od przesłuchań.

– Benny dał mu listę ślusarzy w mieście, sam też znalazł kilku w internecie. Okazuje się, że to całkiem spore grono. Rozmawia ze wszystkimi.

Pulaski dzwonił do nich, by sprawdzić, czy któryś ze ślusarzy nie podejrzewa, kim może być sprawca o takich umiejętnościach. Rozmowy telefoniczne nie były wprawdzie tak efektywne jak przesłuchania twarzą w twarz, ale Rhyme sądził, że ekipa ma niewiele czasu. Instynkt mu podpowiadał, że Ślusarz ma już na oku następną ofiarę.

– Mam nazwisko ślusarza, który montował zamki u Annabelle. – Sachs wysłała je Pulaskiemu, który odpisał: OK.

– Szuka też informacji o tych zjazdach miłośników zamków, o których mówił nam Benny.

Dodał jednak, że ani obecnie, ani w najbliższej przyszłości żadna impreza tego rodzaju nie odbywa się i nie będzie się odbywać na północnym wschodzie kraju, choć Benny uprzedzał go, że organizatorzy nie reklamują ich w ogólnodostępnych mediach. Wiadomości o zjazdach rozpowszechnia się tylko w dark webie.

Lon Sellitto też zasięgał języka, prowadził podobne poszukiwania jak Pulaski. Zgodnie z daną im obietnicą Benny Morgenstern przekazał porucznikowi listę ślusarzy, którzy mieli na koncie aresztowania za wykorzystanie fachowej wiedzy do nielegalnych celów lub byli o to podejrzewani. Sellitto namierzał tych ludzi, aby ich przesłuchać – albo w charakterze podejrzanych, albo jako świadków, którzy być może domyślali się, kim jest Ślusarz.

Jak dotąd szczęście nie dopisało ani młodemu policjantowi, ani detektywowi.

Cooper rozkładał w sterylnej części laboratorium rzeczy przyniesione przez Sachs z mieszkania Talese.

Lincolnowi Rhyme'owi bardzo brakowało życia w pełnosprawnym ciele. Miło byłoby przespacerować się w późny niedzielny ranek ze swoją partnerką po bajgle – na przykład o jedenastej, nie spiesząc się ze wstawaniem. Miło byłoby oglądać sztukę w teatrze, gdzie połowa publiczności nie spoglądałaby z ciekawością na wózek. Albo dopaść i zlikwidować dokuczliwą muchę.

Ale najbardziej Rhyme tęsknił za dwiema rzeczami. Pierwszą było wędrowanie po wspaniałym i intrygującym mieście, jakim był Nowy Jork, i nieustanne poznawanie jego mieszkańców, geografii, ekonomii, roślinności i ciemnych stron. Dzięki temu wzbogacał swoją kryminalistyczną wiedzę i mógł lepiej połączyć dowód z miejscem, a miejsce ze sprawą.

A drugie pragnienie, którego nie mógł już spełnić? Chciałby nałożyć kombinezon z tyveku i dłońmi w lateksowych rękawiczkach dotykać i badać dowody, aby skłonić je do wyjawienia prawdy o tym, co się stało w miejscu zdarzenia.

– Bierzmy się do pracy, dobrze? – burknął Rhyme. Odwiedziny Ślusarza w domu Talese coraz bardziej oddalały się w przeszłość i coraz mniej czasu zostawało do następnego najścia, którego cel prawdopodobnie będzie inny i zamiast kraść nóż, sprawca postanowi go wykorzystać.

Istniała także możliwość, że ofiara obudzi się, krzyknie i spróbuje się bronić – Ślusarz z pewnością się z tym liczył; należało zakładać, że jest gotów zabić, aby ocalić własne życie.

Na początek Cooper zrobił zdjęcie trzeciej strony wyrwanej z numeru „Daily Herald” z 17 lutego. Sfotografował też to, co wydrukowano na odwrocie, po czym wyświetlił obydwie obrazy na dużych ekranach monitorów.

Na stronie gazety, która została podpisana przez Ślusarza – najwyraźniej szminką Talese – było pięć artykułów z nagłówkami:

UJAWNIEŃ TAJNEGO RAPORTU:

## AIDS STWORZONO W ROSYJSKIM LABORATORIUM

### STAŻYSTKA Z BIURA SENATORA USA SPODZIEWA SIĘ DZIECKA

### SENSACJA: ROZWÓD AKTORKI NIEWAŻNY. WKRÓTCE ARESZTOWANIE?

### ZDEMASKOWANIE GRUPY NIENAWIDZĄCEJ KOBIET

### DOWODY NA NIELEGALNE PODSŁUCHY SŁUŻB FEDERALNYCH, MAJĄCE POMÓC W KAMPANII

Na odwrocie strony były reklamy. Piramidy finansowe, inwestycje w nieruchomości z daleka zalatujące oszustwem, serwisy randkowe i salony masażu. Usługi seksualne w wersji light.

– Żaden z tych artykułów nic nie mówił Annabelle – poinformowała ich Sachs. Rhyme przejrzał treść.

– Trudno to nazwać poważnymi wiadomościami, prawda? Wzruszyła ramionami.

– Może po prostu potrzebował papieru, żeby napisać wiadomość. To on przyniósł tę gazetę. Annabelle powiedziała, że jej nie czyta.

Cooper zachichotał.

– Nikt, kto czyta „Heralda”, nie przyzna się do czytania „Heralda”.

– Zadzwońmy do tej gazety, do działu prawnego – powiedział Rhyme – i dowiedzmy się, co o tym myślą. Skoro zamieścił to zdjęcie w internecie, to może już o tym wiedzą.

Sachs znalazła numer firmy i zadzwoniła. Radca prawny brał udział w konferencji, ale jego asystentka zapewniła ją, że oddzwoni. Sachs zostawiła jej swój numer oraz numer Sellitta.

Cooper badał dowody w niebieskim blasku oświetlacza kryminalistycznego, który emitował światło o zmiennej długości fali.

– Hm... Zna się na rzeczy. Niewiele tu widzę. Na samej gazecie nie ma odcisków palców ani włókien. Strona została oddarta od arkusza. Nie ma śladów żadnego narzędzia do cięcia. Wiadomość napisał tego samego typu szminką, jaką Amelia znalazła w mieszkaniu – należąca do ofiary.

Interkom między sterylną częścią laboratorium a niesterylną działał doskonale. Słyszeli Mela Coopera tak wyraźnie, jakby siedział obok nich.

Sachs zanotowała te ustalenia na tablicy pod informacją o braku wykrytych odcisków linii papilarnych na miejscu zdarzenia oraz o kradzieży majtek i kuchennego noża. Model Chief's Choice, dwadzieścia sześć centymetrów.

– Na wszystkim, czego dotykał, brak odcisków palców i śladów DNA – ciągnął Cooper.  
– Miał rękawiczki. Ciastko było napoczęte, ale zanim je zjadł, odłamał połowę – nie ma śliny. Dobry jest.

Ponad sto lat temu wybitny francuski kryminalistyk Edmond Locard sformułował zasadę, którą Rhyme na wykładach parafrazował następująco: „W każdym miejscu zdarzenia dochodzi do przeniesienia śladów między przestępcą a ofiarą lub samym miejscem. Dowód może być niewidoczny gołym okiem, niewyczuwalny węchem, ale istnieje dla technika kryminalistyki, który jest na tyle skrupulatny i cierpliwy, by go odnaleźć”.

Locard nazywał przeniesiony materiał „pyłem”, choć należało to rozumieć metaforycznie.

Większość współczesnych sprawców popełniających poważne przestępstwa zasłaniała twarze maskami, przykrywała włosy czepkami pod prysznic, wkładała bluzy z długimi rękawami, a ich mankiety do rękawiczek z lateksu albo nitrylu, aby nie pozostawić po sobie żadnego mikrośladu – ani jednego włosa czy komórki naskórka, zawierających wspaniałą kwas deoksyrybonukleinowy, którym mogli podpisać na siebie wyrok. Nie oznaczało to, że byli znacznie inteligentniejsi niż ich poprzednicy ani że natknęli się na jakąś stronę internetową poświęconą Locardowi, za to niemal na pewno mieli kablówkę i interesowali się serialami kryminalnymi.

Ślusarz był jednak szczególnie ostrożny.

Rhyme znowu pomyślał o Zegarmistrzu, który wykazywał podobną przezorność podczas swoich ponurych przedsięwzięć.

– But. Numer jedenaście.

Oznaczałoby to, że jest raczej przeciętnego wzrostu, choć mógł być otyły albo przeraźliwie chudy. Wszyscy śledczy zdają sobie oczywiście sprawę, że numer buta odpowiada rozmiarowi stopy tylko wówczas, gdy tak sobie życzy właściciel obuwia. Rhyme tropił kiedyś zabójcę, który zostawiał ślady butów numer dwanaście, chociaż powinien nosić numer osiem. Bywały też sprawy, w których sprawca stosował odwrotną sztuczkę, na przykład morderca, który powinien nosić numer jedenaście, wcisnął stopy do damskich butów numer sześć na niskim obcasie. Chytry, choć niewątpliwie bolesny podstęp zabił ćwieka ekipie śledczej na dobre kilka dni.

– Wzór protektora wskazuje, że to but do biegania. Ale nie ma go w bazie danych. Czyli nie znamy marki ani modelu. W rowkach podeszwy cztery różne rodzaje podłoża: piasek, zasadowa gleba ilasta i minerały, a ostatni to głównie glina. Sprawdzam jeszcze inne substancje.

Informacje powędrowały na tablicę.



- Przeszłam trasą, którą pokonał – dodała Sachs. – Od wejścia w piwnicy, windą, do jej mieszkania i z powrotem.
- Kamera w windzie, w korytarzach?
- Nie ma.
- Pewnie sprawdził to wcześniej.
- Jeżeli nawet nie ma kamery, to w windzie ryzykował – zauważył Cooper. – Ktoś w każdej chwili mógł wsiąść. Nowy Jork to miasto nocnych marków.
- Chyba że miał główny klucz strażacki – stwierdził Rhyme. – Dzwon do Benny'ego.

## 14

Benny, słyszymy cię przez głośnik – powiedział Rhyme. – Zastanawiamy się nad kluczem strażackim.

– Kobieta mieszka w wieżowcu, a on nie chciał ryzykować, że wsiądzie jakiś pasażer, kiedy będzie wjeżdżał albo zjeżdżał.

– Otóż to. Mógłby otworzyć wytrychem zamek przeciwpożarowy?

– Dla niego to by była bułka z masłem. Ale wcale nie musiałyby tego robić. Za sto dolców można kupić całe zestawy kluczy.

– Zakładam, że nie da się namierzyć źródła pochodzenia.

– Jest kilkudziesięciu sprzedawców. To by trwało co najmniej parę dni. Zresztą skoro nie chce zostawiać śladów, to prawdopodobnie zdobył taki zestaw na jednym z tych zjazdów, o których wam mówiłem. Nie znam rozkładu tego budynku, ale zwykle przy drzwiach windy na parterze albo w piwnicy jest skrzynka z kluczem. Jeżeli ktoś go użyje, a nie jest ze straży pożarnej, może mieć kłopoty, nie sądzę jednak, żeby wasz sprawca się tym przejmował.

Sachs podziękowała Benny'emu i zakończyła rozmowę.

– Ciekawe, może on rzeczywiście jest strażakiem – rzekł Cooper.

– Ślusarz nie pasuje mi kulturowo – odparła Sachs. – Strażacy zwykle mają rodziny. Przyjaciół. Nasz sprawca jest samotnikiem. Poza tym kiedy chcą sforsować drzwi, nie grzebią wytrychem w zamku, tylko sięgają po toporek.

Rhyme zgodził się z nią, że ta hipoteza nie wydaje się prawdopodobna.

Sachs wpatrywała się w tablicę dowodów.

– Czego chcesz? – szepnęła. – Dlaczego to robisz?

Rhyme nie był specjalistą od ludzkiego aspektu śledztw, nie bardzo obchodziły go też motywy. Przyczyny popełnianych przestępstw budziły jego zainteresowanie o tyle, o ile pomagały odkryć istotne dowody. Bez względu na to, czy ktoś zabijał dla pieniędzy, czy w afekcie, czy dlatego, że był schizofrenikiem, który odstawił leki i był święcie przekonany, że ocala świat przed zombi, powody były dla Rhyme'a nieistotne. Mimo to ze względu na „dziwny” charakter sprawy był ciekaw, co kieruje tym człowiekiem.

Spytał żonę, czy ma jakąś teorię na ten temat.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że są dwie możliwości. Ma jakieś pretensje na tle politycznym albo światopoglądowym do „Heralda”, być może do mediów w ogóle. Burzą ludziom spokój

w życiu – dlatego włamuje się do mieszkań. To już jest jakiś przekaz. Pamiętasz, co Benny mówił o zjazdach lockpickingowców? Mówił, że niektórzy przypominają hakerów. Aktywistów na rzecz otwartego społeczeństwa.

– A druga możliwość?

– Gazeta to zmyłka. I nie ma nic wspólnego z jego prawdziwym celem. Facet działa jak iluzjonista i chodzi mu o coś zupełnie innego.

Rhyme się uśmiechnął.

– Właśnie myślałem o Zegarmistrzu.

– Ja też.

– Wróćmy do dowodów.

Mimo przezorności Ślusarza powoli odkrywali szczegóły, które mogły się wiązać ze sprawcą – dzięki porównywaniu ich z próbkami pobranymi przez Sachs z mieszkania Talese. Były to ślady oleju napędowego i krzemowodoru, który wchodził w skład środka czyszczącego, drobiny asfaltu, piaskowca, mikroskopijne odłamki białej porcelany, skrawki gumy i miedzianego drutu.

– Stare obwody elektryczne, początek dwudziestego wieku – mrucał w zamyśleniu Rhyme. – Porcelana rozbita tępym narzędziem.

Po następnej analizie mikrośladów w chromatografii gazowej ze spektrometrem masowym Cooper zawołał:

– Znalazłem triklosan, laurylosiarczan amonu, poliglukozyd laurylowy, chlorek sodowy, pentatynian pentasodu, wodorosiarczyn sodu i magnezu, barwnik pomarańczowy D & C numer cztery.

– Płyn do mycia naczyń – orzekł Rhyme.

Sachs pokręciła głową.

– To niewiele nam daje.

– Być może niewiele – powiedział wolno Rhyme. – Mel, gdzie to było?

– W ziemi z podeszew butów.

– Hm, ciekawe. Woda z płynem do mycia naczyń jest na rękach, na ubraniu. Ale jak często po niej chodzisz? W domu raczej rzadko. Owszem, jeżeli pracujesz w kuchni w restauracji, lecz mam wrażenie, że ten tutaj nie sprząta ze stołów ani nie uwija się przy zmywaku. – Zamknął oczy i odchylił do tyłu głowę. – Gdzie, gdzie to może być... – Nagle rozwarł powieki. – Słyszeliście o bramach w Central Parku? – zwrócił się do Sachs i Coopera.

Żadne z nich nie wiedziało, o czym mówi.

Wyjaśnił, że gdy w połowie dziewiętnastego wieku zakładano park, zbudowano dwadzieścia bram z piaskowca, właściwie wejść, bo nie było w nich żadnych fizycznych barier w rodzaju krat. Każdej z nich nadano nazwę na cześć jakiejś grupy, zajęcia, zawodu – były bramy Rzemieślników, Kobiet, Żołnierzy, Żeglarzy, Wynalazców. Jedną z nich nazwano nawet Bramą Obcych.

– Co roku w maju służby miejskie szorują bramy rozcieńczonym płynem do mycia naczyń. Taka mieszanka czyści piaskowiec, ale nie niszczy miękkiego kamienia. Potem spłukują powierzchnię, a na chodnikach zostają kałuże detergentu.

Przed laty, na początku służby w policji Nowego Jorku, Rhyme postawił przed sobą zawodowe zadanie, by zapamiętać jak najwięcej szczegółów na temat miasta. W swojej książce napisał: „Trzeba znać geografie i funkcjonowanie miasta, tak jak lekarz zna kości i organy ludzkiego ciała”.

– Chyba mamy jakiś trop – szepnął. – Szukaj dalej. Chcę więcej.

Pochylony nad mikroskopem optycznym Cooper powiedział:

– Coś tu mam. Wrzucę na monitor.

Stuknął w kilka klawiszy i po chwili na monitorze ukazały się ziarniste obrazy. Przedstawały to, co Cooper widział przez okular: fragmenty jakiejś czerwonej substancji przypominające ziarna piasku. Według skali wyświetlonej u dołu ekranu miały wielkość drobin pyłu.

– To też z podeszwy buta?

– Zgadza się.

– Do chromatografu – zarządził Rhyme. – Chcę znać skład.

Po analizie próbki Cooper zakomunikował:

– Krzemionka, tlenek glinu, wapno, tlenek żelaza i magnezja. W kolejności malejącej.

– Cegła – oznajmił Rhyme. – Krzemionka to piasek, tlenek glinu to glina. Czerwona barwa ma związek z żelazem i niższymi temperaturami wypalania w dziewiętnastowiecznych piecach. Czyli stara cegła.

– Hm – mruknął znaczącym tonem Cooper – jest jeszcze jedna substancja. – Spojrzał na Rhyme’a. – Zasnęta krew. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że pochodzi z buta. Amelia zdjęła próbki w dwóch miejscach.

– Gatunek?

– Ludzka.

– Czas naniesienia?

Czas, jaki upłynął od powstania plam krwi, można określić dzięki spektroskopii Ramana. Ta stosunkowo nowa w arsenale kryminalistycznym technika polega na traktowaniu próbki wiązką laserową i pomiarze intensywności rozpraszania światła. Rhyme szczególnie lubił tę metodę, ponieważ nie działała destrukcyjnie na próbkę, którą można było później poddać badaniu DNA.

Cooper poddał próbkę analizie i odczytał wyniki wyświetlone w formie diagramu.

– Mniej więcej pięć, sześć dni.

Rhyme spojrzał na Sachs. Na jej twarzy malował się niepokój.

– Może przypadkiem się skaleczył... – powiedziała. – A może już zaczął używać noża.

Następnie Cooper zbadał DNA i przesłał wyniki do bazy danych CODIS. Wkrótce dostali wiadomość, że w systemie nie figuruje taki profil.

Rhyme znowu przymknął oczy i oparł głowę o miękki zagłówek wózka. Przestał zaprzętać sobie głowę krwią. Musiał zakładać, że Ślusarz jest naprawdę groźny, być może nawet śmiertelnie niebezpieczny. Nie interesowało go już teraz nic prócz odnalezienia tego człowieka. Co mówiły im dowody?

Płyn do mycia naczyń.

Cegła.

Drobne odłamki porcelany.

Miedziany drut.

Zabrzączał telefon i Rhyme odebrał.

Dzwonił zastępca prokuratora okręgowego Sellars, oskarżyciel w procesie Stan Nowy Jork przeciwko Viktorowi Buryakowi.

– Lincoln, przysięgli ogłosili werdykt.

– No i?

– Uznali go za niewinnego. Wszystkich zarzutów.

# 15

Słabo.

Pokonanie zamka SecurPoint 85 zajęło mi pięćdziesiąt dziewięć sekund.

Zdecydowanie za dużo.

Drzwi Carrie Noelle są dobrze zabezpieczone dwoma zamkami, jak większość mieszkań i domów w Nowym Jorku. Jednym prostym w gałce i takim samym, jaki miał teraz przed sobą.

Obydwa to zamki bębnekowe, a to jedna z najstarszych konstrukcji w historii. Jej wynalazcą, który opatentował projekt w Stanach Zjednoczonych, był słynny Linus Yale ojciec. Stworzony przez niego i udoskonalony przez jego syna zamek to w zasadzie taki sam mechanizm, z jakiego korzystamy do dziś, sto pięćdziesiąt lat później.

W zamkach tego rodzaju płaski klucz wkłada się do otworu w obrotowym bębnie. We wkładce i otaczającej ją obudowie znajdują się odpowiednio nawiercone otwory, w których tkwią osadzone na sprężynach kołki blokujące ruch obrotowy bębna i uniemożliwiające otwarcie zasuwki lub zatrzasku. Ząbkowana krawędź pióra klucza wypycha kołki do linii łączenia cylindra z obudową, co zwalnia blokadę i umożliwia obrócenie bębna.

Otwarcie zamka bębnekowego to prosta sprawa: należy włożyć do otworu napinacz i lekko obrócić, wywierając nacisk na bębenek, aby kołki na sprężynach nie wracały do pozycji wyjściowej. Następnie wąskim wytrychem – przypominającym trochę zgłębnik dentystyczny – trzeba wciskać kołki w górę, dopóki nie znajdą się powyżej linii między bębniem a obudową.

No tak, ale securpoint...

Jest podobny do słynnego medeco. Końcówki kołków we wkładce są sprytnie rzeźbione i żeby jeszcze bardziej utrudnić zadanie, obracają się, więc czubek grabek musi nie tylko zaczepić o ostry koniec każdego kołka, lecz także go obrócić, żeby zwolnić bębenek i umożliwić otwarcie. (Kiedy w latach sześćdziesiątych jeden z szefów Medeco opatentował tę konstrukcję, wyznaczył nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów dla osoby, której uda się ją otworzyć bez klucza – to popularny chwyt promocyjny producentów zamków. Wtedy tylko jednemu człowiekowi udało się tego dokonać – i tak się składa, że był nim detektyw nowojorskiej policji).

Sforsowanie securpoint w pięćdziesiąt dziewięć sekund?

To prawdopodobnie rekord świata. Mimo to za długo.

Dzisiaj wieczorem, podczas Wizyty, muszę się zmieścić najwyżej w trzydziestu sekundach.

Nie chodzi o to, że włączyłby się alarm. Według mojej oceny w przypadku apartamentowca tej wielkości co budynek Carrie, przy tej liczbie mieszkańców i o takiej godzinie, mogę zaiść się przed jej drzwiami nie dłużej niż pół minuty. Powyżej tego limitu narażam się na niedopuszczalne ryzyko.

Securpoint można pokonać techniką bumpingu – czyli otworzyć na siłę, wbijając do skutku klucz uderzeniowy do zamka i od czasu do czasu podbijać klucz młotkiem. Ale gardzę tą metodą. Cenię element artystyczny. Elegancję.

Poza tym to hałaśliwy sposób.

Po zdarzeniu w 2019 bardzo dobrze wiem, do jakiej katastrofy może doprowadzić hałas w trakcie Wizyty. Nawet tak cichy odgłos jak szcęknięcie zatrasku może się skończyć tragedią.

Nie, otworzę securpoint grabkami, szybko i bezgłośnie, żeby Carrie Noelle nie usłyszała najłżejszego szelestu i dalej niewinnie spała. Bezbronna.

Oddycham powoli, skupiając wszystkie zmysły na modelu SecurPoint 85.

Czasem otwiera się zamki, po prostu zaglądając do otworu na klucz. Największy mistrz lockpickingu wszech czasów, ślusarz i sprzedawca zamków Alfred C. Hobbs, na Wielkiej Wystawie Światowej w Wielkiej Brytanii w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku sforsował zamek Chubba Detector, którego otwarcie bez klucza było podobno niemożliwe. Niektóre z jego narzędzi były wyposażone w małe lusterka (co uważano za oszustwo, a całe zdarzenie zyskało później nazwę Wielkiej Kontrowersji).

Nie mam takich narzędzi. Ale w pewien sposób mogę „zajrzeć” do zamka. Zamykam oczy i w wyobraźni widzę kołki i bębniaki tak wyraźnie, jakbym oglądał je pod oświetlonym mikroskopem.

Stapiam się w jedno z tym mechanizmem.

Lockpicking nazywa się ciemną stroną zen.

Włączam stoper.

Wsuwam napinacz, wsuwam grabki.

Pięć sekund, dziesięć, dwadzieścia, dwadzieścia pięć... trzydzieści, czterdzieści.

Trzask.

Zamek się otwiera.

Czterdzieści jeden sekund. Na niedawnym zjeździe fanów lockpickingu rekord w sforsowaniu modelu SecurPoint 85 wynosił minutę i cztery sekundy.

Zrobiłem to prawie o połowę szybciej.

Ale i tak słabo.

Odsuwam się od zamka, zaparzam sobie kubek ziołowej herbaty. I wyobrażam sobie Carrie Noelle, która też jest miłośniczką herbaty. Niezwykle pociągająco wygląda w lycrze – najczęściej wybiera legginsy biodrówki i bluzki bez rękawów. Preferuje jaskrawe kolory.

Ciekawe, jakie noże ma w kuchni. Na pewno jakieś ma. Jak każdy. Są świetnym prezentem na Boże Narodzenie.

Jeszcze raz przyglądam się zamkowi SecurPoint, mojej ofierze.

Ponętnej, seksownej, kokieteryjnej.

Chcę w nią wejść, muszę w nią wejść.

Z setek narzędzi wybieram inny wytrych.

Wdech i wydech. Resetuję stoper i włączam jeszcze raz.

Napinacz na miejscu.

Grabki na miejscu.

Narzędzia poruszają się wolno, tam i z powrotem, w dół i w górę.

Z zamkniętymi oczami dotykam kołków, jak gdybym czuł je pod opuszkami palców.

Trzask.

Otwieram oczy. Dwadzieścia osiem sekund.

Zalewa mnie fala nieopisanego ciepła.

No, Carrie, wygląda na to, że dzisiaj wieczorem będziesz miała towarzystwo.

*– Przyjaciele: Ukryci przypuszczają atak z nowej strony. Wiadomość o tym dotarła stąd aż na Zachodnie Wybrzeże. W Nowym Jorku uniewinniono bezwzględnego bossa przestępczości zorganizowanej z zarzutu zabójstwa, które bez cienia wątpliwości popełnił. Jak do tego doszło? Otóż biegły powołany przez oskarżenie manipulował dowodami!*

*A dlaczego? Bo przestępca ma powiązania z ważnymi politykami, a także, co bardziej niepokojące, z pracownikami naszych krajowych agencji bezpieczeństwa.*

*Ukryci dostali kolejną broń, by zwalczać sprawiedliwość!*

*W moje ręce trafił tajny raport, z którego wynika, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy to już dwunasty przypadek zawalenia śledztwa przez policję albo błąd prokuratury.*

*Ale oczywiście nikt niczego nie „zawalił”. Te organy są infiltrowane przez Ukrytych, którzy decydują, co jest, a co nie jest sprawiedliwością.*

*Nowy Jork nie jest wyjątkiem. W Minnesocie Ukryci przeniknęli do wydziału zdrowia i usług socjalnych i uprawiali handel kobietami pod przykrywką ośrodków dla ofiar przemocy domowej. W Orlando weszli w sojusz z gangami i opłacali je, żeby wszczynały zamieszki i paliły przedsiębiorstwa uczciwych, ciężko pracujących Amerykanów. Nikt nie trafił przed sąd.*

*Módlcie się i bądźcie gotowi!*

*Nazywam się Verum, po łacinie „prawda”. Oto wiadomość ode mnie. Od was zależy, co z nią zrobicie.*



## 16

Zabrzączał telefon. Rhyme zauważył numer kierunkowy i prefiks.

O co chodzi?

Wymienił spojrzenia z Sachs, która ściszyła telewizor. Oglądali relację z ogłoszenia werdyktu przysięgłych w sprawie Buryaka. Pokazano, jak gangster w wykwintnym garniturze i kolorowej kamizelce wychodzi z sądu. Nie uśmiechał się. Miał ściągnięte brwi, jakby proces był dla niego irytującym przestojem w codziennych zajęciach, po którym mógł się znowu skupić na czekających go projektach.

Rhyme polecił telefonowi odebrać połączenie.

– Słucham?

– Pan Rhyme? – usłyszał rzeczowy kobiecy głos.

– Zgadza się.

– Komisarz Willis chciałaby się spotkać z panem na Zoomie. Może pan z nią porozmawiać?

Znowu spojrzeli po sobie.

– Kiedy? – spytał.

– Teraz.

– Proszę mi przesłać link. – Podał jej swój adres mailowy.

– Dziękuję.

Rozłączyli się.

– O co chodzi? – zapytał Cooper.

– Nie wiadomo.

– Co wiecie o Willis? – zwrócił się do nich obojga.

Cooper pokręcił głową.

– Sally Willis – powiedziała Sachs – pierwsza zastępczyni komisarza.

Policja Nowego Jorku obejmuje dwa piony. Pierwszy, na którego czele stoi komendant, prowadzi śledztwa w sprawach kryminalnych. Pracują w nim detektywi i funkcjonariusze z wydziału patrolowego. Drugi pion jest cywilny; zajmuje się sprawami administracyjnymi niezwiązanymi z pracą dochodzeniową i operacyjną. Tym pionem kieruje pierwszy zastępca komisarza.

– Surowa – ciągnęła Sachs. – Awansowała z wydziału spraw wewnętrznych. W SW była służbistką. Podawała cię do raportu niezależnie od tego, czy chodziło o przyjęcie łapówki,

czy o noszenie białych skarpetek. Bez różnicy, chociaż chodziło o upomnienie funkcjonariusza za drobne naruszenie przepisów mundurowych.

– Nazywana Żelazną Dziewicą.

Ślicznie.

Po chwili w salonie rozległ się pulsujący sygnał.

– Polecenie: e-mail – rozkazał systemowi Rhyme.

Na dużym ekranie otworzyło się okno.

– Polecenie: otwórz. – Kiedy pojawiło się zaproszenie na spotkanie na Zoomie, Rhyme powiedział: – Polecenie: kursor na hiperłącze. Polecenie: enter.

Dołączył do spotkania, włączył mikrofon i kliknął na ikonkę wideo, a na kamerce internetowej zapaliła się czerwona lampka. Chwilę później zobaczył na ekranie nijakie wnętrze sali konferencyjnej, prawdopodobnie gdzieś w budynku nowojorskiej komendy głównej. Szerokokątny obiektyw ukazał trzy osoby siedzące u końca stołu konferencyjnego. Miejsce pośrodku zajmowała pięćdziesięciokilkuletnia blondynka.

Znał pozostałych uczestników spotkania. Po prawej ręce kobiety siedział solidnie zbudowany czarnoskóry mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat. Francis Duvalier był zastępcą prokuratora okręgowego. Rhyme zeznawał w kilku prowadzonych przez niego sprawach; dobry oskarżyciel, zwykle wybierany do głośnych procesów. Drugą osobą był Alonzo Rodriguez, którego oficjalny tytuł brzmiał: naczelnik biura dochodzeniowo-śledczego. Korpulentny, łysiejący, z kwadratową twarzą i charakterystycznym podkręconym wąsem, który usiłował zapuścić. Wszyscy troje byli w ciemnych marynarkach i białych koszulach. Mężczyźni mieli krawaty w różnych odcieniach błękitu, a Willis naszyjnik z perłami.

– Kapitanie Rhyme, nazywam się Willis, jestem pierwszą zastępczynią dyrektora. – Miała chropawy głos. Rhyme zwrócił uwagę, że przedstawiła się pełnym tytułem służbowym. Ktoś inny mógłby poprzestać na „wice” albo podać tylko swoje imię.

Zwrócił też uwagę, że użyła jego stopnia. Może na znak szacunku, może nie.

– Dzień dobry, pani komisarz. Cześć Francis, Al.

– Witaj, Lincoln – odparli unisono.

Wszyscy troje mieli kamienne twarze.

– Są ze mną detektywi Sachs i Cooper – poinformował rozmówców Rhyme.

– Dobrze.

Minęła dziwna chwila. Rhyme czekał.

– Kapitanie Rhyme, po pierwsze, myślę, że w imieniu całej policji Nowego Jorku mogę wyrazić głęboką wdzięczność za pański wkład w prowadzone przez nas śledztwa i przygotowanie aktów oskarżenia.

Lekko skłonił głowę.

– Przypuszczam, że słyszał pan już o werdykcie przysięgłych w sprawie Viktora Buryaka.

– Słyszałem.

Spojrzała na Duvaliera, który rzekł:

– Lincoln, po ogłoszeniu werdyktu spytano osobno każdego z przysięgłych o zdanie. – Zawahał się, czego Rhyme nigdy u niego wcześniej nie widział. – Ośmiu członków ławy powiedziało, że nie mogło uznać oskarżonego za winnego z powodu twojego zeznania. Twierdziło, że dowody budzą ich wątpliwości.

Rhyme milczał.

– Obaj wiemy, że trudno czasem zrozumieć, co kieruje przysięgłymi – ciągnął prokurator. – Ale żeby aż tylu przyczepiło się do tego samego?

– Nie wiadomo, jak to się stało, lecz rozkład głosów został ujawniony – powiedziała Willis. – Przypuszczam, że część przysięgłych rozmawiała z prasą. Zaczęły się dyskusje na ten temat. Ukazały się już teksty: człowiek niemal został skazany za zabójstwo na podstawie fałszywych dowodów. Zdaje pan sobie sprawę, że mieliśmy w przeszłości podobne kłopoty.

Miała na myśli incydenty w kryminalistycznym laboratorium policji, gdzie technicy przeprowadzili niechlujnie badania albo z lenistwa, albo zostali przekupieni, by celowo zafałszować dowody.

– Kapitanie, musieliśmy coś zrobić. Żeby wzmocnić wiarygodność policji. Ta propozycja przyszła z góry. Rozmawiałam z kilkoma osobami, łącznie z komisarzem. Komendant też wyraża na nią zgodę. Podjęliśmy decyzję. W tym momencie wydajemy oświadczenie do prasy. Mówi o tym, że ze skutkiem natychmiastowym policja Nowego Jorku w czynnościach śledczych zaprzestaje korzystania z pomocy cywilnych konsultantów.

– O ile mi wiadomo – odparł oziębłym tonem Rhyme – chcieliście mojej pomocy w sprawie Ślusarza. Byliście przekonani, że wtargnął do domu tej kobiety, żeby was sprowokować, i chcieliście go jak najszybciej zatrzymać. Czyżbym się jednak mylił?

Troje ludzi na ekranie wymieniło niepewne spojrzenia.

– Zmieniły się okoliczności – wyjaśniła Willis.

– Bzdura – rzuciła bezceremonialnie Amelia Sachs.

– Detektywie Sachs, ta decyzja nie przyszła nam łatwo. I nie chodzi tylko o pana, kapitanie Rhyme. W żadnym śledztwie nie będziemy korzystać z pomocy żadnego zewnętrznego usługodawcy.

– Czyli chcecie strzelić sobie w stopę z powodu... czego? – naciskała Sachs. – Optyki? Mamy zapłacić za głupi błąd, jeden z tysięcy?

– Pani detektyw, może w przyszłości będziemy mogli zastosować jakieś środki kontroli jakości i zrewidować tę decyzję. Za rok czy dwa.

– Pani komisarz, proszę wskazać choćby jednego detektywa, który nigdy nie zlekceważył jakiegoś wątku śledztwa albo nie przegapił ważnej próbki mikrośladów czy DNA...

Miała rację. Sytuacja była jednak bardziej skomplikowana z powodu serii potknięć w dochodzeniach i aktach oskarżenia, o których wcześniej wspominał Lon Sellitto. Szereg błędów ukazywał policję w niekorzystnym świetle, ale, co gorsza, miał też tragiczne skutki. Kilku dilerów narkotyków po uwolnieniu od zarzutów zabiło konkurentów i przypadkowych świadków. Jeden z handlarzy ludźmi po wyroku uniewinniającym zgwałcił nastolatkę i uciekł do Ameryki Środkowej, do jednego z krajów, z którymi USA nie miały umowy o ekstradycji.

Decyzja o odsunięciu konsultantów była sprytnym posunięciem. Winę za fiasko sprawy Buryaka poniesie ktoś niezwiązany bezpośrednio z policją Nowego Jorku. A odsuwając konsultantów, miasto – czyli burmistrz – udowodni, że jest gotowe podjąć zdecydowane kroki, by zaprowadzić porządek.

– Powinam wspomnieć o jeszcze jednej wdrożonej przez nas zasadzie – ciągnęła Willis ochryplym głosem. – Każdy pracownik policji Nowego Jorku, który zatrudnia albo współpracuje z osobą cywilną, będzie podlegał karom dyscyplinarnym, z zawieszeniem i usunięciem ze służby łącznie.

– Co mówią na to prawnicy związku zawodowego policji? – odezwał się Mel Cooper.

– Nie zgłosili sprzeciwu.

Chyba dobrze to wszystko przemyślano.

Rhyme uświadomił sobie, że patrzy na Ala Rodrigueza, który skrzywił się, lekko wzruszył ramionami i podkręcił cienki wąs.

– Ta zasada wchodzi w życie natychmiast – dodała Willis. – Detektywi Sachs i Cooper, nie wolno wam komunikować się z kapitanem Rhyme'em.

– Pani komisarz, Lincoln i ja jesteśmy małżeństwem – przypomniała jej Sachs z nutą niesmaku w głosie.

– Dobrze pani wie, o czym mówię. Chodzi mi o kontakty w sprawach zawodowych. Taką samą rozmowę przeprowadzę z porucznikiem Sellitem i posterunkowym Pulaskim. Sprawę Ślusarza poprowadzą przydzieleni do niej funkcjonariusze, ale wszystkie badania kryminalistyczne będą prowadzone przez personel policji w laboratorium w Queens.

Sachs westchnęła i usiadła na rattanowym fotelu.

– Przykro mi z tego powodu – powiedziała Willis.

Z brzmienia jej głosu Rhyme odgadł, że ostatnie słowa odnoszą się do czegoś, o czym jeszcze nie wspomniała.

Miał im to przekazać ktoś inny. Rodriguez.

Dość apodyktycznym tonem oznajmił:

– Komisarz i komendant porozumieli się z prokuratorem okręgowym. Wprowadził zasadę, że każdy funkcjonariusz, który celowo korzysta z pomocy cywilnych konsultantów podczas śledztwa, może zostać oskarżony o utrudnianie działań wymiaru sprawiedliwości. Konsultant też. Powierzono mi zadanie egzekwowania tej zasady – dodał.

Zapewne nie był z tego powodu zadowolony.

A jednak powiedział to, co musiał.

– Detektywi Sachs i Cooper, proszę spakować wszystkie dowody i polecić przetransportować je do Queens. Dziękuję, że poświęcił nam pan swój czas, kapitanie Rhyme – powiedziała Willis. – Przykro mi, że tak to się ułożyło.

Ekran Zooma zniknął.

Viktor Buryak siedział w swoim uroczym domu w stylu Tudorów, który znajdował się w zadrzewionej części Forest Hills, dzielnicy Queens, jego zdaniem najbardziej idyllicznego przedmieścia Nowego Jorku – niech mu wybaczy Staten Island.

Pił herbatę english breakfast, swój drugi ulubiony napój. Smakowała wspaniale. Rozgrzewała serce i żołądek. Żona zamówiła dla niego markową przez internet. Od czasu poważnej grypy, jaką przeszedł parę lat temu, czuł wstręt do kawy, zaczął więc pić herbatę. Jako człowiek z natury ciekawy sprawdził pochodzenie tego naparu. Z badań, dalekich od naukowej ścisłości, wynikało, że nazwa „english breakfast” jest z kilku powodów błędna. Herbata nie pochodzi z Anglii, lecz z Indii, Sri Lanki i Kenii. Została sprowadzona na Wyspy Brytyjskie przez Portugalczyków, którzy pijali ją po południu. Jakiś Szkot zapoczątkował zwyczaj picia jej na śniadanie. Wonne liście pojawiły się na Południu dzięki królowej Wiktorii, a „angielską” nazwali herbatę Amerykanie, co wydawało się logiczne, tylko dlaczego Brytyjczycy też mieliby używać tej nazwy? Dla nich była to po prostu „herbata”.

Z rozbawieniem patrzył, jak jego koty gonią się przez chwilę. Szarawe i masywne zwierzaki rasy maine coon. Brick, kotka, była zadziorna i dominująca. Młodszy od niej samiec, Labyrinth, chętnie dawał sobą pomiatać. Lab zastąpił Mortara, który odszedł kilka lat temu.

Buryak odwrócił się do ekranu komputera – modelu wysokiej rozdzielczości, który rozmiarami przypominał niewielki telewizor – i rozpoczął spotkanie.

– Witam, panowie.

Monitor wyświetlał pięć okien. W prawym górnym rogu widniała twarz Buryaka, a z trzech kwadratów spoglądali inni mężczyźni. Goście odpowiedzieli skinieniem głowy albo równie zdawkowym powitaniem jak on.

Gdy któraś z osób mówiła, wokół jej okna ukazywała się czerwona obwódka. Program był podobny do Zooma, ale stworzyli go informatycy Buryaka i był niemal stuprocentowo odporny na hakerów. Jeśli natomiast chodzi o namierzenie połączenia, to dzięki sieci serwerów proxy trop prowadził gdzieś do Europy i tam się urywał.

Lewy górny róg ekranu zajmował Harry Welbourne, szczupły i krzepki pięćdziesięciopięciolatek, znany z drażliwości. Na ekranie, podobnie jak w rzeczywistości, biło od niego zniecierpliwienie. Zapewne siedział w swoim gabinecie w Newark. Na dole po lewej widniało okno Kevina Duggina o bardzo ciemnej i okrągłej twarzy, kontrastującej

z pociągłym obliczem Welbourne'a. Nie wiadomo, skąd łączył się młody muskularny Duggin. Jego firmy były rozsiane na wschodzie Brooklynu i w Brownsville. W tle było widać nowoczesny obraz w stylu Miró – prawdopodobnie więc znajdował się w jednym ze swoich domów – albo w Harlemie, albo nad Atlantykiem na Long Island. Ostatnie zajęte okienko zajmowali Bliźniacy – Buryak nawet w myślach używał wielkiej litery – Stoddard i Steven Boscombe'owie. Mieli po trzydzieści siedem lat i nosili długie do ramion blond włosy, rozdzielone identycznym przedziałkiem pośrodku.

Środkowe okno pozostało czarne.

– Słyszałem o werdykcie, Viktor. Gratulacje. – Zdanie padło z ust Stoddarda. Na szczęście – dla kogoś, kto chciałby ich odróżnić – policzek Stevena szpeciła blizna długości pięciu centymetrów.

Duggin kiwał głową.

– Współczuję ci, stary. Wiem, co to znaczy. Nie ma nic gorszego niż siedzieć i czekać na wyrok. Kto oskarżał?

– Jakiś kutas Sellars.

– Murphy musiał walnąć w kalendarz. Niewielka strata dla świata. Ciekawe, kto to zrobił.

– Nie mam pojęcia. Właśnie to badają.

Welbourne rzadko się odzywał i teraz też nie skorzystał z okazji.

– Zajmijmy się interesami, co? – zaproponował Buryak. Mieszkał w Stanach od trzydziestu lat. Mówił bezbłędną angielszczyzną, prawie zupełnie pozbawioną ukraińskiego akcentu. Czasem zdarzało mu się jednak używać sformułowań bardziej oficjalnych niż potocznych.

– Mam pod ręką książeczkę czekową – poinformował go Duggin.

– Masz teraz przed sobą poważnych graczy – stwierdził Stoddard. Jego brat zachichotał.

Welbourne chyba coś mruknął. Buryak nie był pewien.

– Pierwsza pozycja... – Wcisnął parę klawiszy i na ekranie pojawiła się żółta wywrotka przegubowa. – Dziesięcioletnie volvo. Ładowność – dwadzieścia osiem ton. Masa całkowita – czterdzieści siedem tysięcy czterysta kilogramów. Moc maksymalna brutto – trzysta piętnaście, moment obrotowy – tysiąc pięćset pięć. Maksymalna prędkość pięćdziesiąt trzy kilometry na godzinę. Jak widzicie, w całkiem niezłym stanie. Cena wywoławcza to pięćdziesiąt tysięcy dolarów, będę przyjmował podbicia o pięć.

– Pięćdziesiąt – powiedzieli jednocześnie Bliźniacy. Ich wysokie głosy w połączeniu z chłodnym spojrzeniem niebieskich oczu dały niesamowity efekt stereo.

– Pięć dych i pięć – rzucił Duggin.

– Sześćdziesiąt – powiedział Steve z blizną na policzku.

– Sześćdziesiąt pięć – podbił swoim głębokim barytonem Duggin.

Buryak obserwował Welbourne'a, który patrzył na inną część ekranu. Przymrużył oczy. Napisał coś na kartce i podał osobie niewidocznej w kadrze.

Bliźniacy spojrzeli po sobie i zgodnie zaproponowali:

– Siedemdziesiąt.

– Panowie, proszę – rzekł Buryak. – Taka okazja trafia się raz w życiu. Na ten wóz możecie załadować cały biznes. Słyszeliście? Trzysta piętnaście koni. Trzysta piętnaście!

Rola licytatora sprawiała mu przyjemność.

– No, skurwysyny – odezwał się Duggin. – Dobijacie mnie. Siedemdziesiąt pięć.

Nikt nie patrzył w kamerę; Duggin i bliźniacy wpatrywali się w lewy górny róg ekranu, szukając sygnałów, które pozwoliłyby im odgadnąć zamiary Welbourne'a. Mieszkaniec New Jersey czytał coś na innej części ekranu, być może prywatne informacje, arkusz kalkulacyjny albo tekst na stronie internetowej. Znowu napisał coś na kartce i przekazał komuś, kto był niewidoczny.

Bracia wyłączyli dźwięk i zaczęli się naradzać.

– Harry, mamy już siedemdziesiąt pięć.

– Wiem.

– Słyszałeś, jaki jest moment obrotowy.

– Słyszałem.

– Viktor, przyjacielu – wtrącił Duggin – czy to nie pora uderzyć młotkiem?

– Jeszcze nie, Kevin.

Duggin rozparł się w luksusowym, obitym czarną skórą fotelu i uniósł kubek do ust.

– Chyba powinieneś już walnąć tym cholernym młotkiem – mruknął.

Bliźniacy włączyli fonię.

– Osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt pięć – skontrował Duggin.

– Ja pierdzielę! – wyrzucił z siebie Steven. – Nie wiedziałbyś nawet, co zrobić z taką wywrotką.

– Panowie, udawajmy, że jesteśmy w Christie's. Trochę kultury.

Bracia znowu popatrzyli po sobie. I równocześnie pokręcili głowami.

Buryak czuł się rozczarowany. Przypuszczał, że ta pozycja osiągnie lepszą cenę.

– Po raz pierwszy...

Welbourne wziął kartkę z dłoni z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Przeczytał wiadomość.

– Po raz drugi...

Spojrzał prosto w obiektyw kamery.

– Sto dziesięć tysięcy.

Tak!

Duggin skrzywił się, a bliźniacy wymienili zdumione spojrzenia. Wszyscy trzej ponuro milczeli.

– Sprzedane! – Buryak zamiast młotkiem rąbnął dłonią w blat biurka.

– Zaraz przeleję pieniądze – powiedział Welbourne cichym, beznamiętym głosem.



- Przygotowanie wozu potrwa z tydzień do dziesięciu dni.
- W porządku.
- Przejdźmy do pozycji numer dwa. – Na monitorze pojawiła się fotografia sześciometrowego jachtu motorowego na przyczepie. Brakowało w nim paru okien, lakier wyraźnie nie był jednolity.
- Statek, jak to się mówi, do remontu, ale wart swojej ceny. Podam wam szczegóły.

## 18

Co za krótkowzroczność, co za głupota...

Lincoln Rhyme wpatrywał się w tryptyk tablic z dowodami.

Lista szczegółów sprawy Alekosa Gregoriosa została zepchnięta do kąta. Za nią stała tablica z opisem sprawy Viktora Buryaka.

Która oczywiście straciła aktualność.

Centralne miejsce zajmowała tablica Ślusarza. Sachs zamierzała sfotografować zawarte na niej notatki i skopiować na podobną planszę w siedzibie wydziału kryminalistyki w Queens, które miało analizować dowody, skoro im tę sprawę odebrano.

Rhyme przypuszczał, że prawdopodobnie nie jest najlepszym kryminalistyką na świecie. Gdzieś we Francji, Botswanie, Singapurze, Brazylii, Zjednoczonych Emiratach Arabskich albo znacznie bliżej, w głównym laboratorium policji w Queens, zapewne pracuje mężczyzna albo kobieta o umiejętnościach przyćmiewających jego warsztat. Jednemu nie można było jednak zaprzeczyć. Rhyme znał Nowy Jork równie dobrze jak wszystkie zakątki swojego domu. Był wyjątkowym ekspertem właśnie dzięki tej wiedzy połączonej z naturalnym talentem do chemii, fizyki i dedukcji.

Czy taka ocena świadczyła o wysokim mniemaniu o sobie?

Oczywiście. Ale wybujałe ego i umiejętności wcale nie muszą się nawzajem wykluczać. Można śmiało postawić tezę, że zachodzi między nimi ścisły, być może przyczynowy związek.

– Proszę.

Uniósł wzrok. Thom podał mu szklankę. Z bursztynowym trunkiem. Rhyme poczuł woń torfu, ale nie za mocną. Jedną z jego ulubionych glenmorangie, w dodatku podwójną. Asystent, którego zwalniał już tyle razy, ile on sam zapowiadał swoje odejście, bezbłędnie odczytywał jego nastroje.

Lincoln Rhyme wypił łyk. Trochę pomogło, ale nieuczciwość i oszustwo nie budziły w nim aż takiej złości jak głupota – to ona powodowała gniew największego kalibru.

A wobec faktu, że w mieście grasował socjopata, którym kierował nieznany motyw, wyłączenie Rhyme'a z gry było posunięciem w najwyższym stopniu lekkomyślnym.

Oprócz niego i Thoma w domu nie było nikogo. Cooper spakował dowody i zawiózł je do Queens. Amelia Sachs była w biurze wydziału specjalnego. Pojechała tam przekazać Lonowi Sellittowi pewne pismo.

Zadzwonił telefon i serce w nim drgnęło – nie na dźwięk aparatu, ale na widok numeru na wyświetlaczu.

– Mów, Lon.

Z długiej ciszy domyślił się odpowiedzi.

– Przykro mi, Linc. Nie ustąpią. Dobijałem się do wszystkich drzwi, z komisarzem włącznie.

Rhyme spodziewał się takiego rezultatu. I niemal się uśmiechnął, wyobrażając sobie, jak pulchny i wymięty porucznik z uporem domaga się wpuszczenia do gabinetu komisarza, żeby wymóc na nim decyzję o wznowieniu współpracy z Lincolnem Rhyme'em. Sellitta pewnie świerzbiał język, by palnąć: „Kompletnie wam odwaliło?”. Ale w rzeczywistości na pewno sięgnął do arsenału swoich umiejętności negocjacyjnych, które zdobył jako wytrawny detektyw od zabójstw.

– Znalazłem coś jeszcze. Słyszałeś o tym blogerze? Verumie?

– Nie.

– Ma hopla na punkcie teorii spiskowych. Zamieszcza w sieci wideo, w których gada różne bzdury o polityce, społeczeństwie. Same głupoty, ale ludzie to chłoną. Ma w sieci tysiące obserwujących.

– Verum? To po łacinie „prawda”. Tyle że opowiada coś zupełnie przeciwnego?

– Właśnie. Wygląda na to, że mieszka w Kalifornii, być może w Los Angeles, ale w swoich materiałach mówi o Nowym Jorku. Opowiada o spisku jakichś Ukrytych. Ruchu, który podobno stara się zniszczyć amerykańskie instytucje. Twierdzi, że to dlatego nie ukarano Buryaka. Proces był ustawiony.

– Czyli należę do tajnego państwa?

– Poza tym twierdzi, że policja robi za mało, żeby zatrzymać Ślusarza, bo też jest w to umoczona. Podobnie jak ratusz.

Ach, wreszcie zrozumiał. Rhyme parsknął gorzkim śmiechem.

– To wcale nie jest decyzja szefostwa, prawda, Lon? Zakaz zatrudniania konsultantów nie wyszedł od dowództwa policji; tak postanowił burmistrz. Chciał mnie wywalić, bo zbliżają się wybory. Jestem kozłem ofiarnym.

Rhyme prawie nic nie wiedział o polityce – nie miała żadnego wpływu na jego świat analiz kryminalistycznych – wiedział jednak, że niebawem odbędą się specjalne wybory na gubernatora i burmistrz Harrison – urodzony na Bronksie polityk, który przez całe życie zachowywał się jak brat łąta – staje w szranki z miliarderem Edwardem Rolandem, biznesmenem mieszkającym w eleganckiej części hrabstwa Westchester.

– Na to wygląda – odparł drwiąco Sellitto.

Czyli Rhyme został pionkiem w politycznej rozgrywce, choć chyba nigdy dotąd nie odgrywał takiej roli.

– Słuchaj, Lon, widziałeś się już z Amelią?

– Podrzuciła mi to. – Zniżył głos.

- Weź to na siebie. Nie mów nikomu, że to ode mnie.
- Kurwa, Linc. Zawsze biorę na siebie wszystko, co wymyślisz.
- Dobranoc, Lon.

Połączenie zostało zakończone.

Kiedy patrzył na tablicę Ślusarza, komputer wydał sygnał, że ktoś przysłał e-mail. Przyszło zaproszenie na spotkanie na Zoomie od kogoś, z kim od dłuższego czasu nie rozmawiał. Od naczelnika Bretta Evansa – oficera w tej samej randze co posępny Rodriguez z pretensjonalnym wąsem.

Rhyme wypił łyk szkockiej i tym razem ręcznie najechał kursorem na link.

Niebawem zobaczył na ekranie pięćdziesięciokilkuletniego mężczyznę. Evans wyglądał jak uosobienie szefostwa policji. Miał szczupłą, żłobioną zmarszczkami twarz, szerokie ramiona i włosy przyprószone siwizną. W jego szarych oczach zawsze malował się spokój. Kamera pokazywała tylko górną część ciała, ale Rhyme pamiętał, że naczelnik miał szczupłe nogi. Kojarzył mu się ze słowem „elegant”.

- Lincoln, przepraszam, że zawracam ci głowę wieczorem.
- Nic się nie stało, Brett. – Rhyme rzadko wtrącał do rozmowy uprzejmości w rodzaju „wszystko u ciebie w porządku?” albo „co słytać?”, więc nie zrobił tego także tym razem. Czekał.

– Właśnie usłyszałem, co się stało. Lincoln, Jezu... – Miał strapioną minę.

Rhyme nie mógł się powstrzymać od chichotu.

– Brett, nie boisz się, że cię przymkną za rozmowę ze mną? Utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości, spisek... Zdrada!

– Zawsze miałeś poczucie humoru. W każdym razie gdy tylko się dowiedziałem, zadzwoniłem do Sally Willis. Wstawiłem się za tobą. Nikt nie namówi jej do zmiany decyzji.

Evans wspinał się w hierarchii służbowej od funkcjonariusza patrolu do detektywa ze złotą odznaką i jeszcze wyżej. Oficerowie w randze naczelników zajmowali niebosiężne orle gniazda.

Ale ich władza nie mogła przebić karty ratusza.

– Nie, jest niewzruszona jak głaz. Nic się nie da zrobić. Trudno złożyć apelację od decyzji biznesowej.

– Pamiętasz sprawę O’Neila? – powiedział w zamyśleniu Evans. – Hell’s Kitchen?

– Pewnie, że pamiętam.

Rhyme – owszem, jako konsultant – analizował dowody zabezpieczone przez detektywa trzeciego stopnia na miejscu zdarzenia w pobliżu zachodniego nabrzeża Manhattanu. Podczas obchodu po siatce w magazynie dawno opuszczonym przez bezwzględnego Eddiego O’Neila Sachs odkryła niezwykle ptasie piórko. Po kilku dniach spędzonych na badaniach, analizach i rozmyślaniach z zamkniętymi oczami Rhyme doszedł do wniosku,

że pochodzi z pobliskiego sklepu zoologicznego, gdzie, jak ustalili, O'Neil kupował ptaki z nielegalnego importu. Właściciel sklepu – po krótkich negocjacjach – zgodził się zostać tajnym informatorem i donosić na gangstera. O'Neila aresztowano w ostatniej chwili przed strzelaniną z rywalami, która mogła doprowadzić do śmierci dziesiątków przechodniów i kierowców na Dziewiątej Alei.

Właśnie ta sprawa stała się trampoliną dla kariery Evansa.

– Dużo ci zawdzięczam. Zawsze jestem twoim dłużnikiem. Dlatego posłuchaj, Lincoln. Mam paru kolegów w stanowej policji New Jersey. Tam korzystają z usług konsultantów, nie mają nic przeciwko temu. – Zachichotał. – A w New Jersey zdarza się sporo zabójstw, prawda? Pomyśl o *Rodzinie Soprano*.

Rhyme nie miał pojęcia, o kim Evans mówi – o jakimś zespole śpiewaków operowych? Mieli coś wspólnego z morderstwami w New Jersey? Widocznie tak.

– Chętnie wzięliby cię do siebie.

– Dzięki za propozycję, Brett. – Rhyme nie dodał, że nie podjąłby się współpracy z tą służbą, choć nie miał nic przeciwko jej kompetencjom, ponieważ specjalizował się w Nowym Jorku i nie miał ochoty zaczynać od zera w nowym miejscu i od początku uczyć się całej infrastruktury, geografii i kultury.

Poza tym te dojazdy...

– Znam też parę osób w prywatnych laboratoriach kryminalistycznych – ciągnął Evans. – To też może być ambitna praca.

Nie, w najmniejszym stopniu.

– Na pewno – powiedział. – Ale tymczasem muszę się przez jakiś czas pozastanawiać.

– Jasne. Rozumiem. Powiem ci tylko, że sporo osób od nas uważa, że to kompletna bzdura.

Kilka tych ważniejszych miało jednak odmienne zdanie.

– Dzięki za telefon, Brett.

Rhyme poczuł się zmęczony, wręcz wykończony. Wezwał Thoma, który zawiózł go na górę małą windą i przygotował do snu.

Kilka chwil później Rhyme leżał na skomplikowanym, sterowanym mechanicznie materacu i powoli zasypiał. Zanim pogrążył się w nieświadomości, zdążył jeszcze pomyśleć: tak, rzeczywiście jestem pionkiem w partii szachów prowadzonej przez stanowych polityków – i jeden z graczy poświęcił mnie, nie zastanawiając się nad taktycznymi skutkami tego ruchu.

Nie umiał się powstrzymać przed rozwinięciem tej metafory: ciekawe, jaki wpływ będzie miało oddanie piona na końcówkę całej partii?

## 19

Kiedy ciężarówka nie jest ciężarówką?

Viktor Buryak był sam, jeśli nie liczyć kotów. Z zadowoleniem notował wyniki przeprowadzonej przez siebie licytacji. Przelewy od nabywców już przyszły. W transakcjach z Buryakiem klienci zawsze płacili z góry.

Każdy coś kupił. Welbourne wywrotkę. Bliźniacy jacht motorowy. A Kevin Duggin wybrał koparkę.

Buryak uważał się za przedstawiciela nowego pokolenia gangsterów. Oczywiście nie oznaczało to, że czuł przynależność do generacji ZZ, czy jakich liter się teraz używało. Był konserwatywnym facetem po pięćdziesiątce, tradycjonalistą. Co dzień nosił garnitur, zwykle w komplecie z elegancką kamizelką. Polerował buty na błysk. Nigdy nie pozwalał sobie na przyjmowanie nielegalnych substancji – zresztą po co, skoro miał herbatę i swój pierwszy ulubiony napój, czyli wyborną brandy?

Przynależność do nowego pokolenia nie oznaczała też produkcji supernowoczesnych dopalaczy i sprzedaży ich ludziom przed trzydziestką, ale z sześciocyfrową kwotą do wydania.

Nie, innowacyjność polegała na produktach, które sprzedawała jego firma, VB Auctions.

Nabywcy uczestniczący w dzisiejszej licytacji nie potrzebowali żadnego z tych urzędów i zapewne nie chcieliby ich nawet przyjąć. Ostrożność Buryaka graniczyła z paranoją, więc aby się zabezpieczyć, wpadł na pomysł lipnej aukcji.

Towar, który licytowali jej internetowi uczestnicy, był specjalnością Viktora Buryaka, chyba najgroźniejszym produktem w mieście. Gorszym od narkotyków, plastycznych materiałów wybuchowych, trucizn i broni maszynowej.

Sprzedawał informacje.

„Wywrotka” kupiona przez Welbourne’a o kamiennej twarzy była w istocie plikiem, który Buryak miał przygotować ze swoimi pracownikami, zawierającym szczegóły na temat dostaw fentanyli i oxycontinu z magazynu w Pensylwanii przez Wirginię i Nowy Jork do ostatecznego miejsca przeznaczenia w Connecticut (określna trasa oraz wykorzystanie osobnych ciężarówek z fałszywym oznakowaniem były podyktowane względami bezpieczeństwa).

W pliku miały się również znaleźć nazwiska kierowców, ich dane osobowe (plus członków ich rodzin), nazwiska policjantów w każdym z rejonów na trasie ciężarówek, wśród nich informacje o nowojorskich posterunkach, gdzie było kilku zaufanych

funkcjonariuszy, którzy mieli przymknąć oko na akcję Welbourne'a lub nawet pomóc jego porywaczom.

Kupiona przez Bliźniaków „łódź” była dossier niejakiego Suareza, który przyjechał do Nowego Jorku z Miami z niewielką ekipą i planował założyć biznes narkotykowy nastawiony na latynoską klientelę. Był płotką i nie stanowił poważnego zagrożenia dla żadnego z licytantów, ale dossier mogło dać rękojmię, że facet będzie musiał odpalić zwycięzcy sporą część zysków. Zbiór dokumentów zawierał pikantne SMS-y wymieniane między żonatym Suarezem a jego kochanką. Prócz tego selfie obojga, kilka zrobionych nago w łóżku, wannie, na podłodze, na wyspie kuchennej (nie może być, pomyślał Buryak). Jego dziewczyna była naprawdę dziewczyną – miała szesnaście lat, co kwalifikowało zdjęcia jako dziecięcą pornografię, a udokumentowane czynności jako uwiedzenie nieletniej.

Suarez mógł za to słono zapłacić.

Duggin był zadowolony z wyniku aukcji. „Koparką” był obejmujący rok zestaw miesięcznych raportów z informacjami, kiedy i gdzie planują naloty obyczajówka i wydział narkotykowy nowojorskiej policji. Duggin specjalizował się w handlu ludźmi, a jego ekipa prowadziła w mieście kilkanaście salonów masażu. Buryak uśmiechnął się, gdy po wygranej licytacji kupiec „koparki” zarechotał.

– Sprawilem sobie urządzenie podsiębierne. Kopara opada!

Owszem, dla zachowania pozorów firma VB naprawdę zbywała maszyny przemysłowe i całkiem nieźle na tym zarabiała. Ale dziewięćdziesiąt procent czasu, nakładów i uwagi zajmowała kura znosząca złote jajka: dział badań i analiz, który funkcjonował jak przedsiębiorstwo zajmujące się szpiegostwem korporacyjnym, usługami detektywistycznymi i eksploracją danych. Jego ludzie przeprowadzali wywiady, prowadzili obserwacje i zbierali dane. Szukali jednak znacznie głębiej, by dokopać się do wrażliwych informacji, których nikt inny nie byłby w stanie ujawnić.

Trzeba przyznać, że część stosowanych praktyk budziła wątpliwości, na przykład korzystanie z pomocy bułgarskich i czeskich hakerów (byli mistrzami w swojej branży) albo stary, dobry model biznesowy oparty na wymuszeniach, szantażu, łamaniu kończyn i groźeniu dzieciom.

Wiedza to potęga, zatem szefowie nowojorskich gangów, uzbrojeni w fakty i liczby od Buryaka, mieli się doskonale. Liczba aresztowań spadła o trzydzieści procent, a każda ekipa, która płaciła mu za usługi, mogła być pewna, że uda jej się pokrzyżować szyki każdemu nieopierzonemu konkurentowi, zanim ten zdąży postawić stopę na ich terytorium. Produkty i usługi, którymi Buryak nie handlował, lecz specjalizowali się w nich jego klienci, stawały się coraz dostępnejsze na ulicach Nowego Jorku, Bridgewater, Newark, Trenton i w co drugim supermarkecie nastawionym na klientów wiecznie pragnących narkotyków, broni, seksu, kradzionych kart kredytowych i różnych towarów.

Buryak wiedział, że powodzenie w biznesie w pewnym sensie zdecydowało o wyznaczeniu ceny za jego głowę. Policja i FBI wychodziły ze skóry, żeby go zatrzymać. Na przykład ta dęta sprawa Leona Murphy'ego. Spreparowana od początku do końca. Nikt nie myślał o bezpieczeństwie tyle co on. Najwięcej dało mu do myślenia zdarzenie sprzed lat, jeszcze z ulic Kijowa, kiedy jego ojciec – hardy i dumny członek zorganizowanej grupy przestępczej – został aresztowany przed domem przez policjantów, którzy uznali, że uniesione w geście poddania ręce i krzyk *Ne zaczepy moho syna!* uzasadniają wpakowanie mu w głowę paru kulek.

Przynajmniej wzięli pod uwagę błaganie ojca i rzeczywiście nie zrobili krzywdy synowi. Przestrzegli tylko chłopca, żeby nie schodził na złą drogę.

Ale oczywiście nie posłuchał. Czternastolatek znał tylko profesję ojca, choć od tamtej chwili, gdy na ulicę trysnęła krew, przestrzegał pewnych zasad, by unikać zagrożeń, śmierci i więzienia.

Przekonał matkę do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, gdzie w przewodzie sądowym człowiek przynajmniej nie był bez szans, a adwokaci potrafili dokonywać cudów. Znalazł ładną, w miarę pociągającą Amerykankę ukraińskiego pochodzenia i został obywatelem USA. Z pozoru uczciwym biznesmenem prowadzącym świetnie prosperujące przedsiębiorstwo. Działał w Kościele. Przekazywał darowizny na słuszne cele i zasiadał w radach organizacji charytatywnych.

Rzecz w tym, że nikt się nie dał na to nabrać. Władze nie miały wątpliwości, że jest naczelnym eksploratorem danych dla gangów – jedna z gazet nazwała go nawet „ojcem chrzestnym informacji” – ale udowodnienie mu tego to była zupełnie inna kwestia. Właśnie dlatego prokurator chwycił się każdego sposobu i próbował doprowadzić do jego skazania pod lipnym zarzutem zabójstwa.

Sam Buryak unikał osobistego angażowania się w mokrą robotę. Miał do tego swoich zbirów. Dobrze im płacił za lojalność. Ważniejsze jednak, że większość z nich miała żony albo i dzieci. Łączyła ich niepisana umowa: jeżeli popełnią błąd i część brudów wyleje się na Buryaka, stanie się coś bardzo złego. Tylko raz przekroczył tę granicę i zamordował kontrahenta, który natrafił na parę rzekomo zaginionych milionów ukrytych w domu Buryaka na wsi i próbował wyłudzić od niego te pieniądze. Na szczęście udało się upozorować wypadek, ale tamto zdarzenie kosztowało go tyle nerwów i wysiłku, że postanowił już nigdy więcej nie brać spraw we własne ręce.

Dlatego poczuł się upokorzony i wściekły, gdy go aresztowano, a nawet postawiono przed sądem za śmierć takiego śmiecia jak Leon Murphy. Zabójstwo człowieka, który żądał haraczu za ochronę jednego z należących do Buryaka magazynów? Bez sensu. Wysłałby jakiegoś asystenta, żeby siadł z Murphym w barze i wyjaśnił mu, jakie niebezpieczeństwa pociąga za sobą kradzież tożsamości. „Tyle kłopotów, zawracania głowy... Ludzie mogą wszystko stracić. Niektórzy nawet kończą na bruku, Leon”.

Po co marnować amunicję na kogoś takiego?



Zabrzączał jego telefon – satelitarny i szyfrowany.

Dzwonił szef działu badań i analiz.

– Tak, Willem?

– Szefie, ma pan chwilę?

– Tak.

– Muszę z panem porozmawiać o Chemiku. Nasz zespół zdobył informacje, o których powinien pan wiedzieć. Z podsłuchu w gabinecie w gmachu sądu zajmowanym przez oskarżenie.

– Dobrze.

– Nie uzyskali tego, na co liczyli. Niewiele mówi, ale przynajmniej dźwięk jest niezłej jakości. Powiedział, że znajdzie jakiś dowód, żeby, cytuję, jakoś „dobrać się” do pana.

– Chemik tak powiedział?

– Zgadza się.

– Rozumiem. Wspomniał o czymś konkretnie?

– Nie. To wszystko. Wyniósł się z tego pokoju. Potem odłączyliśmy zasilanie urządzeń. Od czasu do czasu personel sprawdza pomieszczenia, nie mogliśmy ryzykować, że je znajdą.

– Dziękuję, Willem.

– Gdyby pan potrzebował czegoś jeszcze, proszę dać mi znać.

Rozłączyli się.

Wstał i poszedł do ogromnej kuchni w stylu śródziemnomorskim, a koty nie odstępowały go na krok, trzymając się go jak delfiny statku wycieczkowego. Żony nie było w domu, zagotował więc wodę i sam zaparzył sobie dzbanek świeżej herbaty. Potem zabrał go do gabinetu razem z porcelanową filiżanką.

Czyli z Chemikiem nadal będą kłopoty. Viktor Buryak wcale się nie dziwił. Kiedy ten bystry adwokat, Coughlin, zgniótł go na miazgę na sali rozpraw, zobaczył w oczach tego człowieka upokorzenie i ból porażki. Nie mógł go już zrobić w zabójstwo Murphy’ego – gwarantował to konstytucyjny zakaz sądenia po raz drugi za to samo przestępstwo. Rhyme musiał więc wymyślić inny sposób, by go dopaść.

Posunie się do tego, by podrzucić dowód przeciwko niemu, wplątać go w inną zbrodnię, może nawet w następne zabójstwo, którego nie popełnił?

To wcale nie wydawało się nierealne.

Wypił łyk cudownie gorącej herbaty i wysłał zaszyfrowaną wiadomość do Aarona Douglassa. Jeżeli ktokolwiek mógł rozwiązać problem z kimś takim jak Lincoln Rhyme alias Chemik, to tylko ten człowiek.

**CZEŚĆ DRUGA**

**Klucz uniwersalny**

27 MAJA, GODZINA 4.00

## 20

Zamiar.

To główny element – „klucz”, można by rzec – który definiuje przestępstwo posiadania narzędzi do forsowania zamków. W Nowym Jorku prawo stanowi jasno:

*Posiadanie narzędzi przeznaczonych do dokonywania kradzieży. Winien posiadania narzędzi przeznaczonych do dokonywania kradzieży jest ten, kto posiada narzędzie, przyrząd lub inny przedmiot przystosowany, przeznaczony lub powszechnie używany do dokonywania bądź pomagania w dokonywaniu czynów takich jak bezprawne wejście na teren zamkniętego obiektu, kradzież przedmiotów fizycznych lub usług [...] w okolicznościach świadczących o zamiarze użycia ich do popełnienia zabronionego czynu o takim charakterze.*

Prawie wszystkie stany mają podobne przepisy jak Nowy Jork. Możesz kupić każde narzędzie do forsowania zamków, jakie zechcesz, pod warunkiem że nie zamierzasz się nim posłużyć w celu popełnienia przestępstwa. Udowodnić to musi prokurator, a to zadanie bywa trudne.

Gdyby z jakiegoś powodu zatrzymał mnie funkcjonariusz organów ścigania, kiedy szedłem ulicą w stronę mieszkania Carrie Noelle, przeszukał mój plecak i zauważył narzędzia, podałbym mu po prostu wizytówkę z napisem „Usługi ślusarskie – całodobowo”, która, nawiasem mówiąc, jest fałszywką. Mógłby nabrać podejrzeń i zadzwonić pod podany numer. Odezwałoby się centrum obsługi telefonicznej, co trochę uspokoiłoby stróża prawa. Pomyślałby: trudno udowodnić zamiar popełnienia przestępstwa, więc prokurator nie będzie zainteresowany.

Puściłby mnie. Mógłby go zaciekawić – i zaniepokoić – mój składany mosiężny nóż, ale pod tym względem też przestrzegam prawa i nie noszę go na wierzchu, bo taki nakaz obowiązuje w Nowym Jorku. Długość dziewięciu centymetrów i ośmiu milimetrów jest dozwolona w mieście (ostrze jest też zupełnie wystarczające, ponieważ doskonale wiem, jakie uszkodzenia może spowodować taki odcinek ostrego jak brzytwa metalu).

Żeby trysnęła krew, nie potrzeba ząbkowanego noża myśliwskiego, jakiego używali Los Zetas.

Z drugiej strony, gdyby jakiś gliniarz zobaczył mnie jak teraz, w wełnianej czapce i lateksowych rękawiczkach, i znalazł u mnie te same narzędzia i stronę z „Daily Herald”, wydedukowałby, że mam zamiar bezprawnie wejść na teren zamkniętego obiektu, by dokonać przestępstwa.

Właśnie dlatego znowu czaję się w opuszczonej ruinie budynku Bechtel naprzeciwko domu Carrie Noelle i nie ruszam się stamtąd, dopóki ulica zupełnie nie opustoszeje, dopóki nikt nie będzie mógł zauważyć mojej obecności.

Rozglądam się po okolicy. Jest parę samochodów, paru nocnych imprezowiczów, jakiś bezdomny pchający wózek.

Coraz bardziej się niecierpliwie, aż wreszcie nadarza się okazja. Przebiegam na drugą stronę ulicy i w ułamku sekundy pokonuję boczne wejście. Niektóre zamki nie zasługują nawet na swoją nazwę.

Szybko wspinam się na piętro Carrie, gdzie czekam przy schodach ewakuacyjnych i uważnie nasłuchuję.

Słyszę jakieś trzaski, głucho dudnienie. Czekam na ciszę.

Rozpinam plecak i otwieram skrzynkę z narzędziami. Dotykam rękojeści mosiężnego noża w kieszeni.

Oddycham wolno. Skupiam się, świadomy najtrudniejszego wyzwania, przed jakim stoję, podobnie jak wszyscy lockpickerzy próbujący nielegalnie dostać się za zamknięte drzwi – niewielkiej ilości czasu.

Historycy nie są pewni, kiedy powstał pierwszy zamek, mogą jednak stwierdzić, kiedy odkryto pierwszy taki mechanizm. Znalaziono go w pałacu w Dur-Szarrukin, dzisiejszym Chorsabadzie w Iraku – kilka lat temu teren wykopalisk został zniszczony przez Państwo Islamskie. Zamek pochodził mniej więcej z czterotysięcznego roku przed naszą erą i zabezpieczał masywne drzwi, ważące prawdopodobnie setki kilogramów.

Klucz wyglądał równie imponująco i strażnik musiał nosić go na ramieniu. Nie był szczególnie skomplikowany. W gruncie rzeczy złodziejom i intruzom tak łatwo było go skopiować, że władcy zaczęli umieszczać wiele otworów na klucze, z których tylko jeden był tym właściwym. Chodziło o to, by intruz próbował dopasować klucz do każdego otworu po kolei tak długo, aż strażę znajdą go i rozprują mu brzuch po rekordowo krótkim procesie sądowym albo w ogóle bez sądu.

Większość włamywaczy zostaje złapana właśnie dlatego: nie udaje im się sforsować przeszkody, bo ktoś zdąży ich dostrzec albo usłyszeć. Gdy słyszysz dobiegające z korytarza *cyk-dzyń* i wstajesz sprzed telewizora, by wyrzeć na zewnątrz, ale niczego nie widzisz – bo włamywacz jest już w mieszkaniu sąsiada – dochodzisz do wniosku, że to kot, szczur albo odgłosy powstające na skutek osiadania budynku.

Jeżeli widzisz kogoś w kominiarce i rękawiczkach, kto się złości, bo nie umie pokonać zamka, skutek jest oczywisty.

Szybkość...

Stąd moje mordercze ćwiczenia z securpoint 85.

Czas to jedyny wróg lockpickera, drugim jest hałas.

Nie mam pojęcia, jakie odgłosy wydawały starożytne drewniane zamki (drewno stopniowo zostało wyparte w czasach rzymskich), ale metalowe elementy ewidentnie hałasują, kiedy wkłada się jeden w drugi, obraca, rozłącza.

*Cyk-dzyń...*

Muszę się postarać, by wszystko przebiegło jak najciszej.

Jeżeli nie, może mnie czekać powtórka katastrofy z 2019.

A do tego nie mogę dopuścić.

Czujnie nasłuchuję, stojąc na klatce ze schodami ewakuacyjnymi w budynku Carrie Noelle.

Cisza.

Teraz. Ruchy.

Szybko na korytarz i do jej drzwi.

Najpierw zamek w gałce. Trzy sekundy i gotowe.

A securpoint 85?

Spokojnie, nie wyprzedzajmy faktów.

Ludzie są leniwi i często nie zadają sobie trudu, by zamknąć zasuwę. Albo o tym zapominają.

Obracam gałkę i pcham drzwi.

Hm, Carrie Noelle jest sumienna, przekręciła zamek, zanim poszła lulu. Rygiel securpoint 85 bezpiecznie tkwi w zaczepie.

Ruchy...

Wsuwam napinacz i obracam go lewą ręką, przykładając odpowiednią siłę do bębna.

Prawą dłonią wprowadzam do otworu zaostrome grabki. Przesuwam nimi w górę i w dół, do przodu i do tyłu, wyczuwając kołki. Widzę je oczyma duszy – rozmontowałem setki zamków, dotykałem kołków, wachałem metal, ważyłem w dłoni wszystkie elementy.

Sam staję się kluczem, zatracam się w tym.

Ciemna strona zen...

Nie jestem religijny, ale w otwieraniu zamków jest dla mnie coś mistycznego, zbliżonego do Przemienienia Pańskiego. Oświecenia Buddy. Przemiany Gandalfa Szarego w Gandalfa Białego.

*Cyk, cyk.*

W zamku jest dziesięć kołków – po dwa w każdym otworze. Manipuluję przy nich.

Odkąd zacząłem, nie oddycham.

Mały palec lewej dłoni naciska na napinacz, a grabki sondują wnętrze cylindra.

Piętnaście sekund...

Pchnij... Ale delikatnie. Nie możesz rozszłościć kołków, których jeszcze nie zapędziłeś do otworów. Nie wolno ci ich zastraszyć. Trzeba je zwieść.

Cyk, cyk...

Nagle napinacz obraca się, a kilkucentymetrowy rygiel wyskakuje z zaczepu.

Udało się!

Securpoint przynosi wstyd swojej nazwie.

Potrzebowałem zaledwie dwudziestu sekund.

Wstrzykuję w zawiasy grafitowy smar. Potem zamykam drzwi w kosmicznej ciszy.

Carrie Noelle nie jest entuzjastką alarmów, więc nie trzeba zalewać domu falami radiowymi ani poświęcać pierwszych pięciu sekund Wizyty na odcinanie przewodów.

Robię kilka kroków w przedpokoju. Nasłuchuję.

Jest ciemno, ale nie zupełnie czarno. Nauczyłem się już, że jeżeli nie zamontuje się we wszystkich oknach szczelnych rolet, to Nowy Jork – a w szczególności Manhattan – jest pełen światła. Bijący z miliona źródeł blask wciska się do wnętrza przez dziesiątki szpar. I dzieje się tak w każdej minucie doby.

Gdy wzrok przyzwyczaja się do półmroku, ruszam ostrożnie w głąb mieszkania.

Pokonuję długi przedpokój. Mijam drzwi, w tym momencie zamknięte. Prowadzą do małej sypialni. Przy drzwiach leży kilka zabawek, między innymi lalka o nieco upiornej twarzy, drewniana lokomotywa, układanka, też zrobiona z drewna; zabawa nią polega na przestawianiu liter, by ułożyć z nich słowa.

Mijam sypialnię i idę dalej korytarzem. Kuchnia jest po lewej, salon po prawej. Wygodne kanapy i fotele, sztuczna skóra. Na stoliku z drewnianymi gałkami leżą czasopisma, kosmetyki do makijażu i następne zabawki. Akwarium robi wrażenie. Nie znam się na rybach, ale ich kolory przyciągają wzrok.

W głębi jest większa sypialnia.

Wyjmuję z kieszeni nóż i otwieram drzwi z ledwie słyszalnym trzaskiem (tu zamek też nasmarowałem grafitem). Zaciskam w dłoni rękojeść, odwracając ostrze tnącą krawędzią w górę.

Jeżeli mnie usłyszała i ma zamiar mnie zaatakować, to stanie się to w tym momencie.

Wchodzę do środka.

Ale drzemie. Śliczna Carrie Noelle. Leży na łóżku w zmiętej pościeli w fioletowe kwiaty, splątanej z narzutą, która wydaje się za gruba jak na temperaturę panującą w mieszkaniu. Gdy ludzie walczą z bezsennością, są gotowi sięgnąć po każdą broń i taktykę, która da im przewagę.

Składam nóż i wsuwam z powrotem do kieszeni.

Jeszcze raz przyglądam się Carrie.

Większość kobiet, które obserwuję przy okazji Wizyt, śpi na boku z poduszką albo zwiniętym kocem wciśniętymi między nogi. Jestem przekonany, że nie ma w tym żadnego podtekstu seksualnego. Żadna też nie ma na sobie piżamy, a tym bardziej koszuli nocnej, chyba że w jakiejś seksownej wersji, gdy drugą stroną łóżka zajmuje mężczyzna (jak raz się zdarzyło – to zaskakujące odkrycie kazało mi się szybko wycofać). Obowiązkowy strój

do snu dla kobiecego gatunku składał się z dresowych spodni bądź bokserek oraz T-shirtu. Zdziwilibyście się też, ile samotnych kobiet, bez względu na wiek, bierze ze sobą do łóżka pluszowego zwierzaka.

Wracam do salonu. Patrę na regał z książkami. Carrie lubi kryminały, biografie i książki kucharskie, a prócz tego – jak w każdym z odwiedzonych przeze mnie mieszkań – ma wartą tysiąc dolarów kolekcję poradników. Do większości z nich najwyraźniej nigdy nie zajrzała.

W kuchni znajduję butelkę czerwonego wina, australijskiego shiraza. Niezłe – i zamykane nakrętką. (Z dzieciństwa pamiętam przyjęcia, na których podawano wyszukane dania, a ojciec wykladał, że ci z antypodów nie boją się sprzedawać wina w butelkach, które bez kłopotu da się otworzyć. Zresztą czego mieli się bać? Przecież to zrozumiałe).

Szukam kryształowego kieliszka i napełniam go do połowy. Wypijam łyk. Całkiem przyzwoite. Po chwili poprawiam się. Całkiem dobre. „Przyzwoity” nie ma nic wspólnego z jakością. To przeciwieństwo „nieprzyzwoitego” – ale nie w sensie, że coś jest obsceniczne. Każdy uprawiający sztukę ślusarską wie, że najważniejsza jest precyzja. Pomyłka mierzona w tysięcznych milimetra ząbka krzywki może sprawić, że cały klucz będzie do wyrzucenia i nada się najwyżej do podłożenia pod nogę kiwającego się stołu.

Idę do sypialni bliżej wejścia, cicho otwieram drzwi. Zaglądam tam i widzę zabawki. A w kącie dziecięce łóżeczko.

Dzieci potrafią utrudnić Wizytę. Budzą się bez względu na porę dnia i nocy, i krzyczą, domagając się uwagi.

Wrócę jeszcze do tego pokoju, ale na razie idę do łazienki obok sypialni Carrie.

Na blacie leży szminka w kolorze, jak głosi napis, Passion Rouge. Wypiszę nią swoją wizytówkę na stronie z „Daily Herald”.

Ciekawe, co na ten temat sądzą policjanci. Jeżeli są skrupulatni, a pewnie tak, to zwracają uwagę na artykuły na stronie z moim podpisem, na reklamy na odwrocie, na nazwiska redaktorów, wydawcy...

Myślą o czymś więcej? Zastanawiają się nad stroną trzecią z numeru z 17 lutego?

3

2/17

Jak podejrzewam – nie, wiem na pewno, że się nie zastanawiają.

Gdzie mam zostawić gazetę?

Wybór pada na banalne miejsce: znowu szuflada z bielizną. Na pewno będzie płacz. Po chwili zapominam o gazecie i rozglądając się po przytulnej łazience, fantazjuję o innym zakończeniu dla Carrie Noelle.

Przypominam sobie słynną scenę morderstwa z filmu *Psychoza*. Ofiara stoi pod prysznicem, podczas gdy zabójca zakrada się do łazienki z wysoko uniesionym nożem, którym zamierza ją zmasakrować. Napięcie jest nie do wytrzymania...

Wyobrażam to sobie w nieco innej wersji. W ogóle nie zostawiam podpisanej gazety i zgodnie z planem chowam się w mroku.

Nie, stoję w wannie, ukrywając się za zaciągniętą zasłonką prysznicową. I czekam tam, aż wejdzie senna Carrie, by zacząć poranną toaletę... i jeszcze bardziej upiększyć tę piękną twarz.



## 21

Ocknęła się o świcie.

Ze snu wyrwał ją jakiś hałas z ulicy.

Spod przymrużonych powiek spojrzała na zegar obok łóżka. Prawie piąta. Niech to szlag!

Carrie Noelle, lekko oszołomiona po połkniętej wieczorem tabletkie, westchnęła. „Jeżeli uda mi się zasnąć, mam jeszcze godzinę i dwadzieścia minut”.

Utkwiła wzrok w suficie.

„Jeżeli uda mi się teraz zasnąć, mam jeszcze godzinę i osiemnaście minut”.

Złapała długą poduszkę, którą obejmowała w czasie snu, i przewróciła się na lewy bok.

Stłumiła okrzyk i gwałtownie odsunęła się do tyłu.

Wpatrywały się w nią oczy lalki Madame Alexander – też leżącej na boku.

Nie sposób kwestionować kunsztu wykonania tych zabawek, ale można się zesrać ze strachu, jeśli znajdują się ćwierć metra od twojej twarzy, a ty nie pamiętasz, żebyś o północy przed zaśnięciem kładła ją na sąsiedniej poduszce.

Odruchowo pomyślała: dwa kieliszki wina i tabletką ambieny przed snem (wiem, wiem, niedobrze).

Pewnie wzięła parę zabawek i bezwiednie przyniosła do sypialni.

Noelle zacisnęła usta. Usta o poranku – jakby zjadła garść piasku, co zresztą kiedyś naprawdę jej się zdarzyło, gdy założyła się z fajnym kolegą ze szkoły.

Sięgnęła po stojącą na nocnym stoliku butelkę wody Fiji.

Nie było jej.

Rozejrzała się po pokoju. Chwileczkę. Woda stała na stoliku po lewej – od drugiej strony łóżka, podczas gdy ona spała na prawej połowie. Dlaczego tam ją postawiła?

Butelka była pełna, więc nie piła z niej w środku nocy i nie odstawiła jej tam, podczas gdy przez sen przekręcała się z boku na bok.

Noelle usiadła, po czym podniosła się z łóżka. Wzięła z podłogi parę dzinsów, które rzuciła tam poprzedniego wieczoru, i bluzę leżącą na małym fotelu chippendale, który de facto pełnił funkcję jej skrzyni na ubrania.

Znowu stłumiła krzyk.

Zobaczyła biustonosz rozłożony pod bluzą na siedzisku fotela. Różowy, ozdobiony wyhaftowanymi maleńkimi czerwonymi różyczkami.

Nie nosiła go od lat – był za mały. Nie miała żadnego powodu, by wyjmować go spośród rzeczy, w które się już nie mieściła i które spędziły parę lat w zawiązanym worku na dnie szafy.

Lalka, woda, biustonosz...

Co ty wyrabiasz, dziewczyno?

Koniec łączenia alkoholu z lekami, kropka.

Może lunatykowała. Przecież to się zdarza. Czytała w „Timesie” artykuł o somnambulizmie. Fakt, najczęściej to zaburzenie dotyka dzieci i nastolatków, ale czasem pojawia się też u dorosłych.

Somnambulizm...

Raczej wino-bulizm.

Spojrzała na telefon – to znaczy na miejsce, gdzie powinien być: na podłodze pod nocnym stolikiem, podłączony do ładowarki.

Nie. Tam go nie było.

Pewnie wpadł pod stolik albo łóżko, kiedy zdjęła dzinsy.

W takim razie sprawdźmy.

Nie mogę.

Głęboki oddech. Lęki z dzieciństwa przed potworami czyhającymi pod łóżkiem.

Znajdź ten cholerny telefon.

Szybko uklękła, naprawdę spodziewając się, że ze świata przykrytego kłębami kurzu wystrzeli żyłasta ręka i zaciśnie się na jej nadgarstku.

Nic jej nie zaatakowało.

Ale telefonu też tam nie było.

Podeszła do drzwi prowadzących do salonu. I serce jej zamarło.

Telefon był pionowo wbity w piasek na dnie akwarium. Rybki krążyły wokół niego jak mały badające monolit w filmie *2001. Odyseja kosmiczna*.

Wychyliła się do przodu, czując, jak łomocze jej serce, a na czoło, skórę głowy i pod pachami występują krople potu. Na stoliku przed beżową kanapą zwróconą w stronę akwarium stał kieliszek z osadem czerwonego wina na dnie.

Carrie Noelle nie piła czerwonego wina. Po nim bolała ją głowa.

Zresztą gdyby nawet piła, to nie wzięłaby tego kieliszka, należącego do matki kryształu Waterford, który był schowany w głębi kredensu, za kilkoma warstwami obrusów i serwetek, równie niedostępny jak jej biustonosz w rozmiarze 80A.

Nagle zrozumiała.

On tu był!

Mówili o tym w wiadomościach!

Jakiś człowiek właśnie włamał się do mieszkania na Upper West Side. Psychopata, który przedstawiał się jako Ślusarz. Potrafił pokonać najbardziej skomplikowane systemy

zabezpieczeń – widocznie nawet drogi, najwyższej klasy model zamka ryglowego, jaki znalazła i zainstalowała w drzwiach.

Wskoczyła w buty Nike i weszła do przedpokoju.

Ale zatrzymała się jak wryta, gdy usłyszała ten dźwięk.

Co... co to jest?

Przechyliła głowę i pochwyciła cichą melodię dobiegającą z drugiej sypialni.

To była *Kołysanka* Brahmsa, grana przez pozytywkę w karuzeli nad dziecięcym łóżeczkiem.

*Śpij dziecińo, oczka zmruż,  
Śpij do wschodu rannych zórz.  
Mama zaś będzie tu  
Śpiewać piosnki do snu.*

Sukinsyn, pomyślała. Złość okazała się większa niż strach. Pobiegnęła do kuchni po jakąś broń i utkwiała wzrok w blacie.

Stał na nim blok z kuchennymi nożami.

Wszystkie noże zniknęły.

Zerknęła w stronę drugiej sypialni i zauważyła, że drzwi są otwarte – kiedy kładła się spać, były zamknięte. To akurat dobrze pamiętała.

Chryste, on tam był, z tymi wszystkimi nożami!

W tym momencie przypomniała sobie o skrzynce z narzędziami, którą trzymała na najniższej półce szafki w łazience. Nie było tam noży, ale był młotek. Żadna inna broń nie przychodziła jej na myśl, więc musiał wystarczyć. Szybko skręciła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi i zablokowała gałkę.

Też mi zabezpieczenie, pomyślała. Jeżeli poradził sobie z zamkiem za czterysta pięćdziesiąt dolarów, to ile czasu potrzebuje, żeby sforsować zwykłą blokadę gałki?

Otworzyła szafkę i uklękła, by poszukać skrzynki, ale po chwili znieruchomiała i uniosła wzrok.

Poprzedniego wieczoru zostawiła odsłoniętą wannę, a teraz zasłonka była zasunięta.

*Więc i ty oczka zmruż,  
Śpij do wschodu rannych zórz...*

## 22

Amelia Sachs zakończyła obchód po siatce na miejscu zdarzenia, czyli w mieszkaniu 4C przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Siódmej 501.

Wcześniej zabezpieczyła ślady w budynku Bechtel, na trasie pokonanej przez Ślusarza, gdy wchodził i wychodził z budynku Carrie Noelle, a teraz skończyła sprawdzanie samego mieszkania.

Ubrana w biały kombinezon z tyveku i resztę stroju ochronnego obowiązującego na miejscu zdarzenia wyniosła na korytarz kilkanaście papierowych i foliowych torebek, po czym przekazała techniczne kryminalistyki – młodej i zdolnej Latynosce, którą chciała pozyskać do stałej współpracy z Rhyme'em, choć teraz musiała odłożyć te plany ze względu na fakt, że jej mąż został zwolniony w trybie natychmiastowym.

Próbowała stłumić w sobie gniew na szefostwo policji za tak lekkomyślną decyzję. Nie, to za mało powiedziane. Za idiotyczną decyzję.

Nie potrafiła się opanować.

Polityka...

– Straszne – powiedziała z posępną miną Sonja Montez, patrząc na dużą foliową torbę z aniołkami zawieszonymi na karuzeli do dziecięcego łóżeczka. Sama miała dzieci w wieku czterech i sześciu lat.

– Wypisz karty i zabierz to do busa.

– Jasne, detektywie. – Sonja włożyła torebki z doczepionymi kartami ewidencyjnymi do dużego plastikowego pojemnika i skierowała się do windy.

Sachs spędziła w mieszkaniu jeszcze kwadrans, po czym też zeszła na parter. Przed wejściem dostrzegła spory tłum przyglądający się czynnościom policji.

Byli tam dziennikarze, którzy, jak to dziennikarze, wychodzili ze skóry, by wydobyć jak najwięcej faktów na światło dzienne.

– Czy to Ślusarz? – zawołał jeden z nich.

– Pani detektyw!

– Znowu zostawił stronę z „Daily Herald”?

Nie odpowiadając, zaczęła zdejmować kombinezon.

Nadszedł Ron Pulaski. Przejechał dłonią po krótko przyciętych blond włosach, z roztargnieniem dotykając blizny na czole. Przed kilku laty doznał urazu głowy na służbie, po którym długo i mozolnie dochodził do siebie.

– Do kitu ta historia z Lincolnem.

– Aha. Udało ci się czegoś dowiedzieć od ślusarzy?

– Nie. Ale wszyscy byli pod wrażeniem umiejętności sprawcy.

Sachs prychnęła.

– To nam raczej nie pomoże.

– Nie.

Zerknęła w stronę okna, które prawdopodobnie należało do mieszkania Noelle.

– Pił jej wino. Tak jak jadł ciastka Annabelle Talese. Siedział na kanapie z nogami na stoliku.

– Pił? – Pulaski zmarszczył brwi. – Uważa, żeby nie zostawiać odcisków palców, ale nie uważa na ślady DNA?

– Może tak. Może nie. Zobaczymy.

– Rany. O co temu gościowi chodzi? – Zastanawiał się przez chwilę. – Chyba się popisuje. Wdziera się do domu, przesiaduje tam, macha swoim ofiarom przed nosem tym wyczynem.

– Nam też macha nim przed nosem. – Sachs prowadziła już sprawy seryjnych sprawców. Kluczowym elementem ich osobowości jest narcyzm. Uważają się za kogoś wyjątkowego; mogą udawać Boga.

Skierowała wzrok w stronę dziennikarzy.

Przypadkiem zerknęła za plecy tłumu i zauważyła szarego cadillaca, jeden z nowszych modeli. Samochód stał na pasie ruchu, co nie było niczym dziwnym, ponieważ inni zaciekawieni kierowcy też zwalniali albo zatrzymywali się, żeby popatrzeć na akcję policji albo umożliwić to pasażerom. Wóz miał przyciemniane szyby, więc nie była stuprocentowo pewna, ale wyglądało na to, że kierowca – w przeciwsłonecznych okularach i czarnej czapce lub kapeluszu – robił jej zdjęcia lub rejestrował ją na wideo. Inne osoby w tłumie filmowały karetkę, furgonetkę z wydziału kryminalistyki, radiowozy albo ubranych na biało techników, telefon tego człowieka był natomiast skierowany na nią. Wiedziała, że powroty sprawcy na miejsce zdarzenia podczas śledztwa nie należą do rzadkości. Czasem wracał, by zdobyć informacje, co gliniarzom udało się ustalić. Innym razem po to, by sycić wzrok rezultatem swoich wysiłków.

Narcyzm...

Gdy kierowca nagle zdał sobie sprawę, że Sachs go obserwuje, odłożył telefon, wrzucił bieg i prędko odjechał. Amelia wyszła na ulicę, ale zanim samochód zniknął za rogiem, zauważyła, że ma nowojorską rejestrację, nie zdążyła jednak odczytać numeru.

– Co jest? – spytał Pulaski.

– Ten szary cadillac. Za bardzo się nami interesował.

– Myślisz, że sprawca jeździ cadillakiem?

– Czemu nie? Według tego, co mówił Benny Morgenstern, ślusarstwo to tylko hobby. Kto wie, czym on się zajmuje na co dzień. Znalazłeś tu coś?

– Rozmawialiśmy z ponad dwudziestoma sąsiadami, biznesmenami, dostawcami. Nikt nic nie widział.

Pulaski i kilku funkcjonariuszy z miejscowych posterunków sprawdzili prawdopodobne drogi ucieczki Ślusarza. Wyglądało na to, że wybił okno na tyłach budynku i tamtędy wyskoczył do bocznego zaułka. Skoro nie skorzystał z głównego ani bocznego wejścia, oznaczało to, że wyszedł stąd zaledwie parę minut wcześniej – obecność policji musiała go zaskoczyć.

– Kamery monitoringu?

– Żadna nie działa.

Połowa kamer, jakie można zobaczyć w sklepach i na ulicach, to atrapy albo urządzenia, które w ogóle nie są podłączone. Monitoring wizyjny jest czasochłonny i skomplikowany. A kamery i rejestratory bywają drogie.

– Wracając do tego, o czym mówiliśmy wcześniej – szepnęła. – Możesz pomóc?

– Jasne.

– Trzecie piętro, wschodnia klatka schodowa. – Ruchem głowy wskazała dom Noelle. – Potem budynek Bechtel. Hol przy wejściu.

– Dobra. – Młody policjant odszedł.

Sachs jeszcze raz poszukała wzrokiem szarego cadillaca. Ani śladu. Wróciła do swojego forda torino, z którego wzięła granatową kurtkę i narzuciła ją na czarny sweter. Prócz tego miała na sobie czarne dżinsy i wysokie buty. Potem podeszła do najbliższego radiowozu i wsiadła na tylną kanapę.

– Jak się pani czuje? – spytała.

– Chyba dobrze. – Carrie Noelle oddała jej telefon i podziękowała, że mogła z niego skorzystać. Telefon ofiary, który Sachs wydobyła z akwarium, miał trafić do analizy, na wypadek gdyby Ślusarz dotykał go bez rękawiczek.

– Muszę o to spytać – dodała Noelle. – Jak to się stało, że przyjechaliście tak szybko? Sąsiedzi usłyszeli, jak wzywam pomocy, i powiedzieli, że już po kilku sekundach byliście na dole. Jakim cudem?

## 23

Lincoln Rhyme.

Tak brzmiała odpowiedź na pytanie Carrie Noelle.

– Znaleźliśmy pewne tropy, które mogły prowadzić do odcinka ulicy, przy którym pani mieszka.

Sachs poprzestała na tym, nie zdradzając, że tuż przed swoim zwolnieniem Rhyme, po raz ostatni występując w roli kryminalistyka, zastanawiał się nad zebranymi dotąd dowodami: śladami płynu do mycia naczyń, okruchami porcelanowego izolatora z dawnych czasów, ceglany pyłem. Następnie ułożył notatkę, którą Sachs – jego „specjalna wysłanniczka” – zawiozła do centrum, by oddać ją do rąk własnych Lonowi Sellittowi, ponieważ nie mogli ufać e-mailom. Według instrukcji porucznik miał wysłać w teren funkcjonariuszy patrolu z posterunków Midtown North 19, 20, 23, 24 i 28, aby poszukali placu rozbiórki jakiegoś starego budynku z czerwonej cegły. Siedziby tych jednostek policji przylegały do Central Parku, na którym skupił uwagę Rhyme ze względu na detergent wykorzystywany do czyszczenia bram z piaskowca.

Wczesnym rankiem, o czwartej trzydzięci, Sellitto odebrał zgłoszenie o prawdopodobnym zlokalizowaniu obiektu. Jeden z funkcjonariuszy zameldował mu, że w patrolowanym przez niego rejonie na Wschodniej Dziewięćdziesiątej Siódmej znajduje się ceglany budynek Bechtel, w połowie zburzony i czekający na nowego dewelopera, ponieważ obecny ogłosił upadłość. Wiedzieli o tym budynku, bo był miejscem spotkań narkomanów i od czasu do czasu zgarniali stamtąd dilerów. Zmyślny policjant przesłał zdjęcia obiektu i otaczających go budynków.

Sellitto przekazał je Sachs, pozostawiając Rhyme’a poza kręgiem wtajemniczonych, choć przed świtem Amelia oczywiście podzieliła się z mężem wszystkimi informacjami.

– On tam nie mieszka – orzekł Rhyme, leżąc w łóżku. – I jeżeli nie prowadzi się teraz rozbiórki, to tam nie pracuje.

– A to znaczy, że mógł stamtąd prowadzić obserwację. – Sachs pokazała jedno ze zdjęć – apartamentowca przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Siódmej 501. – Wejście boczne jest dokładnie naprzeciwko jednego z okien.

– Jedź tam zaraz.

Dwadzieścia minut później zatrzymała wóz przed budynkiem Bechtel, gdzie spotkała się z Ronem Pulaskim i załogami dwóch radiowozów. Ledwie zdążyli z grubsza nakreślić plan

działania, gdy dostali sygnał z centrali, gdzie odebrano zgłoszenie włamania w tym samym budynku, na który patrzyła.

Sachs, Pulaski i dwaj mundurowi zabezpieczyli wyjścia i pobiegli na górę, gdzie u sąsiadów siedziała rozhisteryzowana Carrie Noelle. Pulaski sprowadził ją na dół i posadził w radiowozie, a tymczasem Sachs i technicy robili obchód po siatce.

Kobieta opisała włamanie, które miało identyczny przebieg jak w mieszkaniu Annabelle Talese. Nie miała pojęcia, kiedy podejrzany wyszedł.

Sachs zadała Noelle takie same pytania, które wcześniej zadawała Talese – o stalkerów, byłych chłopaków, każdego, kto mógłby ją skrzywdzić.

Podejrzewała, że usłyszy takie same odpowiedzi: Noelle nie przychodził na myśl nikt, kto miałby motyw, by ją skrzywdzić, zagrozić jej albo wtargnąć do jej domu. Potwierdzałoby to teorię, że ofiary nocnych najść najprawdopodobniej są wybierane przypadkowo, choć cel sprawcy pozostawał zagadką.

– To było takie straszne – szepnęła Noelle. – Sprzedaję zabawki kolekcjonerskie. W łóżku obok mnie położył lalkę. I włączył karuzelę... Wie pani, taką zawieszoną nad dziecięcym łóżeczkiem. Grała *Kołysankę* Brahmsa. Już nigdy nie będę mogła słuchać tej melodii. – Noelle znalazła w torebce chusteczkę i otarła oczy. Otworzyła też fiolkę z jakimś lekarstwem i połknęła dwie tabletki bez popijania.

Dziesięć metrów od nich techniczka kryminalistyki Sonja Montez zdjęła już ochronny kombinezon z tyveku. Ze służbowego kokonu wyłoniła się uderzająco piękna kobieta o ciemnej karnacji, z jasnoróżową szminką na ustach i błękitnym cieniem na powiekach. Była ubrana w bluzkę w szaro-czerwone paski i bordowe spodnie z zapięciem z boku. Ściągnęła wzrokiem Sachs i pokazała jej uniesiony kciuk. Gest oznaczał, że zabezpieczone dowody są już w busie techników, a karty ewidencyjne zostały wypełnione.

Sachs zauważyła nadjeżdżający samochód. Był mniej więcej tego samego koloru co cadillac, więc w pierwszej chwili zeszywniała, ale zaraz zorientowała się, że to wóz innej marki. Za kierownicą siedziała kobieta. Odezwała się do jednego z mundurowych, który wskazał jej miejsce przy krawężniku. Zaparkowała i wysiadła. To chyba była siostra Noelle.

– Mogę już jechać? – spytała Carrie Noelle. – Chciałabym być jak najdalej stąd.

Sachs przypomniała sobie słowa Annabelle Talese.

„Ukradł mi dom. Uwielbiałam go, a on mi go odebrał...”

– Oczywiście. Gdybym miała więcej pytań, zadzwonię. A gdyby pani przypomniało się coś jeszcze, proszę dać mi znać. – Wymieniły się wizytówkami.

W tym momencie usłyszała męski głos:

– Detektyw Sachs.

Odwróciła się i ujrzała okrągłą i łysiejącą czaszkę idącego w jej stronę naczelnika Alonzo Rodrigueza. Jego ciemne, blisko osadzone oczy zatrzymały się na dowodach zapakowanych na tył furgonetki techników. Towarzyszył mu szczupły i też łysiejący



mężczyzna w eleganckim garniturze. Sachs go znała. Nazywał się Abraham Potter. Pracował w biurze burmistrza, chyba jako doradca. Mimo jego władczego wyglądu przypuszczała, że nie ma zbyt wielkich wpływów i prawdopodobnie jest wytrawnym donosicielem.

Ekipy telewizyjne kręciły ich obu. Rodriguez najwyraźniej świetnie zdawał sobie z tego sprawę.

Uśmiechnął się sztucznie pod dziwnym cienkim wąsem i rzekł:

– Wiem, że na wczorajszym spotkaniu doszło do pewnych tarć. Chciałem tylko powiedzieć jedno.

– Słucham.

– Kiedy przychodzi polecenie z góry, niewiele można zrobić.

– Mogę w czymś pomóc, naczelniku?

– W laboratorium wydziału kryminalistyki w Queens czeka funkcjonariusz. Spodziewa się, że dowody – wskazał głową kartony – pojawią się tam za trzydzieści minut, z przepisowo wypełnionymi kartami ewidencyjnymi.

– Zrozumiałam.

– Wie pani, jakie grożą konsekwencje, gdyby stało się inaczej.

Nie odpowiedziała.

– Przekazała pani technikom wszystkie dowody zabezpieczone na miejscu zdarzenia? – Wskazał głową furgonetkę.

– Tak – odparła spokojnie.

Na okrągłej twarzy Rodrigueza, rozdzielonej na pół podkreślonym wąsem, pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Ruszył w stronę samochodu Sachs.

– Ale zanim pani odjedzie, proszę spełnić jeszcze jedno moje życzenie. – Zgiętym palcem dał jej znak, by poszła za nim.

## 24

Cztery po piątej rano, gdy Carrie Noelle słodko spała w sąsiednim pokoju, włączyłem karuzelę w sypialni służącej za magazyn zabawek, które sprzedawała przez internet.

Gdy usłyszałem jazgot policyjnej syreny, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem kilka radiowozów i nieoznakowanych samochodów z gliniarzami w cywilu, które otaczały budynek Bechtel i apartamentowiec Carrie.

Znowu pomyślałem o 2019. I tamtej katastrofie.

Poczułem, jak pocał mi się dłonie pod drogimi przezroczystymi rękawiczkami chirurgicznymi, jak wali mi serce.

Po chwili policjanci wbiegli na ulicę przed budynkiem Bechtel. Rozglądali się dookoła.

Szukali mnie?

Niemożliwe.

A może wręcz przeciwnie.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej uważałem, że to nie przypadek.

Praktycy rzemiosła ślusarskiego nie wierzą w znaki. Ślusarstwo to nauka, mechanika, fizyka. Kołki chowają się w głąb bębena, ponieważ je do tego zmuszamy. Do trzech – albo trzydziestu razy sztuka, bo właśnie po tylu próbach udaje nam się wykonać odpowiedni ruch wytrychem w połączeniu z napięciem cylindra.

Do ryku syreny dochodzą kolejne odgłosy – słyszę, jak Carrie porusza się w sypialni.

Odwrót!

Wziąłem wszystkie noże z bloku stojącego na kuchennym blacie; jeden wrzuciłem do plecaka razem z parą majtek, które zabrałem wcześniej, a pozostałe ukryłem w zamrażarce. To powinno ją na moment powstrzymać, bo pomyśli, że jestem uzbrojony – gdybym wziął tylko jeden, mogłaby nie zauważyć.

Wyjrzałem za drzwi Carrie. Korytarz był pusty, więc wyszedłem. Tym razem nie zamknąłem za sobą securpoint 85. Nie było czasu na efektowne popisy.

Nie mogłem uciec przez główne wejście na ulicę, wycofałem się więc przez okno z tyłu. Wybicie okna w celu ucieczki przypomina otwarcie zamka metodą bumpingu. Pocięszam się jednak myślą, że ramę okienną przyklejono farbą do futryny; nie było żadnego zamka do otwarcia. Przeciskając się przez otwór, pomyślałem, że mogłem zostawić po sobie jakieś drobiny, ale na szczęście przy workach na śmieci zobaczyłem leżący na ziemi gumowy wąż. Skierowałem dyszę na miejsce, gdzie wylądowałem, i odkręciłem wodę.

Wszystkie włoski i ślady biologiczne, które mogłem zostawić, powinny wkrótce trafić do studzienki burzowej.

Teraz, godzinę później, stoję na zatłoczonej Dziewięćdziesiątej Siódmej w gromadzie gapiów i dziennikarzy.

Dowiaduję się, że miałem rację: to nie był zbieg okoliczności. Wysoka rudowłosa detektyw – nosi na biodrze złotą odznakę – rozmawia z młodym blondynem w mundurze. Policjant ma na imię Ron i nazywa ją Amelią, pada też nazwisko Carrie Noelle.

Zresztą ona sama też tu jest i spłoszona jak mysz siedzi w radiowozie.

Skąd, do cholery...

Wiem na pewno, że Carrie ich nie wezwała; kiedy przyjechali, wciąż była Śpiącą Królową, a jej telefon tkwił zatopiony w akwarium.

Nikt nie mógł mnie widzieć, jak dostawałem się do mieszkania, bo wtedy policja zostałaby wezwana znacznie wcześniej.

Jakimś cudem domyślili się, że upatrzyłem sobie właśnie Carrie.

Zastanawiam się nad tym.

Niemożliwe, by ktoś wpadł na to, że zaplanowałem Wizytę właśnie u niej; o tym nie wiedział nikt oprócz mnie. Nie da się natomiast wykluczyć, że doszli do wniosku, iż wziąłem na cel kogoś w tej dzielnicy. Nie. Na tej ulicy, dokładnie na tym odcinku.

Tak, nie ma wątpliwości. Amelia wskazuje na kogoś w jednym z tych kosmicznych kombinezonów, a potem na budynek Bechtel. Po chwili technik albo techniczka zaczyna otaczać front taśmą policyjną.

No jasne!

Zerkam na stopy.

Zdradziły mnie buty.

Gdy wcześniej pojawiłem się na tej ulicy, do podeszwy musiał mi się przykleić kawałek ziemi, błota czy innego charakterystycznego materiału, który zawlokłem do mieszkania Annabelle Talese. Policja ustaliła, że ślad pochodzi z budynku Bechtel. Trudno mi w to uwierzyć, ale z drugiej strony laik uznałby na przykład, że otwarcie bez klucza securpoint 85 – czy jakiegokolwiek lepszego zamka bębenkowego – jest wyczynem bliskim magii.

Otwieram Google'a. Wystarczy tylko wpisać „miejsce zdarzenia”, „Amelia” i „NYPD”, żeby wysypała się długa lista informacji o Amelii Sachs, odznaczonej detektyw, córce odznaczonego funkcjonariusza służby patrolowej, żonie odznaczonego byłego detektywa, a dziś konsultanta, Lincolna Rhyme'a.

Specjalizują się w kryminalistyce.

Jestem na siebie wściekły. A jeśli Rhyme i jego żona doszli do tego wniosku już wcześniej i przysłali tu gliniarzy, kiedy czaiłem się w cuchnącym holu budynku Bechtel, czekając na okazję, by zacząć Wizytę?

Kwestia „zamiaru” zostałaby rozstrzygnięta dość szybko. Gdyby tylko funkcjonariusze znaleźli akcesoria – moją wełnianą czapkę, którą można opuścić, by zasłonić twarz, trzecią

stronę numeru „Daily Herald” i oczywiście nóż, mimo że z formalnego punktu widzenia noszę go przy sobie legalnie – już wieźliby mnie do pudła.

A to dla mnie byłoby istne piekło.

Dosłownie dygoczą mi ręce.

Żaden lockpicker nie może tolerować takiego stanu.

Czyli w przyszłości lepiej wybierać buty na gładkich skórzanych podszewkach.

Amelia spędza dłuższą chwilę w radiowozie, rozmawiając z Carrie Noelle na tylnym siedzeniu. Wyobrażam sobie, jak razem próbują rozwikłać zagadkę, dlaczego padło właśnie na nią.

Uspokajam się i śledzę rozwój sytuacji. Gdy Carrie – wciąż śliczna, ale blada i z włosami w nieładzie – odjeżdża z siostrą, przysuwam się bliżej Amelii. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o swoich prześladowcach. Ryzykuję, stojąc w tym tłumie, chociaż chyba nikt nie zwraca na mnie uwagi. Ciemne okulary – poranek jest naprawdę słoneczny – postawiony kołnierz stylowej skórzanej kurtki. Zamieniłem wełnianą czapkę na znacznie popularniejszą i zwyczajniejszą bejsbolówkę Metsów. Nigdy nie byłem na meczu ani tej drużyny, ani żadnej innej. Ojciec był zbyt zajęty, żeby zapewniać mi rozrywki, zwłaszcza tak zwyczajne. Był to jednak jeden z jego lżejszych grzechów, zresztą i tak nie zniósłbym jego towarzystwa na stadionie.

Dostrzegam jakieś napięcie między Amelią a mężczyzną, który ma butną minę kogoś, kto jest u władzy. Przypuszczam, że to kapitan albo inna szycha. Pulchny facet nosi podkreślony wąs. Może uważa się za belgijskiego detektywa Poirota z książek Agathy Christie. Ma ciemną karnację. Przypuszczam, że to Latynos. A może pochodzi z jakiegoś kraju śródziemnomorskiego.

Jest z nim drugi facet w garniturze, chudy i łysawy, stoi z boku i obojętnie się przygląda.

Rozmowa nie jest kłótnią w podstawowym znaczeniu tego słowa, ale facet z wąsem wyraźnie zadziera nosa i mówi głośniejsz niż trzeba, przez co stojące obok ekipy telewizyjne cały czas go kręcą.

Poirot przypomina mi ojca.

Mam wrażenie, że w rozmowie bardziej chodzi o politykę w szeregach policji niż o sztukę śledczą.

Spór dotyczy chyba zebranych przez nią dowodów.

Wąsacz podchodzi do samochodu z dawnych czasów, forda torino. To jej wóz. Widziałem, jak wyjęła z niego kurtkę i okryła swoją pociągającą figurę.

– Ale zanim pani odjedzie – mówił Poirot – proszę spełnić jeszcze jedno moje życzenie.  
– Protekcyjnie daję jej znak, żeby poszła za nim.

Chudy facet rusza ich śladem, a promień słońca odbija się od gładkiej skóry na jego czaszce.

Poirot zagląda do wnętrza forda jak glina z drogówki, który liczy, że znajdzie trawkę albo otwarte piwo. Po chwili wskazuje na bagażnik.

Ruda detektyw przygląda mu się badawczo z rękami na biodrach.

Scenę żarłocznie chłonie coraz więcej kamer. Jak na ironię widzę zespół z WMG – kanału Whittaker Media Group – części imperium, które wydaje „Daily Herald”.

Na moment dochodzi do klinczu między Amelią a Poirotem. Wygląda na to, że protekcyjny gest, jakim pokazał bagażnik, to dla Amelii trochę za dużo. Jest wyższa od niego o kilkanaście centymetrów, pochyla się i piorunuje go wzrokiem. Wąsacz nie cofa się ani o milimetr.

Po chwili Amelia wyjmuje kluczyki z kieszeni dżinsów. W tamtych czasach – czyli w latach sześćdziesiątych – większość samochodów była wyposażona w dwa kluczyki: jeden do stacyjki, drugi do drzwi i klapy bagażnika. Długo spierano się o powód takiego rozwiązania i nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Otwiera bagażnik. Poirot zagląda do środka i nie znajduje tego, co miał nadzieję zobaczyć.

Ruda policjantka zatrzaskuje klapę, po czym idzie w stronę maski samochodu, wyjmując telefon, żeby zadzwonić. Poirot zostaje w pobliżu i obserwuje ją z rękami skrzyżowanymi na piersi jak dyrektor szkoły patrzący na uczennicę podejrzaną o złamanie regulaminu.

Kobieta, nie zwracając na niego uwagi, kończy rozmowę, a potem wsiada do nisko zawieszzonego wozu. Potężny silnik wydaje rażny warkot i ford z piskiem opon włącza się do ruchu.

Poirot patrzy za nią, a potem odchodzi, z ciągle butną, ale i rozczarowaną miną, jak gdyby chciał ją przyłapać na czymś niedozwolonym. Łysy stoi obok niego i rozmawia przez telefon.

Belgijski detektyw ignoruje pytania od dziennikarzy, którzy próbują się dowiedzieć – żądają od niego odpowiedzi – czy to też dzieło Ślusarza i czy tym razem kogoś zamordował.

Wciąż mam w myślach Amelię. Wiem, że jest mężatką, ale to mnie nie powstrzymuje przed wyobrażeniem jej sobie samej w łóżku, gdy śpi w T-shircie i bokserkach z długą poduszką albo zrolowaną kołdrą między szczupłymi nogami. W filmie, który odtwarzam w głowie, jestem w tym pokoju dwa metry od niej, patrzę i cieszę oczy widokiem jej lekko rozchylonych ust, podciągniętych kolan, a szczególnie żywo widzę jej lśniące rude włosy rozłożone na poduszce w dwóch szerokich łukach przypominających rozpostarte skrzydła jastrzębia.

Co ona tu robi?, zastanawiał się Lincoln Rhyme.

Do domu weszła Amelia Sachs. Wyglądało na to, że przyjechała prosto z miejsca zdarzenia przy Wschodniej Dziewięćdziesiątej Siódmej. Rhyme był zdziwiony. Przypuszczał, że pojedzie prosto do głównego laboratorium w Queens, by nadzorować analizę dowodów, zgodnie z dekretem wydanym przez Willis i Rodrigueza – a ściślej rzecz biorąc, przez burmistrza. Zespół musiał działać szybko. Ślusarz był inteligentny i ostrożny, ale raz popełnił błąd i naprowadził ich na ślad następnej ofiary. Być może znowu noga mu się powinie i tym razem zdradzi adres swojego domu czy biura albo nawet ujawni własną tożsamość.

Widok Sachs wchodzącej tu bez skrzynek z dowodami wydawał się dziwny. Może wpadła po parę rzeczy, które będą jej potrzebne w Queens. Mimo że laboratorium Rhyme'a stanowiło zaledwie ułamek w stosunku do głównej pracowni kryminalistycznej policji, to było lepiej finansowane w przeliczeniu na metr kwadratowy, a także dysponowało nowszym i w niektórych przypadkach bardziej zaawansowanym instrumentarium. Gdyby chciała coś wziąć, proszę bardzo, nie miał nic przeciwko temu, miasto powinno jednak zapłacić za transport i ponowną kalibrację sprzętu. I dać mu pokwitowanie.

– Carrie jest cała i zdrowa – powiedziała Sachs.

– Kto?

– Ofiara. Carrie Noelle.

Wiedział, że kobiecie nic się nie stało. Słyszał.

Informacja nie miała żadnego znaczenia.

– Ale ten numer bardziej mnie martwi.

– Dlaczego?

– Zabrał jej wszystkie noże – i ukrył. Poza tym zatopił jej telefon w akwarium.

Rhyme zamyślił się nad słowami żony.

– Zdecydował się odciąć jej łączność i nie chciał, by miała pod ręką broń. Bo tym razem zastanawiał się, czy nie zaatakować.

– Też tak myślę.

– Dlaczego nie zaatakował? – spytał Rhyme.

– Być może za bardzo hałasowaliśmy. Jeden z radiowozów włączył syrenę, żeby jakiś samochód usunął się z drogi. Ślusarz to usłyszał, zobaczył nas i natychmiast prysnął.

– Syrena, naprawdę? – Rhyme skrzywił usta. – Chociaż... jeżeli tak właśnie było, to przypuszczam, że ocaliliśmy jej życie.

Skinęła głową.

– Zostawił gazetę?

– Tak. Znowu w szufladzie z bielizną. Tę samą stronę. I tę samą wiadomość – napisaną szminką.

– O co tu chodzi? Stawiałbym na to, że próbuje nas wyprowadzić w pole.

Przypomniał sobie jednak, że jego opinia nie ma już żadnego znaczenia dla śledztwa.

Rozległ się dzwonek i oboje spojrzeli na monitor kamery przy wejściu. Thom też usłyszał i pojawił się w korytarzu, jak zawsze elegancki. Ciemne spodnie, niebieska koszula, krawat w niebieskie i fioletowe kwiaty.

– Otworzyć? – zapytał, zauważywszy, że patrzą na ekran i nie odblokowali jeszcze zamka drzwi.

Gościem był wysoki opalony mężczyzna z ogoloną albo naturalnie łysą głową. Po chwili pokazał do kamery złotą odznakę policyjną.

Wymienili spojrzenia.

– Nie znam go – powiedziała Sachs.

Rhyme za pomocą panelu sterowania na oparciu wózka włączył domofon.

– Słucham.

– Kapitan Rhyme?

– Zgadza się, detektywie.

– Ma pan chwilę?

Wahanie.

– Oczywiście. – Skinął głową Thomowi, który podszedł do drzwi i otworzył.

Do salonu wkroczył barczysty mężczyzna o przystojnej, zamyślanej twarzy i spojrzał na to, co znajdowało się za plecami Rhyme'a i Sachs, która odsunęła się na bok, aby wstukać coś do telefonu.

– Robi wrażenie – stwierdził policjant.

Miał na myśli laboratorium.

Rhyme zdawał sobie z tego sprawę. Nie zamierzał komentować tych słów.

Mężczyzna przywitał ich skinieniem głowy. Sachs schowała telefon i skupiła uwagę na gościu.

– Witam, pani detektyw. – Zerknął na Sachs i znowu spojrzał na Rhyme'a. – To nie potrwa długo, panie kapitanie. Jestem Richard Beaufort ze sto dwunastego. Przychodzę w związku ze sprawą Buryaka.

*Ława przysięgłych uznaje, że oskarżony jest niewinny...*

– Tak? – Rhyme nakazał sobie w duchu zapanować nad zniecierpliwieniem i złością.

– Tak jest. Mam się skontaktować ze wszystkimi osobami zaangażowanymi w rozprawę i zebrać od nich całą dokumentację na temat procesu. Cholerne zawracanie głowy, wiem.

Dla mnie też. Ma pan tu jakieś papiery? Raporty z badania materiału dowodowego czy coś w tym rodzaju? Wystarczą mi kopie. Oryginały może pan zachować.

– Analiza po katastrofie, co? – Rhyme podjechał bliżej Beauforta, który nad nim górował. Po wypadku bardzo trudno było mu się przyzwyczaić do różnicy wzrostu: zawsze był niżej niż otaczające go osoby. Miał silną osobowość – wręcz dominującą – i nie znosił, gdy ktoś spoglądał na niego z góry, niemniej z biegiem lat nabrał przekonania, że na wózku ma jednak większą władzę: każdy, kto z nim rozmawiał albo się sprzeczał, musiał pochylić głowę, co w pewnym sensie stanowiło akt uległości.

– Naprawdę nie wiem, po co im te papiery, kapitanie. Kazano mi tylko zebrać dokumentację.

– Chyba wszystko daliśmy prokuratorowi. – Rhyme spojrzał na Sachs, która skinęła głową. – Ale zostały tablice, które zapisywaliśmy podczas śledztwa, notatki z naszych działań. To materiał dodatkowy. Myśli pan, że chcieliby to zobaczyć?

– Chyba tak. To mikroskop skaningowy? – Podeszedł do przezroczystej przegrody. – I chromatograf. W zwykłym domu przy Central Park West. Niech mnie diabli...

– Mamy zdjęcia tych tablic, cyfrowe – ciągnął Rhyme. – Takich jak te. – Beaufort powędrował wzrokiem w stronę wskazanych przez niego dwóch białych tablic na stojakach. Jedna zawierała informacje o sprawie Ślusarza, druga dotyczyła sprawy Gregoriosa, zabójstwa dokonanego przez bezdomnego. Wisiały tam fotografie zakrwawionych zwłok ukazujące drastyczne szczegóły. Beaufort nie zareagował.

– Można to dostać na jakimś pendrivie? – spytał.

– Oczywiście. – Rhyme podjechał do komputera i polecił mu otworzyć katalog sprawy Buryaka. Odnalazł w nim pliki JPG ze zdjęciami tablic, a Sachs podłączyła do portu USB pusty pendrive, po czym skopiowała i wkleiła pliki. Podała Beaufortowi przenośną pamięć.

– Dziękuję, panie kapitanie, pani detektyw... – Wsunął małe prostokątne urządzenie do kieszeni. – Jestem wdzięczny. – Ruszył do wyjścia, ale przystanął. – Przykro mi z powodu tego, co się stało.

Katastrofy „Hindenburga”? Drugiej wojny światowej? Światowego kryzysu sprzed kilkunastu lat? Rhyme pohamował się i powiedział tylko:

– Dzięki.

– Nie pytali mnie o zdanie, ale powiedziałbym im, że to zły pomysł. Jest nam pan potrzebny, tak mówi sporo ludzi z terenu. Zresztą z szefostwa również.

– Wszystkiego dobrego, detektywie – powiedział Rhyme.

– Nawzajem, kapitanie.

Thom odprowadził gościa do wyjścia.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Rhyme spojrzał na Sachs.

– No i?

– Zobacz. Wyślę ci. – Postukała palcami w ekran telefonu i chwilę później w laboratorium rozległ się sygnał komputera. Rhyme otworzył skrzynkę mailową.



Zobaczył to, co Sachs ściągnęła z bazy danych personelu policji Nowego Jorku i mu przesłała.

Richard Beaufort istotnie był detektywem trzeciej klasy i istotnie służył w nowojorskiej policji. Owszem, miał przydział do posterunku numer 112, czyli do rejonu, gdzie znajdowała się rezydencja Buryaka, nigdy jednak nie miał nic wspólnego z jego sprawą. Przez ostatnie cztery miesiące nie miał nic wspólnego z żadnym kryminalnym śledztwem. Został oddelegowany do innego zadania.

Należał do zespołu ochrony burmistrza Tony'ego Harrisona.

– Sukinsyn – mruknął Rhyme. – Przyszedł sprawdzić, czy pracuję nad sprawą Ślusarza.

– Przed domem Noelle był Rodriguez i mizdrzył się do kamer. I Potter, ten doradca burmistrza.

– Żeby zameldować, że wypełniamy zalecenia. – Rhyme prychnął drwiąco. – Prasa rozdmuchuje całą historię. Lubi seryjnych sprawców. Lepiej to wygląda, gdy zostają złapani. Zodiak, Dusiciel z Bostonu. I oto trafia się nikczemny seryjny przestępca. Jeśli Ślusarz zostanie złapany za kadencji burmistrza – i bez mojej pomocy – nabije mu to punktów w sondażach. Nie wiem, po co ludzie w ogóle ubiegają się o urzędy.

Jestem uwiązany w cholernym domu, pomyślał znowu Rhyme, nie mam nic do roboty ani ochoty, by szukać alternatyw.

Pomyślał też o tym, co poprzedniego wieczoru radził mu naczelnik Brett Evans.

New Jersey...

Praca w prywatnym laboratorium...

Jezu Chryste!

– Musisz jechać do Queens – powiedział. – Pamiętasz ten ślad krwi znaleziony przez Mela? Jeżeli sprawca raz użył noża, to użyje go jeszcze raz. Na pewno.

Nie odpowiedziała, ale zerknęła na ekran telefonu, który wydał sygnał odebranej wiadomości.

– Momencik.

Wyszła na korytarz, a potem na ganek przed wejściem. Na monitorze zobaczył, że rozgląda się po ulicy. Wróciła i pochylając się nad telefonem, wysłała następną wiadomość.

– Sachs, mówię serio. Musisz się brać do pracy.

Tym razem uniosła palec na znak, by zaczekał, i jeszcze raz podeszła do drzwi wejściowych. Usłyszał, jak je otwiera. Usłyszał głosy.

Do laboratorium wkroczyli Ron Pulaski i Mel Cooper. Dźwigali skrzynki z torebkami zawierającymi zabezpieczone ślady.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

– Patrzyłam, jak Beaufort odjeżdża – poinformowała Sachs nowo przybyłą dwójkę. – Już go nie ma. I nie przypuszczam, żeby oddelegowali kogoś na stałe, aby próbował nas obserwować. – Odwróciła się do Rhyme'a. – Może w tym momencie za tobą nie

przepadają, ale to nie jest aż tak głęboka niechęć, by usprawiedliwiać wyrzucanie pieniędzy na to, by cię szpiegować i ewentualnie przyskrzynić.

Cooper podszedł do szafki, założył maseczkę i rękawiczki, ochraniacze na buty, fartuch laboratoryjny. Przeniósł swoją skrzynkę do sterylnej części laboratorium, potem wziął skrzynkę Pulaskiego i zrobił to samo.

– Ponawiam pytanie – mruknął Rhyme.

– Poczęstowałam się dwa razy. Wzięłam podwójne próbki z każdego miejsca. Z budynku Bechtel i domu Noelle.

– Co takiego?!

– Drugi zestaw schowałam w obu miejscach – ciągnęła Sachs. – Kiedy odjechałam, Ron wszedł i je zabrał.

Rhyme spoglądał na nich po kolei.

– Rozmawialiśmy o tym – dodała. – Z Lonem też. Wiemy, jakie jest ryzyko. Wywalą nas? Być może. Aresztują za utrudnianie śledztwa? Wątpię.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Lincoln – odezwał się Cooper. – Nie mieliśmy innego wyjścia. Queens to niezłe laboratorium, ale nie takie dobre jak nasze.

– Może spłynęła na nas część twojego ego, Lincoln – wtrącił Pulaski.

– Oczywiście nie spyaliśmy ciebie o zdanie – powiedziała Sachs. – A przecież też nadstawiasz karku. Co ty na to?

Wszyscy troje utkwili w nim wzrok.

Rhyme, który nie należał do przesadnie gadatliwych osób, ale rzadko zapominał języka w gębie, przez chwilę milczał. Wreszcie odrzekł:

– Dziękuję.

## 26

Rhyme słuchał relacji Sachs z wtargnięcia do mieszkania Carrie Noelle.

– Zrobił to samo co u Annabelle. Przełożył z miejsca na miejsce rzeczy osobiste, ukradł bieliznę i nóż. Nie zjadł deseru, ale za to napił się wina.

– Zostawił kieliszek?

– Zostawił.

Rhyme chrząknął z aprobatą. Być może była szansa na próbkę DNA.

Sachs nałożyła ochraniacze na buty, rękawiczki, czepek i biały fartuch laboratoryjny, po czym weszła do sterylnej części pomieszczenia, gdzie Mel Cooper zapisywał swoje imię i nazwisko na kartach ewidencyjnych dowodów.

Przedmiotami dotykanymi przez Ślusarza były lalka, parę sztuk garderoby, butelka wina i kieliszek, noże w drewnianym bloku, szminka, niemowlęca karuzela w drugim pokoju służącym za magazyn zabawek, które ofiara sprzedawała w internecie i o których pisała na blogu.

– Włączył pozytywkę.

– Wyobrażam sobie, jakiego stracha jej napędził – odezwał się Cooper.

– Karuzela musiała pojechać do Queens – przyznała Sachs. – Nie mogłam jej rozciąć na pół, ale poza tym mamy prawie wszystko.

– Ślady butów?

– Wszędzie jest wykładzina, z wyjątkiem łazienki, ale tam stał na dywaniku.

– Odciski palców? – dopytał Rhyme. To była czysta formalność, a Sachs i Cooper potwierdzili, że miał rękawiczki i nigdzie nie zostawił śladów linii papilarnych.

– Chcę to DNA – powiedział. – Sprawdźcie kieliszek.

Sachs podała Cooperowi ciężkie naczynie.

– Nie mogłam pozwolić, żeby zabrali go do laboratorium. Zależało mi, by przywieźć go tutaj.

Rhyme przyznał jej rację.

– Podnieście go! – zawołał.

Technik uniósł kieliszek do kamery, a Rhyme podjechał wózkiem do dużego monitora. Wokół krawędzi dostrzegł mętną plamę.

– Weź wymaz i podaj wynik analizy.

Cooper spełnił polecenie. Po chwili miał już odpowiedź.

– Peroksyhydrat węglaanu sodu.

– Niech to szlag!

Pulaski, który jako dyżurny notował informacje na tablicy, spojrzął w jego stronę.

– Wybielacz tlenowy – ciągnął Rhyme.

– Cholera – mruknęła Sachs.

– O co chodzi? – zdziwił się młody policjant.

– Przecież to oczywiste – burknął Rhyme. – Nie może zostawiać śladów kontaktowych, bo ma rękawiczki, nosi też jakieś nakrycie głowy, więc nie możemy liczyć na włos. Jedyna szansa na ślad DNA była w tym, że raczył się winem ofiary. Ale przetaił brzeg kieliszka jedną z niewielu substancji na świecie, która niszczy kwas deoksyrybonukleinowy.

– Alkohol nie niszczy? – spytał Pulaski.

– Nie, Nowy. Alkohol używa się do izolowania i przechowywania DNA. Zwykły wybielacz też nie załatwi sprawy. Powinieneś zacząć czytać moją książkę.

– Przeczytałem. Nie wspominasz w niej o wybielaczu tlenowym.

– Hm. – Rhyme zawahał się przez chwilę. – Znajdziesz w ósmym wydaniu.

– Nie wiedziałem, że jest już ósme. Ja mam siódme.

– Ósme jeszcze nie wyszło – mruknął Rhyme. – Postaram się, żebyś dostał egzemplarz.

– Jeżeli przejmuję się swoim DNA, to może znaczyć, że jest w CODIS-ie – zauważył Pulaski.

Takim skrótem oznaczano bazę danych próbek DNA, do której miały dostęp organa ścigania. W odróżnieniu od bazy danych daktyloskopijnych, która zawiera miliony odcisków palców zarówno przestępców, jak i niewinnych obywateli (na przykład starających się o pracę w instytucjach rządowych albo o pozwolenie na noszenie broni), prawie wszyscy w bazie CODIS mają na sumieniu złamanie prawa.

– Możliwe, ale większość inteligentnych sprawców, takich jak Ślusarz, stara się zostawić po sobie jak najmniej.

– W takim razie dlaczego nie zabrał ze sobą kieliszka? – zastanawiał się głośno Cooper.

– Pewnie chciał mieć pewność, że to zobaczyła – zasugerowała Sachs. – W ten sposób najście miało bardziej agresywny charakter. Chce wyrządzić jak najwięcej szkód. Ma w sobie coś z sadysty.

– Czyli kieliszek jako dowód jest bezużyteczny – podsumował Pulaski.

– A kto tak twierdzi, Nowy? Mel, wybielacz. Podaj mi procentowy skład węglańu sodu i nadtlenu wodoru.

Technik podał mu stężenie obu składników.

Rhyme westchnął.

– Teraz to rzeczywiście bezużyteczne. W tych proporcjach to zwykły tlenowy wybielacz, jaki można kupić w każdym sklepie. Gdyby ilości były rzadko spotykane, moglibyśmy przyjąć założenie, że sam go przygotował, a to by znaczyło, że skończył chemię albo ma jakieś przygotowanie naukowe. Ale to? – Zniecierpliwionym gestem wskazał kieliszek. –

To na mój rozum świadczy co najwyżej o tym, że ma gotówkę i wie, gdzie jest sklep budowlany albo drogeria.

Zabrzączała telefon Sachs, która odebrała.

– Lon, słyszymy cię przez głośnik.

– Cześć. Przywitałbym się też z Lincolnem, ale wiem, że go nie ma. Na pewno wyjechał gdzieś na wakacje.

– Dzień dobry, Lon – zawołał Rhyme. – Rozumiem, że jesteś współspiskowcem.

Sellitto zachichotał.

– Tego nie słyszałem. Słuchajcie, rozmawiałem z działem prawnym Whittaker Media. Z głównym radcą, niejakim Douglasem Hubertem. Nie mają jeszcze żadnych nazwisk, ale spisze nam listę potencjalnych podejrzanych, którzy mogli mieć jakieś pretensje do gazety albo kanału telewizyjnego. Będzie długa. Sporo jest takich, którym nie podoba się ten szmatławiec.

– Niezadowoleni pracownicy?

– Ich Hubert też bierze pod uwagę. Powiedział również, że szef całego interesu, Averell Whittaker, odchodzi na emeryturę i sprzedaje firmę. Ciekawe, może Ślusarza wynajął potencjalny kupiec, a potem ujawnił historię prasie, żeby obniżyć cenę. Warto to sprawdzić.

– Tak zrobimy, Lon.

– Są jakieś tropy? – spytał Sellitto.

– Jeszcze nie.

– No dobra. Informujcie mnie o wszystkim.

Kiedy się rozłączyli, Rhyme powiedział:

– Wróćmy do roboty.

Sachs i Cooper zaczęli badać każdy dowód pod kątem obcych substancji, jakie Ślusarz mógł pozostawić na wykładzinie albo dotykanych przez siebie przedmiotach.

– Znowu zaschnięta krew. Z wykładziny przed sypialnią. Zgodna z próbką zabezpieczoną u Talese.

– Co wskazuje na to, że wszedł w sporą ilość. Może przetarł buty, ale nie chciało mu się dokładniej ich czyścić. Dobra, co jeszcze?

Pulaski notował odkrycia na tablicy, której treść Rhyme przestudiował.

– *Skradziono niebieskie majtki Victoria's Secret i nóż marki Zwilling J.A. Henckels.*

– *Strona z „Daily Herald”; strona nr 3 z numeru z 17 lutego, ta sama co w mieszkaniu A. Talese. Ta sama wiadomość: „Rozliczenie – Ślusarz”, napisana szminką ofiary.*

– *Ceglany pył.*

– *Krew. DNA zgodne z próbką zabezpieczoną po wtargnięciu do mieszkania Talese.*

– *Wapień.*

– *Piaskowiec.*

- *Drobiny asfaltu.*
- *Olej silnikowy.*
- *Ziarna sezamu.*
- *Wybielacz tlenowy.*

– Dodatkowe miejsca? – zapytał Rhyme.

Sachs i Cooper zbadali dowody zebrane w budynku Bechtel.

- *Odcisk buta nr 11 z tym samym wzorem protektora co u A. Talese.*
- *Piaskowiec.*
- *Wapień.*
- *Olej silnikowy.*
- *Detergent.*
- *Mikroskopijne drobiny mosiądzu.*
- *Zmiażdżona mucha domowa.*

– Przy wejściu nie było zupełnie nic – powiedziała Sachs. – Pod drzwiami, na odcinku podłogi prowadzącym do schodów i na samych schodach. A wyjście? – Skrzywiła się drwiąco. – Wybił okno z tyłu. Wyskoczył do bocznego zaułka, a potem odkręcił kran i zlał wszystko wodą z węża.

Woda niszczy ślady równie skutecznie jak ogień.

Rhyme westchnął.

– Co nam to mówi? Że chodzi ulicami Nowego Jorku.

Był zły. Jego żona i przyjaciele ryzykowali wyrzucenie z pracy, żeby dostarczyć mu materiał do badań, ale dowody nie zamierzały się odwdzięczyć.

– Potrzebujemy czegoś więcej.

– Mam myśl – odezwała się Sachs. – Wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje.

Opowiedziała o szarym cadillacu, którego kierowca zdradzał wyjątkowe zainteresowanie miejscem zdarzenia i nią samą.

– Nie mam pewności – może to był tylko zbieg okoliczności, ale przypuszczam, że ten człowiek nie odjechał. Chciał wiedzieć, kto i jak prowadzi śledztwo przeciwko niemu.

– Budynek Bechtel – stwierdził Rhyme.

Sachs skinęła głową.

– Wiemy, że wcześniej urządził sobie w nim punkt obserwacyjny. Może skorzystał z niego drugi raz, żeby mieć oko na śledztwo. Trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce. Okna są brudne – można przez nie wyjrzeć na zewnątrz, ale kiedy patrzy się z drugiej strony, w środku jest czarno. Wracam. Kto wie? Może tym razem był mniej ostrożny?

– Przyjaciele: znowu chcę wam powiedzieć o Nowym Jorku. Słyszeliście o tym szaleńcu, Ślusarzu? Włamuje się ludziom do mieszkań, żeby gwałcić i mordować. A może tylko tak MÓWIA, że jest wariatem? Dziennikarze uważają, że pracuje dla Ukrytych, jest żołnierzem, który sieje terror wśród mieszkańców miasta, aby posunąć do przodu destrukcyjny plan tego ruchu.

Czy ma sojusznika w ratuszu? Jeżeli Nowy Jork ma najlepszą policję na świecie, jak twierdzą władze miasta, to dlaczego nie potrafiła go powstrzymać?

Twierdzę, że policja też jest infiltrowana przez Ukrytych. I po prostu nie chce go znaleźć.

Mówię to do tych z was, którzy mieszkają w Nowym Jorku: gdy następnym razem w środku nocy usłyszycie jakiś trzask, czyjeś stąpanie albo oddech, być może nie będziecie sami. Może przyszedł po was Ślusarz – i Ukryci.

A czy policjant, którego wezwiecie, będzie po waszej stronie? Czy po ich?

Módlcie się i bądźcie gotowi!

Nazywam się Verum, po łacinie „prawda”. Oto wiadomość ode mnie. Od was zależy, co z nią zrobicie.

Teraz to Labyrinth gonił Brick.

Buryak przyglądał się temu z uśmiechem.

W Kijowie kilkunastoletni Viktor miał psa, mieszańca teriera, i najtrudniejsze w wyjeździe do Nowego Świata było rozstanie z Letem – przeszedł wtedy ulicami miasta prawie pięć kilometrów, by zostawić zwierzaka u kuzyna, Saszy, który uwielbiał Leta i z pewnością mógł mu zapewnić dobry dom.

Buryak przestał myśleć o swoich dawnych i obecnych zwierzętach, ponieważ zabrzączał telefon stacjonarny, sygnalizując, że ktoś wcisnął przycisk domofonu przy głównej bramie.

– Tak?

– Aaron.

Chwilę później Buryak patrzył na sylwetkę mężczyzny idącego ścieżką od strony podjazdu przed garażem. Gość miał ciemny garnitur, białą koszulę i różowy krawat. Rysy wskazywały na mieszane pochodzenie etniczne, chociaż miał jasną karnację – prawie tak jak cera Buryaka. Nosił rzadko widywane nakrycie głowy – czarny beret. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szeroki tors i muskularną sylwetkę.

Buryak dbał o liczne źródła zapewniające mu informacje, które potem sprzedawał na licytacji pod postacią traktorów czy hut żelaza. Aaron Douglass obsługiwał wąski, lecz zdecydowanie przydatny kanał, był też bez wątpienia najinteligentniejszym człowiekiem w organizacji.

– Sam to wymyśliłeś? – spytał go Buryak, gdy rozmawiali o jego błyskotliwym pomysłe gromadzenia informacji. – Chłopie, masz łeb jak sklep.

Douglass był też od czasu do czasu wzywany do wykonywania zadań specjalnych. Jako egzekutor. Podsuwał rozwiązania, które minimalizowały ryzyko wplątania w te sprawy Buryaka. Problemy udawało się rozwiązać, a jemu nigdy niczego nie udowodniono.

Ten człowiek był jego zaporą ogniową. Nie mógł go skaptować żaden śledczy ani prokurator, bo Buryak na niego też miał haki.

Do rezydencji prowadziły dwa wejścia. Za bramą podjazd rozwidłał się i prawa odnoga biegła do drzwi frontowych, a lewa do biura Buryaka. Jego żony akurat nie było w domu, ale Maria znała zasady. Poleciał jej, by krążyła po ulicach, jeśli przed biurem stał zaparkowany jakiś samochód – tak jak w tym momencie szary cadillac Douglassa.

Spotkanie nie miało trwać zbyt długo.

Douglass podszedł do drzwi biura i zapukał.



Buryak wstał, wpuścił go, po czym, jak postępował z każdą wchodzącą tu osobą, sprawdził ręcznym wykrywaczem, czy nie ma przy sobie urządzeń rejestrujących ani nadajników. Wynik był negatywny; Douglass, jak wszyscy pracownicy i kontrahenci, znał zasady, więc zostawił telefony i broń w samochodzie.

– Witaj, Aaron.

Gość zdjął beret i wcisnął do kieszeni marynarki. Może w nietypowym nakryciu głowy czuł się jak żołnierz.

– Gratuluję procesu, panie Buryak. – Przyjrzał się kotom, które przestały się gonić i teraz czyściły sierść. Zwalisty mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nigdy w życiu nie miał żadnego zwierzęcia. Usiadł na kanapie, którą wskazał mu gospodarz.

Nawet pochwalna wzmianka na ten temat wznieciła w nim złość.

– Niewiele brakowało, naprawdę niewiele. Na ulicy mówi się coś o Murphym?

– Trochę o tym, jak rok temu ukradł ładunek z samochodów i jak posuwał żonę Serge'a Lombrowskiego.

– Coughlin, mój adwokat, nie chciał w to wchodzić. Mówił, że to nie my mamy udowodniać, kto to zrobił. – Zachichotał. – Żona Lombrowskiego musiała się znaleźć w sytuacji bez wyjścia. Na litość boską, wystarczy spojrzeć na głowę Leona. – Łyk herbaty.

– No więc jak wygląda sprawa Chemika?

– Zaraz przedstawię panu szczegóły. Jego żona, policjantka, pracuje nad tą pokręconą sprawą Ślusarza.

– Jest żonaty?

– Zgadza się.

– A nie jest... – Buryak zawahał się. Nie chodziło o polityczną poprawność. Po prostu nie umiał sobie przypomnieć, jak nazywa się przypadek tego człowieka.

– Tetraplegikiem – powiedział Douglass. – Ale to nie znaczy, że nie może się ożenić.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Żonaty. Ciekawy fakt, i być może przydatny.

– A ta sprawa Ślusarza?

– Tak sam się nazywa albo tak go nazywają media. Włamuje się do mieszkań kobiet, przestawia im rzeczy i wychodzi. Potrafi sforsować każdy zamek w mieście w ciągu trzydziestu sekund.

– Zboczeniec.

– Chyba tak, ale nie doszło do żadnych gwałtów ani napaści. Nikogo nie zabija.

– No więc co, kradnie?

– Nie. Tylko miesza im w głowach.

Tyle wysiłku i ryzyka... żeby nie zarobić ani grosza? Szaleństwo.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Douglass wzruszył ramionami. – Przez cały ranek śledziłem Amelię. A właśnie, tu jest jej zdjęcie. Zrobiłem na miejscu zdarzenia.

– Atrakcyjna.

Douglass znowu wzruszył ramionami. W życiu nie wspominał o kobietach ani mężczyznach. Może seks go nie interesował. Należał do garstki osób, których Buryak nie mógł straszyć, że zrobi coś ich bezbronnej rodzinie.

Ale Douglass miał inną tajemnicę, dzięki której można go było trzymać w ryzach.

– Jak mówiłem, ma na imię Amelia. Jest detektywem. Pracuje przede wszystkim przy oględzinach miejsc zdarzenia. Obserwowałem ją, żeby sprawdzić, czy bada jakąś sprawę związaną z nami, z panem.

– Namierzyła cię?

– Nie, mogła zauważyć cadillaca, więc wymieniłem go na SUV-a.

– W takim razie muszę zadać ważne pytanie: czy Rhyme – i pewnie ona – zajmują się mną?

– Tak sądzę. Ustaliłem pewną rzecz. Amelia pojechała do jego domu, gdzie pracuje. Rhyme ma laboratorium...

– Tak, tak, dobrze wiem – burknął ponuro Buryak. – Central Park West trzysta.

Douglass przechylił głowę, a po chwili dodał:

– Tyle że zauważyłem coś dziwnego. Przy ulicy stał zaparkowany biało-granatowy wóz.

– Biało-granatowy? To ma być dziwne?

– To był policyjny radiowóz. Widziałem tylko, że siedzi w nim dwóch facetów. Po jakimś czasie z domu Rhyme'a wychodzi facet, a potem Amelia i daje znak tym dwóm, żeby weszli. Wyjmują z bagażnika skrzynki.

– Skrzynki?

– W środku były dowody zabezpieczone przez policję. Widziałem torebki. Z kartami ewidencyjnymi.

– Dlaczego przypuszczasz, że akurat mnie to dotyczy?

Douglass spojrział na niego, jak gdyby Buryak czegoś nie zrozumiał.

– Przecież pan słyszał, prawda? Ach, nie, no jasne. Przecież nie ogląda pan wiadomości.

Pasją Buryaka był sprzedawany przez niego towar: niepodważalne fakty, możliwe do zweryfikowania twarde dane. Żadne domysły, pogłoski, przypuszczenia.

Media...

– Rhyme został wyrzucony – kontynuował Douglass. – Już nie współpracuje z policją.

– Dlatego że...

– Dał ciała na pańskim procesie i tym samym spieprzył sobie notowania u burmistrza. Dlatego cokolwiek robią, to nie może być oficjalnie sprawa prowadzona przez policję Nowego Jorku. Chyba miał pan rację z tym, co pana kontakty usłyszały w prokuraturze. Szuka na pana haka.

– Arogancki bydlak. A teraz jeszcze stracił pracę. Tym bardziej ma powody, żeby się do mnie dobrać.

Podeszła Brick. Buryak pochylił się, by wziąć zwierzaka na kolana, lecz kotka uciekła. Przypomniawszy sobie o pewnym szwarczaku z filmów o Jamesie Bondzie – kot spokojnie siedział u niego na kolanach i pozwalał się głaskać. To nie był maine coon; ta rasa miała swój rozum. Pozwalały się pieścić, pod warunkiem że miały na to ochotę. W innym wypadku nie było takiej możliwości.

Buryak upił łyk herbaty. Gdy Douglass zaczął dla niego pracować, poczęstował go naparem, ale tamten podziękował. Podczas drugiej wizyty też odmówił. Buryak przestał mu go proponować.

– Podczas tego procesu ucierpiały moje nerwy – powiedział teraz. – Chciałbym znaleźć odrobinę spokoju. Maria ma masażystkę w Palm Beach i jeździ tam, gdy zżera ją stres. Ach, ileż bym dał za odrobinę spokoju...

Opanował taki sposób wyrażania się, jak gdyby każdego słowa słuchał prokurator.

Aaron Douglass z kolei opanował język Buryaka. Przypominał szyfr, wyraźnie czytelny, jeśli tylko znało się klucze.

Buryak wysyłał niedwuznaczny sygnał, który Douglass bez trudu przetłumaczył: znajdź kogoś sprawnego, dyskretnego fachowca, i dopilnuj, żeby „naprawił” sytuację z tym Rhyme’em i jego żoną, nie mieszając w to samego Buryaka.

– Sam czasami chodzę do masażysty – odpadł Buryak. – Bardzo dobrego. Wiem, że ma wolne terminy. Zaraz do niego zadzwonię.

– Tak, masaż. – Buryak przeciągnął się i wstał. Zerknął na koty. – Lepiej nakarmię inwentarz. Masz jakieś zwierzaki, Aaron?

Krótką chwilą wahania.

Zastanawiał się, czy rozsądnie jest zdradzać prywatne informacje?

– Nie.

– Och, potrafią wiele wniesić do życia.

– Zapamiętam.

Parkując forda torino przy krawężniku Wschodniej Dziewięćdziesiątej Siódmej, Sachs dostrzegła błysk bieli: w zachodnią przecznicę skręcił terenowy lexus i zniknął jej z oczu.

Miała wrażenie, że widziała go już wcześniej, bliżej domu Rhyme'a. Czyżby ten wóz ją śledził? Wypatrywała szarego cadillaca, którego już potem nigdzie nie zauważyła, ale teraz przyszło jej do głowy, że być może zastosowano podwójne krycie.

Ale kto to zrobił? I dlaczego?

Nic nie mogła na to poradzić. Trzeba mieć po prostu oczy dookoła głowy.

Zatrzymała się naprzeciwko budynku Bechtel, rzuciła na tablicę rozdzielczą policyjny identyfikator i wysiadła. Trzymając się zacienionej strony chodnika i często rozglądając się za szarymi sedanami i białymi SUV-ami – a także ewentualnymi pieszymi obserwatorami – ruszyła w stronę budynku. Kilka bram dalej przystanęła i przyjrzała mu się uważnie w poszukiwaniu zagrożeń.

Miała na myśli zagrożenia pochodzenia ludzkiego. Bo jeśli chodziło o sam budynek, nie miała wątpliwości, że to śmiertelna pułapka. Kamienna fasada wysokości trzech kondygnacji była zryta mnóstwem dziur i czarna od sadzy, a przez gzyms na szczycie, gdzie wyrzeźbiono nazwę „Bechtel”, biegło poziome pęknięcie. Wydawało się, że wystarczy silniejszy podmuch wiatru, by uszkodzona część budynku runęła na ziemię. W większości okien nie było szyb. Część północnej ściany zawaliła się na pustą działkę, a do środka wpadły spore fragmenty sufitu i ścian.

Nie zauważyła żadnego ruchu.

Połączyła się z centralą i zameldowała:

– Detektyw pięć osiem osiem pięć. Lokalizacja: Wschodnia Dziewięć Siedem, numer cztery dziewięć dziewięć. Odbiór.

– Zrozumiałem, pięć osiem osiem pięć.

Następnie wyciszyła motorolę; przypadkowe trzaski w głośniku zdradziły wielu funkcjonariuszy.

Podwójne drzwi od frontu, zamazane graffiti, ktoś zabił na głucho gwoźdźmi, ale można się było dostać do środka od strony działki – drogą, którą musiałyby wybrać Ślusarz, by wejść tam i obserwować budynek Carrie Noelle.

Dała nura pod dużą, pordzewiałą tablicą.

UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO!  
WSTĘP WZBRONIONY! NIE WCHODZIĆ!

Przecisnęła się przez furtkę w ogrodzeniu z siatki w niemalże akrobatyczny sposób, przez co jej udęczone przez artretyzm kości przeszył ból. Poddawała się różnym medycznym zabiegom, by poprawić ich stan, ale niektóre manewry przypominały o słabości jej stawów.

Sachs była przygotowana na zabezpieczanie śladów, gdyby okazało się, że Ślusarz wrócił, nie miała jednak na sobie kombinezonu z tyveku. Niezbyt rozsądnie byłoby wkładać biały strój, skoro musiała się liczyć z możliwością, że jej ofiara nadal czai się w ciemnych pomieszczeniach. Jedynym ustępstwem na rzecz kryminalistycznych zasad były czarne lateksowe rękawiczki, bejsbolówka, pod którą upchnęła włosy, i gumki recepturki nałożone na podeszwy butów – by odróżnić ich odciski od śladów pozostawionych przez sprawcę. Gdyby ślad został zanieczyszczony przez długi rudy włos, można by go z pewnością pominąć. Podobnie w przypadku włókna z jej kurtki.

Wewnątrz przystanąła przy zawalonej ścianie i stercie gruzu.

Nasłuchiwała.

Krople wody, ciche skrzypienie, które uznała za odgłos osiadania budynku.

Żadnego oddechu ani kroków.

Z kieszeni kurtki wyjęła krótką latarkę i zapaliła, trzymając czarny cylinder w lewej dłoni, aby prawa była wolna i można nią było w każdej chwili sięgnąć po broń. Snop światła omiółł hol na parterze. Odkąd była tu przed kilkoma godzinami, nie zaszła żadna widoczna zmiana. Starając się robić jak najmniej hałasu, podeszła do okna, przy którym stał Ślusarz, by mieć na widoku dom Carrie.

Napis ułożony z płytek ściennych na ocalałej ścianie informował, że sto lat temu rodzina Bechtel produkowała tu jakieś urządzenia gospodarstwa domowego. Dziś budynek wykorzystywano w zupełnie innym celu: podłogę zaśmiecały igły i fajki do cracku, a także posłania dla bezdomnych sklecone z podartych kartonów. Przy niektórych piętrzyły się góry brudnych ubrań. Stały też butelki po mocnym piwie i bardziej wysokoprocentowych trunkach. Najlepszym stosunkiem mocy do ceny mogła się poszczycić wódka.

Gdy przeczesywała światłem obszerne pomieszczenie, zauważyła szczegół, który świadczył o tym, że od jej poprzedniej wizyty istotnie ktoś tu był: na podłodze leżał papierek po cukierku Jolly Rancher o smaku zielonego jabłka.

Ślusarz? Ćpuni mogli lubić słodyczne, jak wszyscy, ale prawdopodobnie z własnej woli nie wpakowaliby się do budynku otoczonego policyjną taśmą.

Opakowanie po cukierku powędrowało do torebki na dowody. Sachs rolką samoprzylepną zebrała próbki mikrośladów z miejsca, gdzie leżało. Następnie oderwała z rolki taśmę i wsunęła do drugiej torebki.

Bez pośpiechu kontynuowała oględziny, szukając śladów butów do biegania numer 11. Jeżeli sprawca chciał obserwować działania policji, z okna od frontu niewiele mógł zobaczyć, ale z okien od południowej strony budynku miałby dobry widok na miejsce, gdzie pracowała z ekipą techników.

Zamierzała tam sprawdzić, ale wcześniej przyszła jej do głowy inna myśl. Czy to możliwe, że budynek miał jednak jakichś mieszkańców, którym na przykład udało się zobaczyć Ślusarza?

Sachs ruszyła w stronę ciemniejszych zakamarków, zostawiając za sobą dzieńne światło i polegając wyłącznie na latarce. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by nasłuchiwać kroków, oddechu, jęku desek pod ciężarem butów.

Trzasku odbezpieczanego pistoletu albo otwieranego noża.

Mężczyzna w głębi budynku Bechtel obserwował kołyszący się tam i z powrotem snop światła latarki.

Zobaczył, jak kobieta przystaje, przechyla głowę i nasłuchuje. Znowu ruszyła. Zachowywała się z ostrożnością, jakiej można się było spodziewać u osoby zapuszczającej się w głąb takiego miejsca. Szła, zatrzymywała się, po czym szła dalej.

Lyle Spencer był potężnie zbudowanym mężczyzną o wzroście stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrów i wadze stu dziewięciu kilogramów. Przez wszystkie etapy życia utrzymywał się dzięki swoim warunkom fizycznym. Na siłę mięśni zawsze mógł liczyć. Mięśnie działały sprawnie.

Miał pociągłą twarz o niespotykanych surowych rysach i ciemne oczy, których kolor podkreślała blada cera. Głowę przyprószały króciutko ostrzyżone jasne włosy w popielatym odcieniu. Potężnie rozwinięte mięśnie zawdzięczał staroświeckim ciężarkom i sztangom. Gardził maszynami do ćwiczeń, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Miał szerokie dłonie o długich palcach. Kiedyś złamał człowiekowi nadgarstek, używając tylko kciuka i dwóch palców.

Ponieważ przebywał tu nielegalnie i w budynku Bechtel panowała duszna atmosfera, pomyślał o incydencie sprzed lat, z udziałem innej kobiety, którą zabił starannie wymierzonym strzałem w tył głowy. Drugi pocisk trafił w cel z równą precyzją, ale był pewien, że śmierć spowodował już pierwszy.

Oczy Spencera przywykły już do ciemności, więc poruszał się sprawnie w tę samą stronę co kobieta, trzymając się za nią. Przed każdym krokiem uważnie spoglądał na podłogę.

Uwagę kobiety przykuło coś w południowo-zachodnim rogu hali produkcyjnej. Spencer zastanawiał się, co to może być. W każdym razie szczęśliwie się złożyło. Jeżeli ta rzecz zainteresuje ją na dłuższą chwilę, będzie mógł podejść bliżej. Zerknął na podłogę i zauważył kawałek rury długości około pół metra. Bezszelestnie ją podniósł.

Przeszedł przez ciemny salon wystawowy, gdzie przed laty stały solidnie zbudowane kuchenki, lodówki i zmywarki, prawdopodobnie białe, chociaż może nie tylko, bo wydawało mu się, że w połowie zeszłego wieku modne były też jasna zieleń i róż.

## ROK ZAŁOŻENIA 1925

Mroczone korytarze, zapach mokrego kamienia, zapach pleśni.

Przypomniawszy sobie woń krwi kobiety, którą wtedy zastrzelił. I jej męża. Tamtego dnia zabił ich oboje.

Teraz cicho kroczył naprzód i przyglądał się światłu latarki, a na podstawie szerokości jasnego krążka na ścianie domyślał się mniej więcej, w którym miejscu kobieta stoi i ogląda to, co ogląda. Jeżeli przystanęła w tamtym rogu, to tak, naprawdę dobrze się złożyło. Lyle Spencer był zwałistym mężczyzną, potrafił jednak poruszać się z dużą szybkością. Wzrost zawdzięczał przede wszystkim długości nóg, nie tułowia. Stawiał spore kroki.

Rozważał możliwości.

Tak naprawdę miał tylko jedną.

Podejść do niej od tyłu.

Snop światła latarki wolno przesuwał się po podłodze. Kobieta musiała być odwrócona tyłem do drzwi, przy których się znalazł.

Teraz, powiedział sobie. I zrobił krok naprzód.



## 30

Świat Lyle'a Spencera zapłonął białym ogniem.

– Rzuć ten pręt. Mam broń. I strzelę. – Jej głos ciął jak brzytwa.

Odwrócił się, wpatrzony w oślepiające światło w jej dłoni.

Sprytne. Zerknął w bok. Kobieta przywiązała do latarki torbę na zakupy – na podłodze walały się ich dziesiątki – i zawiesiła na szkielecie starego urządzenia, żeby go zmylić. Druga latarka w ogóle nie była latarką, tylko aplikacją w telefonie.

Z rozczarowaniem pokręcił głową i spokojnie spojrzał na wymierzoną w siebie lufę pistoletu.

Rura, teraz skierowana w stronę podłogi, kołysała się w jego dłoni jak kij bejsbolowy w rękę zawodnika, który zmierza w stronę bazy.

– Jestem funkcjonariuszką policji. Rzuć ten pręt. Jeżeli zrobisz krok, strzelę.

Nie miał cienia wątpliwości, że ona to zrobi.

Rura poruszała się jak wahadło – tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Trzymała pistolet pewną, nieruchomą dłonią. Wiedział, że te większe glocki wcale nie należą do lekkich.

Tam i z powrotem.

– Rób, co mówię. – Inny gliniarz na jej miejscu pewnie by krzyknął. W jej głosie brzmiał lodowaty spokój. Ostateczne ostrzeżenie.

Chwilę później upuścił rurę, która uderzyła w beton i odbiła się z podwójnym brzękiem przypominającym głuchy odgłos dzwonu.

Idę ulicą na Upper East Side, nie odrywając wzroku od stojącego skrzyżowanie dalej pojazdu, do którego zamierzam się włamać.

Na widok marki i modelu samochodu nie mogę powstrzymać myśli o Angliku Josephie Bramahu, który pod koniec osiemnastego wieku zbudował zamek na klucz cylindryczny do tego stopnia wyrafinowany, że pozostał w użyciu do dziś. Wyznaczył sowitą nagrodę dla osoby, której uda się sforsować zamek. Nikt nie zdołał tego uczynić przez sześćdziesiąt siedem lat, aż do wystawy wynalazków w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym roku, gdzie nagrodę zdobył nie kto inny jak mój idol, Alfred Hobbs.

Zamki cieszyły się sporym popytem, ale Bramah nie potrafił produkować ich w takim tempie, by przyniosły mu zysk. Dlatego pomysłowy wynalazca (pompy do piwa,

nowoczesne toalety, maszyna do drukowania banknotów) wynalazł coś, co znacznie poprawiło sytuację jego firmy, mianowicie linię montażową.

A to z kolei podobno zainspirowało Henry'ego Forda, który skorzystał z tego pomysłu, by produkować samochody.

Tak się składa, że właśnie mam zamiar włamać się do potomka słynnego ford model T.

Jeżeli chcesz sforsować zamek pojazdu, możesz skorzystać z symulatora albo tak zwanego próbnika klucza. Wyglądają bardzo podobnie do standardowych kluczy patentowych, ale są całkiem płaskie. Mój zestaw składa się z piętnastu sztuk. Tkwią na kółku w kieszeni kurtki i kiedy podchodzę do samochodu, gładzę je palcami.

Owszem, panie posterunkowy, potwierdzam, że posiadam przy sobie narzędzia do forsowania zamków z zamiarem użycia ich do popełnienia zabronionego czynu.

Do otwarcia zamka samochodowego lepiej jest skorzystać z grabek i napinacza – a jeszcze szybciej jest wyjąć cały bębenek za pomocą młotka bezwładnościowego do usuwania wgnieceń w karoserii – żadna z tych metod nie ma jednak zastosowania w tym przypadku. Symulator można włożyć do zamka i manipulować nim jedną ręką, jak gdyby używało się zwykłego klucza. Gdyby ktoś to obserwował, może zastanowiłby się, co kombinujesz, ale jeżeli udasz, że rozmawiasz przez telefon i z roztargnieniem bawisz się kluczykiem, może nikt się nie zorientuje.

W mojej dłoni pojawia się telefon, w drugiej pęk symulatorów. Rozglądam się. Ulica nie jest pusta, ale i nie zatłoczona, a co ważniejsze, wiem, że właściciel samochodu jest w tym momencie zajęty gdzie indziej.

Otwieram drzwi drugim próbnikiem. Na kierownicy nie ma mechanicznej blokady, co wydaje mi się dziwne. Taki wóz można ukraść bez większego trudu. O to właśnie chodzi w zamkach i urządzeniach zabezpieczających. Wszędzie można się włamać; nigdy nikt nie będzie potrafił zabezpieczyć niczego w stu procentach. Trzeba się po prostu postarać, by mieszkanie albo samochód były odporniejsze na włamanie niż u sąsiadów.

Przypuszczam, że jest wyłącznik blokady zapłonu ukryty gdzieś pod deską rozdzielczą. Może dwa. Może nawet sterowany radiowo.

To bez znaczenia. Nie zamierzam kraść tego auta; sam obecnie jeżdżę całkiem luksusowym wozem.

Interesuje mnie tylko jedno. I potrzebuję zaledwie kilku minut, by odnaleźć to, na czym mi zależy. Nie w schowku, ale przymocowane gumkami recepturkami do osłonki przeciwsłonecznej nad kierownicą. Zapamiętuję to, co znalazłem, a dziesięć sekund później drzwi są z powrotem zamknięte na klucz, a ja maszeruję ulicą, recytując w duchu adres.

To naprawdę bardzo dobra wiadomość.

Czytałem, że Lincoln Rhyme mieszka na Upper West Side, a skoro adres, który właśnie zapamiętałem, jest na Brooklynie, to znaczy, że nawet po ślubie jego żona, Amelia, ta od oględzin miejsc zdarzenia, niektóre noce spędza sama.

Fantazja, którą snułem wcześniej, miała podstawy w rzeczywistości.  
Amelia ma osobną własną sypialnię.

## 31

Kiedy stali w zrujnowanej, na wpół zawalonej hali produkcyjnej budynku Bechtel, Sachs zwróciła mężczyźnie prawo jazdy i legitymację pracowniczą.

Czterdziestodwuletni Lyle P. Spencer był szefem ochrony w Whittaker Media Group, wydawcy „Daily Herald”. Zobaczył czyjąś sylwetkę w zwykłym cywilnym ubraniu, a nie widząc szczegółów, pomyślał, że jest narkomanką albo dilerką.

– Albo Ślusarzem – dodał dźwięcznym barytonem.

– Ślusarzem? – zdziwiła się.

– Macie dowód na to, że to mężczyzna?

Ciekawa myśl. To były tylko założenia.

– Męski but numer jedenaście. Ale odpowiedź na pana pytanie brzmi: nie, nie mamy dowodu.

– Próbowałem się tylko wydostać drzwiami, które ma pani za plecami. I z ulicy zadzwonić na policję. Zgłosić, że w budynku jest intruz.

– A rura? – Zerknęła na podłogę.

– Na wszelki wypadek, gdyby przyszło co do czego.

Spytała go, dlaczego nie nosi broni palnej.

– Nie mam.

– Pracuje pan w ochronie i nie ma pan licencji? – W tym mieście zdobycie pozwolenia na noszenie ukrytej broni jest prawie niemożliwe, wyjątek stanowią jednak osoby, które potrzebują jej z powodów służbowych.

– Prowadzę firmę ochrony w Nowym Jorku. Rzadko wychodzę w teren.

Spencer dodał, że jeżeli już rusza w miasto – jak teraz – używa środków ochrony osobistej, co w zupełności mu wystarcza.

Sachs pomyślała o tym, jak odstrasząco działa jego postura. Miał potężne ramiona, pierś i nogi.

– Zdaje pan sobie sprawę, że wszedł pan nieupoważniony na miejsce zdarzenia.

Wzruszył ramionami.

– Formalnie rzecz biorąc, przebywanie w granicach terenu uznanego za miejsce zdarzenia nie jest przestępstwem. Wykroczeniem cywilnym tak, ale jeżeli skargę wniesie właściciel miejsca, a wygląda na to, że ten myśli przede wszystkim o swoim bankructwie. Panią interesuje tylko jedno przestępstwo: fałszowanie dowodów rzeczowych, czyli

modyfikowanie, niszczenie, kamuflowanie albo usuwanie ich w celu zatajenia prawdy albo ukrycia jej przed wymiarem sprawiedliwości lub organami ścigania.

Wyrecytowana formułka wiele jej powiedziała o Lyle'u P. Spencerze.

– Zaraz do tego przejdziemy – odparła. – Po co pan tu przyszedł?

Wyjaśnił, że kiedy szef dowiedział się o tym, że ktoś zostawił „Heralda” w obu mieszkaniach, do których dokonano włamania, polecił mu zbadać tę sprawę.

– Z tego, co słyszałem, jego modus operandi – na razie przyjmę, że to mężczyzna – wskazuje na świetnie zorganizowanego przestępcę. To oznacza, że zanim zakradł się do mieszkań ofiar, obserwował budynki. Na miejscu pierwszego incydentu, u Annabelle Talese na West Side, nie znalazłem takiego miejsca.

– Prawdopodobnie był w barze po drugiej stronie ulicy, ale zanim na to wpadłam, lokal zdążyli wyszorować na błysk.

Skinął głową i rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Ale już to miejsce było idealnym punktem obserwacyjnym przed wczorajszą akcją.

– W pierwszym mieszkaniu znaleźliśmy ceglany pył. To on nas tu doprowadził.

– Jasne. Naniósł go na podeszwach butów i tam zostawił, a wy metodą eliminacji wytypowaliście budynek Bechtel. Sprytnie. – Wyraźnie był pod wrażeniem. – A teraz wrócił.

– Papierek po cukierku. Zauważył pan? – spytała Sachs.

– Żaden spec od kryminalistyki nie przegapiłby go za pierwszym razem. Jeżeli to on go zostawił, to pewnie przyszedł tu obserwować operację, sprawdzić, kto próbuje go złapać.

– Właśnie po to przyjechałam. Gdzie pan służył?

– W Albany. Po służbie w marynarce trafiłem do patroli, potem zdobyłem złotą odznakę. Ale z powodu rodziny doszedłem do wniosku, że większy sens ma prywatna firma ochrony. Zarabiam dwa razy więcej niż dawniej i nikt do mnie nie strzela. – Zerknął na glocka na jej biodrze.

– Żandarmeria?

– Nie, byłem w oddziale specjalnym, SEALs.

– Sprawdził pan cały budynek?

– Parter. Nie da się bezpiecznie dostać na górę, ale jemu też byłoby trudno. Nie widziałem żadnych śladów butów ani dowodów, poza tym papierkiem.

– Czy pan Whittaker domyśla się, kim może być Ślusarz?

– Rozmawialiśmy o tym, ale nie, nie domyśla się.

– Kontaktowaliśmy się z waszym działem prawnym – powiedziała Sachs. – Przygotowują listę gróźb i zażaleń.

– Wiem. Zajęli się tym ludzie Douga Huberta. Będą bardzo staranni.

– Mógłby mi pan umożliwić spotkanie z samym Averellem Whittakerem? – zapytała.

– Tak, mógłbym.

Skończyli obchód i Sachs nie dostrzegła niczego, co by świadczyło o tym, że Ślusarz zapuszczał się gdzieś głębiej poza frontową część budynku. Spencer starał się stąpać po żwirze, unikając płaskich odcinków podłogi, które pokrywała warstwa charakterystycznego czerwonego pyłu.

Obserwowała jego oczy i ciało, gdy stęzał na widok szczura, który wychynął z kupy kamieni, przyjrzał się dwojgu intruzom i wycofał się wolno, wyraźnie zirytowany.

Wrócili do drzwi, po czym Sachs wyszła na zewnątrz – uciekając przed nieprzyjemnym wrażeniem, że budynek lada moment runie i pogrzebie ich żywcem.

– Muszę spytać pana o coś jeszcze – przypomniała sobie.

Spencer był szybszy.

– O której doszło do włamania? Chyba wcześniej, prawda?

– Około czwartej rano.

– Mam mieszkanie w Whittaker Tower. – Wyjął notes i długopis, zanotował nazwisko i numer telefonu. Wydarł kartkę i podał Sachs. – To szef ochrony budynku. Pokaże pani rejestr identyfikatorów RFID i zapis z kamery wideo przy wejściu. Wróciłem do domu o pierwszej w nocy i wyszedłem do pracy o szóstej.

Wsunęła kartkę do kieszeni.

– A pani o co chciała zapytać? – dodał, jakby nie mógł się powstrzymać.

## 32

No, to się nazywa wóz.

Lyle Spencer siedział na miejscu pasażera w jej czerwonym fordzie torino cobra. Jechali do Rhyme'a, by odstawić dowody zabezpieczone przez Sachs w budynku Bechtel, a potem mieli zamiar skierować się do strzelistej Whittaker Tower na spotkanie z szefem imperium medialnego.

– Ile ma pod maską? – spytał Lyle.

– Czteryście pięć.

– Cudo.

– Zna się pan na samochodach.

– Oglądam Formułę 1. – Poinformował ją o tym tonem, który oznaczał: ale kto nie ogląda? – W czasach, gdy mieszkałem na północy stanu, bawiłem się trochę w wyścigi wozów z salonu. Pewnie pani wie, co to jest.

Amelia Sachs tylko się uśmiechnęła.

Samochody wyścigowe dzielą się na wiele kategorii i ścigają się na wielu rodzajach torów. Pierwotnie auta „seryjne” rzeczywiście pochodziły z salonu i nie były w żaden sposób modyfikowane. Potem różne organizacje wyścigowe – największa z nich to NASCAR – pozwoliły na przeróbki. Aby samochód spełniał warunki pojazdu „z salonu” albo „seryjnego”, musiał być niemal identyczny z produktem dostępnym dla zwykłego klienta, z wyjątkiem kilku niezbędnych modyfikacji, jak na przykład klatka bezpieczeństwa.

Czuła na sobie jego wzrok, gdy manipulowała dźwignią czterobiegowej skrzyni, a potem ze zgrzytem wrzuciła dwójkę, ostro skręciła w przecznicę i spokojnie wyszła z poślizgu. Koła reagowały posłusznie.

Spencer kiwał głową.

– Sama pani widzi. Budowę raczej nie przypominam dżokeja. Największy problem miałem, żeby wcisnąć się do klatki. Chciałem, żeby skrócili mi kolumnę kierownicy, ale mieli opory przed wydaniem takiej decyzji. – Poklepał deskę rozdzielczą. – W paru wyścigach jeździłem właśnie takim.

– Torino?

– Zgadza się. Talladegą.

Sachs parsknęła śmiechem.

– Nie.

– Mhm.

W początkach wyścigów żaden seryjny wóz nie zyskał takiej sławy jak przeprojektowany torino cobra z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego, na cześć słynnego toru nazwany talladega. Samochód zdominował wyścigi NASCAR na przełomie sześćdziesiątego dziewiątego i siedemdziesiątego.

– Już się pan nie ściga?

– Nie. Nawet nie mam samochodu. Kiedy przeprowadziłem się do miasta, sprzedałem SUV-a. W ciągu jednego dnia wlepili mi cztery mandaty. Kiedy potrzebuję wozu, idę do Avisa albo Hertz.

W jego głosie zabrzmiała nuta smutku. Pewnie tęsknił za jazdą. Świetnie to rozumiała. Moc tłoków, skowyt silnika, prędkość, wrażenie, że wóz zawsze balansuje na krawędzi i lada chwila wymknie się spod kontroli. To intensywne uczucie, że jesteś częścią samochodu, a on częścią ciebie... Można się od tego uzależnić.

– Jeżeli wszystko się ułoży – powiedziała – może będzie się pan nim mógł przejechać.

Oczy mu rozbłysły.

– Chyba o tym pomyśle.

Ominęła żółtą taksówkę, której kierowca, stukając w ekran telefonu, wjechał na jej pas. Kątem oka zobaczyła, że Spencer lekko wyprostował lewą nogę i przesunął prawą rękę do tyłu, nieświadomie naśladowując jej gwałtowne ruchy, gdy wcisnęła sprzęgło i zredukowała bieg.

Dziesięć minut później zatrzymali się przed domem Rhyme'a.

– Pewnie będzie pani chciała zweryfikować moje alibi – powiedział Spencer.

Sachs wrzuciła jedynekę, wyłączyła silnik i zaciągnęła ręczny. Stuknęła palcem w telefon.

– Już to zrobiłam.

Napisała w jego sprawie do Lona Sellitta i poprosiła, by zadzwonił do ochrony w Whittaker Tower.

– Szybko.

– Mamy niewiele czasu. Musiałam wiedzieć, co z panem zrobić, zaufać czy zapuszkować. Za pięć minut wracam. – Wysiadła, lecz po chwili odwróciła się do niego i nachyliła się nad otwartym oknem. – Mam do pana prośbę.

– Jeżeli trafię na trop jakiegoś zagrożenia, nawet gdyby prowadził do kogoś w firmie, dam pani znać.

– Dobrze, w takim razie mam dwie prośby. O pierwszej właśnie pan wspomniał. Druga to taka, żeby nikomu pan nie mówił, że dowody, które właśnie zebrałam, trafiły pod ten adres.

– Czyli gdzie? – Patrzył na majestatyczną sylwetkę domu Rhyme'a.

– Mieszkamy tu z mężem – wyjaśniła. – Lincolnem Rhyme'em. Jest ekspertem kryminalistyki. Byłem funkcjonariuszem policji Nowego Jorku.

– Chwileczkę. Lincoln Rhyme to pani mąż?!



Skinęła głową.

– Niech mnie szlag! – Wiadomość wyraźnie zrobiła na nim wrażenie, a jednocześnie go zdumiała. Po chwili się uśmiechnął. – Jakie dowody? Nic nie wiem o żadnych dowodach.

– Wzruszył ramionami, a Sachs zastanawiała się, czy skutek takiego gestu kiedyś puściły mu szwy w jakiejś części garderoby. – Zdarzają mi się objawy amnezji. Chciałem z tym iść do lekarza, ale ciągle zapominam się umówić. – Wygłosił to z kamienną twarzą.

Wydobyła z kieszeni czarne nitrylowe rękawiczki i włożyła.

– Nie jest pan ciekaw, dlaczego o to proszę?

– Prowadzi pani półlegalną operację, o której zwierzchnicy nie powinni się dowiedzieć. Może w grę wchodzi korupcja, może polityka, może wzięła pani na cel nie tego, kogo trzeba. Znam to, przerabiałem. – Lyle Spencer, który według jej obliczeń ostatniej nocy przespał cztery godziny, ziewnął, rozciągnął się na siedzeniu, jak tylko się dało, skrzyżował ramiona na potężnej piersi i zamknął oczy.

## 33

Tu są wszystkie konsekwencje podatkowe – powiedział mężczyzna o wyglądzie człowieka, który wie wszystko o wszelkich konsekwencjach podatkowych.

Miał bladą cerę jak ktoś, kto spędza większość dni w biurach przed ekranami komputerów i kalkulatorów. Popielaty garnitur, biała koszula, starannie ostrzyżone włosy. Czterdzieści kilka lat. Patrząc na jego okulary, Averell Whittaker pomyślał, że powinno się je raczej nazywać binoklami.

Rozmowa toczyła się w prywatnym gabinecie Whittakera na najwyższym piętrze wieżowca, który nazwano nazwiskiem jego rodziny. Budowla wznosiła się przy zamożnej Park Avenue.

Księgowy trzymał dłoń na grubym dokumencie, jakby to była bomba z zapalnikiem uderzeniowym i gdyby tylko zwolnił sprężynę, wybuch przyniósłby tragiczne skutki.

I rzeczywiście trudno byłoby nazwać to inaczej.

– Dziękuję, John – powiedział Whittaker. – Przejrzę to.

Nie zamierzał tego robić. Doskonale wiedział, co się stanie, i doskonale znał konsekwencje, nie tylko podatkowe. To było zadanie Johna, który z kilkunastoosobowym zespołem miał pilnować interesów Whittakera i jego firm. I powstrzymać go przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

Ale to, co zdaniem niektórych jest głupstwem, w oczach innych uchodzi za szlachetność.

– Langston, Holmes mówi, że papiery będą gotowe w przyszłym tygodniu – rzekł Whittaker.

Chwila ciszy.

– W porządku.

Wypowiedział to takim tonem, jak gdyby szef właśnie oznajmił, że zamierza zjechać na linie z trzystumetrowego urwiska.

W nocy, podczas nawałnicy.

Po wyjściu księgowego Whittaker wziął do ręki hebanową laskę zwieńczoną mosiężną rzeźbą przedstawiającą kobiecą głowę. Wybrał tę zamiast lżejszej z gumową końcówką, którą zalecali mu lekarze, ponieważ w twarzy kobiety można było dostrzec pewne podobieństwo do Mary.

Wstał i pokuśtykał w stronę okna. W staroświeckim lustrze zdobiącym jedną ze ścian dostrzegł własne odbicie. Miał szarą twarz, choć jej niezdrowy wygląd zupełnie nie

pasował do gęstych, śnieżnobiałych włosów, rzymskiego nosa, brwi czarodzieja i przenikliwych, czarnych jak węgiel oczu.

Po chwili spojrzął przez okno na panoramę, która obejmowała może trzysta tysięcy ludzi. Gdzie jesteś?

Wrócił do komputera i nie siadając, otworzył skrzynkę mailową.

Znowu ogarnęła go rezygnacja. Choć tak naprawdę nie spodziewał się odpowiedzi.

Miał jednak cień nadziei. Zaledwie cień.

Gdzie...?

Kitt,

proszę, wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia, synu. Popełniłem błędy. Źle cię traktowałem. Nie słuchałem cię. Będę szczery. Nie mogę się tłumaczyć niewiedzą. Przecież zdawałem sobie sprawę, co robię, i każdy mój krok był występkiem. Grzechem. Chciałbym jednak, żebyś zapomniał o tym, co było. Wszystko kończę. Zostało mi niewiele czasu, żeby to naprawić, ale nie pragnę niczego bardziej na świecie...

List ciągnął się bez końca.

I też nie doczekał się odpowiedzi.

Whittaker wrócił pamięcią do ich ostatniej rozmowy, w barze w Donelli's, eleganckim lokalu dla eleganckich ludzi – w większości królów i królowych mediów i przeróżnej maści celebrytów.

Często tam bywał i dla niego była to po prostu knajpka, do której wpadał na drinka.

Zważywszy na opinię syna na temat profesji ojca, nie mógł gorzej wybrać miejsca na spotkanie z Kitem. Na domiar złego chłopak pojawił się w dżinsach i flanelowej koszuli. Nawet podrzędny personel ubierał się lepiej.

Powinienem być wybrać coś innego, pomyślał wtedy.

Rozmowa toczyła się kulawo, jak zablocony range rover podczas fotograficznego safari, na które kilka lat temu pojechali całą rodziną.

Kitt idealista, Kitt aktywista nie przestawał się dziwić, dlaczego ojciec nie chciał porzucić „dziennikarstwa” spod znaku Whittaker Media Group – szczupłe palce syna zawsze uzupełniały to pytanie cudzysłowem.

Whittaker przez chwilę miał na końcu języka uwagę, że dzięki swojej firmie mógł wysłać syna do dobrej szkoły i zebrać na przeznaczonym dla niego rachunku całkiem pokaźną kwotę na przyszłość.

Dzięki Bogu, zachował spokój. Choć najwidoczniej z powodu czegoś, co stało się podczas tego krępującego spotkania, rozdzieliła ich głęboka przepaść, której już chyba nie dałoby się zasypać.

Nie rozmawiali od ośmiu miesięcy.

Wreszcie Whittaker zebrał się na odwagę. I zaledwie przed kilkoma dniami wysłał e-mail.

Kitt, proszę, wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia...

To żenujące, ale wtrącił w wiadomości: Przykro mi to mówić, ale lekarz nie daje żadnych nadziei.

Zagranie tą kartą było oznaką najwyższej rozpacz.

Synu, rozwiązuję firmę przede wszystkim z twojego powodu. Zdaję sobie sprawę, że nie byłem takim ojcem, jakim powinienem. Mężem i bratem też nie. Byłem okrutny wobec pracowników, okrutny wobec osób, o których pisaliśmy. Byłem okrutny dla własnej rodziny, zwłaszcza dla ciebie. Ostatecznie uzmysłowiła mi to twoja nieobecność. Proszę, usiądźmy i...

Gdzie jesteś?

Usłyszał, że wibruje telefon. Odkąd zachorował – to znaczy, odkąd choroba postanowiła przestać się czać i wystąpiła z podniesioną przyłbicą – stał się nadwrażliwy na głośne i drażniące dźwięki.

Zerknął na ekran.

– Słucham, Jo.

Cichy, spokojny głos jego bratanicy powiedział:

– Jest ta policjantka. Ta, o której mówił Spencer.

– Dobrze. Już wychodzę.

Westchnął. Policja... W sprawie tego pomyleńca, który terroryzował ludzi i zostawiał numer „Daily Herald”.

Zbierały się nad nim czarne chmury. Całe ławice czarnych chmur.

Nie. Stada sępów...

Ściskając w dłoni laskę, wolno ruszył do drzwi przez perski dywan, w którym dominował błękit przypominający kolor oczu Mary.

## 34

Powoli otworzyły się szerokie mahoniowe drzwi o głębokiej czerwobrunatnej barwie, które najprawdopodobniej prowadziły do prywatnego gabinetu, i wyłonił się zza nich mężczyzna.

Wspierał się na czarnej lasce z mosiężną główką. Nie był stary. Amelia Sachs oceniała, że nie skończył jeszcze siedemdziesiątki. Kiedyś był przystojny, teraz jednak zapadł się w sobie i zmizerniał. Miał obwisłą skórę, szarą cerę. Przypuszczała, że to raczej wina nowotworu niż przypadłości kardiologicznej. Wyczuła zapach kwiatowej wody kolońskiej. Ciemny garnitur i biała koszula nie wyglądały na zbyt luźne. Ze zdjęć nad kominkiem i na ścianach wynikało, że ostatnio sporo stracił na wadze, co oznaczało, że te ubrania zostały kupione lub uszyte na miarę niedawno, choć dni ich właściciela były policzone. Walczymy z chorobą na wielu frontach.

Averell Whittaker czule skinął głową dwojgu ludziom, których Sachs zdążyła już poznać: Joannie Whittaker, jego bratanicy, i jej narzeczonemu, Martinowi Kempowi. Przywitał też Lyle'a Spencera.

W pomieszczeniu była obecna jeszcze jedna osoba, Alicia Roberts, uzbrojona strażniczka przydzielona do osobistej ochrony Whittakera. Solidnie zbudowana blondynka z włosami spiętymi w ciasny kok miała na sobie ciemny garnitur. Wyglądała na byłą żołnierkę.

Sachs przedstawiła się i uściśnięła suchą, zdecydowaną dłoń Whittakera. Usiadł, poprawił poszetkę w tureckie wzory i wszystkim obecnym dał znak, by usiedli. Policjantka wybrała kremowy skórzany fotel. Nie tak dawno razem z Rhyme'em tropili przestępcę we Włoszech i miała okazję siedzieć na bardzo ekskluzywnych meblach. Fotel śmiało mógłby z nimi konkurować.

Kiedy Lyle Spencer usiadł, fotel aż pod nim jęknął.

Apartament należał do mieszkalnej części Whittaker Tower. Budynek do dziesiątego piętra pełnił funkcje komercyjne – był siedzibą gazety, stacji telewizyjnej i kanałów radiowych Whittaker Media Group – wyżej urządzono prywatne mieszkania. Ogromny salon udekorowano z dyskretną elegancją. Na jednej ścianie ujrzała Picassa. Na innej malarza, który stworzył puentylizm – nigdy nie potrafiła przypomnieć sobie jego nazwiska. Za wychodzącymi na północ oknami, które sięgały od podłogi po sufit, widać było Bronx, a wysokość sześćdziesięciu czterech pięter pozwalała chyba dojrzeć pierwsze kręgi zabudowań Westchester.

W tym pokoju spokojnie mógłby się w całości zmieścić jej dom na Brooklynie.

– Czy ten człowiek, który przedstawia się jako Ślusarz – zaczął Whittaker – i zostawia gazety, nikomu nie zrobił jeszcze krzywdy?

– W tych dwóch przypadkach, które miały miejsce w ostatnie dwa dni – nie. Włamuje się do mieszkań, przestawia przedmioty i daje właścicielce do zrozumienia, że złożył jej nocną wizytę.

– Boże – szepnęła Joanna.

– Znaleźliśmy niewielką ilość krwi, ale nie było żadnych innych śladów przemocy.

Sachs wyjęła z wewnętrznej kieszeni notes i włączyła długopis, by był w pogotowiu. Z pytającym wzrokiem uniosła dyktafon Sony, a gdy wszyscy przyzwalająco skinęli głowami, włączyła zapis.

– Dwie ofiary twierdzą, że nie mają żadnych związków z nikim z pańskiej gazety ani telewizji. Nie wiedzą, dlaczego ten człowiek zostawia strony z gazety. – Podała ich nazwiska. – Czy ich nazwiska mówią coś państwu?

Członkowie rodziny spojrzeli po sobie.

– Nie – odparł Whittaker, a Joanna pokręciła głową. Martin Kemp tak samo.

Sachs zapytała, czy prace działu prawnego nad listą wiadomości z groźbami i skargami posuwają się do przodu.

– Doug mówił, że za jakąś godzinę będzie gotowa – odrzekł Whittaker. Westchnął. – Zapowiada się gruba teczka. Przez lata nadepnęliśmy na niejeden odcisk. No i jeszcze te problemy z równością szans. W Whittaker Media raczej nie można liczyć na szczególnie przyjazne i zróżnicowane środowisko pracy.

– Może to w ogóle nie ma nic wspólnego z nami – wtrąciła Joanna. – Jak na przykład ten zamachowiec, który próbował zastrzelić Reagana. Hinckley? Inspirował się *Buszującym w zbożu*, ale w książce nie było żadnego nawoływania do przemocy. – Kobieta miała długie ciemne włosy związane w kucyk. Gdy patrzyła na gości, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, energicznie kołysała tą kitą. Szare oczy spoglądały bystro i surowo spod mocno zmarszczonych brwi. Granatowy kostium był skrojony jak męski garnitur. W kwadratowej twarzy zaznaczał się wydatny nos. Sachs podobało się w kobiecie to, że dumnie pokazuje światu naturalne rysy i nie ulega presji z niczyjej strony, w tym społeczeństwa, by cokolwiek w nich zmienić.

– Być może – zgodziła się Sachs. Podzieliła się swoim przypuszczeniem, że Ślusarz może używać „Heralda” jako symbolu, by zaprotestować przeciwko wtrącaniu się mediów w życie ludzi.

– Ach tak – rzekł ze smutkiem Whittaker – włamuje się ludziom do domu, tak jak my.

Wzruszyła ramionami.

– Taka myśl przyszła mi do głowy. Nie można też wykluczyć, że podrzuca te gazety tylko po to, by skierować nas na fałszywy trop.

– Jak to? – odezwał się Martin Kemp. Z takim głosem bez trudu znalazłby pracę przy mikrofonie radiowym.

– Być może chodzi mu o coś, co nie ma żadnego związku z państwem, a naszą uwagę dla zmyłki przekierowuje na gazetę.

– Co to może być? – zapytał Whittaker.

– Na razie nie mamy żadnych hipotez. Ale wiemy, że sprzedaje pan firmę. Czy to możliwe, że potencjalny kupiec wynajął Ślusarza, by przedstawić was w złym świetle i obniżyć wartość spółki?

Właściciel firmy parsknął śmiechem, w którym zdaniem Sachs zabrzmiała nuta przygnębienia.

– Nabywcy... Otóż powinna pani coś wiedzieć o Whittaker Media. Muszę pani wyznać, że odmiana dziennikarstwa, jaką uprawiamy, ma niewiele wspólnego ze standardami „New York Timesa”.

– Averell – rzuciła zyczliwym tonem Joanna i dotknęła kolana stryja.

– Przecież powinna wiedzieć. – Wzruszył ramionami i ten gest wywołał grymas na jego twarzy. – Charlotte Miller. Jeden przykład z wielu.

Sachs odparła, że nazwisko brzmi znajomo, ale nie potrafi sobie przypomnieć, gdzie je słyszała.

– Historia mniej więcej sprzed roku. Asystentka kongresmana z Alabamy. Marvina Doyle’a.

To nazwisko też z czymś jej się kojarzyło. Nie odezwała się, pozwalając Whittakerowi kontynuować.

– Okropna rzecz. Zaatakował ją. Dosypał do drinka jakiegoś świństwa. Sprawą zajęła się policja, ale było za mało dowodów na postawienie zarzutów. Charlotte nie dała jednak za wygraną. Chciała o tym opowiedzieć, zdemaskować go. Kupiłem od niej tę historię i zapłaciłem za wyłączność. Wyzaczyłem najlepsze pióro w redakcji. Obiecaliśmy, że zrobimy z tego całą serię. Ale materiał nigdy się nie ukazał.

– Dlaczego?

– Bo odłożyłem go na półkę. Zna pani metodę „zakupić i zakopać”?

– Nie.

– Stosuje ją gazeta albo telewizja, gdy kupuje prawa do jakiegoś tematu, ale nie zamierza nic publikować. W zasadzie blokuje całą historię na zawsze. Nie można jej sprzedać nigdzie indziej. Właśnie tak zrobiliśmy ze sprawą Charlotte.

– Żeby chronić Doyle’a?

Whittaker ponuro przyglądał się wieńczącej laskę kobiecej główce z mosiądzu.

– Tak jest. Był naszym sojusznikiem w Kongresie. Popierał ustawy, które miały ułatwić medialnym firmom zdobywanie i sprzedawanie danych o odbiorcach i utrudnić pozywanie nas do sądu.

Wreszcie sobie przypomniała.

– Czy w związku z tą sprawą ktoś przypadkiem nie zginął?

– Kilka miesięcy po tym, jak powinien ukazać się artykuł, Doyle próbował zgwałcić następną kobietę, stażystkę. Broniła się. Zabił ją. Nieumyślne spowodowanie śmierci. Gdyby materiał się ukazał, być może do niczego by nie doszło.

Zapadła cisza, a pokój znajdował się tak wysoko w stratosferze, że nie dobiegały tu dźwięki klaksonu ani dudnienie silników ciężarówek.

– Averell – odezwał się cicho Kemp.

Nic jednak nie mogło go powstrzymać.

– No i jakoś naszego dziennikarstwa. „Jakość” ujmuję tu w cudzysłów. Reporter „Daily Herald” wyjechał do Wirginii w związku z artykułem. Dotyczył nauczycielki, która na lekcjach historii w szkole średniej prowadziła satanistyczną sektę. Krążyły pogłoski o seksie i ofiarach ze zwierząt. Jakiś człowiek z Karoliny Północnej przeczytał tekst, pojechał tam i wpadł do szkoły z bronią. Zabił nauczycielkę, dziewczynkę w klasie, zranił trzy inne osoby.

Pokręciła głową.

– A wie pani, skąd się wzięły te plotki? Kobieta uczyła o procesach czarownic z Salem. I tyle. Zwykła lekcja historii, ale reporter – z błogosławieństwem naczelnego – nie mógł się oprzeć, by nie pociągnąć satanistycznego wątku. Okazało się, że nauczycielka była lesbijką, a kilkoro jej uczniów pochodziło z rodzin, którym się to nie podobało. To ci ludzie rozpuścili plotki i zwykłe kłamstwa. Dziennikarz zacytował zaprzeczenia nauczycielki, ale to oczywiście nie miało żadnego wpływu na zamachowca. Powiedziałem, że naczelny zatwierdził ten materiał, ale to ja dałem mu wolną rękę.

– Właśnie takie incydenty ostatecznie przesądziły o mojej decyzji – ciągnął z posępną miną. – Miesiąc temu doszedłem do wniosku, że czas uśpić imperium. Proszę wybaczyć, że tak rozwlekłe odpowiedziałem na pani pytanie, ale nie zamierzam nikomu tego sprzedawać. Nie ma nabywców – może oprócz chętnych na nasz sprzęt produkcyjny, samochody, komputery. Likwiduję firmę i wszystko co do grosza przekazuję fundacji na rzecz etycznego dziennikarstwa.

Sachs robiła notatki. Uniosła wzrok.

– Czyli jeżeli nie ustalimy innego motywu, musimy założyć, że chce się zemścić za coś, co zrobiła gazeta. Tak sugeruje słowo „rozliczenie” w wiadomości od niego.

– Mnie się wydaje – odezwał się Lyle Spencer – że gdyby za każdym razem zostawiał inne strony, to by mogło oznaczać, że jest zły na gazetę czy firmę. Ale skoro zostawia tę samą stronę, to prawdopodobnie chodzi o jeden z tych artykułów.

Sachs miała właśnie zauważyć to samo. Na ekranie telefonu wyświetliła zdjęcie trzeciej strony gazety.

UJAWNIEŃIE TAJNEGO RAPORTU:  
AIDS STWORZONO W ROSYJSKIM LABORATORIUM



## STAŻYSTKA Z BIURA SENATORA USA SPODZIEWA SIĘ DZIECKA

### SENSACJA: ROZWÓD AKTORKI NIEWAŻNY! WKRÓTCE ARESZTOWANIE?

### ZDEMASKOWANIE GRUPY NIENAWIDZĄCEJ KOBIET

### SŁUŻBY FEDERALNE STOSUJĄ NIELEGALNE PODSŁUCHY, KTÓRE MAJĄ POMÓC W KAMPANII. ZNALEZIONO DOWODY

– Myślę o tych artykułach, odkąd Doug mi o tym powiedział – rzekł Whittaker. – Rosjanie raczej nie wchodzi w grę. Pewnie chętnie przypisałiby sobie autorstwo pomysłu wykorzystania AIDS jako broni. Drugi artykuł jest prawdziwy, tyle że nie chodzi o nieślubne dziecko senatora. Gdzieś w tekście piszemy o tym wprost. A trzeci? Aktorka źle wypełniła formularz podczas składania pozwu rozwodowego i badano tę sprawę, ale nie postawiono jej żadnych zarzutów. To raczej nie jest rodzaj wykroczenia, które prowokowałoby do działania psychopatycznych stalkerów. Ostatni? Wszystkie pisma, od „Car and Driver” po „Wall Street Journal”, mają dowody na nielegalne podsłuchy federalnych. To temat jak przeżuta guma.

– Czyli czwarty artykuł.

– Myślę, że to możliwe. Dotyczy ugrupowania Apollów, neandertalczyków o antyfeministycznych poglądach. Uważają, że kobiety nie powinny wychodzić z domów i tak dalej. Można bić żonę, jeżeli, cytując, „źle się zachowuje”. Czyli robi coś, co drażni męża. Żona musi uprawiać seks z mężem na żądanie.

– Dlaczego sądzi pan, że ten tekst może być motywem sprawcy?

Whittaker skrzywił usta.

– Tu też chodzi o standardy dziennikarstwa. Nasz reporter był... niezbyt sumienny. Parę cytatów zmyślił. Przejaskrawił ich poglądy, przedstawił w jeszcze gorszym świetle. Doszło do ostrej reakcji i ataków na grupę – mówię o ataku fizycznym. Wymienieni z nazwiska Apollowie byli dręczeni i bici. Jeden z przywódców po postrzale został sparaliżowany.

– Czyli Ślusarz może być jednym z Apollów.

– Albo człowiekiem wynajętym przez nich – zauważył Spencer.

Whittaker wzruszył ramionami, znowu się krzywiąc. Rak? Może artretyzm. Amelia Sachs znała tę dolegliwość jak zły szeląg.

– Muszę znać nazwiska wszystkich osób, z którymi rozmawiał autor artykułu – powiedziała. – Poproszę też o nazwisko i numer tego reportera.

– Dostanie je pani – obiecał Whittaker.

Apollowie sprawiali wrażenie wrednych indywiduów, ale przestępstwo to zawsze przestępstwo.

– Czy skoro Ślusarz w mediach społecznościowych zastanawiał się, kto będzie następnym, to znaczy, że zamierza to nadal robić? – spytał Whittaker.

– Tak musimy zakładać.

Joanna na moment zamknęła oczy.

– Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ofiara się obudziła, zanim wyszedł z mieszkania.

– Musimy zakładać, że sprawca... – zaczęła Sachs i zerknęła na Spencera, myśląc o jego wcześniejszej uwadze na temat płci sprawcy – ...albo sprawczyni może zaatakować nie tylko firmę, ale i pana osobiście. Trzeba zwracać uwagę na każde zagrożenie. Na każdego, kto pana śledzi, obserwuje. – Wskazała na zdjęcie nad kominkiem. – To pan z żoną?

– Tak – odparł Whittaker. – Mary zmarła kilka lat temu.

– A kim jest ten młody człowiek?

– To mój syn, Kitt. – Głęboko zaczerpnął tchu. – Nie rozmawiamy ze sobą. Nie mam z nim kontaktu od około ośmiu miesięcy.

Sachs dostrzegła w jego oczach cierpienie innego rodzaju.

– Ktoś z państwa z nim rozmawia? – zwróciła się do Joanny i Kempa.

Bratanica Whittakera i jej narzeczony pokręcili głowami.

Policjantka zapisała numer jego komórki.

– Mają państwo telefon do pracy?

Chwila milczenia.

– Nie wiemy, co właściwie robi – powiedziała Joanna. – Jest trochę zagubiony. Gdy jeszcze mieliśmy kontakt, bez przerwy zmieniał koncepcje: chciał robić coś dla środowiska, potem zostać operatorem komercyjnych dronów...

– A potem był jeszcze pomysł dzierżawy ziemi z prawem wydobycia ropy i gazu, pamiętasz? – dorzucił Kemp. – I coś związanego z wideofilmowaniem i komputerami.

– Jestem pewien, że nic z tego nie wyszło – rzekł Whittaker. – Nie mam pojęcia, co teraz robi. Pewnie utrzymuje się z funduszu, jaki dla niego utworzyłem.

– Korzysta z mediów społecznościowych?

– Nie ma konta na żadnym z nich – odrzekła Joanna. – Nie ufa im – albo nie ufał.

Sachs spytała kobietę i jej narzeczonego, czy też są pracownikami Whittaker Media Group. Joanna pracowała w firmie, ale nie w dziale medialnym. Prowadziła należąca do grupy fundację charytatywną. Kemp zajmował się pośrednictwem w handlu nieruchomościami na Wall Street.

Amelia przypuszczała, że nie grozi im takie niebezpieczeństwo jak Whittakerowi i dziennikarzom gazety, mimo to też zaleciła im czujność.

Spencer odebrał wiadomość i odczytał ją z ekranu.

– Doug Hubert ma już gotową listę potencjalnych zagrożeń. Możemy ją odebrać. Zaprowadzę tam panią.

Amelia rozdała wszystkim wizytówki.

– Proszę zadzwonić, gdyby przypomnieli sobie państwo coś jeszcze. – Chowając dyktafon, notes i długopis, ruszyła ze Spencerem do wyjścia i oboje pożegnali skinieniem głowy milczącą strażniczkę, Alicię Roberts.

Gdy byli tuż przy drzwiach, usłyszała:

– Jeszcze chwileczkę, pani detektyw. – Whittaker szedł w ich stronę, pochylony nad laską. Zerknął na Spencera, który zrozumiał aluzję i powiedział:

– Zaczekam w korytarzu.

– Pani detektyw, chodzi o to... wiem, że widzimy się pierwszy raz w życiu, ale chcę coś powiedzieć. Pewnie się pani domyśla, że zostało mi niewiele życia. A mój jedyny syn stał się dla mnie obcym człowiekiem. Nie byłem najlepszym ojcem... Nie, byłem okropnym ojcem. Chcę, żeby znowu pojawił się w moim życiu, spróbuję jakoś wynagrodzić to, co zrobiłem. Jeżeli go pani znajdzie, mogłaby mu to pani powiedzieć? Wiem, że to nie pani sprawa, ale...

– Powiem mu.

Rysy złagodniały mu z wdzięczności. Odwrócił się, ale wcześniej Sachs dojrzała w jego oczach błysk, chyba zalśniły w nich łzy.

– Przepraszam.

Sachs była na Park Avenue i kierowała się do służbowego wejścia do Whittaker Media Group, które znajdowało się po północnej stronie budynku. Obok niej szedł Lyle Spencer.

Właśnie przebili się przez niewielki tłumek demonstrantów przed Whittaker Tower. Większość haseł na transparentach i tablicach brała na cel fake newsy, niektóre były żądaniem parytetów i zmiany systemu zatrudnienia.

Spojrzała w stronę, z której dobiegał głos.

Mężczyzna w dżinsach i niebieskiej kurtce miał szczupłą twarz otoczoną wianuszkiem ciemnych kędzierzawych włosów. I bokobrodami. Jego wygląd przywodził na myśl fretkę.

– Przepraszam, pani Sachs.

Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę.

Fretka podszedł do niej, taksując zwalistą postać Spencera.

– Widzę po oczach, że się pani zastanawia. – Mówił dość szybko. – Nie, nie spotkaliśmy się wcześniej. Wśród glin ma pani status celebrycki. Mogę mówić „gliny”? Nie ma w tym chyba nic obraźliwego, prawda? – Terkotał jak nakręcony. – Sheldon Gibbons. Piszę do „InsideLook Magazine”. – Pokazał legitymację prasową. Zwróciła uwagę na nazwisko, które wprowadzało do galerii jeszcze jednego ssaka. Gibon to chyba mała pałka człekokształtna?

– To pani partner?

Ani Sachs, ani Spencer nie odpowiedzieli na to pytanie.

– Słucham pana.

– Przepraszam – zreflektował się Gibbons. – Powinienem zwrócić się do pani „pani detektyw Sachs”.

Zamierzała poświęcić mu z uprzejmości kilka sekund, lecz ani chwili więcej. Przechyliła głowę. W jego dłoni błysnął cyfrowy dyktafon, podobny do aparatu, jakiego sama używała.

– Spotkała się pani z Averellem Whittakerem w sprawie Ślusarza?

– Proszę mi pozwolić to obejrzeć.

Gibbons zmarszczył brwi.

– Proszę?

– Mogę zobaczyć ten dyktafon?

– Chyba tak. – Podał jej urządzenie.

Wcisnęła przycisk STOP. I oddała aparat.

Uśmiechnął się porozumiewawczo – i być może z odrobiną podziwu.

– Czego pan chce?

– Piszę między innymi o Whittaker Media. Pytałem, czy rozmawiała pani z Averellem o Ślusarzu.

– Dlaczego pan sądzi, że się z nim spotkałam? Przecież to duży budynek.

– Wyszła pani z holu od południa. Tam jest tylko jedna winda, która jedzie bezpośrednio do jego apartamentu.

Sachs nie odpowiedziała.

– Proszę coś powiedzieć. To świetny materiał. Gość włamuje się do mieszkań i zostawia gazetę Whittakera? Jak jakiś Batman dziennikarski? Jaki motyw bierze pani pod uwagę? Podejrzewacie, że Ślusarz to były pracownik firmy?

– Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. I na żaden inny.

– Czy Whittakerowi osobiście grozi jakieś niebezpieczeństwo? A jego bratanicy Joannie? Była na tym spotkaniu? Często go odwiedza. – Filuterny uśmiech. – Może Ślusarz wyłudza pieniądze z jej fundacji. Podobno jej konta pękają w szwach.

– Na żaden temat – powtórzyła.

Gibbons wcisnął jej wizytówkę.

– Piszę, jak jest, pani detektyw. W swoich tekstach nie pastwię się nad glinami. Relacjonuję fakty w odróżnieniu od niektórych instytucji informacyjnych. – Ruchem głowy wskazał wieżowiec. – Groźby pod adresem Whittakera i Joanny to ważny temat. Chcę o tym napisać. Proszę mi pomóc. Kto wie, może szum medialny pozwoli wam znaleźć paru świadków.

– Do widzenia, panie Gibbons. – Wsunęła wizytówkę do kieszeni, doszedłszy do wniosku, że gdyby od razu ją wyrzuciła, mógłby zrobić scenę.

– Wszystkiego dobrego, pani detektyw. Proszę o mnie pamiętać.

Ruszyła ze Spencerem w stronę północnego wejścia do budynku. Obejrzała się i stwierdziła, że Gibbons nie wmieszał się z powrotem w tłum, żeby zasięgać języka. Wszystko wskazywało na to, że na razie porzucił swoje reporterskie obowiązki i zniknął.

## 35

Czyli Ślusarz jednak wrócił do budynku Bechtel.

Mel Cooper analizował to, co Sachs znalazła tam za drugim razem, gdy przypadkiem spotkała szefa ochrony Whittaker Media, Lyle'a Spencera.

– Co mamy, Mel?

– Opakowanie po cukierku Jolly Rancher.

– Dlaczego przypuszczamy, że on to zostawił?

– Jest ślad płynu do mycia naczyń o podobnym składzie co wcześniej. I odrobina pyłu grafitowego – tego samego gatunku, którego używają ślusarze.

– Odciski, DNA?

– Nic.

– Czyli zanim wrzucił cukierek do ust, ostrożnie go odpakował. Nie mógł rozerwać opakowania zębami, żeby nam trochę pomóc? A ten smakołyk? To jakaś rzadkość? Nieliczne źródła zaopatrzenia? Dokądś nas to doprowadzi?

Cooper pochylił się nad komputerem i zaczął stukać w klawiaturę.

– Najpopularniejsza landrynka w Ameryce. Dochody na poziomie miliona dwustu tysięcy dolarów rocznie.

Rhyme westchnął.

– W Halloween sprzedaje się ich pół miliona kilogramów.

– Dziękuję, Mel – rzucił cierpkim tonem Rhyme. – Doszedłbym do wniosku, że papierek nie ma żadnej wartości dowodowej, na podstawie danych o sprzedaży, bez informacji o masie.

– Obok na podłodze Amelia znalazła ślady boru, miedzi i żelaza – ciągnął niezrażony Cooper. – Prawdopodobnie pochodzą od niego, bo nie ma ich w próbkach kontrolnych z budynku.

– Zapisz to na tablicy! – zawołał Rhyme do Thoma, który przejął obowiązki skryby.

Jakie to ma znaczenie?

Na razie nie mógł tego stwierdzić. Najpowszechniej występujące substancje w przemyśle wytwórczym.

Tak niewiele dowodów...

Rhyme wciąż wracał myślami do wcześniejszych przypuszczeń Sachs.

*Gazeta to zmyłka. Nie ma nic wspólnego z jego prawdziwym celem. Facet działa jak iluzjonista i chodzi mu o coś zupełnie innego.*

Próbował spojrzeć na to wszystko z punktu widzenia sobowtóra Ślusarza – Zegarmistrza. Jak dopasować do siebie trybiki?

Gazety, noże, skomplikowane zamki, bielizna, dwie niewinne, niezwiązane ze sobą ofiary (niewykluczone, że więcej), ludzka krew sprzed dwóch dni...

Co próbujesz z tego skonstruować?

Nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź. Zatrzymał wzrok na zdjęciu gazetowej strony z krzykliwymi tytułami, a myślą niechętnie wrócił do poprzedniego pytania: co motywowało Ślusarza do popełniania tak złożonych i ryzykownych przestępstw przeciwko gazecie – i ostatecznie przeciwko Whittakerom?

– Co wiemy o tej rodzinie? – zapytał Rhyme.

Cooper odrzekł, że niewiele mu wiadomo. Nie należał do odbiorców produktów Whittaker Media Group. Czytał „Timesa” i „Wall Street Journal”, ze swoją dziewczyną rzadko oglądał wiadomości telewizyjne; słuchali przede wszystkim radia z sieci NPR i podcastów.

Thom zameldował, że jego menu medialne wygląda podobnie.

– Mam poszukać informacji na ich temat?

– Nie, sam to zrobię. – Rhyme otworzył internet i zaczął kwerendę na poziomie ucznia szkoły średniej. Pół godziny później znał zarys historii Whittakerów i ich imperium.

Averell i Lawrence odziedziczyli po ojcu niewielką sieć gazet wydawanych na przedmieściach Nowego Jorku oraz parę stacji radiowych. Działalność tych mediów przynosiła niewielki zysk. Bracia, absolwenci elitarnych uczelni (o wybitnych zdolnościach naukowych i sportowych), byli ambitni. Wcześniej nie chcieli mieć nic wspólnego z nudną, niedochodową prasą i wiązali swoją przyszłość z innymi dziedzinami niż dziennikarstwo. Averell chciał zrobić karierę w przemyśle, Lawrence na rynku inwestycji.

Kiedy jednak zmarł ich ojciec i zostawił im w spadku gazety, postanowili wykorzystać tę okazję.

Model biznesowy, który opierał się na relacjach z posiedzeń na temat planów zagospodarowania przestrzennego hrabstwa Westchester oraz na recenzjach z operetek i spektakli tańca nowoczesnego, nie interesował braci Whittakerów.

Nadszedł czas rewolucji. Cytowano zapowiedź Averella, który oświadczył: „New York Times” obiecuje przekazywać czytelnikom wszystkie wiadomości, które nadają się do druku, „Rolling Stone” wszystkie wiadomości, które odpowiadają redakcji. My zamierzamy skupić się na wszystkich wiadomościach, których chcą czytelnicy.

Z dnia na dzień wyrzucono większość pracowników i sprzedano lokalne gazety. Wszystkie środki przeznaczono na sfinansowanie „Daily Herald”, gazety o zasięgu ogólnokrajowym wydawanej drukiem i w internecie. Publikowała klasyczne treści tabloidowe, z jednym wyjątkiem: w artykułach nie zajmowano stanowiska w żadnych istotnych sprawach. Gazeta chciała reklamodawców i czytelników z całego spektrum

politycznego, dlatego dziennikarze skupiali się – albo wgryzali – w świat skandali i celebrytów.

Niemal od pierwszego dnia – gdy wielki nagłówek informował o aktorze, który wyeksmitował z domu własną matkę, by mogła się do niego wprowadzić jego dziewczyna – „Herald” okazał się strzałem w dziesiątkę i szerokim strumieniem popłynęły do niego pieniądze.

Kilka lat temu firma Whittaker Media nabyła podupadającą stację telewizyjną i stworzyła kanał WMG z równie tandetną treścią – i równie atrakcyjną dla widza – jak jego drukowany odpowiednik.

Znalezione przez Google’a artykuły, które Rhyme przebiegał wzrokiem – a było ich sporo – ilustrowały fotografie Averella i Mary oraz ich syna, Kitta. Równie liczne były zdjęcia Lawrence’a z Betty i ich Joanną. Atletycznie zbudowany Averell o surowym spojrzeniu wyglądał jak magnat przemysłowy pełną gębą albo bezwzględny prokurator, podczas gdy alkoholik Lawrence był zaniedbany, niechlujny i miał w oczach niepewność. Ich żony zawsze fotografowano, jak gdyby wybierały się na imprezę charytatywną. Kitt wydawał się ponury i nie przykładał wagi do stroju. Joanna była córeczką matki, uśmiechała się do obiektywu i czasem miała na sobie identyczną sukienkę jak Betty.

Życie opływało w luksusy. Ich rezydencje bardziej przypominały pałace, a na jednej z serii zdjęć Betty i Joanna wydawały garden party w oranżerii większej niż dom Rhyme’a. Firma trafiła na prestiżową listę Fortune 500 i bracia z małżonkami pojawiali się na bankietach dla korespondentów przy Białym Domu, na galach z okazji wręczania Oscarów i na niezliczonych przyjęciach na Manhattanie, na których obowiązywały stroje wieczorowe.

Potem przyszły cięższe czasy.

Betty zmarła na zawał serca, a jej mąż nie okazał się takim sprytnym wilkiem z Wall Street, za jakiego się uważał. Wpadł w gigantyczne długi i uniknął bankructwa tylko dzięki temu, że odsprzedał bratu swoje udziały w firmie. Averell pozostawił Lawrence’a na liście płac – z wysoką pensją – a Joanna, początkująca reporterka w gazecie, otrzymała sutą podwyżkę i awans na stanowisko szefowej fundacji charytatywnej działającej w ramach firmy. Averell przepisał na rodzinę brata nawet letni domek i jeden ze swoich jachtów.

Kilka lat temu na raka zmarła Mary, a niedługo potem Kitt zniknął z oczu ojca, Joanny i jej narzeczonego, Martina Kempa.

Ostatnio na samej firmie pojawiły się rysy. Rhyme czytał o konsekwencjach podawanych przez nią fałszywych i nieprecyzyjnych informacji, które doprowadziły do napaści, samobójstw, a nawet morderstwa.

Zaczęły wychodzić na jaw skargi na Averella i jego metody zarządzania. Nie chciał przyjmować na kierownicze stanowiska żadnych kobiet – jego zdaniem wprowadzały dezorganizację w miejscu pracy – a zatrudnianie przedstawicieli mniejszości można było



włożyć między bajki. W jednym z artykułów konkurencyjna gazeta nazwała firmę „Whiteaker Media Group”.

W końcu Averell doznał objawienia i postanowił zlikwidować imperium, a dochód ze sprzedaży jego części przeznaczyć na fundację, która będzie promować dziennikarską etykę zawodową, wspierać edukację dziennikarską mniejszości, a także utworzy grupę monitorującą zagrożenia dla reporterów na całym świecie.

„Averell Whittaker robi obrót o 180 stopni”, głosił jeden z tytułów.

Rhyme zamknął przeglądarkę.

– Znalazłeś coś istotnego? – zapytał Thom.

– Nie bardzo – mruknął, patrząc na tablicę dowodów w sprawie Ślusarza. Znowu pomyślał, że być może Ślusarz naprowadza ich na fałszywy trop.

Spoglądając w bok, przebiegł wzrokiem tablicę poświęconą sprawie Viktora Buryaka.

A ty i twoi ludzie co teraz kombinujecie, Viktor?

Pytanie oczywiście musiało pozostać bez odpowiedzi, więc Lincoln Rhyme na razie odłożył je na półkę i ponownie skupił uwagę na milczącej tablicy dowodów poświęconej Ślusarzowi.

## 36

No i wtedy – mówił Aaron Douglass – myślisz o Austin. Twierdzą, że mają najlepsze food trucki na świecie. A przynajmniej większość najlepszych. A to nieprawda.

Stali z Arnim Cavallem na rogu Madison Avenue, w rejonie ulic z numerami od osiemdziesiąt do osiemdziesiąt dziewięć, najbardziej eleganckiej z eleganckich części miasta. Arnie, niższy od strzelistego jak topola Douglassa, uniósł wzrok, trochę zdziwiony wykładem, ale słuchał go uważnie. Był „masażystą”, o którym Douglass wspomniał Buryakowi, czyli w rzeczywistości w ogóle nie zajmował się masażem.

– Nowy Jork wygrywa w cuglach – ciągnął Douglass. – Mamy langosze – smażone węgierskie placki z pysznymi dodatkami. Niebo w gębie. No i oczywiście tacos, dania koreańskie, gyrosy, empanady, pupusy – salwadorskie, najlepsze są z mąki kukurydzianej – kanapki z homarem, chociaż są trochę drogie i trzeba uważać, żeby nie przesadzili z majonezem.

Arnie może był niski, ale jego sylwetka składała się z samych mięśni. Nosił białą koszulę i dżinsową kamizelkę. Obcisłe dżinsy i kowbojki. Pewnie najlepiej nadają się do deptania po ofierze, pomyślał Douglass. Na palcach prawej dłoni błyszcząły trzy obrączki. Grube. Do zadawania ciosów?

Douglass miał na sobie to co zwykle – strój kojarzący się ze szwarczarakterem z filmu *Matrix*, czyli ciemny garnitur, białą koszulę i krawat (jasnoniebieski, w odróżnieniu od agenta Smitha). Krawata nie było jednak widać z powodu serwetki zatkniętej za kołnierz. Douglass jadł właśnie burgera z tempehem z dodatkiem syropu klonowego, z jarmużem, pomidorem i sosem czosnkowym na pieczywie orkiszowym. W trakcie tej smakowitej uczyty od czasu do czasu jakiś okruch spadał mu na gors.

Arnie przyglądał się skomplikowanej kanapce.

– Powinieneś coś zjeść. – Aaron wskazał na food truck. Ich drugą specjalnością było ciastko z karczocha i soczewicy z sosem barbecue. On sam nie był weganinem, wiedział jednak, że potrafią przyrządzać bardzo smaczne dania.

Jego towarzysz pokręcił głową.

Douglass poprawił czarny beret. Nie wiedział, dlaczego ludzie tak rzadko je noszą. Wygodne nakrycie głowy. Stylowe. Łatwo schować.

– Żeby wiedzieć, gdzie stoi konkretny wóz, trzeba mieć apkę albo zajrzeć do internetu. To coś w rodzaju gry.

– Naprawdę?

To był jeden z dziesięciu food trucków prowadzonych przez Viktora Buryaka, który trochę na tym zarabiał, ale oczywiście nie o to chodziło w całym przedsięwzięciu. Wszyscy w organizacji wiedzieli, że Buryak zawsze szuka sprytnych sposobów na zbieranie informacji, by je później sprzedać, a Douglass nabił sobie u niego sporo punktów, kiedy podsunął mu ten pomysł.

*Sam to wymyśliłeś? Chłopie, masz łeb jak sklep.*

Owszem, Douglass miał łeb na karku – na pewno tamtego dnia, kiedy wpadł na ten pomysł. Food trucki były doskonałym narzędziem do podsłuchiwania i zbierania danych wywiadowczych. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Kierowca mógł spijać informacje i pstrykać zdjęcia, ile dusza zapragnie.

Douglass lubił wykonywać to zadanie dla Buryaka – zajmować się ochroną wozów i zbierać to, co udało się pozyskać – ponieważ uwielbiał jeść. Robił objazd po food truckach w mieście i zbierał dane, które były zbyt delikatne, by przekazywać je przez telefon, ponadto rozwiązywał problemy z zagrożeniami, jakie mogły czyhać na kierowców. Przy okazji zawsze dostawał jakieś danie gratis. Jadł chyba pięć posiłków dziennie.

– Jest.

Z Whittaker Tower wyszła Amelia Sachs i towarzyszący jej zwalisty facet – też ubrany w ciemny garnitur jak z *Matriksa*. Niósł grubą teczkę. Zatrzymał ich jakiś chudy facet z uśmiechem, który Douglassowi wydał się sztuczny. Po krótkiej rozmowie detektyw Amelia i jej towarzysz poszli dalej.

– Dobrze się jej przyjrzałeś?

– Aha. Kim jest ten paker?

– Nie wiem.

Douglass skończył jeść i otarł twarz. Zmywanie po posiłku polegało u niego na zwinięciu wszystkiego w kulę i wrzuceniu do najbliższego kosza na śmieci. Z kieszeni wyjął butelkę wody i wypił łyk. Przypuszczał, że takie jedzenie w biegu jest niezdrowe. Była to jednak najmniej niezdrowa rzecz w jego życiu.

Detektyw Amelia odpałała wóz, skręciła w jedną z ulic z numerem zaczynającym się od osiemdziesięciu i minęła food truck, nawet nie rzucając na niego okiem. Każdy tak robił. Chyba że był głodny.

– I dostanę za to pięć kawałków? – upewnił się Arnie.

– Pięć kawałków.

Z jego twarzy można było wyczytać wahanie.

– To, co mi powiedziałaś, wydaje się ryzykowne.

– Życie jest ryzykowne. Może z tą kanapką zjadłem salmonellę. Nie próbuję negocjować.

Westchnienie.

– Okej – odparł Arnie.

– A kiedy będzie po wszystkim, zależy mi na całkowitej utracie pamięci.

- Czasem zapominam o urodzinach matki.
  - Nie żartuję. – Za pięć tysięcy można kupić sobie prawo, by czasem wziąć delikwenta w cugle.
  - Jasne, jasne. Potem wszystko pójdzie w niepamięć. Gdzie i kiedy?
  - Jeszcze nie wiem. To będzie musiało być puste miejsce. Nie możemy sobie pozwolić na świadków.
  - Nie wygląda na glinę.
  - Nie, nie wygląda. To zaliczka. – Podał mu kopertę. – Tysiąc. I drugi tysiąc na jakiegoś gruchota. Załatw sobie na niego inne numery. Ale nie zakładaj teraz. Dopiero przed samą robotą.
  - Nie robię tego pierwszy raz. Wóz ma być duży?
- Douglass sądził, że to nie ma znaczenia, i tak mu powiedział.
- Przez następne dwa dni masz mieć pusty kalendarz. Nie bierz żadnych innych zleceń.
  - A jeżeli...
  - Nie bierz żadnych innych zleceń.
- Szybkie skinienie głową.
- Muszę teraz pogadać z moim współpracownikiem.
- Arnie rozejrzał się dookoła.
- Z kierowcą – warknął Douglass. – Food trucka.
  - Aha. Dobra, jasne. Wiesz, mam myśl. Skombinuję białego vana. To najpopularniejszy kolor. Jak myślisz?
  - Dobry pomysł. Idź już.
- Po odejściu Arniego Douglass pochwalił kierowcę food trucka za kanapkę i poprosił o kubańską kawę.
- Popijając ją, odebrał kopertę z rezultatami pracy wywiadowczej. Pieniądze przeszły z ręki do ręki. Z wozu ulatywały smakowite aromaty. Choć Douglass uwielbiał jeść, to sam był kiepskim kucharzem, a w dodatku był właśnie między małżeństwami (nie miał żadnych oporów przed ożenkiem, gorzej jednak sobie radził z wytrwaniem w związkach).
- Co się dzisiaj najlepiej sprzedaje?
  - Chyba grillowane tofu w kreolskiej marynacie.
  - Zrób mi jedno i zapakuj. Zjem na kolację.

Znowu w azylu mojego warsztatu.

Zmiana ubrania, kilka serowych krakersów z masłem orzechowym, bezkofeinowa kawa.

Oglądam zdobyte noże – od Annabelle i Carrie. Nic specjalnego, zaprojektowane z myślą o funkcjonalności. Ten od Carrie jest ostrzejszy. Mam też ich majtki. Parę niebieskich i parę różowych. Ale interesują mnie mniej niż noże.

Biała broń i bielizna leżą na stoliku obok blatu mojego stołu warsztatowego. Prócz nich są tu dwa egzemplarze „Daily Herald”; trzecie strony w obydwu są wciąż nietknięte.

Ta gazeta to dopiero ma kłopoty.

Czuję w kieszeni ciężar własnego noża, pięknej konstrukcji z mosiądzu.

Przez jakiś czas moderuję treści. Oglądam wideo z kobietą, która porusza ustami, udając, że śpiewa popularny przebój. Jest niezła. Bot wysłał mi film nie z powodu problematycznych scen przemocy czy seksu, ale dlatego, że kobieta narusza prawo autorskie. Nie ma licencji ASCAP ani BMI na publiczne wykonywanie utworów członków tych organizacji, które dawałyby jej prawo „śpiewania” piosenki. Na razie zostawię ten film na kilka dni. Zauważyłem na jej szyi pieprzyk, który moim zdaniem wygląda na nowotwór. Nie chcę zadawać sobie trudu, więc loguję się jako zwykły użytkownik i zostawiam komentarz, w którym radzę, żeby poszła to zbadać.

Na tę chorobę zmarła moja matka.

Oglądam jeszcze parę klipów i trochę bawię się w Boga.

Usuń...

Zaloguj...

Zostaw...

My, moderatorzy treści, poświęcamy długie godziny na wideo, które naruszają albo prawo, albo słynne „normy społeczne”, co jest dość dziwnym określeniem, skoro w cyberprzestrzeni istnieje zapewne miliard różnych społeczności, od nieziemsko szlachetnych po straszliwie zdeprawowane. Firma przysyła nam wskazówki, ale w zasadzie sami decydujemy, co to są normy społeczne.

Mówię, że bawię się w Boga, i tak jest. Użytkownikom, którzy publikują materiały, często tak rozpaczliwie zależy na liczbie polubień i udostępnień, że wylewają całe wiadra treści, którym moja gromowładna dłoń musi postawić tamę.

Obejrzałem setki egzekucji, prób samobójczych, gwałtów, pobić i molestowania dzieci, ludzi ginących od kul i z przedawkowania, surwiwalowców udzielających dokładnych

instrukcji, jak krok po kroku zbudować bombę, widziałem okrucieństwa wobec zwierząt, rasistowskie obelgi, nawoływania do rewolucji, fakty cytowane przez polityków, naukowców i prostaków, o których nawet ja – rozgarnięty, choć wcale nie ekspert – wiem, że są rażąco nieprawdziwe.

I tak długie godziny.

Bez końca.

Moja firma, ViewNow, jest mniejsza od YouTube'a i nie należy do żadnej z megatechnologicznych spółek, ale to nie znaczy, że jest nieistotna. Co minutę pojawia się w niej ponad dwieście godzin materiałów wideo, a co dzień miliony ludzi oglądają cztery miliardy klipów. Gdyby ktoś chciał obejrzeć każdy film dostępny dzisiaj na ViewNow, musiałby spędzić przed ekranem tysiące lat bez przerwy.

Naprawdę, w głowie się nie mieści.

Wszystkie platformy mediów społecznościowych zatrudniają moderatorów treści.

Jesteśmy od czarnej roboty na linii frontu, jak starsi studenci, o których ktoś mi opowiadał: stali w pogotowiu z dwuręcznymi młotami przy pierwszym reaktorze jądrowym zbudowanym na Uniwersytecie w Chicago i mieli rozkaz wkroczyć do radioaktywnego stosu i zatrzymać reakcję łańcuchową, zanim zniszczy miasto.

Opowieść o ich losie to apokryf. Nasz jest rzeczywistością.

Niektóre platformy ukrywają moderatorów w ośrodkach, które mogą się znajdować w każdym miejscu na świecie, na przykład w Manili albo w Indiach. Wielu z nich kiedyś pracowało w centrach telefonicznych w Azji Południowej, ale znudzili im się rozsierdzeni klienci, którzy obrażali ich z powodu obcego akcentu, więc skwapliwie rzucili się na moderację w nadziei, że będzie to trampolina do kariery w świecie nowych technologii.

Dla ogromnej większości z nich skończyło się na nadziejach. Moderowanie treści nie jest trampoliną do niczego... oprócz depresji – ta zdarza się najczęściej. Przecież nie spędzamy dziesięciu godzin dziennie na oglądaniu filmów z instrukcją, jak upiec biszkopt albo jeździć na snowboardzie. Zwalczamy złe treści. Naprawdę złe – klipy, których nie da się zapomnieć i które na zawsze tkwią nam w głowach jak ropiejące wrzody.

Wiem o czterech moderatorach, którzy popełnili samobójstwo, dwudziestu kilku innych próbowało. Rozpadały się małżeństwa i wątroby puchły od marskości. ViewNow ma dział pomocy psychologicznej. Nikt z niego nie korzysta, bo nie ma na to czasu, skoro trzeba zweryfikować miliard godzin nagrań.

Po kilku miesiącach pracy przy moderacji treści spokojni ludzie zaczynają przejawiać skłonności do przemocy.

A ja?

Oczywiście nie mam z tą pracą absolutnie żadnych problemów.

Jestem urodzonym moderatorem treści – bo lubię oglądać.

Żyję po to, by oglądać.

Zawsze tak było.

Nigdy nie lubiłem określenia „podglądanie”. Pierwowzorem podglądacza był krawiec Tom – według legendy (a może prawdziwej historii, tego nie wiadomo) jedyna osoba w Coventry, której udało się zobaczyć nagą Lady Godivę jadącą konno przez miasto (w ten sposób miała nakłonić męża do obniżenia podatków, którymi obłożył mieszkańców; dziwna forma protestu, moim zdaniem mocno naciągana). Scenariusz wydawał się nieco wypaczony, ponieważ to ona była na zewnątrz, a krawiec podglądał, jeżeli można to tak nazwać, z zacisza własnej pracowni.

Tom został ukarany ślepotą przez Boga czy los, choć wydawało się, że nie złamał żadnego konkretnego prawa. Dziś to wykroczenie obejmują przepisy o ochronie prawnej własności i prywatności, rozszerzone o szpiegowanie za pomocą dronów, włamywanie się do kamer internetowych, a także rozpowszechnianie treści o przekazie seksualnym bez zgody osoby występującej na zdjęciach czy filmach.

W dzieciństwie wiedziałem, że to, co robię, jest złe, odrażające i żenujące, a jeżeli znajdę się na czyimś terenie prywatnym, to popełniam przestępstwo (jeżeli stoisz na chodniku, możesz do woli gapić się na kogoś, pożerać go wzrokiem, ślinić się i oblesnie się uśmiechać). Nic jednak nie mogło mnie powstrzymać. Musiałem podejść bliżej. Podkradałem się pod domy na uroczym przedmieściu, gdzie mieszkaliśmy, i zaglądałem przez okna. Setki razy. Problem polega na tym, że gdy jesteś na tyle blisko, by kogoś zobaczyć, to ten ktoś może zobaczyć ciebie. Za każdym razem, gdy zawisałem na gałęziach albo balansowałem na kubłach na śmieci, ryzykowałem, że zostanie wezwana policja.

Przeciążeni obowiązkami funkcjonariusze szybko zorientowali się, że jestem dziwny, ale pod względem fizycznym nie stanowią zagrożenia, traktowali mnie jak nieszkodliwego urwisa. Zadanie zdyscyplinowania mnie i poddania reedukacji pozostawili mojemu ojcu.

Magnat przemysłowy, za jakiego się uważał, nie był wzorcem moralności, więc niezbyt przejmował się występkami syna; obchodziło go tylko to, że może na tym ucierpieć jego reputacja. Gdyby chłopak kradł w sklepach, handlował trawką, popijał, ojciec znacznie łatwiej pogodziłby się z jego grzeszkami młodości, ale gdy w grę wchodził dość obrzydliwy proceder, a policja nie kwapiła się z wymierzeniem kary, doprowadziło go to do ostateczności. Sam postanowił wyegzekwować prawo i mnie uwięził. Ilekroć się dowiadywał, że znowu coś przeskrobałem, czekała mnie w domu izolacja.

Nie był to jednak zwykły areszt domowy, kiedy to można swobodnie przemieszczać się między pokojami. Nic podobnego, ojciec zamykał mnie w sypialniach, potem spiżarniach, łazienkach i szafach ściennych – jedna tak cuchnęła naftaliną i cedrem, że czułem się jak na hajcu. Na potrzeby fizjologiczne dostawałem wiadro.

Podczas drugiego czy trzeciego aresztu przekonałem się, że potrafię otwierać zamki i uciekać. Był to zazwyczaj sprzęt z Home Depot, który dawał się otworzyć za pomocą ostrza noża albo wyprostowanego wieszaka na ubrania. Moja sypialnia była wyposażona

w zamek nawierzchniowy z klasycznym otworem na klucz, o konstrukcji pochodzącej sprzed setek lat. To było trudniejsze wyzwanie, ale udało mi się z nim uporać.

Za pierwszym razem potrzebowałem godziny. Za drugim pięciu minut.

Niekoniecznie miałem dokąd pójść, dobrze jednak było wiedzieć, że mogę.

A potem przyszedł punkt zwrotny.

Zostałem przyłapany przy domu prominentnego prawnika. Jego zapłakana córka była przekonana, że widziała mnie, jak gapię się na jej nagie ciało zza okna łazienki. Adwokat pędem przybiegł do naszego domu, wpadł do środka i urządził awanturę mnie i ojcu. Zdenerwowany zacząłem zajadle zaprzeczać, że łzami w oczach – oczywiście byłem zły, że mnie przyłapano. Obraz różowej skóry Heather, jej sterczących piersi i gęstych kręconych włosów mam w głowie do dziś i będę miał zawsze.

Prawnik niemal nie zwracał na mnie uwagi, jak gdybym w wieku trzynastu lat znaczył tyle co wirus, który sam nie potrafi wybrać, dokąd pożeglować i kogo zarazić.

Wściekłość tego faceta skrupiła się na moim ojcu.

– Pański syn to zboczeniec – mruknął adwokat, po czym dodał, że reprezentuje wpływowe organizacje. Jego klienci mieli „wspólników”, poinformował, nadając temu niewinnemu słowu złowrogi odcień. Czy mój ojciec rozumie, co ma na myśli? Jeżeli nie spotka mnie za to kara, to jego biznes zostanie „sparaliżowany”. Ton jego głosu sugerował, że być może dojdzie do użycia przemocy.

Kiedy siedziałem między dwoma wpływowymi mężczyznami, ojciec spojrział na mnie, ale zwrócił się do prawnika.

– Proszę się nie martwić, poniesie konsekwencje – zapowiedział.

I owszem, dotrzymał słowa.



Rhyme spojrział na mężczyznę, w którego towarzystwie Sachs weszła do salonu.

Był imponującej postury, wyglądał na urodzonego boksera albo zapaśnika. Patrzył na Rhyme'a... Co to właściwie była za mina? Wydawał się onieśmielony. Dziwne, skoro pewnie był cięższy od gospodarza o dobre pół setki kilogramów i składał się z samych mięśni.

Po chwili przeniósł wzrok na sprzęt w sterylnej części pokoju. Na jego twarzy odmalował się podziw.

Sachs przedstawiła Rhyme'owi Lyle'a Spencera.

A więc to jest ten szef ochrony, o którym mu mówiła.

Mężczyzna położył na stole grubą teczkę.

– Skargi i groźby od widzów, czytelników i pracowników, które dostała firma Whittaker Media.

– Aż tyle? – Mieściło się tam około pięciuset dokumentów.

– Wszystko tylko z zeszłego roku – zaznaczył Spencer.

– Zeskanujemy to i bierzemy się do pracy – powiedziała Sachs. Obrotowa ramka radziła sobie z oprawionymi książkami, ale żadne urządzenie w laboratorium Rhyme'a nie mogło wyświetlić w odpowiedniej kolejności pojedynczych arkuszy. Sachs odebrała telefon.

– Mel Cooper – odezwał się głos ze sterylnej części laboratorium.

– Lyle Spencer.

Lincoln Rhyme rzadko pamiętał o tym, by przedstawiać sobie nawzajem ludzi.

Spencer przyglądał się laboratorium.

– Co za zestaw. Ale pewnie pan to już nie raz słyszał.

– Wystarcza. Jeśli potrzebuję czegoś skomplikowanego, zlecamy komuś z zewnątrz.

– Kiedy zaczynałem pracę, nie mieliśmy niczego takiego w całym hrabstwie – rzekł Spencer. – Wszystko trzeba było wysyłać do laboratorium stanowego. I wieki czekało się na wyniki analiz.

– Amelia mówiła, że służył pan w policji.

– Byłem detektywem. W Albany.

Podobnie jak Rhyme, opuścił szeregi służby dla innej, choć pokrewnej profesji. W jego przypadku jednak ta decyzja była dobrowolna. Więcej pieniędzy, mniejsze ryzyko.

Sachs zakończyła rozmowę i dołączyła do nich.

– Dzwonił dozorca z budynku Kitta.

Wyjaśniła, że syna Averella, szczupłego młodego człowieka o wymizerowanej twarzy, którego Rhyme przypominał sobie ze zdjęć w internetowych artykułach, nie widziano już od kilku dni. Dozorca wiedział o tym od listonosza, który narzekał, że skrzynka na listy jest pełna.

– Myślisz, że to ma związek? – spytał Rhyme.

– Najpierw pojawiają się gazety w dwóch mieszkaniach – odparła Sachs – potem Ślusarz, Apollowie lub ktoś inny porywają albo zabijają syna Whittakera? Moim zdaniem to ma sens. On na pewno nie utrzymuje kontaktów z rodziną? – zwróciła się do Spencera.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Gdzie pracuje? – pytał dalej Rhyme.

Sachs odparła, że rodzina nie wie, co robi Kitt. Miała tylko numer jego komórki i adres mailowy, ale na próby kontaktu nie odpowiadał.

– Sprawdź w wydziale komunikacji – zarządził Rhyme.

Jego żona weszła na zabezpieczoną stronę stanowego serwisu i wpisała nazwę użytkownika oraz hasło.

– Ma audi A6. Prześlę numer do RTR.

System rozpoznawania tablic rejestracyjnych policji Nowego Jorku tworzyły kamery zainstalowane w radiowozach. Podczas patrolowania ulic miasta kamery stale skanowały numery rejestracyjne i zapisywały obrazy tablic razem z informacją o czasie i lokalizacji każdej z nich. W ten sposób powstawały eksabajty danych. System bardzo pomagał namierzyć pojazdy, których kierowcy uciekli z miejsca wypadku albo były zarejestrowane na osoby podejrzane lub z wystawionym nakazem. Projekt budził kontrowersje, ponieważ przy okazji rejestrował setki tysięcy numerów niewinnych obywateli. Skarżyły się na niego grupy działające na rzecz swobód obywatelskich, powołując się na prawo do ochrony prywatności.

Rhyme rozumiał te niepokoje. Ostatecznie jednak brał stronę systemu RTR, który pomógł im rozwiązać kilka spraw.

– Wprowadziłam alert. Jeżeli jakiś radiowóz znajdzie jego numery, zadzwonią do mnie.

– Mam spotkanie z panem Whittakerem – powiedział Spencer. Skinął głową Rhyme'owi.

– Przyznam się do czegoś. Przesłałbym tę teczkę kurierem albo przekazałbym Amelii. Ale szczerze mówiąc, chciałem pana poznać. W bibliotece w Albany mieliśmy parę pana książek i je studiowałem.

– Ach tak – odrzekł Rhyme.

Gość ruszył do drzwi, ale przystanął.

– Amelia mówiła mi o sprawie Ślusarza. To delikatny temat. Gdyby ktoś pytał, pan w ogóle nie bierze w niej udziału.

– Dzięki.

Potęźnie zbudowany mężczyzna skinął głową Sachs, wyszedł na korytarz i opuścił dom.

– Sprawdziłam go – powiedziała.

– Tak przypuszczałem. Co o nim wiemy?

– Nie znam szczegółów – przyznała. – Coś się stało. Chyba nie w czasie służby wojskowej – Spencer był w SEALs. Raczej później. W czasach policji w Albany. – Powiedziała mu, że próbował wymknąć się z budynku Bechtel uzbrojony w rurę, którą można by roztrzaskać głowę. – To było dziwne. Wycelowałam w niego. Przedstawiłam się. Oślepiłam go latarką w telefonie. Ale nie rzucił rury. Po prostu stał bez ruchu.

– Jeleń na drodze w świetle reflektorów.

– Nie. Wydawało mi się, że chce mnie zaatakować. Nigdy nie widziałam nikogo, kto wyglądałby tak spokojnie z lufą przed nosem.

– Domyślasz się dlaczego?

– Ma bliznę na głowie. Widziałeś?

– Nie.

– Chyba dostał w jakiejś paskudnej strzelaninie. Zespół stresu pourazowego.

Rhyme, człowiek od pracy w laboratorium i na miejscach zdarzenia, podczas służby rzadko miał do czynienia z przemocą, ale jak na ironię jedyne poważne obrażenie, jakiego doznał, było skutkiem zwykłego wypadku, nie postrzału. Na budowie, gdzie zabezpieczał ślady, na szyję spadła mu belka. Nie potrafił sobie wyobrazić paniki, huk, chaosu i grozy towarzyszących wymianie ognia. Sachs – ona dobrze wiedziała, jak wygląda walka – mówiła mu, że strzelanina przeciętnie trwa od trzech do siedmiu sekund, choć ma się wrażenie, jakby upływały długie minuty.

– Nie sądzę, żeby chciał być ochroniarzem – powiedziała.

– To dobrze płatna praca.

– Wspominał o rodzinie, więc na pewno potrzebuje pieniędzy. Ale jest taki jak my. Glina do szpiku kości. Tęskni za tą robotą.

Po chwili Lyle Spencer i jego wewnętrzne anioły lub demony rozplynęły się jak poranna mgiełka, kiedy wzrok Rhyme'a spoczął na grubej teczce.

– Nie ma żadnych innych dowodów do analizy. – Zerknął posępnie w stronę sterylnej części laboratorium. – Poczytajmy te skargi i pogróżki. Ile ich tu może być? Dwa miliony? Trzy? Thom! Thom! Musisz zeskanować parę dokumentów! Chodź!

## 39

*Proszę się nie martwić, poniesie konsekwencje.*

Ojciec mógł mnie wysłać na terapię. Przecież na pewno było go stać.

On jednak sprowadził ślusarza i kazał mu zamontować trzy z jego najdroższych zamków w każdym z dwójga drzwi w suterenie – tych prowadzących do domu i tych do ogrodu.

Rzemieślnik zamontował je jednak odwrotnie.

Każdy z zewnątrz mógł po prostu odsunąć zasuwkę; osoba w środku – czyli ja – potrzebowałaby kluczy, a wszystkie znajdowały się u mojego ojca. Ślusarz był zdumiony i przed rozpoczęciem pracy zadał kilka pytań. Pohamował jednak ciekawość, gdy oprócz wynagrodzenia dostał dziesięć studolarowych banknotów.

Nasza rezydencja była duża, w odróżnieniu od piwnicy – sześć na dziesięć metrów, z wykończoną łazienką, drewnianą podłogą i panelami na ścianach, ale bez porządnego sufitu. U góry były tylko pomalowane na czarno belki i rury.

Łóżko. Oparta o ścianę komoda na trzech nogach. Telewizor z kablówką. Bez komputera. Ojciec bał się, że będę próbował wzywać pomocy e-mailem i rzeczywiście próbowałem. Jedzenie stawiano u góry schodów trzy razy dziennie. Miałem też torbę na brudną bieliznę.

Ojciec traktował moje uwięzienie poważnie i kazał mi spakować ubrania, książki, gry, wszystko, co chciałem. Miałem zostać zwolniony ze szkoły z powodów „zdrowotnych”, ale pod koniec semestru czekało mnie zaliczenie lekcji i testów.

Spełniłem polecenie, zabrałem ze swojego pokoju dwa pudła rzeczy i ubrań i zaniósłem do więzienia.

– Jeżeli sam chcesz sobie zrujnować życie – twoja sprawa. Ale skoro narażasz na niebezpieczeństwo wszystko, do czego doszedłem w życiu, to koniec z tym.

Dodał, że przykro mu, że musiało do tego dojść, ale każdy czyn ma swoje konsekwencje. Pierwsze zdanie było kłamstwem. W drugie święcie wierzył.

W piwnicy było albo za chłodno, albo za ciepło, i zawsze wilgotno. Samotność żarła mnie jak wesz. Cisza brzmiała jak wrzask. Nuda paliła mnie w gardle jak pieprz. Odmóżdżająca telewizja zabijała we mnie ducha i na pewno unicestwiała szare komórki. Zaczynałem jakąś książkę, ale szybko mnie nudziła.

Czasem krzyczałem, płakałem i godzinami siedziałem skulony w ciemnym kącie. Myślałem o samobójstwie. Jaki sposób mógł być najskuteczniejszy?

Od obłądu – i od śmierci – uratowały mnie zamki.

DeWalt 345, Morgan-Hill, Stoddard. Eleganckie urządzenia nie do sforsowania, wokół których skupiło się moje podziemne życie. W jednym z pudełek znalazłem agrafkę i próbowałem otworzyć każdy z nich. Nie miałem pojęcia, jak to zrobić, i dlatego poniosłem porażkę. Pamiętałem satysfakcję, gdy rozprostowanym wieszakiem na ubrania otworzyłem drzwi do sypialni, ale przy tych zamkach nie umiałem przywrócić tego cudownie ciepłego odczucia – graniczącego z przyjemnością seksualną – gdy zasuwka z trzaskiem wysuwa się z zaczepu we framudze, by dać mi wolność.

Gapiłem się na nie godzinami – zamki w drzwiach z tyłu miałem tuż za nogami łóżka. Po pewnym czasie wydawało mi się, że zaczynają się poruszać, powiększać, kurczyć i zmieniać w czarne dziury, kołysać się albo lśnić skrzącym, migotliwym światłem.

Zacząłem do nich mówić i byłem przekonany, że mi odpowiadają. Miały trzy różne osobowości.

Po pięciu miesiącach ojciec wypuścił mnie, jestem pewien, że na prośbę matki, która choć w dużej mierze była przez niego stłamszona, to ostro protestowała przeciwko mojemu uwięzieniu. Słyszałem ich na górze – ton ich głosów, który świadczył o próbach zawarcia kompromisu, chociaż słów nie rozumiałem. Ojciec ostrzegł mnie, że jeżeli znowu będę kogoś podglądał, to wrócę do sutereny.

Skinałem głową, przyjmując z pokorą ten warunek, ale nie czułem żadnej skruchy.

Isolacja pozwoliła mi zobaczyć siebie takiego, jakim naprawdę byłem. Gdy przeżywałem męki, pozbawiony możliwości podglądania, byłem pewien, że nic innego nie sprawi mi przyjemności.

Te okropne miesiące nauczyły mnie jeszcze, że muszę być sprytniejszy. I postarać się już nigdy więcej nie dać się uwięzić.

W antykwariacie kupiłem książkę *Wielki podręcznik lockpickingu*, wydanie dziesiąte, najobszerniejszy tom na ten temat, jaki kiedykolwiek powstał. W sklepie budowlanym kupiłem zestaw narzędzi do lockpickingu, zdziwiony, że są legalnie dostępne.

Czy miałem coś lepszego do doskonalenia swoich umiejętności niż trzy modele, które mnie uwięziły? Do dziś pamiętam dzień, gdy grabkami otworzyłem zamek bębnekowy Morgan-Hill, który według podręcznika uchodził za niemal stuprocentowo odporny na wytrychy. Byłem wniebowzięty. Po kilku tygodniach umiałem otworzyć wszystkie trzy zamki w drzwiach w ciągu paru minut.

Nic nie mogło mnie zatrzymać w piwnicy.

Znowu zacząłem składać Wizyty, teraz już ostrożniej i rozsądniej. Wychodziłem bardzo późno, gdy rodzice spali. Ubierałem się na czarno i wybierałem te domy, do których mogłem podejść pod osłoną nocy.

Niewiele zmieniło się to, co oglądałem. Czasem widoki były pospolite: dziewczyny sączyły jakiś napój, babcia robiła na drutach. Chłopcy grali na komputerach. Czasem widziałem mężczyzn i kobiety, którzy kopulowali spoceni, zapominając o bożym świecie. Bywało, że trafiłem na czyjaś kłótnię.

Czasem nie tylko szpiegowałem. Pewnej nocy podrzuciłem prezerwatywę na tylnym siedzeniu samochodu należącego do żony adwokata, który był odpowiedzialny za moje uwięzienie. Żeby sami sobie to wyjaśnili, chociaż nie sądzę, żeby to się dobrze skończyło dla niej czy dla niego.

Konsekwencje...

Inni ludzie, którzy wchodzili mi w paradę, też musieli się liczyć z moją Wizytą. Zostawiałem im pod drzwiami noże. Stawiałem lalkę w oknie. Raz namalowałem swastykę na tylnym prawym błotniku mercedesa, którego właściciel wrzasnął na mnie z jakiegoś powodu. Zanim zaczął się zastanawiać, dlaczego wóz przyciąga tyle spojrzeń, pewnie dojechał do pracy.

W tych Wizytach chodziło o wymierzenie sprawiedliwości. A pozostałe? Po prostu sprawiały mi przyjemność.

Wreszcie wyjechałem na studia, do dobrego college'u dzięki pieniądzom ojca, i wkroczyłem do prawdziwego świata.

Bez większego przekonania próbowałem z tym zerwać. Chciałem dostać leki, żeby zapanować nad podglądaniem. Podawałem lekarzom nieco inną wersję, mówiłem o uzależnieniu od gier komputerowych, ale szczegółowo opisywałem swoje uwięzienie, co wywołało zdziwienie na twarzach kilku psychiatrów.

Doktor Patricia ubierała się w stonowane beże i miała w sobie coś ujmującego, choć zupełnie pozbawionego seksapilu. Mogła mieć trzydzieści pięć lat; ale równie dobrze sześćdziesiąt.

– Zastanawiałeś się nad zmianą pracy? – spytała mnie kiedyś.

Powiedziałem jej prawdę – że w odróżnieniu od ojca nie stawiam wyłącznie na karierę.

– Często fruwać to tu, to tam. – Naprawdę tak powiedziałem, dodając: – Jak motyl.

– Jesteś młody. Masz jeszcze czas. Zadaj sobie tylko pytanie: co chciałbyś robić, co sprawia ci przyjemność i jednocześnie może zapewnić ci utrzymanie?

Obiecałem, że się nad tym zastanowię.

Jako specjalistka psychoterapii strategicznej zapytała:

– A co u Aleksandry? Wszystko w porządku?

– Tak. Bardzo dobrze.

Doktor Patricia zdiagnozowała u mnie lęki i depresję z domieszką ADHD – ze wszystkim można było sobie bez trudu poradzić. Przepisała mi wellbutrin, który miał mniej skutków ubocznych w seksualnej sferze życia niż inne antydepresanty. Przypuszczam, że nie chciała utrudniać mi związku z moją rosyjską krasawicą.

Pod koniec naszej ostatniej sesji pochyliła się, by podkreślić wagę swoich słów, i powiedziała:

– Musisz jednak zrobić jedną rzecz. Nigdy nie będziesz wolny, dopóki nie uporasz się z tym, co ojciec ci zrobił w suterenie. Musisz z nim o tym porozmawiać. Powiedz mu, jaki

wpływ wywarła na ciebie ta piwnica. Możliwe, że będzie cię prosił o wybaczenie. Pogodźcie się.

Odpowiedziałem, że pomyślę o jej propozycji. Schowałem ten pomysł bardzo głęboko i od czasu do czasu go odkurzałem.

Zerkam teraz na ekran telefonu, by sprawdzić godzinę. Jest popołudnie. Oczywiście moje Wizyty udają się tylko po północy. Czasem jednak pojawia się chęć, by zerknąć, zajrzeć, może zrobić coś więcej.

Czasem trzeba skrzywdzić.

Dla samej przyjemności.

Biorę prysznic, a potem się ubieram. Biorę nóż. To nie tylko poręczna broń i narzędzie; ma też wielką wartość sentymentalną.

Dostałem go od Deva Swensena, mojego mentora od lockpickingu. Zrobił go własnoręcznie na frezarce. Mosiądz nie jest typowym metalem do wyrobu broni. W przeciwieństwie do swojego mocniejszego kuzyna, brązu, rzadko używa się go do tego celu. Wprawdzie może być ostry jak brzytwa, ale szybko się tępi. Broń z niego trzeba ostrzyć po każdym użyciu.

Nóż wędruje do mojej kieszeni.

Dokładnie ukryty, panie posterunkowy. I na tyle krótki, że jest całkiem legalny.

Zakładam czapkę Metsów, ciemne okulary i kurtkę przeciwdeszczową. Łapię mój tandetny breloczek i wychodzę, jak zawsze sprawdzając jeszcze, czy zamki są dokładnie zamknięte.

## 40

Czyżby ten facet ją śledził?

Nie...

Ale być może.

Zwróciła na niego uwagę mniej więcej w połowie drogi do szkoły – w sumie cztery skrzyżowania. Z roztargnieniem odwróciła się na dźwięk klaksonu i zauważyła, że odwrócił wzrok, jak gdyby wcześniej się na nią gapił.

Kawałek dalej znowu ukradkiem się obejrzała. Tym razem wydało się jej podejrzane, że trzyma się w tej samej odległości co przedtem. Celowo zwolnił kroku, by się do niej nie zbliżyć?

Taylor Soames była rezolutną osobą, bo tego życie na Manhattanie wymagało od kobiety, zwłaszcza jeśli była singielką. Uważała się za atrakcyjną i nosiła stroje podkreślające figurę, nad którą pracowała w pocie czoła i z której była dumna. Ubiór nigdy jednak nie był jawnie prowokujący ani nie odsłaniał za dużo. Brunetka przyciągała wzrok, co było normalne – leżało w naturze mężczyzn i kobiet – była jednak na tyle czujna, by od razu zauważyć, że ktoś przekracza dozwolone granice.

Jeżeli chodzi o tego gościa, to nie była pewna. Te ciemne okulary...

Dotarła do szkoły, gdzie zamierzała odebrać córkę. Roonie została po lekcjach na zajęcia w klubie szachowym. Zamiast wchodzić do środka, Soames czekała. Chciała sprawdzić, czy naprawdę jest śledzona.

Mężczyzna skręcił do koreańskiego sklepiku na rogu, wyjmując telefon z kieszeni.

Żeby zadzwonić?

Czy udawać, że dzwoni?

Kurtka przeciwdeszczowa, chociaż nie padało, okulary przeciwsłoneczne, choć słońca było niewiele. Czapka bejsbolowa nasunięta głęboko na oczy. Raczej młody niż stary. Bardziej budził grozę niż obrzydzenie. Ale stała przed szkołą, więc słowo „groza” nabrało nowego, silniejszego znaczenia.

Po prostu nie była pewna.

Byłoby wstyd, gdyby policja zaczepiła niewinnego człowieka.

Może prawdziwy problem to moje wybujałe ego, pomyślała.

Chociaż zwykle przecucie jej nie myliło.

Niech to szlag, czy właśnie jej się przygląda przez plastikową mleczną szybę w sklepiku?

Rozmawiała przez jakiś czas z grupką matek, które też przyszły po dzieci.



Zerknęła w telefon, by sprawdzić, czy nie dostała SMS-a albo e-maila.

Za jej plecami rozległ się męski głos:

– Jesteś mamą Roonie, prawda? Cześć.

Mężczyzna właśnie wychodził z dużego, ceglanego budynku szkoły. Na bardzo ładnym garniturze miał przyklejony identyfikator gościa.

– Ben. – Przywitali się skinieniem głowy. – Jestem tatą Meghan Nelson. Poznaliśmy się miesiąc temu. Na zebraniu rodziców. Przed wielką schizmą.

Zaśmiała się i pokręciła głową. Próby sił między rodzicami uczniów gimnazjum miały czasem tyle dramaturgii co przewroty pałacowe.

– Meghan jest w klasie Roonie? Przepraszam, nie pamiętam.

– Nie, jest w szóstej.

Soames wróciła spojrzeniem do koreańskiego sklepiku. Stalker albo wyszedł, albo przesunął się w głąb pomieszczenia.

– Byliśmy na zawodach gimnastycznych – ciągnął Ben. – Tych w Hunter. Meghan uważa, że Roonie totalnie wymiata. – Zaśmiał się, zdając sobie sprawę, że sięgnął do języka nastolatków.

Soames też się uśmiechnęła.

– To naprawdę miłe. Meghan też uprawia gimnastykę?

– Chciałaby, ale jest gruboścista. I za wysoka.

Wyjaśnił, że jego córka nie przepada za sportem, ale ma wybitny talent do tańca i śpiewu.

– Meghan jest w rodzinie osobą o najbardziej teatralnych skłonnościach. – Parsknął śmiechem. – Zaraz po mojej eks.

Nagle Ben spojrzał za plecy Soames – w stronę sklepu na rogu.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak. Tylko... jeden facet mi się przyglądał.

– Miał ciemne okulary?

– Tak, jak jakiś kanciarz. Wszedł do środka.

– Kurtka przeciwdeszczowa i bejsbolówka?

– Zgadza się, ten – przytaknął Ben.

– Wydaje mi się, że mnie obserwował. – Powiedziała mu o swoich podejrzeniach, że ją śledził.

– Hm... chcesz, żebym poszedł z nim pogadać?

– Boże, nie.

Ben posłał jej uśmiech.

– Kiedyś znałam jednego stalkera, swojego byłego. – Soames czuła, że rozmowa z nim ją uspokaja. – Tyle że nie mnie śledził, lecz sekretarkę z firmy.

Ben dotknął swojego serdecznego palca bez obrączki.

– U mnie to już pięć lat.

– Ja trzy.

Był przystojnym facetem; w zaczesanych do tyłu gęstych ciemnych włosach jaśniały nitki przedwczesnej siwizny. Zdaniem Soames to zawsze podnosiło współczynnik seksapilu. A garnitur wyglądał naprawdę wspaniale. Ben miał pieniądze.

– Chcesz wezwać policję?

– Nie. Pewnie to nic groźnego.

Między nimi zapadła cisza. Mężczyzna spoglądał w głąb ulicy. Czują, że się zastanawia. I nie była zaskoczona, gdy rzekł:

– Słuchaj, nie znam twojej sytuacji, ale... – Zabawne, że nawet tych najprzystojniejszych nagle opanowuje nieśmiałość, gdy mają zadać to pytanie. – Lubisz Broadway?

– A kto nie lubi?

– Meghan dostała rolę w *Annie*. – Wskazał głową budynek szkoły. – Wystawiają na zakończenie roku. Miałybyś ochotę pójść?

Zaśmiała się z „Broadwayu”.

– Bardzo chętnie.

Gdy patrzył w głąb ulicy, obrzuciła szybkim spojrzeniem jego ciało. Wysportowane.

No i ta seksowna siwizna.

Pomyślała o tym, kiedy ostatni raz była z mężczyzną. Na szczęście mam dobrą pamięć, skonstatowała.

Potem znowu popatrzyła w stronę sklepu na rogu.

Czyżby jej się wydawało?

Na świecie jest tylu stukniętych ludzi, zwłaszcza w tak zatłoczonym mieście jak to. Czytała w „Timesie” o prawdziwych socjopatach. Było ich całkiem sporo. Autor artykułu twierdził, że w większości są nieszkodliwi, ale niektórzy mogą stracić rozum właściwie bez powodu.

– Dziewięćset jedenaście? – spytał Ben.

Zaśmiała się.

– Czytasz mi w myślach. Ale nie. Już go nie widzę.

– Mówiłaś, że mieszkasz niedaleko stąd...

– Cztery ulice dalej. – Ruchem głowy wskazała na południe.

– Odprowadzę cię.

– Och, nie, nie trzeba. Przecież musisz odebrać Meghan.

– Dzisiaj nocuje u mojej eks. Przyszedłem tylko podrzucić jej plecak. Kiedy ten facet mnie zobaczy, może weźmie mnie za twojego chłopaka i da ci spokój.

Straszna myśl przebiegła jej przez głowę. A jeżeli facet w ciemnych okularach jest naprawdę niebezpieczny i w ataku zazdrości zaatakuje Bena?

– Będę nalegał. Jeżeli się nie zgodzisz, sam zacznę cię śledzić.

Uśmiechnęła się.

Rozmawiali jeszcze przez parę minut, dopóki Roonie nie wyszła ze szkoły. Szczupła dziewczynka z włosami spiętymi w kucyk dźwigała na ramieniu spory plecak.

– To pan Nelson. Jego córka chodzi do szóstej klasy.

– Meghan. Znasz ją?

– Chyba tak.

Oczywiście Soames nie zamierzała informować córki o tajemniczym mężczyźnie w ciemnych okularach, powiedziała tylko, że pan Nelson pójdzie z nimi, bo to po drodze do jego domu.

Słyszając to niewinne kłamstwo, Ben puścił oko do Soames.

– Fajnie – orzekła dziewczynka i ruszyli w drogę.

– Daj, poniosę ci to. – Ben wskazał na plecak.

– Naprawdę? – zdziwiła się Roonie.

– Jasne. – Zdjął z niej ciężar i zarzucił sobie na ramię.

Skręcili na południe.

– Powiedz mi, Roonie, jakie ćwiczenia najbardziej lubisz?

## 41

Sama nie wiem – odpowiada dziewczynka. – Chyba równoważnię. I poręcze asymetryczne.

Kwituję słowa Roonie skinieniem głowy.

Mógłbym jej powtórzyć to, co mówiła Aleksandra o dziewczynkach z Rosji: tancerki albo gimnastyczki.

Lepiej jednak nie.

Chociaż, jeśli przyjrzeć się uważniej, to można dostrzec nieco słowiańskie rysy i u Taylor, i u Roonie.

Dziewczynka jest ładniejsza. Mamusia nie jest o ciebie zazdrosna. Jeszcze nie. Mam wrażenie, że to się może zmienić.

Gdy idę obok nich – z przyjemnością odgrywając rolę Bena Nelsona – dyskretnie zerkam na ładną Soames i chudą Roonie i myślę, że nie mają pojęcia, w co się wpakowały.

Przypominało to otwarcie zamka. Szedłem za Taylor od samego mieszkania, starając się zwrócić na siebie jej uwagę. Musiałem dosłownie wejść przed maskę taksówki, żeby kierowca na mnie zatrąbił. Wreszcie odwróciła się, zauważyła mnie i chyba zaczęła coś podejrzewać.

Kilka minut temu jeszcze raz obejrzała się przez ramię i wiedziałem, że połknęła haczyk.

– Opowiedz panu Nelsonowi o swoim obozie.

– Aha. – Roonie rozpromieniła się w uśmiechu. – Będzie super. Jedziemy do Wilmington. To znane miasto. Będzie nas chyba setka z całego Wschodniego Wybrzeża. Trenowała tam Jenna Carson.

– Coś podobnego! – Omal nie zatyka mnie z wrażenia.

Kiedy dotarła do szkoły, skręciłem do sklepu na rogu. Zdjąłem kurtkę, okulary i czapkę – tanie rzeczy jednorazowego użytku. Wcisnąłem je do plastikowej torby, którą kupiłem za dolara. Pod spodem miałem garnitur Brooks Brothers.

Wykorzystując moment jej nieuwagi, wymknąłem się na tyły szkoły Hawthorne'a i wyrzuciłem torbę do śmietnika. W trzy sekundy otworzyłem zamek Steel-Tec w drzwiach służbowego wejścia do szkoły. Przykleiłem na piersi identyfikator dla rodziców, wbiegłem po schodach na parter i wyszedłem z budynku od frontu.

*Jesteś mamą Roonie, prawda? Cześć.*

Podsyciłem jej strach przed świrem w ciemnych okularach, który być może ją śledził. Jeżeli przypuszczasz, że jesteś obserwowany, i ktoś z zewnątrz to potwierdzi, wtedy nie

masz wątpliwości, że ktoś wziął cię na celownik. Na bank.

To chyba za proste.

– A pana córka jaki uprawia sport? – spytała Rooney.

– Wdała się w moją stronę rodziny – mówię. – Zero zdolności gimnastycznych. Ale lubi występować na scenie. Sam trochę grałem.

– Ekstra. – Teraz z kolei pod wrażeniem jest miłośniczka równoważni.

Taylor zerka na mnie z podziwem.

– Widzieliśmy cię na zawodach gimnastycznych. Byłaś naprawdę dobra. Cały układ wykonałaś bezbłędnie!

Uśmiecha się nieśmiało i chyba się rumieni.

Idziemy po wilgotnym, zgrzytającym od żwiru chodniku, Taylor trajkocze, a ja jestem wniebowzięty. Sforsowałem zamki do życia tych dwu kobiet.

Taylor nagle milknie. Ma zaniepokojoną minę i zastanawiam się, czy znowu czegoś nie podejrzewa, choć przecież nie wie, że mężczyzna obok niej nie jest tym, za kogo się podaje, i ma w kieszeni bardzo ostry nóż.

Może się martwi, że skoro pokrzyżowała plany stalkerowi, to postanowił zaatakować kogoś innego.

Czyżby w tym momencie poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, że zapoczątkowała serię zdarzeń, które doprowadzą do napaści, gwałtu, zabójstwa?

Hm, ta igielka poczucia winy to nic w porównaniu z bólem, jaki cię czeka, Taylor.

Ciebie też, Rooney.

Dziewczynka wyjmuje z tylnej kieszeni spodni telefon i pokazuje mi wideo sławnej gimnastyczki, Jenny jakiejś tam.

– Jest niesamowita.

– Pracuję teraz nad tym układem.

– Może pan Nelson i Meghan mogliby przyjść na twoje następne zawody?

– Jasne, co nie?

Przechodzimy na drugą stronę ulicy. Taylor wskazuje przed siebie i mówi:

– A to właśnie nasz budynek.

Wiem, myślę.

– *Przyjaciele: uzupełnienie wiadomości z mojego rodzinnego Zachodniego Wybrzeża. Pamiętacie post o kontraktach rządowych na realizację projektów infrastrukturalnych w całym kraju z wykorzystaniem stali produkowanej w znanej firmie z siedzibą w Kalifornii? Dźwigary przeznaczone na mosty i wiadukty drogowe wytwarzano z surówki pochodzącej ze wschodu, przypominacie sobie?*

*Właśnie dotarła do mnie informacja, że na budowie w Kalifornii północnej zostali poważnie ranni dwaj robotnicy, kiedy pękły dźwigary zrobione ze stali niskiej jakości. Co to była za budowa? Autostradowa estakada nad sześćdziesięciometrową przepaścią.*

*Kiedy następnym razem będziecie jechać estakadą, zastanówcie się, czy nie została zbudowana z wybrakowanej stali.*

*Oto korupcja w najgorszym wydaniu.*

*Dlaczego Generalny Urząd do spraw Usług w Waszyngtonie nic z tym nie robi?  
Oczywiście dlatego, że jest kontrolowany przez Ukrytych!*

*Módlcie się i bądźcie gotowi!*

*Nazywam się Verum, po łacinie „prawda”. Oto wiadomość ode mnie. Od was zależy, co z nią zrobicie.*

Bogu dzięki, że to nie ja...

Jeden z dwojga detektywów prowadzących sprawę zabójstwa Alekosa Gregoriosa, Tye Kelly, stał w podwójnych drzwiach starej sali gimnastycznej, w której obecnie mieściło się schronisko dla bezdomnych – rześcicie oświetlonej i czystej, ale zalatującej środkiem dezynfekującym, którego zapach drażnił go głęboko w nozdrzach. Salę zajmowali wyłącznie mężczyźni. Wydział do spraw bezdomnych nie chciał kłopotów. Jeśli chodziło o zachowania, bezdomni byli takimi samymi ludźmi jak właściciele i lokatorzy mieszkań. Tu problem polegał na tym, że nie było drzwi, za którymi można by się schować i zamknąć je na klucz.

Za plecami Kelly'ego stanęła jego partnerka, pracująca z nim przy tym śledztwie, i spojrzała na przestronną salę.

– Czyściej, niż myślałam – oznajmiła Crystal Wilson z dłońmi na szczupłych biodrach. Traf chciał, że dzisiaj oboje mieli na sobie ciemnoszare garnitury. Wilson pod marynarką nosiła czarny sweter, Kelly miał jasnoniebieską koszulę. Oboje mieli kruczoczarne włosy; on przerzedzone, ona splecione w warkoczyki tuż przy skórze. Kelly z początku zdziwił się, że jego partnerka nigdy nie widziała schroniska dla bezdomnych, ale uświadomił sobie, że szlify detektywa zdobyła w rejonie posterunku 112, gdzie nie było takiej placówki.

Deloitte House znajdował się w innej części miasta, na zachodzie, gdzie działało kilka oficjalnych i nieoficjalnych schronisk.

– Łóżko B osiemdziesiąt sześć – powiedziała Wilson.

Ciekawe, czy pomyślała o tym samym co on, czyli o grze w bingo.

W tych okolicznościach – w takim miejscu i w trakcie wykonywania takiego zadania – żadne z nich nie przyznało się do tej myśli.

Kelly czuł na sobie uważne spojrzenia wielu par oczu i kątem oka dostrzegł dyskretne ruchy dłoni chowających różne rzeczy. W nowojorskich schroniskach broń, narkotyki i alkohol były zabronione, ale zakaz miał się nijak do rzeczywistości, zwłaszcza w schronisku z takimi brakami w personelu i prawie zupełnie pozbawionym ochrony. Mimo to Kelly wiedział z doświadczenia, że naloty niewiele mogą pomóc i dopóki nikt nie afizjuje się ze swoją kontrabandą ani nikomu nie grozi, lepiej przymknąć oko.

Niech mają coś swojego, pomyślał.

W końcu, Bogu dzięki, to nie ja...

Michael Xavier, który mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu pięciu lat, siedział na brzegu łóżka, przygryzał wargi – to był skutek działania neuroleptyków – i półgłosem mamrotał coś do siebie. Nie był w tym osamotniony. Zwalisty mężczyzna miał na sobie T-shirt, który odsłaniał muskularne i jednocześnie pulchne ramiona. Twarz Xaviera przysłaniała rozwichrzona broda. Nosił sfatygowane skórzane buty. Do pary, w odróżnieniu od obuwia zabójcy Alekosa Gregoriosa. Ale każdy trop musiał się od czegoś zacząć.

Masywna sylwetka Tye'a Kelly'ego budziła respekt, spod zrośniętych w jedną kreskę brwi spoglądały ponure oczy, wyglądał jak rozdrażniony bokser. Wilson była natomiast drobna i najczęściej nadawała twarzy łagodny wyraz, patrząc na rozmówcę z zaciekawieniem i rozbawieniem, bardziej przez to przypominając nauczycielkę pierwszoklasistów niż detektywa pierwszej klasy. Pozwolił jej mówić.

– Panie Xavier, jestem detektyw Wilson, a to detektyw Kelly. – Pokazali odznaki. Przez salę przetoczył się okrzyk „Wypierdalać!”. Najwyraźniej był jednak adresowany do czegoś niewidzialnego, co unosiło się pod sufitem.

Mężczyzna stęknął, obrzucił ich krótkim spojrzeniem i odezwał się:

– Jest jak jest.

– Mógłby nam pan powiedzieć, gdzie pan był w zeszły wtorek wieczorem? Przypomina pan sobie? Około dziewiątej.

Przez chwilę dalej przygryzał wargi i patrzył na nich. Mruknął coś pod nosem.

– Co pan mówi?

Xavier umilkł i zaczął się bawić paznokciem.

– Gdzie on to zobaczył? – spytał partnerkę Kelly.

– Pod łóżkiem.

Policjant przyklęknął i omiótł światłem małej latarki przestrzeń pod łóżkiem polowym. Niech to szlag. Czyściej niż u niego w domu.

Detektywi z posterunku 112 dzwoniли do kilkunastu schronisk w promieniu dziesięciu kilometrów od domu zamordowanego Gregoriosa i pytali, czy ktoś z personelu nie zauważył butelek z dwutlenkiem chloru, obojętnie jakiej marki, z dodatkiem smaku wiśniowego, które byłyby w posiadaniu jednego z białych lokatorów placówki o wyglądzie odpowiadającym przedstawionemu przez syna Gregoriosa rysopisowi bezdomnego.

Dyrektor Deloitte przeczytał e-mail, zadzwonił tego ranka na posterunek i zawiadomił detektywów, że widział butelkę płynu Miracle Sav z dodatkiem soku wiśniowego.

Gdy Lincoln Rhyme poinformował ich, że na ubraniu Gregoriosa znalazły się ślady tej substancji – a w domu ofiary jej nie znaleziono – Kelly sprawdził, co to jest. Choć płynu należało używać jako środka czyszczącego, to niektórzy ludzie byli na tyle głupi, że pili go, traktując jak lekarstwo, i w rezultacie doprowadzając do niewydolności nerek, wymiotów, uszkodzeń błony śluzowej. Podawano go w formie lewatywy dzieciom, by



leczyć je z autyzmu, w związku z czym dziesiątki odniosły poważne obrażenia, a kilkoro zmarło (Kelly żałował, że nie dostał do poprowadzenia żadnej z tych spraw).

– Panie Xavier, czy wyraża pan zgodę, byśmy przeszukali pańską szafkę? – spytała Wilson.

To był ryzykowny krok. Gdyby w środku była butelka i udałoby się ją powiązać z miejscem zdarzenia, obrońca zaskarżyłby rewizję jako nielegalną, ponieważ w swoim obecnym stanie psychicznym Xavier był niezdolny do udzielenia pozwolenia.

Z drugiej strony zabójstwa dokonano w tak brutalny sposób, że jeśli Xavier był jego sprawcą, to należało go jak najszybciej przymknąć.

– Jest jak jest, jest jak jest, jest jak jest...

Wilson usiadła na wolnym łóżku naprzeciwko niego.

– Panie Xavier?

Nagle Kelly znieruchomiał.

– Mniejsza z tym. Włóż rękawiczki i otwórz.

– Ale... – próbowała protestować. Pewnie myślała o uzasadnionej podstawie rewizji. A ponieważ studiowała wieczorowo prawo, to pomyślała też o czwartej poprawce do konstytucji.

– Przecież jest na widoku.

Gdy zaświecił latarką między sprężyny łóżka, zauważył jakiś przedmiot wciśnięty pod materac. Nałożył lateksowe rękawiczki, sięgnął tam i wydobył zakrwawiony portfel.

Należał do Alekosa Gregoriosa.

Wilson otworzyła szafkę. Pod butami nie do pary stała butelka. Policjantka wyjęła adidasa i nike'a i oboje zobaczyli zakrwawiony nóż długości około dwudziestu centymetrów oraz butelkę Miracle Sav.

Wydrukowany dużymi czerwonymi literami napis na etykiecie informował, że prócz eliminowania innych schorzeń mikstura „leczy wszelkie choroby umysłowe oraz demencję”.

Lon Sellitto mówił przez głośnik.

– Głównymi podejrzanymi są Apollowie.

Wyjaśnił, że po szkalującym artykule o ugrupowaniu „nienawidzącym kobiet”, jaki opublikował „Daily Herald”, członkowie przywództwa zaczęli się ukrywać i funkcjonariusze, którym Sellitto wyznaczył zadanie odnalezienia tych ludzi, mieli kłopot z ich wytropieniem.

– Ale zamieszczają masę gróźb w sieci. Zwłaszcza jeden z nich, pseudonim „Wybrany”, domaga się głowy Whittakera.

Podczas próby ustalenia adresu IP dotarli tylko do serwera proxy w Europie.

– Swoje trzy grosze dorzucili psychologowie – dodał detektyw. – Uważają, że ze względu na profil to ktoś związany z grupą. Ślusarz kradnie bieliznę, a to sugeruje seksualizację kobiet. Zabieranie noży świadczy natomiast o tym, że podświadomie chce im zrobić krzywdę.

– To się wcale nie wydaje takie podświadome – zauważył Rhyme.

Sellitto dodał, że dziennikarz, który napisał tekst, i redaktor, który go zamówił i zaakceptował, odeszli z firmy i nie odbierają telefonów. Nie mieszkają już w Nowym Jorku.

Jeśli chodzi o listę sporządzoną przez Douga Huberta z działu prawnego WMG, to na czterysta dziewięćdziesiąt pięć listów z pogrózkami ani jeden nie naprowadzał na trop sprawcy w rodzaju Ślusarza.

A co do skarg składanych przez pracowników, to dotyczyły one braku równych szans w zatrudnieniu, a także dyskryminacji. Było parę problemów związanych z BHP. Listy z pogrózkami od osób i instytucji, które stały się celem napastliwych artykułów, dotyczyły zniesławienia i w większości przyszły od prawników. Atak Ślusarza na firmę – jeżeli o to chodziło we włamaniach do mieszkań – nie mógł być skutkiem żadnego konfliktu, w związku z którym w liście od adwokata padłoby jego prawdziwe nazwisko. Pozostałe zażalenia odnosiły się do popełnionych przez gazetę grzechów, ale mało znaczących, które można było naprawić przeprosinami i odwołaniem oskarżeń.

– Strata czasu – mruknął Rhyme. Wrócił do trybu oczekiwania: ze sceptycyzmem podchodził do wszelkich technik śledczych, które nie opierały się na dowodach rzeczowych, na przykład do szamańskiego jego zdaniem profilowania psychologicznego.

– Jeżeli chodzi o wyniki analiz śladów, to z Queens – ciągnął Sellitto – na razie mam figę z makiem.

Laboratorium nowojorskiej policji miało swój zestaw śladów zabezpieczonych w mieszkaniu Carrie Noelle, ale nie dostało nic z drugiej wizyty sprawcy w budynku Bechtel. Pracowali tam pierwszorzędni technicy, lecz sprawa Ślusarza była jedną z tysięcy, do których przeprowadzali analizy. Rhyme za to mógł się całkowicie poświęcić śledztwu – chociaż nielegalnie.

– No więc nie daj się udupić – burknął Sellitto. – Jesteś naszym jedynym źródłem bebeczków w tej sprawie.

– Przypuszczam, że rozumiesz przez to wnikliwą analizę śladów kryminalistycznych.

– Mówię serio, Linc. Niektórym zależy na tym, żeby poleciały głowy.

– Na razie lecą banały.

– Jesteśmy ostrożni – odezwała się Sachs.

– Wiecie, czego nie da się uniknąć? – spytał kpiącym tonem Sellitto.

– Zawsze można odpowiedzieć, że śmierci i podatków, chociaż to też oczywiście banał.

– Jeżeli przymkniemy Ślusarza, pojawi się pytanie, jak tego dokonaliśmy. A ponieważ z Queens dalej nic nie mam, cały świat będzie patrzył na ciebie, Linc.

– Pozwól, że uraczę cię jeszcze jednym oklepanym zwrotem: Nie mów hop.

– A ja powiem ci na to: Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Wygrałeś, Lon.

Rozłączyli się.

Sellitto miał rację. Ale czy naprawdę było inne wyjście? Tego człowieka należało powstrzymać, zanim zrobi użytek z noży, do których miał tak wyraźną słabość.

Sachs odebrała telefon i coś zanotowała. Następnie poprawiła wpis na tablicy, zastępując 22 liczbą 26.

*Sprawdzanie warsztatów/szkół dla ślusarzy w obszarze metropolitalnym Nowego Jorku, prowadzone przez R. Pulaskiego. 26 sprawdzonych, brak związku z osobą odpowiadającą profilowi Ślusarza.*

– Mel? – zawołał Rhyme. – Robiłeś analizę tego grafitu znalezionego na papierku po cukierku Jolly Ranger?

Technik nie badał go, więc zrobił to teraz.

Rhyme tymczasem oglądał na monitorze zdjęcia innych śladów. Jego uwagę przykuły maleńkie skrawki intensywnie żółtego metalu.

– Co jest? – Sachs zauważyła jego wzrok.

– Mosiądz. Wiemy, że został obrobiony maszynowo. Metale się nie łuszczą.

Pstryknęła palcami.

– Frezarka do dorabiania kluczy.

– Może pracuje w sklepie budowlanym albo z narzędziami. To jakiś trop, ale nie mamy ludzi, żeby sprawdzić wszystkie. Będziemy o tym pamiętać, jeżeli znajdziemy coś, co pozwoli zawęzić rejon poszukiwań. Inne wyjaśnienie może być takie, że ma własną maszynę albo pracuje w firmie, gdzie taka jest. To rzadki sprzęt, Sachs? Drogi? Miejmy nadzieję. Chcę wiedzieć, ilu jest producentów frezarek do kluczy i ile sprzętu trafia na rynek w sprzedaży bezpośredniej.

Jeszcze raz zadzwoniła do Lona Sellitta, by przekazać mu tę prośbę, i po krótkiej rozmowie się rozłączyli. Rhyme wiedział, że detektyw od razy wyśle ludzi, by to sprawdzili.

Wrócił spojrzeniem do tablicy.

Ślusarz był inteligentny, ostrożny, starannie wszystko planował, wiedział, kim są jego prześladowcy, i zbierał o nich informacje.

Rhyme znowu pomyślał o Zegarmistrzu. Ślusarz doprawdy był jego godnym następcą... Zaraz jednak wycofał się z wniosku, że obecny sprawca zastąpił tamtego. Owszem, nie można wykluczyć, że Zegarmistrz rozstał się z życiem, jeśli nie udało mu się jedno z jego przedsięwzięć, ale Rhyme nie mógł w to jakoś uwierzyć. Miał przeczucie, że ich stary znajomy żyje i ma się świetnie, a do tego angażuje się w kolejne intrygi.

Znowu zastanawiał się, czy któraś z nich ma coś wspólnego z informacjami z Wielkiej Brytanii, jakie dotarły do niego za pośrednictwem FBI. Chodziło o to, że X wynajął nieznaną osobę Y, by zabiła Z.

Według raportu dobrze znana była tożsamość Z. Był to nie kto inny jak Lincoln Rhyme.

Sachs, czytając wiadomość z ekranu telefonu, powiedziała:

- Złe wieści o frezarkach.
- Można je kupić za tysiąc dolarów w dziesiątkach sklepów detalicznych i mógł zapłacić gotówką – domyślił się Rhyme.
- Mniej więcej.
- Cholera.

Amelia przesunęła palcem po ekranie i najwidoczniej znalazła czyjś numer. Zadzwoniła i włączyła głośnik. Rhyme usłyszał sygnał.

- Halo?
- Lyle?
- Amelia – przywitał ją Spencer.
- Jestem tu z Lincolnem i Melem Cooperem.
- Coś nowego w sprawie?
- Niewiele. Żadna ze skarg znalezionych przez dział prawny nie naprowadziła nas na ślad. Detektyw prowadzący śledztwo wziął pod lupę Apollów, ale nie ma niczego konkretnego. Dzwonię, żeby spytać, czy ktoś miał jakieś wiadomości od syna Whittakera.
- Jestem teraz z panem Whittakerem i jego bratanicą.

Usłyszeli, jak przekazuje pytanie. Odpowiedzi Whittakera, Joanny i jej narzeczonego, Martina Kempa, były przeczące.

– Chciałabym zajrzeć do jego mieszkania. Ktoś ma do niego klucz?

Nikt z rodziny nie miał.

– W budynku jest dozorca? – spytała Sachs.

– Tak, mieszka tam – odpowiedziała Joanna.

– Mogę zdobyć nakaz w związku z kontrolą stanu fizycznego i psychicznego. Spencer, masz czas jutro rano?

– O której najlepiej?

– Powiedzmy, że o dziewiątej.

– Do zobaczenia.

Rozłączyli się.

Pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Pokłócili się, ojciec chciał się z nim pogodzić, a on tymczasem zapadł się pod ziemię.

– O co się pokłócili? – zapytał z roztargnieniem Rhyme.

– Chyba nie podobało mu się, że ojciec grzebie w brudach i prowadzi imperium medialne, w którym kobiety rzadko dopuszcza się do kierowniczych stanowisk, za to często fotografuje się je w za krótkich spódniczkach. Zresztą widziałeś te skargi. – Wskazała na teczkę wypchaną dokumentami od wydziału prawnego WMG.

Polityka i praktyki Whittaker Media nieszczególnie interesowały Rhyme'a. Patrzył na tablicę, na zdjęcia z miejsc zdarzenia wyświetlane na monitorze, na torebki z dowodami w sterylnej części laboratorium, ułożone w sposób, który z niewiadomego powodu kojarzył mu się z bydłem w rzeźni.

Coś tam musiało być.

Coś...

Jeszcze raz skierował wzrok na fotografie, zwłaszcza te, które Sachs zrobiła w budynku Bechtel.

– Mel! – krzyknął ostrym tonem Rhyme. – Mam dla ciebie zadanie.

– Jakie?

– Sekcja zwłok.

Cooper zawahał się i chrząknął.

– Hm, Lincoln, nie przeprowadzam autopsji. – W głosie technika słyhać było niepewność.

– Musisz stanąć na wysokości zadania – odparł z powagą Rhyme. – Tylko ten jeden raz.

## 44

Jestem w warsztacie.

I przyglądam się swojemu ulubionemu brelokowi z Tower w Londynie.

Londyńska Tower zawsze była dla mnie wyjątkowym miejscem ze względu na ceremonię kluczy.

Co dzień wieczorem, o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt trzy, dowódca strażników Tower – beefeaterów – zamyka bramy zewnętrzne i bramy wież, po czym maszeruje do Bloody Tower. Zatrzymuje go wartownik, a gdy dowódca mówi, że ma klucze królowej, tamten pozwala mu przejść. Ceremonia kończy się dokładnie o dwudziestej drugiej. Od stuleci nigdy jej nie odwołano.

Leżę na twardym materacu i myślę o Taylor Soames.

I jej bólu.

Och, nie, nie fizycznym.

O znacznie subtelniejszym.

I bardziej uporczywym. Gdy wypatroszysz kogoś mosiężnym nożem, cierpienie trwa krótką chwilę.

To, co zrobiłem, sprawiło mi znacznie większą satysfakcję.

Gdy odprowadziłem je pod dom, Taylor poszła na górę ze swoją Roonie, pewnie zachwycona takim obrotem spraw.

W tym mieście tak cholernie trudno poznać porządnego faceta, a jej się udało!

Ben Nelson spełniał wszystkie kryteria. Rozwiedziony pięć lat temu, więc rodzinne melodramaty były już dla niego wspomnieniem. Miał córkę w podobnym wieku co jej dziecko. Dżentelmen. Brak piwnego brzucha. Gęsta naturalna czupryna – dodałem jej odrobinę siwizny, bo wiem, że to jej się podoba u facetów. Zasoby finansowe (garnitur od Brooks Brothers – a każda kobieta, która twierdzi, że nie chce faceta z pieniędzmi, kłamie!). Poczucie humoru. I na pierwszy rzut oka nie wyglądał na zbrojeńcę. Nie patrzyłem na biust ani na nogi. No, może raz, na to drugie – ale odwróciła się wtedy w inną stronę i nie zauważyła. W końcu wszyscy jesteśmy ludźmi.

No i rycerski. Odprowadził je do domu, ochronił przed stalkerem! Nawet niósł plecak drobnej Roonie.

Ben był kandydatem idealnym.

Niedługo jednak radosne oczekiwanie zacznie mijać.

Nie zamierzam dzwonić – zresztą mój telefon na kartę nie ma już baterii i trafi na składowisko odpadów, kiedy więc Taylor zbierze się na odwagę i zadzwoni, odpowie jej cisza. Będzie próbowała przypomnieć sobie nazwę mojego pracodawcy. Powodzenia. Sam nie pamiętam nazwy, którą wymyśliłem.

Wtedy sprawdzi w szkole Hawthorne'a.

Nie będzie tam danych żadnego rodzica, który nazywa się Ben Nelson. Ani jego córki Meghan.

Prawdopodobnie już jutro wieczorem biedna Taylor boleśnie odczuje zdradę: smutek, że jej nadzieje na szczęśliwy związek rozwiały się jak dym.

I ogarnie ją paniczne przerażenie.

Bo wcześniej myślała pewnie, że kiedy Roonie wyjedzie z miasta, mogłaby go zaprosić na drinka. A potem od słowa do słowa, od gestu do gestu...

Mówi się o wykorzystaniu seksualnym przy użyciu siły. Jest też wykorzystanie poprzez wprowadzenie w błąd.

Boże, Ben poznał nawet jej córkę – drobną dziewczynkę o dziwnym imieniu, która pracowała nad szalenie ambitnym i eleganckim układem gimnastycznym na równoważni.

Przecież nawet dotknął jej ramienia, kiedy zdejmował z niego plecak!

Nie...

Ta myśl doprowadzi ją do łez.

Zwycięstwo smakowało tak wspaniale jak myśl o Annabelle Talese, gdy obok swojego łóżka zobaczyła talerzyk z ciastkiem, i o Carrie Noelle, która obudziła się, patrząc w oczy cholernej lalki Madame Alexander.

Smakowało cudownie...

Na razie jednak wszystko gra. W życiu Taylor i Roonie króluje jeszcze nadzieja.

A co teraz porabiają moje panie?

Bardzo dobrze wiem. Taylor właśnie ułożyła Roonie w łóżku przykrytym odrobinę przetartą biało-lawendową narzutą. Łóżko stoi pod niebieską ścianą, na której są zamontowane trzy wieszaki, gdzie miały wisieć smycze dla psów, ale zdobią je kolorowe tasiemki, na których kołyszą się medale z zawodów gimnastycznych.

Dziewczynka ma na sobie puchatą piżamę z przewagą rózu. Sprzedają je z odpinanym kapturem, na którym lśni satynowy róg jednoroźca albo widać końskie uszy, ponieważ podobno jedno i drugie czworonogi mają wspólne DNA. Na jasnozielonym nocnym stoliku ładuje się tablet Roonie.

W jej pokoju jest dziś większy porządek niż dotąd. Dziewczynka potrafi być bałaganiarą.

Nie chce jeszcze spać i wykonuje jakąś dziwną pantomimę – coś w rodzaju tańca do rockowych piosenek, tyle że samymi rękami.

Taylor raczy się kieliszkiem wina – sauvignon blanc – i swoim ulubionym wieczornym przysmakiem, czyli miętowym oreo. Ma na sobie dres.

Skąd o tym wiem?

Bo matka i córka same mi o wszystkim opowiadają.

Roonie jeden po drugim wrzuca półminutowe klipy na platformę przypominającą TikTok.

A Taylor prowadzi kanał streamingowy na moim ViewNow. Opowiada o książkach – należy do klubu i jako wolontariuszka pomaga w bibliotece – odpowiada też na napływające komentarze, choć nie wszystkie.

Właśnie dzięki temu mogę składać swoje Wizyty – albo anonimowo w czyjejs sypialni, albo osobiście na ulicy, tak jak dzisiaj.

Wideo to najskuteczniejsze z wynalezionych w historii kluczy.

Kluczy, które otwierają drzwi do cudzego życia.

W przypadku Taylor i Roonie w ciągu zaledwie kilku dni poznałem wszystkie potrzebne fakty na temat matki i córki. Obejrzałem posty dziewczynki o gimnastyce, potem kilka wystąpień Taylor. Pobieźnie przejrzałem parę stron w internecie, gdzie znalazłem nazwiska, zainteresowania i szczegóły dotyczące zawodów. Płynnie przeszedłem do innych mediów społecznościowych, które powiedziały mi o niej wszystko. Informacje uzupełniły dane z publicznie dostępnej ewidencji aktów rozwodowych, a zamieszczone w sieci zdjęcia Taylor w towarzystwie pięciu różnych mężczyzn w ciągu jednego roku odebrałem jako znak, że najprawdopodobniej jest samotna.

Kilka fotografii było dość śmiałych, co powiedziało mi o niej jeszcze więcej.

Roonie była aktywna w serwisach w rodzaju YouTube'a i ViewNow. Układy gimnastyczne, ćwiczenia rozciągające, przepisy kulinarne, instrukcje makijażu, stylizacje dnia. Poznałem tyle szczegółów na temat mascary i lasagne oraz cen w Claire's, Justice i Forever 21, że mógłbym zostać jej ojcem.

Dowiedziałem się też o przedstawieniu, w którym miała wystąpić moja fikcyjna Meghan (choć niestety nie w roli głównej).

Z klipów zamieszczonych przez szkołę i radę rodziców wiedziałem, jak wyglądają przepustki dla szkolnych gości – nie był to obraz w wysokiej rozdzielczości, ale na tyle dobry, by zrobić wystarczająco wiarygodną kopię. Odkryłem też, że doszło do sporu w radzie rodziców.

Siedząc wygodnie i oglądając godzinami te klipy, zwracam uwagę na zamki, zabezpieczenia i alarmy, jakie ludzie mają u siebie. Widzę, kto ma psy i sztaby antywłamaniowe, widzę, kto trzyma pod ręką strzelbę (w Nowym Jorku to rzadkość, ale się zdarza). Wiem, gdzie są noże i skrzynki z narzędziami. Widzę, kto ma na podłodze wykładzinę, która umożliwia bezszelestne wejście, i słyszę, kto mieszka przy ruchliwej ulicy, której hałas może zagłuszyć moje odgłosy (zawsze mam w pamięci katastrofę z 2019). Zanim zbliżę się do jakiegoś mieszkania, znam jego rozkład. Wiem, kto ma małe dzieci, kto musi karmić piersią albo podać nocnik i w ten sposób zepsuć mi cudowny wieczór.



Widzę nawet, kto zamawia pizzę (z ulotek przyklejonych śmiesznymi magnesami do drzwi lodówek), kim są ich lekarze, kto ma cukrzycę (przypominajki o zastrzykach insuliny) i kto trochę za bardzo lubi się napić.

Wiedziałem o umówionym lunchu Carrie Noelle, bo zapisała tę informację czerwonym markerem na kalendarzu zawieszonym na lodówce.

Ludzie ujawniają o sobie za dużo...

Pamiętam, jak na studiach zafascynowała mnie sformułowana przez Darwina teoria doboru naturalnego.

Powszechnie się sądzi, że chodzi w niej o to, jak małpie stworzenia stały się ludźmi. Mnie jednak zafrapował szerszy pogląd na zagadkę przetrwania gatunków.

Teoria jest prosta. Sprowadza się do czterech założeń.

Po pierwsze, poszczególne osobniki w obrębie populacji różnią się między sobą.

Po drugie, rodzice przekazują te różnice potomstwu.

Po trzecie, niektórym osobnikom udaje się przeżyć, innym nie.

Po czwarte, ocalałe osobniki zawdzięczają przeżycie odziedziczonym cechom, które następnie przełożą następnym pokoleniom. Reszta wymiera.

W naturalnym środowisku jeleni o sierści w kolorze okolicznych lasów ma większe szanse przeżycia niż jeleni albinos, którego drapieżniki łatwiej zauważą.

To odzwierciedla mój światopogląd. Ludzie, którzy niczego nie zamieszczają w sieci, są niewidzialni dla tych, którzy stanowią zagrożenie, takich jak ja. A pozostali? Weźmy biedną Annabelle Talese, influencerkę, która dzień i noc siedzi w internecie. I Carrie Noelle, prowadzącą w mieszkaniu minikanal telesprzedaży zabawek, i Taylor Soames z Roonie, które wrzucają treści do sieci, by znaleźć partnerów albo koleżanki – z powodu przerostu ego, nudy, samotności albo... kto wie, czego jeszcze.

Różnica polega na tym, że wchodząc do internetu, same postanawiają zostać jeleniem albinosem.

Gdyby więc wilk, kojot czy myśliwy wybrali je na swoje trofea, naprawdę same byłyby winne swojej śmierci.

Dla mnie to prosta logika.

Przyczyną śmierci była asfiksja – poinformował Rhyme’a Mel Cooper.

Cooper był w sterylnej części laboratorium i przyglądał się resztkom zwłok. Nie były to szczątki ludzkie, lecz gatunku *Musca domestica*, czyli pospolitej muchy domowej znalezionej przez Sachs na jednym ze śladów butów pozostawionych przez Ślusarza w budynku Bechtel.

Technik wyjaśnił, że owad zginął, ponieważ jego mięśnie zastygły w stanie tężyczki, czyli zasadniczo w nieustannym skurczu. Mucha nie mogła latać ani oddychać. Bezpośrednią przyczyną była blokada acetylocholinoesterazy, enzymu, który umożliwia rozkurcz mięśni. Wielosylabowy enzym został zablokowany z winy pewnego estru fosforanowego, a pod tą wyrafinowaną nazwą krył się środek owadobójczy.

– W toksynie są obecne takie substancje jak paration, malation, diazinon, terbufos – ciągnął Cooper.

Amelia Sachs parsknęła śmiechem.

– Brzmia jak imiona przeciwników filmowych superbohaterów.

Rhyme nigdy nie widział żadnego filmu o superbohaterach, lecz po tym spostrzeżeniu pomyślał, że mógłby spróbować, choć podejrzewał, że z racji szacunku dla logiki, nauki i racjonalizmu mógłby nie wytrzymać beztroski, z jaką filmowcy traktowali świat natury.

Zgon owada być może był jakimś tropem, choć nie żadnym zasadniczym przełomem w śledztwie. Poszukiwania pozwoliły ustalić, że tylko jeden produkt zawiera „przeciwników superbohaterów” w takich samym proporcjach jak substancja znaleziona w martwej musze. Środek nazywał się Fume-Assure i korzystały z niego duże firmy zajmujące się dezynsekcją i fumigacją, a na Manhattanie działało takich sześć. Życzliwy szef jednej z nich, zaintrygowany udziałem w policyjnym śledztwie, wyjaśnił, że tego konkretnego insektycydu używa się niemal wyłącznie do fumigacji starych, niezamieszkałych budynków, które planowano odremontować i wystawić na sprzedaż.

– Na Manhattanie nie można namiotować żadnego obiektu, ale wystarczy uszczelnić okna i drzwi. Wtłacza się środek i zostawia na jakiś miesiąc, po czym odprowadza się go na zewnątrz.

– Budynki mieszkalne? Biurowce?

– Wszystko. Niskie i wysokie.

Łańcuch rozumowania Rhyme’a wyglądał następująco: muchę znaleziono w odcisku buta pozostawionym przez Ślusarza w budynku Bechtel. Nikt nie dezynsekwowałby

budynku przeznaczonego do rozbiórki, sprawca najprawdopodobniej przyniósł więc owada z innego miejsca. Czy mogło się to okazać istotne? Nie sposób na to pytanie odpowiedzieć. Rhyme postanowił jednak założyć, że tak. Czemu nie? Nie narzekali na nadmiar tropów w sprawie. Tak więc powinni szukać starego niezamieszkanego budynku, który który zamierzano wystawić na sprzedaż. Ślusarz zapewne tam nie mieszkał, chyba że był squatterem, co wydawało się mało prawdopodobne, najpewniej korzystał z niego w jakiś inny sposób. Na przykład obserwował stamtąd następną ofiarę.

A może, przyszło mu teraz na myśl, budynek miał jakiś związek z jego profesją.

– SMS do Pulaskiego – polecił swojemu telefonowi. Posłusznie pojawił się ekran wiadomości i mrugnął kursorem, zachęcając go do dyktowania.

Oprócz istniejących zakładów ślusarskich i ich związków z Ś szukaj też nieczynnych, które zamknęły się albo zbankrutowały, zwłaszcza w starych, niezamieszkanach budynkach, być może przeznaczonych na sprzedaż.

Po chwili młody funkcjonariusz odpowiedział.

Robi się.

Skończyli pracę na dziś i pół godziny później Rhyme leżał w łóżku, a obok niego Sachs, która już spała. Gdy zamknął oczy i oparł głowę o skroń żony, czując kwiatowy zapach szamponu, myślał, że wnioski wynikające ze zgonu muchy są mało istotne, co jednak nie oznacza, że nie warto brać ich pod uwagę. W końcu ryzykowne posunięcia były wpisane w prawie każdy aspekt policyjnej roboty, zwłaszcza w osobliwą i ezoteryczną formę sztuki nazywaną kryminalistyką.

– *Przyjaciele: biedny Nowy Jork. Ślusarz wciąż jest na wolności i już wiem dlaczego. Mam dostęp do tajnego raportu ze źródeł w najwyższych kręgach. Ślusarz współpracuje z władzami. Włamuje się do waszych mieszkań i domów i podrzuca podsłuchy, a sygnał z nich trafia prosto do CIA, FBI i innych ściśle tajnych agencji, które ukrywają się w głębi nijakich biurów w Waszyngtonie. Może wydaje się obłąkany, ale jest szczywany jak lis. Nie sądzcie, że jesteście bezpieczni. Zamordował już dwie osoby, które odkryły, że podrzuca pluskwy.*

*Żądajcie od władz wyjaśnień w tej sprawie. I kupcie wykrywacze podsłuchów!*

*Módlcie się i bądźcie gotowi!*

*Nazywam się Verum, po łacinie „prawda”. Oto wiadomość ode mnie. Od was zależy, co z nią zrobicie.*

**CZEŚĆ TRZECIA**

**Klucz patentowy**

28 MAJA, GODZINA 6.00

## 46

Budzę się w warsztacie wczesnym rankiem, zziębnięty.

Chłód odczuwam z dwóch powodów. Pierwszym jest przeciąg w starym budynku fabryki akcesoriów do pieczenia.

Drugim mrożąca myśl.

A dokładniej obraz rudowłosej detektyw Amelii skrupulatnie wykonującej swoje obowiązki podczas zabezpieczania śladów przed domem Carrie Noelle.

Sprawiła wrażenie bystrej, wydawała rzeczowe polecenia i poświęcała wiele uwagi torebkom z dowodami, w których prawie na pewno, choć nie na sto procent, nie było nic, co mogłoby ich naprowadzić na mój trop.

Ale nie zamierzam ryzykować. Przecież to ona i jej mąż, Lincoln Rhyme, namierzili mnie u Carrie, jakby posługiwali się czarami.

To jednak nie były czary, tylko czysta nauka, jaką oboje uprawiali. Zamki i klucze mają w sobie coś mistycznego, co wiąże się z tym, kogo lub czego zamek strzeże, ale mechanizm działania podlega prawom natury.

Muszę się zabezpieczyć.

Podnoszę się. Materac jest twardy, dobry dla pleców, które często bolą po wielu godzinach spędzonych nad stołem warsztatowym albo komputerem – na krześle, które na pewno wymienię na ergonomiczne. Naprawdę. Kiedyś.

Wchodzę boso do łazienki, czując przenikliwie zimny dotyk sześciokątnych czarno-białych płytek. Potem ubieram się, zaparzam bezkofeinową kawę i zjadam pół bajgla z twarożkiem, zastanawiając się nad problemem, z którym muszę się zmierzyć.

Gdyby chodziło o zamek, do którego nie mam klucza, to najpierw zadałbym sobie pytanie, czy muszę go otwierać. Czy mogę się obejść bez tego, co jest w mieszkaniu, kufrze albo samochodzie, który chroni zamek. Jeżeli tak, to daję sobie spokój.

Jeśli jednak stoi za nim coś istotnego, zwłaszcza zagrażającego życiu, wtedy muszę podjąć próbę jego otwarcia.

W tym wypadku zamkiem – a właściwie problemem – jest niebezpieczeństwo, że policja pozna moją tożsamość.

Owszem, jest takie miejsce, gdzie znajdują się obciążające mnie dowody, i rudowłosa Amelia z przykutym do wózka Lincolnem Rhyme'em rzeczywiście mogą je znaleźć.

Jak mogłem być tak nieostrożny?

Jakie będzie rozwiązanie?

Są trzy sposoby forsowania zamków: urządzeniem pistoletowym, wytrychem albo kluczem uderzeniowym.

Tym razem nie mam czasu na finezyjne metody.

To, co zrobię, przypomina raczej użycie klucza uderzeniowego.

Na siłę.

Nie mam innego wyjścia, bez względu na ryzyko – na jakie narażam siebie i każdego, kto może przy tym zginąć.

Pół godziny później jestem w tej części Dolnego Manhattanu, gdzie wyburza się sporo budynków, żeby zrobić miejsce na nowe zabudowania handlowe i mieszkalne.

Mam przed sobą swój cel, stary budynek Sandleman, gdzie na ostatnim piętrze znajduje się nieczynny od dawna zakład Deva Swensena. Kiedy ojciec otworzył mi oczy na ezoteryczny świat lockpickingu, w końcu dowiedziałem się o Swensenie, chudym Skandynawie o niesfornych blond włosach. Był znany z umiejętności otwierania zamków, ale trzymał się z dala od głównego nurtu tego środowiska. Dawniej zawodowy snowboardzista, był aktywnym politycznie ekscentrykiem o skrajnie libertariańskich poglądach. Wierzył w wolny dostęp do wszystkiego. Uważał, że nie powinny istnieć tajemnice państwowe ani żadne inne. Nauczył się więc forsować prawie wszystkie istniejące zamki. Nigdy nie został przyłapany, ale podejrzewano, że otworzył zamki broniące wstępu do setek obiektów wojskowych, banków, central korporacji, siedzib mediów oraz domów polityków i ludzi na wysokich stanowiskach. Nigdy nie wszedł do żadnego z tych miejsc. Po prostu otwierał to, co było zamknięte, i znikał. Owca

Uczyłem się u Swensena przez kilka lat, regularnie przychodząc do jego warsztatu w budynku Sandleman. Zaprzyjaźniliśmy się.

Swensen zajmował się nie tylko ślusarstwem. Był także znanym hakerem. Używając fałszywej tożsamości, przez długie lata włamywał się do rządowych baz danych i na prywatne konta, po czym publikował wszystko, co znalazł.

Żadnych tajemnic...

Trzy lata temu dowiedział się, że ma zostać aresztowany za jakiś atak hakerski. Chwyć przygotowany plecak ewakuacyjny i poleciał do Norwegii, zostawiwszy w mieście wszystko (mosiężny nóż był prezentem na pożegnanie). Służby zajęły jego zakład, ale nie interesowały ich narzędzia ani urządzenia ślusarskie, tylko komputery i nośniki danych. Potem po prostu zapłombowały warsztat, pozostawiwszy w środku wszystko, co nie miało związku z cyfrowym instrumentarium, najwidoczniej czekając, by resztę zabrała rodzina albo wspólnicy. Rodziny jednak nie było i wkrótce o zakładzie Swensena wszyscy zapomnieli.

Oprócz mnie.

Wracałem i wdrapywałem się na dwunaste piętro pustego budynku. Początkowo miałem zamiar wziąć stamtąd książki na temat lockpickingu – mój mentor zgromadził imponującą bibliotekę – i wybrać coś z narzędzi i urządzeń. Zainteresowało mnie jednak to, co miał

pod ścianą w głębi: kolekcja sejfów i drzwi skarbcowych. Nie miałem żadnego doświadczenia w pokonywaniu mechanicznych zamków szyfrowych, często wracałem więc do warsztatu, by poćwiczyć otwieranie sejfów, korzystając z notatek Swensena na temat tej sztuki.

Byłem jednak nieostrożny. Przynosiłem jedzenie i picie. A podczas ćwiczeń nigdy nie wkładałem rękawiczek. Zostawiłem tam rachunki, może nawet korespondencję!

Dlatego dziś, w pochmurny i wilgotny poranek, w żółtej kamizelce i kasku robotnika, w czystych rękawiczkach i butach z gładką podeszwą – by nie zostawić żadnych charakterystycznych śladów – podchodzę do bramki w ogrodzeniu z siatki na tyłach budynku, niosąc siedmiolitrowy kanister z benzyną. Wejście zabezpiecza kłódka z zamkiem szyfrowym, więc jej otwarcie musi chwilę potrwać – około dwudziestu sekund. Jeszcze raz się rozglądam. Żadnych ludzi ani kamer.

Skręcam na rampę przeładunkową budynku, gdzie na głównej tablicy odcinam zasilanie i dopływ wody, by wyłączyć alarm i tryskacze przeciwpożarowe – o ile taka instalacja tu jest. Następnie wylewam intensywnie pachnący płyn na stertę ścinków drewna u stóp schodów. Przytykam do benzyny płomień zapalarki do świec i kupkę desek błyskawicznie ogarnia huczący ogień, który wspina się na wyższe piętra. Za czterdzieści minut wszystkie pozostawione przeze mnie ślady znikną, co do mikrona, na zawsze.

Kitt Whittaker mieszkał w wieżowcu mniej więcej pięć ulic od kompleksu należącego do jego ojca na Upper East Side.

Ford torino Sachs zatrzymał się równocześnie z nieoznakowanym służbowym wozem Sellitta. Lyle Spencer, pozbawiony czterech kółek były kierowca wyścigowy, przybył pieszo.

Funkcjonariusze wysiedli i Sachs spojrzała na budynek, ogromny blok z lśniącego szkła i metalu.

Sellitto otrzepał dłonią szary płaszcz, jak gdyby próbował wygładzić na nim zmarszczki. Miał kwaśną minę.

- Odebrałem telefon z komendy. Słyszeliście o tym gnojku? Przedstawia się jako Verum.
- Mówi w internecie o idiotycznych teoriach spiskowych – powiedział Spencer.
- Nigdy o nim nie słyszałam – przyznała Sachs.
- Twierdzi, że współpracujemy ze Ślusarzem – ciągnął Sellitto – i głądzi o jakimś tajemniczym ruchu, o „Ukrytych”.
- My mamy z nim współpracować, policja? Serio?
- No pewnie. Instaluje pluskwy w mieszkaniach i zabił dwie osoby, które go na tym przyłapały.
- Podśłuchy? – Sachs popatrzyła na niego z niedowierzaniem.
- Przecież to kompletna bzdura – zauważył Spencer.
- Jasne, że bzdura. Ale powiedz to siedmiu tysiącom pięciuset pięćdziesięciu ludziom, którzy zadzwonili ze skargą na komendę główną i na lokalne posterunki. Burmistrz, komisarz... wszyscy są wściekli. Nawiasem mówiąc, tę liczbę podała sama Sally Willis.
- Są na tyle wściekli, że uda się przywrócić Lincolna do służby?
- To też część tej historii. Lincoln pracuje dla Ukrytych. Już mu o tym mówiłem.
- Co?
- Pozwolił wywinąć się Buryakowi, bo pracuje dla gubernatora i CIA czy coś w ten deseń. Nikt w to nie wierzy, ale te brednie ściągają na Linca uwagę. No więc tak, w odpowiedzi na twoje pytanie – ciągle jest wyłączony ze sprawy.
- Za chwilę usłyszymy, że Ślusarz był w Teatrze Forda akurat tego wieczoru, gdy Lincoln zginął tam w zamachu – wtrąciła Sachs.
- Problem polega przede wszystkim na tym – burknął Sellitto – że jeśli świadkowie uwierzą, że pracujemy ze Ślusarzem, usztywnią się i nic nam nie powiedzą.



– Jezu... – szepnął Spencer.

Przed wejściem do budynku przywitał ich dozorca, któremu Sellitto pokazał nakaz wystawiony w celu kontroli stanu fizycznego i psychicznego Kitta, a także ze względu na fakt, że mógł być ważnym świadkiem. Szczupły mężczyzna, który mówił z akcentem z Europy Wschodniej, zerknął na dokumenty. Zaprowadził ich na piętnaste piętro i korytarzem w przytłumionych kolorach miedzi i dębu podeszli do drzwi z numerem 1523.

Sachs skinęła głową Spencerowi, który zadzwonił pod numer stacjonarnego telefonu Kitta.

W środku rozległ się dzwonek, powtórzył się cztery razy i umilkł.

– Poczta głosowa.

– Wchodzimy – zdecydowała Sachs.

Dozorca zrobił krok naprzód, ale pokręciła głową, wzięła od niego klucz i dała mu znak, by się odsunął. Stanęła z boku, otworzyła drzwi i uchyliła je na kilka centymetrów. Następnie oddała klucz zaniepokojonemu dozorczy, który szybko się wycofał.

Sachs zerknęła na kolegę, który skinął głową. Trzymała dłoń w pobliżu glocka. Sellitto był po lewej stronie drzwi. Spencer jako cywil stał kilka metrów z tyłu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Ciekawe, jak często brał udział w dynamicznych wejściach jako gliniarz w Albany. Wyraz jego oczu, gdy patrzył na nich i obserwował korytarz z tyłu i przed nimi, mówił jej, że wiele razy.

Tuż przed otwarciem drzwi wyciągnęła broń. Może to nerwy, może szósty zmysł. Sellitto zerknął na nią i po chwili wahania też chwycił za pistolet.

Sachs gwałtownie pchnęła drzwi.

– Policja! Mamy nakaz! Proszę się pokazać! – Wpadli do środka z bronią w pogotowiu, kierując pistolety we wszystkie strony, zawsze opuszczając albo unosząc lufy, gdy jedno z nich znalazło się na linii strzału partnera. To było odruchowe jak mruganie.

Dużą część mieszkania zajmował prostokątny salon/jadalnia, kuchnia była po prawej. Za oknem rozciągał się panoramiczny widok Brooklynu i patrząc na południe, Sachs widziała okolicę, gdzie stał jej dom, choć nie mogła stąd dojrzeć samego budynku.

Salon jego ojca był tylko minimalnie większy.

– Kuchnia czysta! – zawołał Sellitto.

– Salon czysty – odpowiedziała Sachs, choć nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Choreografia żelaznych procedur.

Sprawdzili dwie sypialnie, które też okazały się puste. Ta, gdzie na łóżku leżała zmięta pościel, należała zapewne do Kitta, druga była przygotowana dla gości, ale od jakiegoś czasu nikt z niej nie korzystał.

– Łazienka czysta! – krzyknął Sellitto.

– Druga łazienka czysta.

Pozostały jeszcze jedne drzwi na drugim końcu otwartego salonu. Może kolejna sypialnia. Spojrzeli po sobie i podeszli do nich, znowu zajmując miejsca po obu stronach – co było raczej bezsensownym środkiem ostrożności, ponieważ pociski przeszywały płytę gipsowo-kartonową z równą łatwością jak igła jedwab. Zerknęła na detektywa, a on skinął głową.

Otworzyli drzwi, unosząc broń.

Pokój do pracy. Też pusty. I mały. Nie było potrzeby nikogo informować, że jest „czysty”.

– Sprawdzę. – Wsunęła glocka do kabury i włożyła lateksowe rękawiczki.

Sellitto zrobił to samo i zaproponował, że zajmie się kuchnią.

W pokoju stało biurko i kilka szafek na dokumenty. Sachs przejrzała szuflady, w których znalazła przybory biurowe, oferty sprzedaży nieruchomości, katalog dronów, różne elementy sprzętu komputerowego. A także stosy dokumentów biznesowych, w tym kontraktów rządowych i zapytań ofertowych. Domyśliła się, że to dowody na mrzonki o sukcesie w dziedzinie, która nie miałaby żadnego związku z nieetycznym dziennikarstwem.

Przypomniała sobie, jak ojciec i kuzynka Kitta mówili, że nigdy nie znalazł profesji, która by mu odpowiadała.

Zajrzała do szuflad w szafkach. Były pełne dokumentacji podatkowej, księgowej i inwestycyjnej.

Gdy zaczęła zamykać szufladę, zauważyła, że górne krawędzie dokumentów odrobinę wystają nad krawędź szafki; zahaczały o nią. Wyjęła kilka teczek, oświetliła wnętrze szuflady kieszonkową latarką i zorientowała się, dlaczego tak się dzieje.

Fałszywe dno.

Może ukrywał tu narkotyki.

Wyjęła wszystkie dokumenty i nożem podważyła arkusz białego plastiku.

– Lon, chodź to zobaczyć.

Zamek był większy, niż się spodziewał.

Wciąż łapiąc oddech po wspinaczkę na ostatnie piętro budynku, Ron Pulaski próbował właśnie podważyć półmetrowym łomem wielką kłódkę.

Ani drgnęła.

Odsunął się. I przyjrzał się ścianie. To był jedyny lokal po tej stronie korytarza i nie widział tu żadnych innych drzwi. Naprzeciwko były dwa biura, ale zupełnie puste i nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek niedawno je zajmował. Ślady prowadzące od schodów do tego warsztatu świadczyły jednak, że ktoś tu ostatnio był – może nawet w zeszłym tygodniu.

Ale jak się tu dostać?

Znowu zabrał się do pracy.

Musiał otworzyć te drzwi.

Lincoln Rhyme uważał, że to ważne – z powodu zdechłej muchy.

Pulaski nie był pewien, o co chodziło, ale podobno jakieś pestycydy w zwłokach muchy doprowadziły go do wniosku, że ten budynek może mieć związek ze Ślusarzem.

I wydawało się, że to całkiem prawdopodobne, bo na drzwiach, które właśnie próbował wyważyć, wisiała drewniana tabliczka z napisem:

DEV SWENSEN – USŁUGI ŚLUSARSKIE

MONTAŻ

NAPRAWA

AWARYJNE OTWIERANIE ZAMKÓW – LOKALE MIESZKALNE, USŁUGOWE, POJAZDY  
SZKOLENIA I INSTRUKTAŻ

Pulaski spróbował ponownie i tym razem jedna ze śrub mocujących zawias chyba drgnęła. Kilka minut później odrobinę obluźował się kołnierz środkowego zawiasu. Jeszcze raz. Łom wyśliznął się i uderzył go w kciuk. W dłoni eksplodował ból.

Młody policjant głęboko zaczerpnął tchu, by jakoś go przetrwać.

Znieruchomiał.

Poczuł zapach spalenizny. Spojrzał w kierunku schodów, nad którymi wiły się smużki dymu.

Amelia Sachs zsunęła kaptur białego kombinezonu, odrzuciła do tyłu włosy. Ten ostry, specyficzny zapach plastikowego stroju już zawsze będzie jej się kojarzył z dziwnym połączeniem wyzwania i tragedii. Wybrała numer Rhyme'a, a kiedy odebrał, powiedziała:

- Kitt, syn Averella Whittakera, to Ślusarz.
- Mów.

Wyjaśniła, co znaleźli w szafkach na dokumenty, w których wszystkie szuflady miały podwójne dno. Pod spodem były ukryte książki o lockpickingu i zestawy narzędzi. Bielizna pasująca do opisu tej skradzionej z mieszkania Carrie Noelle i Annabelle Talese. A także dwa egzemplarze „Daily Herald” z siedemnastego lutego, w których brakowało trzeciej strony.

W szafie stała para niemarkowych butów do biegania z wzorem na podeszwie, który prawdopodobnie odpowiadał śladom protektora znalezionym w poprzednich miejscach zdarzenia.

– Zdaje się, że na podeszwach jest czerwony ceglany pył, Rhyme. I drobiny zaschniętej krwi.

- Dostał nauczkę i przerzucił się na gładkie podeszwy, żeby nie zbierać tyłu śladów.
- W koszu w kuchni Lon znalazł paczkę jabłkowych jolly ranchers. Chyba jest na niej grafit.

– Wspomniałaś o bieliźnie – powiedział Rhyme. – A noże?

– Nie ma.

Sachs trzymała niewielkie pudło z zabezpieczonymi przedmiotami w foliowych i papierowych torebkach. Do niektórych były przyłączone karty ewidencyjne przypominające karteczki na prezentach gwiazdkowych.

– Ale oprócz tego jest niewiele więcej – dodała. – Żadnego komputera ani telefonu. Musi mieć więcej narzędzi. I warsztat.

– Są jakieś wskazówki, gdzie to może być?

– Nie.

– Przywieź dowody. I wyślij dane do centrali. Ale nie ujawniałbym publicznie jego tożsamości. To mogłoby go spłoszyć.

– Racja – przyznała.

Sachs oficjalnie uznała mieszkanie za miejsce zdarzenia, informacja o tym była więc już dostępna dla wszystkich w komendzie głównej. Kiedy dowie się o tym Willis, przyśle na miejsce Beauforta i Rodrigueza, żeby dopilnowali, aby każdy zabezpieczony ślad trafił do laboratorium w Queens. Musiała działać szybko.

Na ulicy gromadzili się gapie, zebrało się już około dwudziestu osób. Byli też reporterzy. Zawsze pojawiali się dziennikarze, którzy wykrzykiwali pytania. Nie zwracała na nich uwagi.

Obok niej stanął Lon Sellitto.

– Ciągle nie ma nic o audi Kitta z systemu rozpoznawania tablic.

Sachs zdjęła z butów ochraniacze, które trafiły do kolejnej torebki do późniejszej analizy. Czasem zdarzało się, że technicy nadeptywali na kluczowy dowód. Potem ściągnęła rękawiczki ze spoconych dłoni i dmuchnęła na nie, by je osuszyć.

Podeszła do furgonetki wydziału kryminalistyki i zagadnęła kobietę siedzącą za kierownicą. Techniczka miała skórę barwy mahoni i misterny tatuaż iguany na przedramieniu, teraz ukryty pod rękawem.

– Izzy, musisz coś dla mnie zrobić.

– Z twojego tonu domyślam się, że chodzi o jakąś szemraną sprawę. – Była wyraźnie rozbawiona.

– „Szemrana” to chyba za duże słowo. Możemy ją nazwać delikatną, dobrze?

– Na delikatną mogę się zgodzić. O co chodzi, Amelio?

– W OnePP chcą, żeby w try miga przywieźć dowody do laboratorium.

– W try miga? Tak mówiła moja babcia.

Sachs patrzyła na nią spod zmarszczonych brwi.

– Zdaje się, że słyszałam o jakichś korkach – wypadek czy coś takiego. Całe miasto stoi. Tunel to zawsze ryzyko. A most Queensboro? Szkoda gadać.

– Chcesz powiedzieć, że lepiej będzie wybrać inną drogę? – spytała Izzy.

– Tylko się zastanawiam.

– Może mostem Triborough – podsunęła techniczka z zatroskaną miną. – Mogłabym pojechać na północ Manhattanu, dostać się na drugi brzeg East River i skręcić na południe do Queens. Może przez Central Park West.

– Niezła myśl. Wiesz, że Mel Cooper właśnie wpadł do Lincolna Rhyme’a. Mogłabyś zajrzeć i się przywitać.

– Mel jest kochany. No i jak on tańczy!

– Mel mógłby nawet zobaczyć, co tam masz. – Wskazała na kartony. – Wiesz, że pracuje przy tej sprawie. Pokażesz mu wcześniej, nieoficjalnie.

Na karty ewidencyjne miało trafić nazwisko Coopera, nie Rhyme’a. Można więc było zakładać, że technik analizował ślady w laboratorium w Queens, a nie w salonie Rhyme’a.

Sachs spoważniała.

– Są tacy, co to grożą naganą każdemu, kto będzie pomagał Lincolnowi w pracy nad sprawą. Słyszałaś o tym?

– Rodriguez. – Skrzywiła się z niezadowoleniem. – Zawsze uważałam go za porządnego faceta. A teraz powtarza w kółko „nikomu nie wolno pracować z Lincolnem”. Boże, wiesz, że wybrałam kryminalistykę tylko przez wzgląd na Lincolna Rhyme’a? – Na szerokiej twarzy kobiety błysnął filuterny uśmiech. – W porządku, jadę. Tylko te cholerne korki. Na Queensboro, w tunelu.

– Tunel czasem kompletnie się zatyka.

– To się wie, Amelio. – Izzy odwróciła się i gwizdnęła – naprawdę przeraźliwie. Starszy biały mężczyzna, drugi technik z zespołu, odwrócił się, podbiegł do furgonetki i wskoczył

na miejsce pasażera. Sachs zatrzęsła tylne drzwi i klepnęła dłonią w boczną ścianę wozu. Opony zakręciły się z piskiem, z rury wydechowej buchnął kłęb jasnych spalin. Prowadzona wprawna ręką Izzy furgonetka błyskawicznie wyjechała na ulicę i ruszyła, błyskając niebieskimi światłami.

Sachs, nie zważając na okrzyki reporterów ciekawych, co się stało, podeszła do Lyle'a Spencera, który stał przy jej fordzie torino.

– Zaszokowała cię ta wiadomość? – spytała go. – O Kitcie?

Spencer nadał policzki i powoli wypuścił z płuc powietrze.

– Delikatnie mówiąc. Sama słyszałaś, w rodzinie były tarcia, zerwali ze sobą kontakty. Ale w życiu bym się nie spodziewał...

– Gdybyś chciał znaleźć sobie warsztat i kryjówkę w jednym, jak byś to załatwił?

– Poszukałbym czegoś małego, nieoficjalnie i po cichu – odparł Spencer. – Zapłaciłbym gotówką. Żadnych papierów i sprawdzania zdolności kredytowej. Mając takie środki, jakie są na jego koncie, Kitt mógłby zapłacić właścicielowi każdą cenę.

– W mieszkaniu nie trafiłam na żadne wskazówki. Miejmy nadzieję, że Lincoln znajdzie coś w dowodach, żeby ustalić okolicę.

– Pani detektyw! – zawołał wesoły głos. – Musimy przestać się spotykać w takich okolicznościach.

Odwróciła się i zobaczyła faceta, którego wcześniej ochrzciła Fretką.

Dziennikarza. Sheldona Gibbonsa. Nazwisko było równie trudno zapamiętać jak twarz.

Jak on ją tu znalazł, do cholery?

Reporter znowu był uzbrojony w dyktafon. Podczas gdy inni przedstawiciele prasy atakowali kamerami i dyktafonami jak szermierze i zasypywali gradem pytań członków ekipy, Gibbons był spokojny, wręcz upiornie spokojny, chociaż mówił szybko.

– W tym budynku mieszka Kitt Whittaker. Najpierw rozmawiała pani z jego ojcem i Joanną – wspominała pani, że była tego dnia w Whittaker Tower? Nie pamiętam.

Nie doczekał się odpowiedzi.

– A teraz jest pani tutaj, ale w rynsztunku do zabezpieczania śladów. Coś mu się stało? Ktoś go napadł?

– Pamięta pan, że nie wypowiadam się dla prasy?

– Jest ranny? Ktoś go skrzywdził? Może ojciec tej uczennicy z Hunter Mill, która została zastrzelona? Po tym artykule o rzekomo satanistycznej sekcje. Słyszała pani o tym? – Dłuższe słuchanie tego człowieka byłoby szalenie męczące.

– Nie mam nic do powiedzenia. Na pewno później odbędzie się konferencja prasowa.

– Na pewno. Ale ja jestem tu akurat teraz. Dlaczego mimo gróźb ze strony Ślusarza nikt nie pilnował Kitta? Pilnujecie Joanny? I samego Averella?

– Spadaj pan – burknął groźnie Spencer, patrząc na Gibbonsa.

Reporter uniósł dłoń i odparł łagodnym głosem:

– Pierwsza poprawka. Mam prawo tu być. Kim pan jest? Widziałem pana wcześniej z detektyw Sachs. Jest pan z policji? Pracuje pan w Whittaker Media?

Spencer nie odpowiedział.

– Słyszała pani, co mówi ten vloger Verum? Że policja Nowego Jorku jest infiltrowana i celowo nie przykłada się do śledztwa w sprawie Ślusarza? Wiem, że pani jest w nią zaangażowana. – Gibbons rozejrzał się przymrużonymi oczami po ulicy. – Hm... Nie ma karetki ani wozu lekarza sądowego. Przypuszczam, że Kitt nie został ranny. Ani zabity. Może więc zaginął?

Nagle Sachs zapomniała o istnieniu dziennikarza. Zauważyła, że Lon Sellitto odebrał telefon i patrzy w ziemię, a na jego zwykle obojętnej twarzy maluje się głęboka troska.

Rozłączył się i westchnął.

– Lon?

Wymięty detektyw odwrócił się w jej stronę.

– Amelia... muszę ci powiedzieć. Chodzi o Rona.

Sachs z piskiem opon grand torino wystartowała z Hudson Street i skierowała się w stronę budynku Sandleman, który wznosił się na wysokość dziesięciu czy dwunastu pięter na tle szarego nieba. Wieżowiec był wąski i brudny. Napis na dużym banerze głosił: *Na sprzedaż: lokale użytkowe.*

Nie widziała płomieni, ale z pięter od mniej więcej jednej trzeciej wysokości unosił się dym. W pobliżu krążyły dwa helikoptery.

Spencer złapał się tablicy rozdzielczej, kiedy samochód gwałtownie zahamował na pustej ulicy dwa skrzyżowania przed budynkiem. Sachs nie chciała zastawiać drogi pojazdom ratowniczym, gdyby miały nadjechać następne.

Oboje truchtem pobiegli naprzód, przeskakując i omijając płataninę węży strażackich. Mundurowi nie pozwalali gapiom podejść bliżej, ale ponieważ większość z nich znała Sachs, a towarzyszący jej Spencer w swoim pogrzebowym garniturze wyglądał na detektywa, przepuścili ich do stanowiska dowodzenia.

Oddział pojazdów ratowniczych i policji, przede wszystkim wozów strażackich, przypominał rozsypane na ulicy zabawki. Dziesiątki strażaków rozwijały węże. Stanowiskiem dowodzenia był van z napisem DOWÓDCA BATALIONU.

– Zorientował się, że wiemy, kim jest, i zniszczył swój warsztat? – spytał Spencer.

– Pewnie nie – odrzekła Sachs. – Lincoln trafił na trop prowadzący do starej firmy ślusarskiej. Ślusarz być może ma jakiś związek z tym zakładem i założył się, że ten pożar to jego dzieło. Chce się pozbyć dowodów, że tam był.

Spojrzała na wybite okno na ostatnim piętrze. Widać było głowę Pulaskiego i unoszące się zza jego pleców kłęby białego dymu. Na razie nic strasznego. Widziała stąd płomienie w oknach na siódmym i ósmym piętrze. Ogień był kotłującą się pomarańczowo-czarną masą.

Sachs znała dowódcę batalionu, Earla Prescottta. Ruchem głowy wskazała swojego towarzysza.

– Lyle Spencer, jest ze mną.

Dowódca skinął mu głową.

– Jak wygląda sytuacja?

– Źle. Kontaktowałem się z waszym człowiekiem. Jest na ostatnim piętrze, ale nie może wydostać się na dach – wyjście jest zamknięte na głucho – nie może też zejść, bo na schodach pali się i jest za gorąco. Ja z kolei nie mogę przerzucić na górę swoich ludzi.



Pompujemy jak wariaci, ale budynek ma ze sto lat. To jak beczka prochu. Jest instalacja tryskaczowa, wygląda jednak na to, że sprawca odciął dopływ wody, a zawór jest zasypany tonami płonących szczątków. Nie ma wątpliwości, że to podpalenie. Znaleźliśmy na rampie resztki kanistra.

Szkoda, że nie mam dla was lepszych wiadomości. – Wskazał na helikoptery. – Na dachu nie dadzą rady sięść. A z powodu pożaru nie mogą opuścić ratowników. Ogień powoduje za silne turbulencje. Załoga jednej z maszyn proponowała, że spróbuje. Nie zgodziłem się. Musiałem. Możecie sobie wyobrazić, jakie wiatrak miałyby tu twarde lądowanie.

Sachs zauważyła dwa wozy z drabinami ratowniczymi. Dowódca podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i powiedział:

– Mają zasięg około trzydziestu metrów z groszami. Poza tym popatrz. – Pokazał na parterowy budynek z pustą witryną, stojący bezpośrednio pod oknem Pulaskiego. Oznaczało to, że wóz z drabiną nie mógł podjechać pod sam budynek. Z powodu kąta koszu mógłby się unieść na mniej więcej piętnaście metrów, ale nawet wówczas nie znalazłby się bezpośrednio pod oknem.

– Pompujemy na wyższe piętra, ile się da. Może uda się przytłumić ogień. Ale nawet jeżeli będzie wystawiał głowę za okno, to dym niedługo go dopadnie.

Sachs zadzwoniła.

– Amelia – wykrztusił głos w słuchawce. – Prawie wszedłem do środka. Do zakładu ślusarskiego. – Znowu zakaszła. – Nie mogłem się dostać. To podpalenie?

– Na pewno. Znaleźli kanister po benzynie.

– Czyli w środku są jakieś dowody – stwierdził Pulaski.

– Nie przejmuj się nimi. Najważniejsze to ściągnąć cię na dół. Możesz się dostać do jakiegoś innego okna? Z tej strony nie mogą podjechać z koszem.

– Jest... tylko to... – wychrypiał z trudem.

– Dobra. Oszczędzaj oddech. Pracujemy nad tym.

– Policja stanowa ma zespół ratowników górskich – odezwał się Prescott. – Lecą śmigłowcem. Powinni być tu za pół godziny, może wcześniej.

Spencer przyglądał się budynkowi.

– Nie ma tyle czasu. – Odwrócił się do dowódcy. – Macie wyrzutnię liny?

Szef strażaków obrzucił go baczny spojrzeniem, po czym zerknął na Sachs, która skinęła głową.

– Mamy, oczywiście.

Plastikowe żółte urządzenie wyglądało jak zabawkowy pistolet zakończony dwudziestocentymetrowym pomarańczowym pociskiem przypominającym żarówkę. Była do niego przymocowana cienka żółta linka, która odwijała się ze szpuli. Pistolet ładowało się amunicją kalibru .22, a po oddaniu strzału pomarańczowy pocisk posyłał linkę osobie potrzebującej pomocy. Szpagat był za cienki do tego celu, ale ratownicy przywiązywali swój koniec do solidniejszego sznura, który mógł pomóc uratować zagrożonego człowieka.

– Mógłby wciągnąć ewakuacyjnego sterlinga – zasugerował Spencer.

Sachs wiedziała, że to przyrząd ratunkowy do zjazdu po linie. Używali go jako ostateczności strażacy uwięzieni na wyższych piętrach, gdy mieli odciętą drogę po schodach – tak jak teraz Pulaski. Nakładało się uprząż, a koniec liny urządzenia należało umocować do rury lub belki w budynku. Człowiek wychodził przez okno i używając ręcznej blokady, zjeżdżał po linie na ziemię.

– Korzystał kiedyś z tego? – spytał ją Spencer.

– Nie mam pojęcia. – Sachs znowu wyjęła telefon i zadzwoniła. – Ron? Używałeś kiedyś... – Spojrzała na Spencera, który podpowiedział:

– Urządzenia ewakuacyjnego Sterling.

Powtórzyła.

– Nie.

– Dobra, niech się trzyma – powiedział Spencer. – Coś wymyślimy.

Przekazała mu to, po czym się rozłączyli.

Ogień szalał coraz bardziej. Dym gęstniał. Sachs czuła, jak wali jej serce. Znała Pulaskiego od lat. Była jego mentorką. Myślała o tym, że to ona będzie musiała przekazać wiadomość o jego śmierci żonie i dzieciom, bratu bliźniakowi, który też był gliniarzem.

Nie, będzie myślała o...

– Wystrzelcie mu linkę z wyrzutni, żeby wciągnął linę wspinaczkową.

– Linę wspinaczkową?

– O średnicy około dwóch centymetrów. Macie taką?

– Tak, ale on po niej nie zejdzie.

– Nie będzie schodził. Ja po niej wejdę i założę mu sterlinga.

– Jak to?

Spencer wyraźnie się niecierpliwił. Powtórzył ostatnie zdanie i dodał:

– Nie mamy czasu.

– Nikt nie może się wspinać po linie trzydzieści metrów.

– Ja mogę.

– Przecież pan jest cywilem, zgadza się?

– Jest w zastępstwie funkcjonariusza – wyjaśniła Sachs.

Regulamin nowojorskiej policji nie przewidywał nadawania nikomu takiego statusu, ale dowódca batalionu straży albo o tym nie wiedział, albo uznał, że w tym momencie najlepiej będzie nie zwracać na to uwagi.

– Dajcie mu wszystko, czego potrzebuje – dodała.

– Tlen, maska i dwa sterlingi. Do tego rękawice z paskami na rzepy i buty. Numer trzynaście, jak się da.

Zatrzeszczało radio.

– Komendancie, woda gównem pomaga. Spływa schodami po bokach; pali się sam środek budynku. Nie damy rady go dosięgnąć.

– Zrozumiałem. Dobra – zwrócił się do Spencera – damy panu wszystko, co trzeba. – Poleciał to dwóm swoim ludziom.

– Możesz do niego zadzwonić? – poprosił Spencer.

Sachs zrobiła to, włączyła głośnik i podała mu telefon.

– Tak. – Kaszel i ciężki oddech.

– Tu Lyle Spencer. Wystrzelimy do ciebie linkę, a potem wciągniesz linę do wspinaczki. Do czego możesz ją przywiązać?

– Jest... – Gwałtowny kaszel. – Pod oknem jest kaloryfer.

– Dobrze. Zaraz się jeszcze odezwę. – Oddał telefon Sachs.

Na ulicy błysnęła białą duży van, który wyjechał z za rogu. To był mercedes sprinter Lincolna Rhyme'a – jego prywatny pojazd do przewozu niepełnosprawnych. Stał, otworzyły się boczne drzwi i winda opuściła Rhyme'a i jego wózek na chodnik. Ruszył spod samochodu, który z powrotem wciągnął ruchomą platformę. Następnie Thom odjechał, by znaleźć miejsce parkingowe z dala od służbowych pojazdów.

Rhyme zbliżył się do nich i dowódca strażaków przywitał go skinieniem głowy.

– Kiedy się dowiedziałem, musiałem przyjechać – powiedział do Sachs. – Co z nim?

Przekazała mu najnowsze wieści i oboje posępnym wzrokiem patrzyli, jak Spencer przygotowuje się do wspinaczki.

– Zadzwoni do Rona – poprosił ją ochroniarz. – I włącz głośnik.

Zrobiła to.

– Mówi Lyle. Odsuń się od okna. Kiedy nadleci żółty pocisk, złap go. Potem wciągnij linę wspinaczkową.

Spencer zdjął marynarkę i krawat, rzucił je na ziemię, zsunął obuwie i włożył wysokie buty, a potem rękawice. Gdy nałożono mu pojemnik z tlenem, skinął głową strażaczce, która stała z wyrzutnią linki w koszu na końcu drabiny, na wysokości ponad dziesięciu metrów. Pierwszy strzał minął cel mniej więcej o metr. Kobieta wzięła poprawkę i drugi pocisk wpadł do budynku przez puste okno.

Żółta linka natychmiast zaczęła znikać wewnątrz, wciągając do środka znacznie grubszą linę do wspinania.

Spencer pożyczył nóż i z drugiego zwoju odciął kawałek liny długości około trzech metrów. Oplótł nią tułów na wysokości klatki piersiowej, koniec zostawił luźny. Zawołał w stronę telefonu Sachs, na którym wciąż trwało połączenie z Pulaskim:

– Jak tam na górze?

– Jeszcze się trzymam.

Kaszel stał się silniejszy.

– Musisz przywiązać grubszą linę do kaloryfera.

Sachs usłyszała głos Pulaskiego:

– Zaraz, chyba nie będzie pan próbował...

– Nic nie mów, synu. Oszczędzaj powietrze. Za chwilę się zobaczymy. Aha, a kiedy będziesz przywiązywał linę, pamiętaj: węzeł ma być cholernie mocny.

## 50

Lyle Spencer wbiegł po drabinie na dach parterowego budynku.

Złapał linę i spojrzał w górę.

Sznur biegł aż do szerokiego na trzydzieści centymetrów gzymsu pod oknem Pulaskiego. Potrząsnął nim jak liną treningową, a sinusoidalna fala pomknęła w górę, spłaszczając się na wysokości około dwunastu metrów.

Łap się za to, marynarzu.

Spencer skoczył ponad pół metra w górę i chwycił się liny. Podciągnął się, po czym uniósł nogi i złapał sznur między górną częścią lewej stopy a podeszwą prawej – w klasycznej technice S-hook.

Potem wyprostował nogi i wspiął się mniej więcej o metr.

Nogi w górę... chwyt... wyprost.

Do pokonania tylko trzydzieści metrów.

No, tak naprawdę trzydzieści z groszami.

Wdech. Wydech.

Teraz już tylko dwadzieścia osiem.

Z groszami.

W górę... chwyt... wyprost.

Już bolały go ręce, ale żaden mięsień jeszcze nie protestował.

– Ewakuacja, ewakuacja, ewakuacja! – wołał przez megafon dowódca strażaków.

Na to wezwanie wszystkie wozy wydały syreną trzykrotny ostrzegawczy dźwięk, czyli uniwersalny sygnał, by czym prędzej brać nogi za pas. Zawsze porozumiewały się w ten sposób, poza komunikacją radiową, na wypadek awarii łączności lub wyjątkowo głośnego pożaru.

Hm, prawdopodobnie oznaczało to, że zdaniem Prescottta budynek groził zawaleniem.

Nie można na to nic poradzić, tylko wspinać się dalej.

W górę... chwyt... wyprost.

Dwadzieścia pięć metrów, to już nie tak daleko. Mniej niż jedna trzecia długości boiska futbolowego.

Dwadzieścia metrów.

Osiemnaście.

Muszę przyznać, Trudes, że to jednak cholernie daleko.

Piętnaście.

Chryste Panie, jak to boli.

W górę... chwyt... wyprost.

– Sama nie wiem, tato. – W głosie dziewczynki słychać niepokój.

– Śmiało, słonko, poradzisz sobie – mówi do niej Spencer.

Razem z dwunastoletnią Trudie, szczupłą blondynką uczesaną w kucyk, są piętnaście metrów nad ziemią. I wznoszą się mniej więcej w tym samym tempie.

– Nie wiem – dyszy.

– Spokojnie, jeden krok, jeden chwyt, po kolei – zachęca ją.

– Wiem – mówi dziewczynka i wykonuje kolejny ruch.

I spada, wydając stłumiony krzyk.

Asekuranci, którzy w pełni panują nad sytuacją, spowalniają opadanie, więc dziewczynka dość dostojnie zjeżdża po linie na podłogę wyłożoną zieloną matą.

– Wszystko w porządku? – woła do niej z góry.

– W porządku.

Spencer pokonuje jeszcze trzy metry, dzwoni dzwonkiem na wysokości osiemnastu metrów i zjeżdża na matę. Miękka powierzchnia zawsze wydawała mu się bezsensownym gadżetem, ponieważ jeżeli uderzysz w cokolwiek prócz pianki marshmallow z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, możesz się pożegnać z wieloma częściami ciała.

– Chcesz wracać do domu? – pyta córkę.

– Nie, chyba chcę spróbować jeszcze raz.

Brawo, córeczko, myśli, ale nie ośmiela się tego powiedzieć. Ruchem głowy wskazuje tylko ściankę.

– Więcej urody niż rozumu.

W górę... chwyt... wyprost.

Spencer spojrział w górę na gzyms na dwunastym piętrze.

Ile mu jeszcze zostało?

Dziesięć metrów.

W górę... chwyt... wyprost.

Osiem.

Jego rekord w czasie służby w SEALs wynosił czterdzieści pięć metrów. Fakt, to było parę lat temu.

Z trudem łapał oddech. Ile wytrzymają jeszcze mięśnie rąk – i plecy?

Pięć metrów.

Spojrział w górę.

Już tylko trzy.

W górę... chwyt... wyprost.

Zostały tylko dwa metry, półtora, jeden.

Wreszcie znalazł się przy gzymsie.

– Hej! – krzyknął.

Chryste, czy ten policjant stracił przytomność? To byłaby komplikacja ogromnych rozmiarów.

– Hej!!!

W oknie ukazała się twarz Rona Pulaskiego. Z oczu ciekły mu łzy, kaszłał. Jego twarz zastygła w wyrazie rezygnacji, strachu i oszołomienia.

Spencer ciężko dyszał.

– Posłuchaj, rzucę ci linę. Musisz ją złapać. Przypomnij sobie, co robiłeś w polu, gdy grałeś w baseball, dobra?

– Jasne.

Spencer chwycił koniec sznura, którym miał obwiązany tułów. Wciąż oplatał stopy liną wspinaczkową, która tworzyła między nimi ciasną literę S, mocno przytrzymał się lewą dłonią.

– Będziesz mnie musiał wciągnąć przez parapet. Ciągnij jak jasna cholera. Połóż się na plecach pod oknem, zegnij nogi, a potem wyprostuj. Pomogę ci się podpiąć do głównej liny.

– Może powinienem się nią przewiązać.

Spencer omal nie parsknął śmiechem.

– Lepiej nie, synu. Uwaga, rzucam.

– Jestem gotowy.

Ochroniarz spojrział na swoją dłoń z odległości kilkunastu centymetrów i pomyślał: no, pani Prawa, rób swoje! To był żart, który powtarzali z Trudie na boisku softballowym.

Rozluźnił palce prawej dłoni, złapał koniec liny w pasie i z całej siły rzucił nią w okno.

– Mam!

– Co ty na to, Trudes?

– Wiedziałam, że ci się uda, tato.

– Ciągnij!

– Uważaj na rozbite szkło w ramie okna! – zawołał Ron.

O to najmniej się martwię.

Chłopak może i był chudy, ale silny. Spencer po chwili mógł chwycić się parapetu dłońmi w rękawicach.

– Jeszcze raz.

Najbardziej nerwową chwilą podczas wspinaczki było wejście na szczyt.

Spencer podciągnął się, żeby pomóc Ronowi, który wyteżał wszystkie siły.

Po chwili wpadł na młodego policjanta.

– Mamy tylko parę minut. Musimy wiać.

Odkręcił tlen i pospiesznie nałożył maskę na twarz Pulaskiego. Policjant głęboko zaczerpnął tchu i jego policzki odzyskały kolory. Pół minuty później Pulaski oddał maskę Spencerowi, który też wciągnął do płuc kojące nic.

Zapiął Pulaskiemu w pasie szaro-czerwony zestaw Sterling FCX i pokazał mu, jak posługiwać się dźwignią przyrządu ewakuacyjnego, by zwolnić blokadę liny i wolno się opuszczać.

– Wszystko jasne? – Dym gęstniał, co było widać nawet w tak krótkim czasie, jaki Spencer spędził na górze. Od strony schodów buchał żar i strzelały iskry.

Pulaski skinął głową.

Spencer nałożył maskę, po czym wykonał głęboki wdech, powstrzymując wywołane przez dym łzy. Na podłodze dostrzegł łom i usunął nim fragmenty wybitej szyby z dolnej ramy okna. Następnie zacisnął hak FCX na kaloryferze i pomógł Pulaskiemu wleźć na parapet, a na koniec obrócił go, by opuszczał się zwrócony twarzą do budynku.

– Trzymam cię. Okej... – Sprawdził, czy uchwyt jest poprawnie wpięty w linę, i rozluźnił dłoń na pasie policjanta. – Puszczam cię. Ostrożnie z tą dźwignią. I spokojnie na dół.

– Słuchaj, Lyle... nie wiem, co powiedzieć, ale...

– Później. Najpierw się stąd zmywaj.



# 51

Parkuję lśniące czarne audi A6 przy krawężniku i ostrożnie wysiadam. Rozglądam się.

Policja.

Straż.

Przyjechali opanować katastrofę, za którą jestem odpowiedzialny.

Pożar budynku Sandleman.

Nie pali się tak szybko, jak miałem nadzieję, ale wystarczy. Płomienie pełzną w górę wewnętrzną klatką schodową i jestem pewien, że nikt nie dostanie się do warsztatu Deva Swensena i nie zdąży ocalić przed ogniem niczego, co mogłoby mnie obciążać.

Ale nie jestem tu z powodu budynku.

Mam inne zadanie.

Robię zdjęcia.

Potrzebny jest mi zestaw kluczy. Wielu ludzi jest baaaardzo nieostrożnych i zostawia je w schowku, w uchwytach na kubki, wciśnięte za osłony przeciwsłoneczne.

Albo na przykład w samej stacyjce.

Wstyd, panie kierowco. Jaki sens mają zamki, jeżeli zostawiasz klucze w zasięgu pazurów szczwanego lisa.

Oczywiście nie jest kompletnym idiotą. Zostawił pracujący silnik, żeby działała klimatyzacja, i zabrał ze sobą drugi kluczyk, którym zamknął drzwi.

Rozglądam się po ulicy.

Jestem niewidzialny. To nic trudnego, gdy płonie wieżowiec i miga tysiąc świateł wozów ratowniczych. Pochylam się, otwieram drzwi symulatorem. Wyjmuję kluczyki i fotografuję je pod każdym możliwym kątem. Ludzie sądzą, że robi się woskowy odcisk klucza – tak pokazują w telewizji. W rzeczywistości ta sztuczka działa tylko w przypadku najprostszych kluczy szkieletowych. Do klucza do patentowej wkładki bębnekowej potrzebne są zdjęcia w megapikselowej rozdzielczości.

Na wszelki wypadek, oprócz kilkudziesięciu zdjęć, robię też minutowy film wideo.

Tyle mi wystarczy.

Wsuwam kluczyki z powrotem do stacyjki, uruchamiam silnik, przyciskiem wewnątrz zamykam zamek i delikatnie zatrzasuję drzwi.

Sześćdziesiąt sekund później odpalam audi i opuszczam rejon akcji. Choć bardzo chciałbym zobaczyć, jak budynek się zawala, to mam pilniejsze sprawy do załatwienia.

Ron Pulaski bezpiecznie zjechał na dół, gdzie podano mu tlen i wodę.

Wciąż jednak nie było Lyle'a Spencera, który nadal przebywał na dwunastym piętrze. Ogień piał się coraz wyżej, a dym czerniał i gęstniał.

– Co on wyprawia? – mruknął Rhyme.

– Jezu, lada chwila pożar dosięgnie jego piętra – powiedziała Sachs.

Minęły dwie minuty.

Trzy.

Pięć.

– Dzwon do niego.

W momencie, gdy uniosła telefon, aparat zabrzączał, sygnalizując przychodzące połączenie.

– To on. – Włączyła głośnik. – Lyle, jesteś cały?

– Wyłamałem drzwi, które Ron próbował otworzyć. – Umilkł, prawdopodobnie po to, by podłączyć się do tlenu. – Warsztat ślusarski... już się pali. Zdążyłem tylko zgarnąć trochę pyłu i ziemi sprzed stołu warsztatowego. Mam w torebce. Zrzucę na dół.

– Uciekaj stamtąd, Lyle – odezwał się Rhyme. – Ogień jest już piętro niżej.

Spencer rozłączył się, nie mówiąc, czy go usłyszał.

Rhyme zobaczył, jak wyłania się przez okno i wyrzuca obciążoną papierową torebkę. Wylądowała na ulicy obok jednego ze strażaków, który ją podniósł, a widząc, jak Sachs do niego macha, przyniósł im pakunek.

Włożyła go do torebki na dowody. Rhyme widział, że zwróciła uwagę na nazwisko strażaka, ale mimo to schowała zebrane ślady; później zajmą się wpisami na karcie ewidencyjnej.

– Dlaczego on nie schodzi? – spytała. – Jeszcze czegoś szuka?

Jeszcze żyje?

Wpatrywali się w okno.

No, Lyle, wiej stamtąd.

Wewnątrz budynku z ogromnym hukiem zawaliło się dziewiąte czy dziesiąte piętro, a z okien buchnął dym i czerwony żar. Wieżowiec zadygotał w posadach.

Wtedy w oknie pojawił się Spencer. Widzieli, że głęboko oddycha przez maskę, napełniając płuca. Nagle uniósł głowę i spojrzał na miasto jak turysta podziwiający panoramę z platformy widokowej na Empire State Building. Mowa jego ciała zdradzała niezmałony spokój.

Spojrzał na zebrane w dole wozy strażackie.

– Wyślij mu wiadomość – powiedział Rhyme. – Musi natychmiast do nas zjechać. I połóż nacisk na „musi”.

Sachs spojrzała na męża, po czym wysłała SMS.

Zobaczyli, jak wyjmuje telefon z kieszeni i dłuższą chwilę patrzy na ekran. Następnie schował aparat.

I znowu podziwiał panoramę miasta.

Popatrzył na dach parterowego budynku trzydzieści metrów niżej.

Zawaliło się następne piętro. Budynek chyba się zakołysał.

Wreszcie Spencer pochylił się i przymocował hak zestawu do czegoś w korytarzu. Zdjął maskę i butlę z tlenem – prawdopodobnie po to, by pozbyć się balastu przed zjazdem – po czym szybko przesadził parapet i gzyms.

Ron Pulaski zjeżdżał po linie w nierówny i skokowy sposób, Lyle Spencer natomiast wracał na ziemię z baletową elegancją, swobodnie jak przechodzień zmierzający na drugą stronę ulicy, gdy jasne zielone światło gwarantuje mu, że na przejściu nic mu nie zagraża.

Ależ to Lincoln Rhyme.

Kiedy odwrócił wózek, zobaczył dwóch zbliżających się mężczyzn. Wyglądali na zmartwionych, ale on odniósł wrażenie, że w ich postawie było coś sztucznego.

Może pomyśleli, że przyjechał tu w oficjalnej roli.

Zdanie padło z ust wysokiego opalonego Richarda Beauforta. Rhyme właśnie sobie uświadomił, że przypomina mu jakiegoś gwiazdora, którego widział w serialu – i to kryminalnym. Towarzyszył mu Abe Potter, doradca burmistrza, szczupły i łysiejący mężczyzna z kępkami prostych ciemnych włosów nad każdym uchem. Nie był podobny do nikogo znanego.

Sachs posłała im wściekłe spojrzenie, ale Rhyme powiedział jej, że wszystko gra, i wyjechał im na spotkanie.

– Detektywie Beaufort... gratuluję.

– Czego? – Policjant ze zdziwieniem zmarszczył brwi.

– Przydziału do ochrony urzędu burmistrza. Przypuszczam, że to pańska nowa funkcja. Wcześniej słyszałem, że dalej pan pracuje nad sprawą Buryaka, jako funkcjonariusz posterunku sto dwanaście. – Sachs przekazała mu, że Beaufort został przeniesiony już jakiś czas temu.

– Hm, mam kilka przydziałów. – Potarł palcem o palec, co przypuszczalnie było oznaką stresu. Rhyme pomyślał o nerwowych nawykach Sachs, tyle że w jej przypadku nie zdradzały, że kłamała.

– Ze swoich czasów w policji pamiętam, że to zawsze było trudne – łączyć różne zadania i na żadnym odcinku nie nawalić.

Potter nie odznaczał się imponującą siłą fizyczną, ale głos miał stanowczy.

– Panie Rhyme, wyraźnie daliśmy panu do zrozumienia, że nie może pan pracować nad żadną sprawą prowadzoną przez policję Nowego Jorku.

Zgrabne było to „panie Rhyme”, by przypomnieć mu, że jest cywilem. Willis przynajmniej tytułowała go kapitanem.

Posłał dwóm mężczyznom pytające spojrzenie.

– Aresztowano podejrzanego w sprawie Gregoriosa.

Zabójstwo w Queens.

– Bezdonnego?

– Zgadza się. A to wywieszono na tablicy podczas konferencji prasowej. – Potter zerknął na Beauforta, który podsunął mu telefon.

Zdjęcie przedstawiało stół i białą tablicę, na której zaprezentowano policyjne zdjęcie bezdomnego, który spoglądał przed siebie oszołomionym wzrokiem, a także fotografię zakrwawionego portfela, noża do filetowania ryb w podobnym karmazynowym kolorze i butelkę płynu Miracle Sav z dodatkiem soku wiśniowego. Pod zdjęciem wypalającego wnętrza „lekarstwa” umieszczono wydruk e-maila od Rhyme’a do detektywów Kelly’ego i Wilson.

Po zmieszaniu chlorynu sodu z kwasem cytrynowym powstaje dwutlenek chloru, ClO<sub>2</sub>, powszechnie używany środek dezynfekujący i czyszczący. ClO<sub>2</sub> stosuje się jednak także jako fałszywe panaceum na liczne schorzenia, między innymi na raka i AIDS. Kiedy sprzedaje się ten związek jako szarlatański lek, na ogół dodaje się do niego środek smakowy, na przykład cytrynę, cynamon albo – tak jak w tym przypadku – syrop wiśniowy.

Rhyme nigdy nie myślał zbyt dobrze o przechwałkach położonych na konferencjach prasowych: nie lubił pokazywania stosów narkotyków, worków pieniędzy, zdjęć brygady specjalnej zatrzymującej podejrzanego, dowodów. Jego zdaniem było to aroganckie i niestosowne zachowanie. Poza tym w ten sposób zdradzano techniki śledcze. Złoczyńcy też mieli telewizory.

– Komisarz Willis i burmistrz uważają, że to naruszenie zakazu, o którym doskonale pan wie – mruknął Beaufort. – Sytuacja była bardzo krępująca. Odczytano to jako demonstracyjną niesubordynację.

Rhyme spojrzął na Pottera i zapytał:

– Czy burmistrz złożył oświadczenie potępiające mój udział w sprawie Gregoriososa?

– Owszem, złożył.

– Proszę mi przypomnieć, jak się nazywa jego konkurent w wyborach na gubernatora?

Potter przyjrzał się Beaufortowi, ale po chwili odparł:

– Edward Roland.

Rzeczywiście, ten miliarder.

– Który z kolei wydał oświadczenie atakujące burmistrza.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza, panie Rhyme.

– Czy któryś z panów gra w szachy? – spytał.

Znowu wymienili spojrzenia.

– Słucham? – zapytał Beaufort, marszcząc brwi.

– Nieważne. – Rhyme zauważył, że Sachs na niego patrzy. Uspokoił ją krótkim skinieniem głowy. – Czyli burmistrz wypowiedział się na mój temat dla prasy ze względu na e-mail wywieszony na tablicy.

– Zgadza się – odrzekł Potter, w ocenie Rhyme’a trochę zbyt władcym tonem. – Nie przypuszczał pan, że to trafi do mediów, prawda?

– I przysłał was, żebyście... mnie aresztowali?

– Na razie wystarczy publiczne wyrażenie skruchy.

– Mam powiedzieć *mea culpa* i obiecać, że to się więcej nie powtórzy.

– Musimy przykładowo karać świadome łamanie zasad.

Rhyme jeszcze raz popatrzył na zdjęcie Beauforta. Uważnie przyjrzał się tablicy.

Kiedy mężczyźni zorientowali się, że jego zainteresowanie ma raczej charakter analityczny, Beaufort schował telefon.

Rhyme chciał wspomnieć o kilku kwestiach dotyczących tego aresztowania Tye’owi Kelly’emu i Crystal Wilson, detektywom z posterunku 112. Ci dwaj, którzy przed nim stali, byli jednak ostatnimi ludźmi na świecie, z którymi chciałby poruszyć ten temat.

– Lincoln, chyba nie zdajesz sobie sprawy ze swoich kłopotów – powiedział Beaufort.

– Znacznik czasu – odparł krótko kryminalistyk.

– Co? – zdziwił się Potter.

– Zwróciliście uwagę na datę maila, ale nie na godzinę. Oryginał ma detektyw Kelly. Gdybyście pomyśleli i sprawdzili, zobaczylibyście, że mail został wysłany kilka godzin przed wydaniem zarządzenia – czyli legalnej i ostatecznej deklaracji. Zresztą nie jestem pewien, czy burmistrz i komisarz wydali właśnie taki rodzaj decyzji. Ale to sprawa na inną rozmowę.

– Znacznik czasu. – Twarz Pottera stężała i na pewno pomyślał o czekającej go rozmowie z burmistrzem, który prawdopodobnie obwini swojego doradcę i Beauforta o to, że nie sprawdzili czegoś tak podstawowego jak godzina, o której Rhyme wysłał detektywom notatkę.

– A co tu właściwie robisz? – spróbował z innej beczki Beaufort.

– Jestem...

– Jest umówiony ze mną – rozległ się tubalny głos.

Trzej mężczyźni odwrócili się i ujrzeli naczelnika Brettę Evansa. Wysoki, dystyngowany mężczyzna o posturze wojskowego przywitał Rhyme’a skinieniem głowy, po czym obrzucił tamtych dwóch chłodnym spojrzeniem.

– Umówiłem się z Lincolnem Rhyme’em i jego żoną na lunch w centrum. Potem dostaliśmy to wezwanie. – Popatrzył na płonący budynek. – Ich koledze groziło niebezpieczeństwo. Oboje przyjechali sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Ja też. Zamierzam skontaktować Lincolna z moimi przyjaciółmi w policji stanowej w New Jersey – ciągnął Evans. – Z wydziału kryminalistyki. Chcieliby go zatrudnić. Jako konsultanta – dorzucił, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Potter zerknął na Beauforta.

Obaj bez słowa wrócili do swojego samochodu, ale jeszcze nie odjeżdżali. Zapewne chcieli się przekonać, czy Rhyme nie węszy na miejscu zdarzenia.

Rhyme z wdzięcznością skinął głową Evansowi, który rozpromienił się w uśmiechu.

– Jak wypadłem?

– Oscarowa rola.

Uśmiech.

– Co z Ronem Pulaskim?

– Nic mu nie będzie. Uratował go szef ochrony Whittakera.

– Naprawdę? Nikt nie ucierpiał?

– Nikt.

Przyglądali się, jak zapadają się kolejne piętra w eksplozjach wirującego żaru i tańczących płomieni.

– To dzieło Ślusarza? – zapytał Evans.

– Na pewno.

– Serio mogę ci podać parę nazwisk, Lincoln. Z policji New Jersey.

– Dzięki, Brett. Pomyślę o tym.

– Naprawdę pomyślisz? – Evans przez chwilę miał kamienną twarz. Nagle parsknął śmiechem.

– Ale jestem wdzięczny.

Naczelnik spowaźniał.

– W każdym razie bądź ostrożny.

Rhyme zerknął w stronę Beauforta i Pottera.

– Będę.

– A, tak, mówisz o nich. Ale ja mam na myśli coś innego. Słyszałem co nieco o Buryaku, jest bardzo niezadowolony, że trafił przed sąd, a wśród osób, które najbardziej go wkurzyły, jesteś ty. Jakiś bloger twierdzi, że zawiązał się spisek, żeby go aresztować i skazać. Podobno miałeś w nim brać udział.

Tym razem to Rhyme się uśmiechnął.

– Lon mi o tym mówił. Idiotyzm. Ale jestem pewien, że przestałem już obchodzić Buryaka.

Czterdzieści minut temu Aaron Douglass przyglądał się, jak Lincoln Rhyme opuszcza swój dom w towarzystwie szczupłego i wysportowanego mężczyzny w ładnej koszuli, spodniach i pod krawatem. Wsiadł do mercedesa sprintera wyposażonego w windę dla wózków inwalidzkich, a potem odjechali.

Znowu siedząc za kierownicą lśniącego szarego cadillaca, Douglass wrzucił bieg i ruszył za nimi. Jechali na południe – i w końcu dotarli tutaj, do płonącego wieżowca.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale z przyjemnością zauważył, że jest tu ktoś jeszcze – osoba, która w tym momencie interesowała go najbardziej i którą miał nadzieję złapać – Amelia Sachs.

Zaparkował w bocznej ulicy i zadzwonił do swojego „masażysty”, barczystego Arniego Cavalla.

– Jesteś mi potrzebny. Teraz. Weź vana. – Podał mu adres.

Następnie Douglass dołączył do gromady gapiów i zapytał, co tu się dzieje.

– Podobno to ten seryjny morderca, Ślusarz – wyjaśnił mu jakiś facet. – Próbował zabić kogoś w tym budynku.

Ach, ten człowiek, który potrafi się wszędzie włamać, ten, którego ściga Amelia Sachs, gdy akurat nie próbują z Rhyme’em dopaść Viktora Buryaka.

– I co, złapali go? – spytał.

Kobieta w średnim wieku, z wystającymi zębami, mruknęła spod wielkiego kapelusza:

– Nigdy go nie złapią. On pracuje dla policji.

– Oszalała pani – rzucił ktoś z tłumu.

– Słyszałam w internecie – odparowała ze złością kobieta. – Z zaufanego źródła!

Douglass zostawił ich, by rozstrzygnęli ten spór – albo nie – i zajął punkt obserwacyjny, z którego widział Rhyme’a i Sachs. Byli w pobliżu stanowiska dowodzenia straży pożarnej. Stała tam grupa strażaków i policjantów – mundurowych i detektywów. Potem okrążył wieżowiec i znalazł charakterystyczny samochód Sachs zaparkowany niedaleko na jednej z bocznych ulic. Patrzył, jak Rhyme rozmawia z dwoma mężczyznami w garniturach, którzy odeszli, kiedy obok nich pojawił się trzeci. Wreszcie Rhyme wrócił do Amelii i człowieka, który wyszedł z nią z Whittaker Tower, gdy Douglass i Arnie byli przy food trucku serwującym burgera z tempehem z dodatkiem syropu klonowego.

Ten potężnie zbudowany typ właśnie uratował kogoś z budynku.

Spektakularny wyczyn.



Facet masował sobie ramię i od czasu do czasu wdychał tlen z butli.

Douglass z zaciekawieniem zauważył, że wózek Rhyme'a przejechał nad grubymi węzami strażackimi. Niezła maszyna.

Wysłał wiadomość do Arniego.

Gdzie jesteś?

Odpowiedź:

Trzy minuty.

Powoli obszedł okolicę i przyległe ulice, zapamiętując ich układ. Tak jest, pomyślał, mogło się udać.

Niebawem Arnie zatrzymał się na skrzyżowaniu, na które skierował go Douglass. Przyjechał zdezelowanym fordem econoline. Zaparkował i skinął mu głową.

Douglass przyjrzał się sfatygowanemu vanowi, idealnemu do transportu prochów, wywożenia zwłok albo dostarczania kwiatów. Bez względu na to, do czego służył na co dzień, najważniejsze, że nie rzucał się w oczy i wyglądał jak tysiące podobnych wozów na ulicach tego miasta – właśnie taki miał być pojazd, który przejedzie policjantkę.

Zgodnie z zaleceniem Arniego samochód miał nijaki biały kolor.

– Dobrze – pochwalił Douglass, ruchem głowy wskazując forda.

– Pomyślałem sobie, że będzie najlepszy. – Niski, muskularny facet spojrzał na ratowników, strażaków, wszystkie wozy i miliony mrugających świateł.

– To oni. Ci, których widzieliśmy przy food trucku. Ruda jest niezła. – Powtórzył spostrzeżenie na temat policjantki, które w bardziej eleganckiej formie wyraził wcześniej Viktor Buryak.

– Co to, kurwa, ma do rzeczy?

– Nic, ale... – odrzekł Arnie, ale na tym poprzestał.

– Tam stoi jej wóz – pokazał Douglass. – Zaczekamy, aż wrócą do niego i do sprintera. To wóz Rhyme'a. Muszę mieć ich razem.

– On umie prowadzić?

– Nie. Wozi go jeden facet. Asystent czy ktoś taki.

– Auto ma rampę dla wózka?

– Arnie, skupmy się.

– Dobra. Czyli kiedy wrócą do jej samochodu i do vana.

Douglass wskazywał na środek ulicy.

– To jest dobre miejsce. Kiedy będzie mniej więcej tam.

– Przy pojemnikach na śmieci.

– Zgadza się. – Zamyślił się. – Z jaką szybkością powinieneś jechać, żeby kogoś porządnie poturbować, ale nie zabić?

Arnie zastanowił się przez chwilę.

– Sześćdziesiąt na godzinę.

– To za szybko. Pięćdziesiąt.

Amelia Sachs jeszcze raz spojrzała na liny zwisające z okna ewakuacyjnego, które wypełniały już płomienie. Najpierw jeden sznur, a potem drugi spadły z płonącymi końcówkami na dach parterowego budynku.

– Nie wiem, czy mogłabym zrobić coś takiego, Rhyme.

Cierpiała przede wszystkim na klaustrofobię, wysokość nie budziła w niej szczególnego lęku, mimo to...

Kryminalistyk nie odezwał się, ale jego wzrok też powędrował w stronę okna.

– Co mówili? – spytała.

– Beaufort i Potter? Chcieli, żebym publicznie przeprosił za napisanie notatki do sprawy Gregoriosa.

– Serio? – Z niesmakiem zacisnęła usta.

– To już nie jest problem, ale są uparci. Aha, Brett Evans chce, żebym się przeprowadził do Trenton i Newark. Coś w tym rodzaju. Dziwne czasy, Sachs... – Zniżył głos. – Czyli to Kitt?

Skinęła głową.

– Przez te wszystkie urazy w rodzinie – opowiadałam ci – nienawidził dziennikarstwa w rodzaju tego, jakie uprawiano w firmie jego ojca. Mówili, że zawsze był aktywistą. Izzy podrzuciła ci dowody?

– Mel podzielił wszystko na pół i pojechał do Queens. A on właśnie nad tym pracuje.

– Pojadę tam. – Odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu.

Rhyme towarzyszył jej, jadąc wózkiem w tempie jej marszu. Ford torino stał zaparkowany blisko następnej przecznicy.

Nie było ruchu, więc poruszali się środkiem drogi; chodniki na Manhattanie są trudnym terenem dla wózka Rhyme'a. Wąskie, zatarasowane koszami na śmieci, często nierówne i popękane.

– Wydaje mi się, że masz wątpliwości co do politycznych motywów Kitta.

– W pewnym sensie deklaracja jest jednym z motywów. Ale moim zdaniem chodzi o coś innego, głębszego, między ojcem a synem. Pamiętasz, co napisał? „Rozliczenie”.

Po chwili parsknęła śmiechem. Rhyme spojrział na nią.

– Jego kuzynka albo jej narzeczony powiedzieli mi, że nie potrafi nigdzie zagrzać miejsca, często zmienia zainteresowania i pracę. Chyba wreszcie znalazł coś, w czym jest dobry. Świetnie otwiera zamki i zakrada się ludziom do domu. Podpalenie też nieźle mu wyszło.

Szli na zachód, pod prąd, nie musieli się przejmować, że coś nadjedzie z tyłu. Amelia Sachs była jednak kiedyś funkcjonariuszką patrolu i miała w swoim rewirze takie miejsca jak Zachodnia Czterdziesta Druga, zanim ulica zmieniła się w dzisiejszy Disneyland, dlatego na liście jej umiejętności przetrwania wysokie miejsce zajmowała świadomość sytuacji. Często rozglądała się po ulicy, jej oczy bezustannie się poruszały. Instynkt.

Gdy dotarli do skrzyżowania, spojrzała w głąb ulicy.

I zamarła.

– Co jest?

– Przy następnej przecznicy – szary cadillac.

Przypomniała mu o swoich podejrzeniach, że przed domem Carrie Noelle ktoś ją śledził.

– Godzinę temu tego wozu tu nie było. Poza tym to nie jest ulica, gdzie widuje się nowe cadillaki.

– Rzeczywiście.

Usłyszeli za sobą warkot silnika. Ruszył w ich stronę zdezelowany van.

– Przed domem Carrie widziałaś kierowcę? – spytał Rhyme.

– Nie mogłam mu się dobrze przyjrzeć. Mężczyzna. Chyba w kapeluszu, czapce. Tyle. – Rozpięła marynarkę, żeby odsłonić glocka. Zlustrowała obie strony ulicy, zaglądając między samochody zaparkowane przy krawężnikach. – Coś mi tu nie gra, Rhyme, zjedź na bok.

Wykonał polecenie.

Sachs wyszła na środek brukowanej jezdni, lekko ugięła nogi jak żołnierz wypatrujący gniazda snajpera albo kryjówki, z której mógłby się wyłonić napastnik.

Lincoln Rhyme z wózka wciśniętego między dwa samochody przy krawężniku patrzył, jak Amelia Sachs wolno podchodzi do wylotu wąskiego zaułka.

Widocznie nie dostrzegła żadnego zagrożenia ani w uliczce, ani w żadnym z wychodzących na nią okien.

Następnie Rhyme zatrzymał wzrok na nadjeżdżającym białym fordzie econoline.

Czyżby to on był tym zagrożeniem?

– Sachs! Wóz!

Odwróciła się w stronę nadjeżdżającego vana. Dłoń powędrowała do kabury z glockiem.

W tym momencie samochód zahamował. Otworzyły się drzwi i wysiedli dwaj mężczyźni. Jeden był mocno zbudowany, wysoki, miał czterdzieści kilka lat. Nosił czarny берет. Kierowa cadillaca?, pomyślał Rhyme; Sachs wspominała o jakimś nakryciu głowy.

Drugi był drobniejszy, w nieokreślonym wieku.

– Pani detektyw Sachs, kapitanie Rhyme – odezwał się wyższy. Zrobił krok naprzód. Sachs nadal zaciskała dłoń na rękojeści pistoletu.

Podchodzili, nie chowając rąk. Wyższy trzymał coś w prawej dłoni. Co to było? Portfel?

Nie, okładka z legitymacją po jednej stronie i złotą odznaką nowojorskiej policji po drugiej.

– Aaron Douglass, wydział przestępczości zorganizowanej.

Zatrzymał się, lecz Sachs dała im znak, by się zbliżyli. Dołączył do nich Rhyme.

Obejrzeliby uważnie legitymację, która wyglądała na prawdziwą. Potem równocześnie skierowali wzrok na niższego z mężczyzn.

– To Arnie Cavall – przedstawił go Douglass. – Informator, czasem dla mnie pracuje.

– Hej – przywitał ich wesoło Arnie. – Miło mi. – Spoglądał tylko na Sachs, nie zwracając uwagi na Rhyme'a.

– Kapitanie Rhyme – powiedział Douglass z nutą podziwu w głosie – to dla mnie prawdziwy zaszczyt pana poznać. I detektyw Sachs.

– Śledził mnie pan – stwierdziła. – Od tamtego budynku na Dziewięćdziesiątej Siódmej.

– Zgadza się, śledziłem.

– O co tu chodzi, do cholery? – mruknął Rhyme.

– Musimy nakręcić film.

Sachs zadzwoniła do Lona Sellitta, który najwidoczniej zadzwonił do kogoś jeszcze. Być może sprawa wymagała kolejnego telefonu.

Po chwili dostała wiadomość ze zdjęciem Douglasa i potwierdzeniem, że detektyw przydzielony do nowojorskiego wydziału zwalczania przestępczości zorganizowanej został sześć miesięcy temu umieszczony w organizacji Viktora Buryaka. Gangster wiedział, że ma do czynienia z policjantem, uważał jednak, że to jemu udało się złowić nieuczciwego gliniarza, nie miał pojęcia, że Douglass działa pod przykryciem.

– Powoli zdobywałem zaufanie Buryaka. Prowadzę część jego siatki zbierającej informacje. Niewielką część. Ale łagodzę wszystko, co mu przekazuję, albo zmieniam szczegóły, żeby nie ucierpiał nikt niewinny. Czasem zleca mi jakąś egzekucję, tak jak tym razem. Ale też zawsze coś spieprzę, żeby wszyscy wyszli z tego cało.

– Niech pan wyjaśni, co to za „egzekucja” – zażądał Linc.

Buryak najwidoczniej był przekonany, że Rhyme uwziął się na niego za to, że upokorzył go w sądzie. Gangster nie mógł zostać oskarżony drugi raz o zabójstwo Leona Murphy’ego, ale przypuszczał, że kryminalistyk z pomocą Sachs szuka sposobu, by przyskrzynić go za inne przestępstwo, a może nawet w coś go zrobić.

Rhyme prychnął drwiąco.

– Nie mam czasu na takie bzdury. Gdybym nawet chciał to zrobić, potrzebowałbym zespołu, żeby coś na niego znaleźć. Nigdy w życiu nie widziałem takiej śliskiej ryby jak on.

Douglass westchnął.

– Wiem. Wszyscy o tym wiedzą. Ale Buryak to poważny przypadek paranoika. Nie rozumuje na poziomie konkretów. Wie tylko, że jeden z najlepszych ekspertów kryminalistyki na świecie postanowił go załatwić, a ja mam go do tego zniechęcić. Nastraszyć albo zdenerwować pana do tego stopnia, by dał mu pan spokój. – Zerknął na Sachs. – Mam panią potrącić samochodem. Nie zabić. Do tego Buryak nie chce dopuścić. Chodzi o to, żeby panią poturbować i napędzić wam obojgu cholernego strachu.

Rhyme miał wrażenie, że na twarzy żony dostrzegł cień uśmiechu.

Amelię Sachs nie było tak łatwo nastraszyć.

– O co chodzi z tym filmem, który chce pan nakręcić? – spytała.

Tajniak wyjaśnił, że Buryak chce mieć wideo z „wypadku”.

– Nie ufa panu?

Douglass zachichotał.

– Raczej chciałby zobaczyć, jak rozjeżdżam panią samochodem, bo to sprawiłoby mu przyjemność. Wkurzyły go wasze plany wendety, które sobie uroił.

– W domu czeka na nas praca – powiedział Rhyme. Mieli dowody zebrane w mieszkaniu Kitta Whittakera i ślady, dla których Lyle Spencer naraził życie.

– Dobrze, załatwmy to – zgodziła się Sachs. – Jak pan zamierza to zrobić?

Douglass planował nakręcić telefonem film, który pokazywałby, że ukradkiem ją śledzi. Następnie chciał pokazać pędzącego ulicą vana. Sachs schroniłaby się w jakiejś bramie, a samochód wjechałby w pojemniki na śmieci w miejscu, gdzie chwilę wcześniej stała. Potem położyłaby się na chodniku, udając ranną i nieprzytomną.

– Nie będzie czekał na informację w wiadomościach? – zapytała.

– Gdyby ktoś strzelał, wtedy być może tak. Ale zwykły wypadek samochodowy bez ofiar śmiertelnych? O tym nie warto nawet wspominać. Macie lepszy plan?

Sachs rozejrzała się po ulicy i powiedziała:

– W porządku, operatorze. Gdzie mam stanąć?

– *Przyjaciele, Thomas Jefferson napisał: Czy kiedykolwiek jakiś kraj przetrwał sto pięćdziesiąt lat bez rebelii? Czy jakiś kraj potrafi zachować swoje wolności, jeśli jego władcy nie otrzymują od czasu do czasu ostrzeżeń, że ich lud zachowuje ducha oporu? Niech łapią za broń. Rozwiązanie polega na tym, by wyprowadzić ich z błędu co do faktów, ułaskawić ich i uspokoić. Cóż znaczy utrata życia kilku osób w ciągu stulecia czy dwóch.*

*Ukryci nie zwyciężą!*

*Módlcie się i bądźcie gotowi!*

*Nazywam się Verum, po łacinie „prawda”. Oto wiadomość ode mnie. Od was zależy, co z nią zrobicie.*

Jedno ujęcie.

Nie mieli czasu na duple.

Gdy Sachs i Rhyme, do których dołączył zaniepokojony Thom, czekali po drugiej stronie ulicy, Douglass wezwał na plan kierowcę i zarazem kaskadera Arniego, który najwyraźniej w ciągu dziesięciu minut zakochał się bez pamięci w odtwórczyni roli głównej.

Policjant kręcił film kamerą w telefonie, a Arnie tymczasem rozpędził forda do ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i wpadł między pojemniki na odpady budowlane, rozsypując wszędzie kawałki drewna, kartonu i metalu, kubki po kawie i opakowania po fast foodzie. Potem zaparkował vana. Sachs i Douglass podeszli do sterty śmieci i policjantka rozciągnęła się na chodniku. Douglass zrobił jej ujęcie, na którym wyglądała na nieprzytomną.

Z okna dobiegł kobiecy głos:

– Coś się stało? Potrzebuje pani pomocy?

Amelia podniosła się i zawołała:

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku. Kręcimy niezależny film.

– A pozwolenie macie? – zainteresowała się starsza kobieta.

– Zgłosiliśmy to – poinformował ją Douglass.

– Nie widzę żadnej ekipy.

– Właśnie dlatego jest to kino niezależne – wyjaśnił.

– Burmistrz ma wydział filmowy. Wiem, bo czytałam o tym.

– Właśnie stamtąd mamy zezwolenie.

Przyglądała się przez chwilę ulicznej scenerii.

– Posprzątajcie to, prawda?

– No pewnie. – Douglass zwrócił się do Arniego: – Zajmij się tym.

Drobny mężczyzna skrzywił się, ale posłusznie zabrał się do pracy.

Kobieta cofnęła się w głąb mieszkania i zamknęła okno.

Douglass obejrzał materiał wideo.

– Dobra robota. Może powinna pani zostać kaskaderką.

Sachs odburknęła coś pod nosem. Rhyme widział, że jego żona czuje się trochę idiotycznie, ale nie krytykował planu Douglassa. Gdyby nie on, Buryak mógłby naprawdę zlecić zabójstwo jego albo jego żony.

– Sprawa Murphy’ego to była najlepsza szansa, żeby go przyskrzynić – odezwał się Rhyme – i zobaczyliśmy, jak to się skończyło. Ma pan cokolwiek na niego?

– Zero. Nigdy nie rozpracowywałem ostrożniejszego szefa gangu. Nie ma żadnych śladów na papierze, w komputerach ani telefonach. Kiedy jest sam ze swoimi ludźmi, nie wydaje nawet bezpośrednich poleceń. Rzuca aluzjami, daje coś do zrozumienia. Izoluje go kilka kręgów ludzi. Zakłada z góry, że każdy ma przy sobie podsłuch, nawet ja, a nikt nie zbliżył się do niego bardziej niż ja. Przed gabinetem ma wykrywacze metali. Korzysta z kodowanego sygnału, szyfrowania połączeń.

– Jego firma sprzedaje dane i informacje – powiedział Rhyme. – Jeżeli wie, jak je pozyskiwać, to na pewno potrafi je chronić przed pozyskaniem.

Sachs wskazała na śmieci.

– Ale tu Buryak zlecił napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Współdział w spisku. Nawet jeżeli nie zamierzał pan tego zrobić, to on tego chciał. Wiadomo, że spisek to szerokie pojęcie.

– Och, Sachs – wtrącił Rhyme – jestem pewien, że nie polecił wprost detektywowi Douglassowi, żeby cię zaatakował, prawda?

– Otóż to. Nie wyrwało mu się ani jedno słowo, które mogłoby go obciążyć. Powiedział tylko, że potrzebuje „masażysty”.

– Eufemizm. – Sachs pokręciła głową.

Rhyme zamyślił się, po czym rzekł do Douglassa:

– Rozpracowuje pan Buryaka... Śledzi pan historię dostaw do Red Hook?

– Nie, a co to jest?

– Padło przy ich okazji nazwisko Buryaka. Pamiętasz, Sachs?

Przytaknęła.

– Gdy pracowaliśmy nad sprawą Murphy’ego, wspomniał o nim jeden z informatorów. O Buryaku. Chodziło o transport do przystani Red Hook jakiegoś towaru, który miał tam trafiać przez kilka następnych tygodni. To nie była sprawa dla zabójstw, więc przekazaliśmy ją narkotykowemu.

– Dwieście kilogramów – dodał Rhyme.

– Pamiętam, że więcej – poprawiła go Sachs.

Douglass pokręcił głową.

– Buryak sam na pewno nie tykał tego towaru. Można go przyłapać najwyżej na kupnie albo sprzedaży informacji. Ale może złowimy w sieć kogoś, kto go sygnie. – Uśmiechnął się krzywo. – Poświęciłem pół roku życia, żeby go zgarnąć, lecz nic z tego nie wyszło. A teraz niespodziewanie przychodzi taki cynk i może właśnie to go pogrąży. Mamy cholernie niewdzięczną robotę, nie sądzi pan? Cholernie niewdzięczną.



W rozmowie uczestniczyły cztery osoby.

Owszem, Lincoln Rhyme teoretycznie nie pracował przy sprawie, ale skoro rozmawiali tylko Sachs oraz Averell Whittaker i jego bratanica, postanowił zaryzykować i wziąć udział w spotkaniu, choć jego prowadzenie oddał żonie.

Opowiedziała o ich ustaleniach, z których wynikało, że Ślusarzem jest Kitt.

Averell Whittaker stłumił okrzyk zgrozy.

– Nie!

– Niemożliwe – zdumiała się Joanna.

Sachs powiedziała o dowodach, jakie znalazła w jego mieszkaniu – butach, bieliźnie ofiar, narzędziach do otwierania zamków, egzemplarzach „Daily Herald”.

– Nie mogę w to... – głos uwiązał Whittakerowi w gardle.

– Chryste, właśnie coś sobie uświadomiłam – wyszeptała jego bratanica.

– Co takiego, Jo?

– Te gazety. Trzecia strona. Numer z siedemnastego lutego. Drugiego marca dwa tysiące siedemnastego umarła ciocia Mary.

– Czyli to szyfr – włączył się Rhyme. – Niech to szlag! Zupełnie nie zwróciłem na to uwagi. Numer strony oznacza marzec, trzeci miesiąc w roku. Luty to drugi miesiąc, czyli mamy numer dwa. A siedemnaście to rok. Trzy, dwa, siedemnaście.

– Skupialiśmy się na treści artykułów – powiedziała Sachs. – A to nie miało nic wspólnego z Apollami, laboratoryjnymi sztuczkami Rosjan ani z pozostałymi tematami na tej stronie.

– Boże... – Averell Whittaker chrząknął. – Nie wspominałem o tym, ale Kitt zniknął z mojego życia, z naszego życia, z mojej winy. Otóż...

– Wuju...

– Mówię prawdę! Byłem zajęty kupnem tej przekłetej telewizji i nie było mnie przy Mary, kiedy umierała.

Między bratanicą a stryjem zapadła cisza. Wreszcie Joanna powiedziała:

– Nie była sama. Był z nią Kitt. Poza tym... skąd miałeś wiedzieć? Lekarze sami nie mieli pewności, ile życia jej zostało.

– A jednak... uważam, że to moja wina. Przecież wiesz, jak go traktowałem. W ogóle mnie nie obchodził... – Czyżby tłumił szloch? Rhyme mógł sobie tylko wyobrazić szok,

jaki przeżywa ojciec na wiadomość, że jego syn jest przestępcą, być może nawet potencjalnym zabójcą.

– Averell... – szepnęła czule Joanna. – Nie myśl w ten sposób. Nikt mu nie kazał zapaść się pod ziemię, robić tego, co robił.

Rhyme posłał Sachs spojrzenie, które oznaczało, że powinni już przejść do konkretów.

– Jesteśmy przekonani – powiedziała – że ma w mieście jakiś warsztat i głównie tam mieszka. Nie domyślają się państwo, gdzie mógłby sobie znaleźć takie miejsce?

Znowu zapadło milczenie.

– Nie – odezwała się Joanna. – Nie mamy z nim żadnego kontaktu... wydaje się, że od zawsze. Wujku Averellu?

– Nie, nic nie wiem – wykrztusił z trudem.

– Jest tam pani narzeczony? – spytała Joannę Sachs.

– Nie, jest w pracy, ale zadzwonię do niego. Najlepiej od razu. – Joanna z innego telefonu zadzwoniła do Kempa i przekazała mu wiadomość. Nastąpiła chwila ciszy. – Wiem, wiem... ale są tego pewni. Znaleźli dowody i... wiesz, jaki jest... – Urwała, jak gdyby nie chciała potraktować kuzyna zbyt ostro w obecności jego ojca. Spytała o warsztat czy inne miejsce, gdzie mógł się ukrywać. Znowu milczenie. – Mówił, gdzie to jest? Coś jeszcze? ... Dobrze, kochanie, do zobaczenia. – Wróciła do rozmowy z Sachs i Rhyme'em. – Martin pracuje w nieruchomościach. Pod koniec zeszłego roku Kitt pytał go o podnajem jakiegoś loftu czy warsztatu. Interesowały go dzielnice położone jak najbardziej na uboczu. Mówił, że nie chce, żeby coś mu przeszkadzało.

– Dlaczego nie chciał? – szepnął Rhyme, a Sachs powtórzyła głośno pytanie.

– Tego nie zdradził – odrzekła po chwili Joanna.

– Co Martin mu powiedział? – zapytała Sachs.

– Poleciał mu Long Island City, wschodni Harlem, południowy Bronx. Ale Kitt już się więcej nie odezwał i nie dał znać, co postanowił.

– Proszę na razie zachować to dla siebie – powiedziała Sachs. – Nie chcemy zdradzać swoich planów. Chcemy go znaleźć i w bezpieczny sposób zatrzymać.

– Dziękuję – odparła Joanna.

– Och, Kitt... – szepnął Whittaker.

Zakończyli połączenie.

– No – rzekł Rhyme z westchnieniem irytacji – czyli nasz sprawca ukrywa się na terenie obejmującym ponad sto pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. Dla nas to przecież żaden problem.

Chromatograf gazowy ze spektrometrem masowym to wyjątkowe połączenie dwóch urządzeń niezbędnych ekspertom kryminalistyki.

Lincoln Rhyme zawsze upierał się, że chce mieć taką maszynę w laboratorium, choć nie należała do najtańszych. Używa się ich do ustalenia składu nieznannej próbki materiału

zabezpieczonego na miejscu zdarzenia. Chromatografię, którą wynaleziono w Rosji w początkach dwudziestego wieku, nazywa się wyścigami konnymi. Niezidentyfikowana próbka zostaje zamieniona w postać gazową, a następnie rozpoczyna wędrówkę przez kolumnę wypełnioną płynem lub żelem. Różne substancje przechodzą przez kolumnę z różną prędkością. Wynikiem jest wykres materiałów składowych substancji. Każdy ze związków jest następnie analizowany w sprzężonym urządzeniu, spektrometrze masowym, który je identyfikuje.

W sterylnej części laboratorium Mel Cooper i Amelia Sachs za pomocą tej maszyny odkrywali sekrety próbek zebranych przez nią w mieszkaniu Kitta Whittakera oraz w budynku Sandleman, który omal nie stał się stosem pogrzebowym Rona Pulaskiego.

Kiedy czekali na wyniki, Cooper potwierdził, że but do biegania z szafy Kitta to to samo obuwie, w którym sprawca wszedł do dwóch pierwszych mieszkań oraz do budynku Bechtel, a teraz zapewne zostało zastąpione butami o gładkiej podeszwie, która zbierała mniej śladów – tak przynajmniej domyślał się Rhyme.

Rhyme i Lyle Spencer obserwowali to z zewnątrz. Kryminalistyk miał nadzieję, że w jednej z zabezpieczonych przez Sachs próbek znajdzie się jakiś specyficzny ślad i wskaże im, gdzie może się znajdować warsztat sprawcy. Gdyby udało im się zawęzić obszar poszukiwań do terenu zamkniętego między kilkoma ulicami, do działania mogliby przystąpić wywiadowcy uzbrojeni w zdjęcia Kitta Whittakera.

Spencer podczas imponującej wspinaczki naciągnął mięsień barku, więc rozebrał się do T-shirtu i przykładał do obolałego miejsca okład z lodu przygotowany przez Thoma. Rhyme chyba nigdy wcześniej nie widział tak muskularnego człowieka. Na jednym bicepsie zobaczył kotwicę; na drugim wytatuowane gotyckimi literami inicjały T.S.

Spencer znowu zakaszłał. W płucach pozostały mu jeszcze resztki dymu.

– Popioły z *Płonącego wieżowca!* – zawołał Cooper.

Z jego tonu Rhyme odgadł, że to aluzja do popkultury. Cooper miał na myśli dowody zebrane przez Spencera z podłogi na piętrze tuż przed jego zjazdem na ziemię.

– Amoniak, azot mocznikowy, fosforan, rozpuszczalny potaż.

– Aha, nawóz – orzekł Rhyme. – Nie wiedziałem, z czym skojarzyć bor, miedź i żelazo z budynku Bechtel. W połączeniu z tym to nawóz. Z tym ramieniem poradzisz sobie z pisaniem na tablicy? – zwrócił się do Spencera.

– Pewnie. – Zanotował nowe dane, po czym odsunął się i przejrzał informacje na tablicy. – Cegielki w murze.

Tak samo nazywał je Rhyme. Oznaczało to, że pojedyncze, drobne odkrycia w materiale dowodowym, choć same w sobie o niczym nie przesądzają, mogą się łączyć w potężny akt oskarżenia. Im więcej cegiełek, tym lepiej, nawet jeśli jedna powiela drugą. Nadmiar nie był zły. Rhyme aż nazbyt dobrze wiedział, że obrońcom zawsze udaje się skutecznie podać w wątpliwość część dowodów.

*To, co pan opisuje, jest możliwe.*

*Nie mam więcej pytań...*

– Wiemy już, co wykorzystał jako akcelerator pożaru? – spytał Rhyme.

Cooper zbadał część popiołu, który Sachs zebrała w pobliżu miejsca, gdzie wybuchł ogień. Po chwili wyniki wyświetliły się na jednym z monitorów.

Rhyme przebiegł je wzrokiem.

– Cholera. Znam tę markę. Mógł to kupić na każdej z setek stacji w mieście. Do niczego się nie przyda.

Z *Płonącego wieszowca* nie było nic więcej. Cooper i Sachs skupili się teraz na śladach z mieszkania Kitta.

Czytając dane z analizy komputerowej, Cooper poinformował:

– Jest woda. Oprócz H<sub>2</sub>O – sól, chlorek, magnez, siarczan i wapń.

Sachs wzięła próbkę i obejrzała za pomocą innego podstawowego sprzętu laboratoryjnego, mikroskopu optycznego. W porównaniu z chromatografem ten instrument był wzorcem prostoty. Wystarczyło spojrzeć przez okular i soczewki obiektywu, by coś małego stało się duże.

Wcisnęła przycisk i oglądany przez nią obraz pojawił się na ekranie monitora, aby Rhyme i Spencer też mogli go zobaczyć.

– Poznaje! – zawołał Rhyme. – Zakwit. Czyli woda morska.

– To nie wszystko – dorzucił Cooper. – Jeszcze trochę wody z zawieszonym tritlenkiem glinu, lekkimi destylatami ropy naftowej obrabianymi wodorem, glikolem, olejem parafinowym i metyloizotiazolinonem.

Spencer spojrział na Rhyme'a, spodziewając się po nim następnego popisu wiedzy.

– Nie wiem, co to jest, ale mamy specjalną bazę danych.

Ochroniarz wyraźnie był pod wrażeniem.

Rhyme odwrócił się do Coopera i zawołał:

– Google!

Oboje, Spencer i Sachs, wybuchnęli śmiechem.

Niecałe dziesięć sekund później znali rozwiązanie zagadki: najprawdopodobniej był to drogi lakier chroniący drewno przed czynnikami atmosferycznymi. Szczególnie popularny wśród kolekcjonerów samochodów i łodzi z drewnianymi elementami dekoracyjnymi.

Spencer zapisał to na tablicy.

Dwójka w sterylnej części laboratorium przygotowała następne próbki.

Rhyme patrzył na zdjęcia, które Sachs zrobiła w mieszkaniu Kitta Whittakera.

– Ta plama w korytarzu przy wejściu. Widzicie? Sachs, wzięłaś próbki z tego dywanu?

Przerzuciła przezroczyście koperty.

– Tak, mam. – Pokazała mu jedną z nich.

– Do pieca.

Przygotowała próbkę do chromatografu.

Rhyme posłał poważne spojrzenie Lyle'owi Spencerowi.

– Muszę się napić. Ważniejsze jednak, że ktoś musi mi pomóc się poczęstować.

Kilka minut później mężczyźni znaleźli się w przeciwległym kącie salonu. Rhyme saczył swoją whisky single malt, Spencer bulleita. Rhyme był amatorem torfowych smaków. Bourbon do niego nie przemawiał.

Szef ochrony Whittakera siedział na zwróconym do niego pod kątem prostym fotelu z rattanu, który Rhyme już lata temu miał kazać Thomowi wyrzucić. Mimo to mebel wciąż stał w pokoju.

– Prowadziłeś dużo zabójstw? – zapytał Lincoln.

Spencer przez chwilę kaszłał.

– W Albany? Boże, pewnie. Przede wszystkim miałem na tapecie przestępstwa na ulicach. Dziwne, że niektórych kretynów nie zgarnęli już wiele lat wcześniej. Ale trafiały się też bardziej wyrafinowane historie. Na przykład próba zamachu na gubernatora. Miał podpisać jakąś ustawę, nie pamiętam nawet, czego dotyczyła, ale nie była szczególnie pożądana w pewnych kręgach. – Dłoń Spencera powędrowała do głowy i dotknęła skóry tuż nad prawym uchem. – Podczas zatrzymania sprawcy otarła się o mnie kula. Przypaliła mi włosy. Pamiętam ten smród i strach. Paskudne.

Rhyme przypomniał sobie, że Sachs mówiła o tej bliźnie.

Stres pourazowy...

Milczał, patrząc na notatki i zdjęcia na tablicy poświęconej zabójstwu Alekosa Gregoriosa, za które aresztowano bezdomnego Michaela Xaviera.

Po chwili Lincoln lekko obrócił wózek i przysunął go bliżej ochroniarza, żeby Sachs i Cooper nie mogli go słyszeć.

Spencer pytająco uniósł brew.

– Powiedz mi dlaczego – poprosił go Rhyme.

Nie trzeba było niczego dodawać.

Było jasne, że Lyle Spencer doskonale wie, co kryminalistyk ma na myśli.

Rhyme mówił o tym, co widział pod płonącym budynkiem. A widział Spencera stojącego w oknie na ostatnim piętrze i patrzącego na miasto. Nie zastanawiał się wtedy, jak najlepiej zjechać po linie na ziemię. Zastanawiał się nad skokiem w pustkę.

Nad samobójstwem.

Przełknął łyk bourbona w kolorze karmelu.

– Byłem szczery z tobą i Amelią, do pewnego stopnia. Nie do końca. To prawda, służyłem w SEALs. Zostałem odznaczony. Byłem detektywem w Albany. Zostałem odznaczony. Dziwne słowo. Co to znaczy „odznaczony”? Byłeś kapitanem policji w Nowym Jorku, prawda?

Rhyme skinął głową.

– Czyli podczas uroczystych okazji nosiłeś sporo blachy na mundurze galowym.

– Trochę nosiłem.

– To właśnie są odznaczenia. Blacha. Nic więcej. – Zrobił długą pauzę. – Opowiem ci coś o Freddy Geigerze. Jak ci się podoba to nazwisko?

– Łatwo zapamiętać.

Spencer w skupieniu wpatrywał się w brzeg swojej szklaneczki.

– W Albany mamy poważne kłopoty z metą, fentanylem, oksykodonem. Z wążaniem benzyny i rozcieńczalnika do farb. Na rynek wkroczył Geiger. Chciał podnieść jakość. – Parsknął ponurym śmiechem. – Zaoferował miastu heroinę. Dostaliśmy wiarygodny cynk o transakcji, chodziło o herę wartą ćwierć miliona. Może w tym mieście to są groszowe interesy, ale u nas, na północy, to nie w kij dmuchał. Prowadziłem tę sprawę. To była jatka. Wszystko się spieprzyło. Mówiąc w skrócie, nie dostaliśmy informacji, że do miasta przyjechali z Buffalo brat Geigera z żoną. Uciekli, a ja ze swoim partnerem ścigaliśmy ich aż do opuszczonego młyna – przypominał mi go budynek Bechtel. Weszliśmy za nimi do środka. – Pokręcił głową. – Powinniśmy zamknąć młyn i zaczekać na wsparcie, ale nie. Wdepnęliśmy prosto w pułapkę. Mój partner dostał ładunek grubego śrutu w pierś. Miał kamizelkę, mimo to padł. Kobieta próbowała go zabić, nie trafiła, więc ją zlikwidowałem. Dwa strzały w tył głowy. Jej mąż obrócił lufę śrutówki w moją stronę, więc też go załatwiłem. – Skrzywił usta. – Nie miałem innego wyjścia.

– Ciężka sprawa.

Wolno pokiwał głową.

– I teraz to najgorsze. – Zaśmiał się z goryczą.

Rhyme słuchał go w napięciu.

– Kiedy czekałem na resztę zespołu, wyrząłem na zewnątrz. Zobaczyłem jakiegoś dzieciaka, który chował się w krzakach. Bałem się, że da nogę, więc zatoczyłem koło i zaszedłem go od tyłu.

– Pomogło ci szkolenie w SEALs.

– Aha, w tym rzeczywiście jestem dobry. Zaskoczyłem go, rzuciłem na ziemię i założyłem mu plastikowe bransoletki. Potem zauważyłem coś dziwnego. Patrzył to na mnie, to na krzaki. Okazało się, że patrzył na plecak, który tam wrzucił. Z forszą. Było w nim mniej więcej trzysta tysięcy.

Spencer wypił następny łyk, lecz wyglądał, jakby trunek nagle go zaatakował. Twarz mu stężała, postawił szklaneczkę na podłodze obok fotela.

– Nudzisz się tak samo jak ja, kiedy podejrzany przyznaje się do winy?

– Czasem straszliwie. Ale tym razem nie – jeżeli rzeczywiście tego słucham.

– Nie spodziewaj się na koniec zwrotu akcji, Lincoln. Przeciąłem chłopakowi bransoletki i uciekł. Plecak schowałem w innej części posesji i wróciłem do zespołu. Przyjechałem po niego następnego dnia. Ładna listwa przy suficie. – Patrzył w górę.

Rhyme też zerknął w tę stronę. Listwę zdobił misterny zygzakowaty wzór. Gdyby ktoś go zapytał, jak wygląda, nie potrafiłby go opisać.

– U mojej córki Trudie zdiagnozowano rzadką chorobę. Wiesz, co to znaczy?

Ach, ten tatuaż: T.S.

– Nie.

– Że cierpi na nią mniej niż dwieście tysięcy ludzi w całym kraju. – Zaśmiał się cicho. – Trudie była dumna, że to taka egzotyczna sprawa. „W życiu nie chciałabym żadnego paskudnego choróbka, które mają wszyscy”, mówiła. Leki na rzadkie choroby mają niewielki zbył, więc firmy farmaceutyczne nie mogą rozłożyć kosztów. Cena niektórych kuracji jest zawrotna. Może sięgać jakichś siedmiuset tysięcy.

Terapia Trudie nie była aż tak droga, ale kosztowała o wiele więcej, niż mogło mi dać ubezpieczenie, niż mogłem uciuć od rodziny i przyjaciół i zyskać na refinansowaniu hipoteki. Nagle spadają mi z nieba pieniądze Geigera. Wystarczyły na leczenie i pomogły zmienić jej tryb życia. Była aktywna, wysportowana. Jeździliśmy na rowerach, wspinaliśmy się na ścianki. Choroba wywoływała atrofie mięśni. Ale było nas stać na dobrą fizjoterapię.

– Wyprałeś te pieniądze?

– W ośmiu bankach, zainwestowałem w kilka „biznesów”. – Spencer zakołysał głową na boki.

Człowiek, który właśnie wspiał się po trzydziestometrowej ścianie, skrzywił twarz.

– Wspominałem, że nie będzie zwrotów akcji.

– Zgarnęli za coś gagatka, któremu pozwoliłeś uciec, a on cię sypnął.

Spencer pokiwał głową.

– Nie zrobiłem jedynej rzeczy, którą każdy rozsądny człowiek zrobiłby na moim miejscu: nie zeznałem, że sięgnął po broń, i go nie załatwiłem. Oczywiście nie mogłem.

Gdybym miał szukać w tym jakichś plusów, to chyba dobrze się stało, że miesiąc przed tym, jak mnie zgarnęli, moja córka zmarła. Nigdy się nie dowiedziała, co zrobiłem.

– Przykro mi.

– Skończyło się ugodą. Przyznałem się do winy, a oskarżenie odstąpiło od żądań restytucji. Mogli nam zabrać dom, samochód, emeryturę, wszystko. Rozumiesz, z formalnego punktu widzenia nie okradłem Geigera, okradłem nas. Skonfiskowane pieniądze trafiają do budżetu policji albo innej instytucji w Albany. Nigdy do końca nie rozumiałem, jak to działa. W każdym razie prokuratorzy uznali, że to nie wyglądałoby dobrze, gdyby po śmierci naszej córki ukarali też moją żonę.

Dostałem trzynaście miesięcy. Zakład o średnim rygorze na północy stanu. Żona rozwiodła się ze mną, wyszła za miłego faceta, ma z nim dzieci.

– Amelia mówiła, że wspominałeś o rodzinie.

– Formalnie rzecz biorąc. Tyle że nie mojej. Musiałem zacząć pracę w ochronie, żeby przekazywać im coś co miesiąc. Mają niewiele pieniędzy. – Spojrzał Rhyme'owi w oczy. – No i gdyby tak to wyglądało, jakby były gliniarz – skompromitowany, ale wcześniej odznaczony – zginął, ratując z pożaru innego glinę, firma ubezpieczeniowa nie miałaby podstaw twierdzić, że to było samobójstwo, i wypłaciłaby odszkodowanie. To właśnie widziałeś, gdy stałem wtedy w oknie.

– Zauważyłem.

– Amelia nie. Kiedy zaświeciła mi latarką w oczy w budynku Bechtel, ta myśl nagle mi błysnęła. Pieprzyć to wszystko. Koniec. Miałem rurę. Mogłem ją zaatakować. I byłoby po wszystkim. – Pokręcił głową. – Pamiętam jej wzrok. Zastanawiała się, dlaczego się waham. Nie rozumiała.

– Nie. Coś takiego nie przyszłoby jej do głowy.

Amelia Sachs mogła wbijać sobie paznokcie w skórę i brawurowo gnać samochodem, mogła wpadać jako pierwsza do szturmowanego obiektu podczas dynamicznego wejścia, ale Rhyme wiedział, że nigdy nie zadawała sobie pytania: Być albo nie być?

– W tych okolicznościach to jednak nie byłoby w porządku wobec niej – ciągnął Spencer. – A firma ubezpieczeniowa pewnie miałaby wątpliwości. Pomoc gliniarza w samobójstwie. Zorientowałiby się.

Rhyme skinął głową.

– Ale ty... zrozumiałeś.

– Tak, wiedziałem, o co chodzi.

– Z powodu tego, co się stało? – Wskazał na wózek.

– Zgadza się. Też miałem taki zamiar.



– Dlaczego zmieniłeś plany?

Lincoln wypił łyżeczek szkockiej.

– Zdarzyła się dziwna rzecz. Jakiś czas temu w mieście grasował seryjny porywacz. Kolekcjoner Kości.

– Słyszałem o nim.

– Wybrał mnie na ofiarę z powodu błędu, jaki popełniłem na miejscu zdarzenia. Za wcześniej skończyłem oględziny. Sprawca ciągle tam był. Gdy próbował uciec, zabił żonę i dziecko człowieka, który został Kolekcjonerem Kości. I ten postanowił się na mnie zemścić. Ale odkrył, że planuję samobójstwo.

– To mu pokrzyżowało plany, co?

Rhyme zachichotał.

– Co to za zemsta, jeżeli zabijesz kogoś, kto chce umrzeć? Wyświadczasz mu tylko przysługę. No więc zaplanował serię przestępstw.

– Porwań?

Skinał głowę.

– Wyjątkowo nadawałem się do rozpracowania tych spraw. No więc je rozpracowałem.

– I dlatego zmieniłeś zamiar co do samobójstwa?

– Tak.

– I dopiero potem próbowałem cię zabić.

– Właśnie. Ale ten plan też się nie powiódł.

Spencer odchylił się w fotelu. Rattan sam w sobie jest hałaśliwy, a pod ciężarem jego ciała mebel żałośnie skrzypiał.

– Poniosłem w życiu trzy ogromne straty. Straciłem córkę. Żonę. Pracę w policji. Dlatego zawsze jestem o krok od zjazdu na linie bez liny.

Dziwnie było słyszeć, jak mężczyźnie o tak imponującej posturze łamie się głos.

– Czasem jest ciężko – rzekł cicho Rhyme. – Nie powiem, że już nigdy o tym nie myślę. Ale zawsze na koniec dochodzę do wniosku: co mi tam, czemu nie cieszyć się trochę dłużej rozmową albo wspólnym posiłkiem z Amelią? Czemu jeszcze trochę nie posprzeczać się z Thomem? Czemu jeszcze trochę nie poprzyglądać się sokołom wędrownym i ich pisklętom na parapecie za oknem? Czemu nie wsadzić za kratki jeszcze jednego podłego bandyty? Całe życie to suma większych i mniejszych prawdopodobieństw, a jeśli tylko licznik minie połowę, to lepiej być na świecie niż nie.

Potężny mężczyzna skinął głową, podniósł z podłogi szklaneczkę i wzniosł jak w toaście.

Rhyme nie miał pojęcia, czy dotarły do niego jego słowa, z których każde było prawdziwe jak układ okresowy pierwiastków. Nie mógł jednak zrobić nic więcej, jak tylko uświadomić Lyle'owi Spencerowi, co go uratowało – i co nadal będzie go ratować.

Spencer znowu dostał krótkiego ataku kaszlu. Wstał, podszedł do stołu niedaleko sterylnej części laboratorium, gdzie zostawił wcześniej butelkę wody. Napił się, zerkając z roztargnieniem na tablicę dowodów.

– Rhyme – rozległ się głos Sachs zza szyby. Może mu się zdawało, ale usłyszał gorączkowy ton. – Mam wyniki analizy tej plamy na dywanie w mieszkaniu Kitta. Lepiej zobacz.

Naprawdę uwielbiam swój warsztat.

Zgadza się, może trochę przypomina zamknięcie w Pokoju Konsekwencji, ale najczęściej gniew wynagradza mi towarzystwo wszystkich moich przyjaciół: stu czterdziestu dwóch zamków, kluczy, moich narzędzi, urządzeń, maszyn.

Szczególnie miło jest w takich chwilach jak ta, gdy pracuję nad jakimś projektem. Właśnie robię klucze do wkładki bębnekowej, które otworzą zatrask i rygiel wpuszczanego zamka.

Pracuję ostrym pilnikiem i szczotką ze stalowego drutu.

Kluczy patentowych używa się najpowszechniej, tych niewielkich trójkątnych kawałków metalu, które podzwaniają ze wszystkimi naszymi breloczkami i właściwie nie różnią się od tych, jakimi otwierało się zamek skonstruowany przez Linusa Yale'a i jego syna.

Mam w imadle surowy klucz i ręcznie za pomocą pilnika wycinam frez, a na blat stołu spadają mosiężne ścinki.

Wykonuję duplikat klucza, nie mając jego oryginału... ani wszechpotężnego kodu. Każdy klucz ma swój kod, który pozwala otworzyć zamek z analogicznym kodem. Kodowanie ma dwa poziomy. Tak zwany kod ślepy to bezsensowny ciąg znaków, na przykład KX401. Można go ujawnić całemu światu, ale nikt na tej podstawie nie będzie mógł wyciąć klucza. Kod ślepy należy przetłumaczyć na numeryczny kod frezu za pośrednictwem ezoterycznych tabel albo oprogramowania, na przykład kod 22345, który razem z liczbami oznaczającymi głębokość i rozmieszczenie elementów krzywki pozwala wyciąć duplikat klucza, nawet jeżeli nigdy nie widziało się oryginału.

Jest jednak jeszcze jedna metoda dorobienia klucza i właśnie ją wykorzystuję. Pracując ze zdjęciem, jeżeli oczywiście ma się odpowiednie doświadczenie, tak jak ja, da się zrobić funkcjonujący duplikat. (Całkiem niedawno doszło do głośnego skandalu: jakiś urzędnik z biura wyborczego pokazał w telewizji klucz do maszyn wyborczych w swoim hrabstwie, chcąc w ten sposób uspokoić elektorat, że urzędnia są bezpieczne. W ciągu kilku godzin lockpickerzy odtworzyli klucz – nie po to, by sfałszować wyniki wyborów, ale by wykonać zadanie, jakie postawił przed nimi Bóg: otworzyć to, co zamknięte).

Co dziesięć czy dwadzieścia sekund porównuję swoje dzieło ze zdjęciami oryginałów, które sfotografowałem w stacyjce samochodu podczas pożaru budynku Sandleman. To czasochłonna praca, ale w końcu stwierdzam, że mam perfekcyjne kopie.

To dobrze.

Otworzą dziś w nocy wyjątkowe drzwi.

Mam jeszcze trochę czasu, więc postanawiam zająć się moderowaniem treści. Nie mam nastroju na ścinanie głów, ale zawsze fajnie jest sprawdzić, co tam w polityce. Ciekawe, o jakich nowych idiotyzmach plecie ostatnio Verum. Wyjątkowo bawi mnie odkrycie, że zostałem oskarżony o członkostwo w tajnej klicie znanej pod nazwą Ukryci.

Joanna Whittaker weszła do apartamentu stryja, z którego widok zawsze ją zachwycił.  
Cały Nowy Jork u twoich stóp.

Uśmiechnęła się do Alicii Roberts, ochroniarki Whittakera.

– Gdzie Averell?

– W swoim gabinecie.

– Sam?

– Tak, do kogoś dzwoni.

– Nie będę mu na razie przeszkadzać.

Joanna podeszła do kanapy i zagłębiła się w przytulnej, miękkiej skórze. Miała na sobie klasyczny garnitur Alexandra McQueena z czarnej wełny. Przypadkiem zatrzymała wzrok na zdjęciu wiszącym na ścianie naprzeciwko. Była na nim ze swoim ojcem Lawrence'em. Trzymali razem egzemplarz „Heralda”, otwarty na stronie z napisanym przez nią artykułem, który ujawniał donżuańskie skłonności pewnego polityka. Z uśmiechem pokazywała swoje nazwisko nad tekstem. W latach młodości – czyli jeszcze nie tak dawno temu – siała postrach jako dziennikarka śledcza. To były czasy, gdy jej ojciec był równorzędnym współnikiem w firmie, a na korytarzach Whittaker Media spotykało się więcej kobiet niż dziś.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego zadania. Patrząc w oczy politykowi, który wił się jak piskorz, powiedziała:

– Nie odpowiada pan na moje pytanie, senatorze. Czy powiedział pan żonie, że wyjeżdża w góry Adirondack z córką jej adwokata?

– To nic takiego.

– Nie mogę tego uznać za odpowiedź. Pytanie brzmiało: Czy pańska żona wiedziała, że jedzie pan w góry Adirondack z córką jej adwokata?

– Nie będę odpowiadał na to pytanie.

– Daję panu okazję, by zaprzeczyć jej twierdzeniom, że skłamał pan na temat tego wyjazdu.

– Ale... dziewczyna miała osiemnaście lat. To był tylko...

– Powiedział pan żonie, że wyjeżdża w góry Adirondack z córką jej adwokata?

– Nie, do cholery, nie powiedziałem. Zadowolona?

– Kiedy razem przyjechaliście do hotelu Rosemont Inn...

– Ten wywiad już się skończył.

– To pańska ostatnia szansa, żeby skomentować tę historię.

I tak dalej, i tak dalej.

Ta praca naprawdę jej się podobała. Fajnie było wyduszać odpowiedzi z tych durniów. I oglądać swoje nazwisko w gazecie. To był odjazd.

Spojrzała na stół, na którym piętrzyły się dokumenty dotyczące Fundacji na rzecz Etycznego Dziennikarstwa.

Nic takiego w dzisiejszych czasach nie istniało, przynajmniej nie w skali, jaką przewidywał jej stryj – a to mogła być gigantyczna skala, skoro chciał przeznaczyć na ten cel non profit dziewięćdziesiąt procent dochodów ze sprzedaży imperium medialnego wartego parę miliardów dolarów.

Co Lawrence, jej ojciec, pomyślałby o wielkim planie brata?

Wiedziała, że nie przyjąłby go z entuzjazmem. Nie widział nic złego w dziennikarstwie, które zaspokajało niezdrową ciekawość i podniecało odbiorcę – przez długie lata raczej nie przeszkadzało to obu braciom. Nie ulegało wątpliwości, że znacznie więcej ludzi interesowały seksskandale i spiski niż relacje ze spotkań G20 czy śledztwo antymonopolowe przeciwko Facebookowi.

Chyba że chodziło o seksskandale i spiski na spotkaniach G20 i na korytarzach Komisji Papierów Wartościowych i Giełd.

Joanna uśmiechnęła się na tę myśl, bo być może rzeczywiście działały się tam takie rzeczy. I tylko czekały, by ktoś je opisał.

Usłyszała sygnał odebranej wiadomości w telefonie. SMS przysłał jej narzeczony, Martin Kemp.

Już jestem, jadę na górę.

Odpisała:

Okej.

Joanna wstała i podeszła do niszy przy wejściu.

Alicia uniosła wzrok z wyściełanej ławy, gdzie siedziała, czytając maile albo SMS-y.

– Mogę w czymś pomóc, pani Whittaker?

– Nie, dziękuję.

Z wewnętrznej kieszeni żakietu Joanna wyjęła długi, ostry jak brzytwa nóż do mięsa i trzymając trzonek przez foliową torebkę, błyskawicznie przejechała ostrzem po szyi kobiety, raz, drugi i trzeci, przecinając tętnice i żyły.

Ochroniarka ze zdumieniem w oczach, charcząc i plując krwią, sięgnęła po broń, ale Joanna rzuciła nóż i jedną ręką unieruchomiła jej ramię. Drugą dłonią, osłoniętą torebką, wyciągnęła jej pistolet z kabury i odrzuciła na podłogę daleko poza zasięg jej rąk.

– Dlaczego? – wykrztusiła Alicia.  
Joanna nie odpowiedziała. Myślała już o czymś innym.

**CZĘŚĆ CZWARTA**

**Klucz uderzeniowy**

23 MAJA, PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ, GODZINA 3.00

Pokonuję zamek Andersen i wpuszczany EverStrong w ciągu dwudziestu siedmiu sekund. Drzwi otwierają się i zamykają z cichym trzaskiem.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Skomplikowany bezprzewodowy alarm został zakłęty przez mój nadajnik RF. Panel wciąż świeci uspokajającym zielonym światłem, zupełnie nieświadomy mojego wtargnięcia.

Rozglądam się. Mieszkanie jest wspaniałe. Żaluzje są opuszczone, ale wiem, że widok z okien zapiera dech w piersiach; widziałem go za dnia dzięki blogowi wideo, który prowadzi właścicielka.

Szczęk drzwi trochę mnie niepokoi, więc jak najszybciej bezszelestnie przemykam do sypialni.

Kobieta leży opatulona, z otwartymi ustami.

Nie jest piękna, jak na przykład Annabelle Talese.

Ale to nigdy nie było dla mnie ważne. Śpiąca kobieta to śpiąca kobieta.

Zależy mi tylko na tym, żeby znaleźć się w ich mieszkaniach.

W środku...

Wracam do salonu i oglądam wytwornie urządzone wnętrza.

Na ścianach wiszą oryginały dzieł sztuki, na czarnych lakierowanych stolikach, lśniących jak ciemne lustra, stoją zmysłowe rzeźby z marmuru. Skórzane kanapy i fotele. Pod oknem szereg egzotycznych różowych, białych i niebieskich orchidei.

Cicho podchodzę do okien i równie cicho zasuwam zasłony.

Dziś jest inaczej.

Nie tak jak podczas Wizyt w lutym i marcu, gdy po wejściu przestawiałem rzeczy i niszczyłem duchową więź lokatorów z ich mieszkaniem.

Dzisiaj przyszedłem tu, gdzie jest moje miejsce.

Wyjmuję z kieszeni mosiężny nóż i otwieram go z cichym szczękiem, takim samym, jaki wydał rygiel zamka.

Dotychczas wystarczało mi otwieranie drzwi.

Dzisiaj użyję mosiężnego noża, by otworzyć to, co zawsze miałem otwierać, skupić się na eksploracji, do jakiej zawsze byłem przeznaczony.

Otworzę zamek cielesny.



Podchodzę do okienka między kuchnią a salonem, żeby odłączyć telefon stacjonarny. Musiałby to być przedziwny zbieg okoliczności, gdyby ktoś dzwonił do niej o tej porze, ale moja dusza zorganizowanego przestępcy, wirtuoza wytrycha i napinacza, nie zamierza niepotrzebnie ryzykować.

Zastygam w bezruchu. Wydaje mi się, że słyszałem jakiś dźwięk za sobą.

Nagle rozlega się głośny trzask, przesywa mnie rozdzierający ból, a wzrok poraża żółte światło, być może takie, jakie widzi ofiara Los Zetas w ostatniej chwili, zanim zapada zupełna ciemność.

Elektroda paralizatora wbiła się w skórę tuż powyżej nerek. Padam na podłogę, piekący ból zalewa mi pierś i wreszcie znajduje sobie miejsce w szczęce, a mój świat pogrąża się w mroku.

Siedząc na podłodze ze związanymi z tyłu rękami – są skrępowane naprawdę ciasno – uświadamiam sobie, że cały czas udawała, że śpi.

Pewnie usłyszała, jak wchodzę. Przeklęty szcęk zamka. Potem chwyciła paralizator z nocnego stolika i cicho podniosła się z łóżka, gdy poszedłem odłączyć telefon stacjonarny.

Kiedy byłem nieprzytomny, zdążyła się przebrać. Na podłodze w sypialni widzę różową piżamę. Ma teraz na sobie czarne spodnie i białą bluzkę. Na kuchenny blat wysypała zawartość mojego portfela i kieszeni i fotografuje wszystko, a potem chyba wysyła komuś zdjęcia albo wrzuca na jakąś stronę. Na wyspie obok niej leży paralizator. I coś jeszcze: pistolet. Samopowtarzalny.

Nie wydaje mi się, żeby spieszyła się z wzywaniem policji.

I ma niebieskie lateksowe rękawiczki.

Jedno i drugie oznacza, że mam przesrane.

Wsuwa pistolet do tylnej kieszeni, bierze paralizator i wraca do miejsca, gdzie siedzę na podłodze. Wciąż czuję ból po wstrząsie elektrycznym.

Kobieta jest mocno zbudowana i budzi grozę. Ma skupiony, zimny wzrok.

Przygląda mi się badawczo i obojętnie.

– Po pierwsze, ktoś jeszcze?

– Tutaj? Dzisiaj? – Nigdy nie przyszło mi do głowy składać Wizyt w czyimś towarzystwie. Dziwna myśl. – Nie.

– A na dole, gdzie indziej?

Powtarzam przeczenie.

– Od kogo jesteś?

– Od kogo?

– Gdzie pracujesz, dla kogo? – warczy.

– Dla nikogo.

Kobieta celuje paralizatorem w moje krocze.

– Zaraz!  
– Dla kogo?  
– Dla nikogo! Naprawdę. Przysięgam. – Ból był potworny. Nie chcę go jeszcze raz przeżywać.

Zastanawia się. I po chwili postanawia mi uwierzyć.

– Jaki był plan? Kradzież? Gwałt?

Nie puszczam pary z ust.

W jej spojrzeniu widzę zniecierpliwienie i domyślam się, że nie ma sensu uchylać się od odpowiedzi.

– To właśnie robię. Włamuję się do domów.

– Widzę. Powiedz mi tylko po co.

Oto jest pytanie.

– Bo muszę.

Podnosi mój mosiężny nóż i ogląda. Na jej nieatrakcyjnej, chociaż na swój sposób magnetycznej twarzy wyraźnie maluje się zaintrygowanie. Odkłada nóż.

– Dlaczego tutaj? Dlaczego ja? Odpowiadaj, bo inaczej koniec z tobą.

– Z powodu tego, kim jesteś. Jesteś Verumem i mówisz o spiskach.

Wlepia we mnie zdumione spojrzenie.

– Wiesz o tym?

Kiwam głową.

– I przyszedłeś mnie zabić.

Waham się, ale po chwili mówię prawdę.

– Zgadza się.

Dziwne, ale się uśmiecha. Pokazuje na mój portfel.

– Masz oryginalne imię.

– Wszyscy mówią mi Greg.

– Miło mi cię poznać, Greg – mówi z groźnym, drwiącym uśmiechem. – Nazywam się Joanna Whittaker.

Wyglądało na to, że ten młody człowiek jest moderatorem treści w serwisie ViewNow, gdzie Joanna regularnie zamieszczała posty jako Verum.

To był YouTube drugiego gatunku.

– Czyli to ty kasujesz filmy, tak?

Skrzywił się i posłał jej skonsternowane spojrzenie.

– W twoich postach są kłamstwa, teorie spiskowe, bzdury. Ukryci chcą wywołać nową wojnę domową? Infiltrują szkoły, kwestionują religię, proces wyborczy. Rzucasz oszczerstwa na polityków, celebrytów, prezesów firm. *Módlcie się i bądźcie gotowi?* Nie sądzisz, że takie posty mogą doprowadzić do czegoś złego? Naruszają zasady współżycia społecznego.

– Ale kasowanie to dla ciebie za mało. Poczuleś się nimi urażony, dlatego postanowiłeś mnie zabić.

Zaśmiał się.

– To są normy ustalone przez moją firmę. Mnie akurat w ogóle nie obchodzi, co mówisz.

– No więc dlaczego?

Jego chude ramiona uniosły się i opadły.

– Wyzwanie.

– Wytłumacz to.

– Masz zamek EverStrong, alarm SPC. Nigdy wcześniej ich nie pokonywałem. No i te wszystkie zabezpieczenia, żebyś nie została rozpoznana. Podziałało to na mnie jak czerwona płachta na byka. Gdy nagrywałaś film, zdejmowałaś wszystkie zdjęcia ze ścian. Każde wideo jest rozpixselowane w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Zniekształcasz głos. Próbowaliśmy namierzyć serwer proxy, ale utknąłem w Bułgarii.

– No to jak mnie znalazłeś?

– Twierdziłaś, że mieszkasz w Kalifornii – na pewno po to, by zmylić ludzi.

Skinęła głową.

– Ale w jednym z wcześniejszych filmów nie zasłoniłaś okna. Zrobiłem zrzut ekranu z widokiem. To był port, poznałem nabrzeże New Jersey. Sprawdziłem, pod jakim kątem je widać. Musiałaś być w Battery Park. Zauważyłem też mosiężne zwieńczenie maszty mniej więcej na wysokości okna. Przeszedłem się po dzielnicy i znalazłem – na dachu budynku rządowego, na wysokości sześćdziesięciu metrów. To oznaczało, że mieszkasz mniej

więcej na dwudziestym piętrze. To jedyny budynek w okolicy, który ma taką wysokość i z którego jest taki widok.

– Ale...

– Na innym wideo zobaczyłem na podłodze niebieski plecak Coach.

Joanna zerknęła na miejsce, gdzie leżał ten właśnie plecak, prezent od narzeczonego. Nie była zadowolona z takiego potknięcia.

– Przez dwa wieczory czekałem w hallu, dopóki nie zobaczyłem cię z plecakiem. A potem poszedłem za tobą aż tutaj. W przebraniu konserwatora. Widziałaś mnie, ale w ogóle nie zwróciłaś na mnie uwagi.

Sięgnęła pamięcią do tamtej chwili i być może coś sobie mgliście przypomniwała.

– Zobaczyłem zamki w twoich drzwiach i tabliczkę *Chronione przez SPS Security*. To akurat zły pomysł.

– To wyjaśnia, dlaczego chciałeś się włamać. A dlaczego chciałeś mnie zabić?

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

– Musiałem – powtórzył.

– Gdzie jest policja we wszystkich twoich... działaniach?

– Robiłem to tylko kilka razy. Przypuszczam, że niektórzy dzwoniли pod dziewięćset jedenaście, kiedy się zorientowali, że do nich wszedłem. Ale zawsze jestem bardzo, bardzo ostrożny. – Uniósł ręce w rękawiczkach, a Joanna zwróciła uwagę na wełnianą czapkę.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś? Ktokolwiek na świecie? – Zadała to pytanie surowym tonem, przyprawiającym o dreszcz tych, z którymi przeprowadzała wywiady jako reporterka, a teraz jej podwładnych w fundacji charytatywnej Whittakera.

– Nie.

– Na dole jest kamera monitoringu.

– Ale nie przy wejściu dla personelu. W takim budynku to głupie rozwiązanie.

– Mogłabym cię zabić i nikt nie mrugnąłby okiem – powiedziała do Grega. – Mogłabym też zadzwonić na policję.

– Mogłabyś. Większość ludzi tak by zrobiła.

– Ale myślę, że można to załatwić inaczej, Greg. W sposób korzystny dla nas obojga. Będiesz żył i nie trafisz za kratki. – Zmierzyła go spokojnym wzrokiem. – Ale posłuchaj. Mam cię w garści. Jeżeli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każę, jeżeli powtórzysz komuś to, co ci powiem, będą... konsekwencje.

Z niewiadomego powodu przy ostatnim słowie zbladł.

– Wszystkie informacje o tobie wrzuciłam na zabezpieczony serwer i wysłałam instrukcje osobie trzeciej. – Ruchem głowy wskazała portfel. – Jestem bardzo zamożną osobą, a sam wiesz, ilu ludzi obserwuje posty Veruma. Są do bólu lojalni i fanatyczni. Gdyby coś mi się stało, znajdą cię i zabiją... – Zawiesiła głos, bo przyszedł jej na myśl inny pomysł. – Nie, nie zabiją. – Uśmiechnęła się lodowato. – Otwieranie zamków to dla

ciebie sens życia? No więc jeżeli mnie zdradzisz, nie będziesz mógł tego więcej robić, bo będziesz miał pogruchotane ręce bez kilku palców.

Utkwił w niej przerażony wzrok. Skinął głową.

– Ale jeżeli zrobisz to, jak należy, to będziesz mógł wrócić do swojego życia. – Przechyliła głowę i odgarnęła z twarzy ciemne włosy. – Wszystko jedno, jak bardzo jest pokręcone. – Zamyśliła się. – Kij chyba wystarczy, ale jestem skłonna dodać marchewkę. Dostaniesz pół miliona dolarów gotówką. Bo będziesz musiał się potem wyprowadzić. Daleko stąd.

– Co takiego mam zrobić?

– No właśnie, co? – zastanawiała się.

Podeszła do barku. Nalała sobie whisky single malt – Lagavulin, bardzo dymnej – i biorąc do drugiej ręki broń, wyszła na taras. Obróciła bujany fotel, by widzieć jednocześnie port i swojego więźnia.

To możliwe? Mogłoby się udać?

Joanna od pewnego czasu borykała się z problemem: tego starego łajdaka Averella Whittakera ruszyło sumienie i planował zamknąć całe imperium, którego budowa jej ojca kosztowała strasznie dużo pracy.

Joanna nienawidziła stryja. Rodzinę traktował protekcjonalnie, obojętnie albo okrutnie. Gdy stało się jasne, że jego żonie, Mary Whittaker, zostało tylko parę dni życia, poświęcił się negocjowaniu warunków zakupu stacji telewizyjnej, z której miał się wykluczyć kanał WMG.

W życiu zawodowym Averell nie był lepszy: przejął pakiet kontrolny Whittaker Media od brata, ojca Joanny, kiedy wykupił długi Lawrence'a.

Jeżeli chodzi o samą Joannę, to gdy tylko przejął firmę i wprowadził w swoim imperium męską dominację, wyrzucił ją z posady dziennikarki „Heralda” i dał jej stanowisko, na które „dziewczyzna najlepiej się nadawała” – postawił ją na czele firmowej fundacji charytatywnej.

Miało to swoje korzyści, ponieważ Joanna nieźle zarabiała, miała wszystkie dodatki, a dzięki nowej pracy poznała Martina Kempa, przystojnego i zamożnego faceta, który nie był beztalenciem łóżkowym. Aha, no i robił wszystko, co mu kazała. Fundacja nie była ściśle nadzorowana, Joanna miała więc okazję wyprowadzać część środków na to, co naprawdę uwielbiała – odgrywanie roli Veruma.

Joanna Whittaker uważała, że gruntownie rozumie istotę branży dziennikarskiej i jeśli brukowiec „Daily Herald” sprzedawał się lepiej niż „New York Times” i „New Yorker”, a kanał WMG miał większą oglądalność niż PBS, to co by się działo, gdyby zupełnie zrezygnować z prawdy? Gdyby zaserwować odbiorcom koktajl złożony ze spisków, tajnych ruchów, działalności podejrzanych agentów, nienawiści, strachu i schadenfreude – któż nie odczuwa przyjemności, gdy nieszczęścia dotyczą innych.

Postanowiła spróbować i w chwili natchnienia – z odrobiną pogardy dla widowni – przybrała pseudonim „Verum”.

Prawda...

I już pierwszego dnia odniosła ogromny sukces.

Martin, który w dużej mierze finansował całe przedsięwzięcie, spytał ją, czy wierzy w jakąś z głoszonych przez siebie teorii.

– Naprawdę pytasz? – odparła dotknięta. – Przecież to jasne, że to bzdury.

Wierzyła natomiast w pieniądze, które płynęły z wpłat, subskrypcji i reklam.

Wierzyła we władzę, jaką miała nad tysiącami obserwujących ją użytkowników, których szeregi stale rosły.

Lubiła też kreatywną stronę bloga: tworzenie fake newsów.

Od czasu do czasu zastanawiała się, czego mogłaby dokonać, mając model biznesowy Veruma i środki Whittaker Media.

Możliwości były nieograniczone.

Ale stary sukinsyn właśnie musiał się rozmyślić i rozwiązać imperium, rozdać je za półdarmo.

Wahała się przez miesiąc. Gdyby Averell umarł przed podpisaniem dokumentów zakończenia działalności firmy, co miało nastąpić w przyszłym tygodniu, jego pięćdziesiąt jeden procent udziałów w spółce przypadłoby w spadku po połowie Joannie i Kittowi. Gdyby jednak stało się coś Averellowi i Kittowi, wszystkie akcje przejąłaby ona. Mogłaby poprowadzić firmę, gdzie chciała.

Zrobić im coś złego?

Oczywiście, że nie. To niemożliwe.

Chociaż...

Czy kochany wujek Averell nie ukradł firmy jej ojcu? Nie zniszczył jej dziennikarskiej kariery?

Czy nie zabił tamtej stażystki, bo kupił i zakopał sprawę Charlotte Miller, a inne wysrane z palca historie nie doprowadziły do sparaliżowania jednego z przywódców Apollów, a także śmierci nauczycielki i uczennicy z rzekomej satanistycznej sekty w Wirginii?

To oczywiście były argumenty uzasadniające śmierć stryja.

Ważniejsze pytanie, które musiała sobie zadać, brzmiało: czy potrafi odebrać komuś życie?

Pytanie kołysało się wolno w jej myślach jak zacumowany jacht, na który właśnie patrzyła, unoszący się w łagodnym nurcie rzeki Hudson.

Nagle uświadomiła sobie, że potrafi. Myśl o zabiciu człowieka nie przerażała jej ani nie cieszyła; nie wywoływała żadnych emocji.

Joanna była na to zupełnie nieczuła.

Przez chwilę zastanawiała się, skąd to się wzięło, ale znieczulica najwyraźniej wyeliminowała w niej chęć zadawania pytań tego rodzaju.

Dlatego przestała się nim zajmować.

Pytanie nie brzmiało już „czy”, ale „jak”.

Joanna wypięła łyk dymnego trunku i przyglądała się Gregowi, mówiąc sobie: dostałaś prezent. Co zamierzasz z nim zrobić?

Los zesłał jej mistrza otwierania zamków. Przypomniała sobie, jak jej ojciec po pijanemu mamrotał: „Mój własny brat... zatrzasnął mi przed nosem drzwi mojej własnej firmy. I wyrzucił klucz”.

Powoli rodził się plan. Myślała o nim jak o tytule w gazecie.

Odrzucony syn samotnik zabija ojca i samego siebie

Chwytiliwe...

Z artykułu wynikałoby, że Kitt po śmierci matki nie był już sobą. W poszukiwaniu drogi zawodowej nauczył się sztuki lockpickingu, a ostatnio całkowicie się załamał. Zaczął się włamywać do mieszkań, gdzie zostawiał stronę z „Daily Herald”. Chwila olśnienia: trzecią stronę numeru z siedemnastego lutego.

Data śmierci Mary Whittaker.

Joanna się uśmiechnęła.

Kilka razy zostawi tę wizytówkę, a w wielkim finale zabije ojca i popełni samobójstwo.

Uda się?

A Martin? Tu nie było znaków zapytania. Zrobi wszystko, co ona mu każe, nawet gdyby chodziło o współudział w zabójstwie.

Kiedy?

Kitt był beztroski. Znikał na całe dni, czasem tygodnie. Będą musieli dopilnować, żeby nie ruszał się z miejsca. Mogłaby go porwać z Martinem i ukryć na ich łodzi aż do kulminacyjnego aktu tragedii.

Joanna poczuła, że poca jej się dłonie, a serce wali z przejęcia.

Przez dziesięć minut udoskonalała plan, odrzucając niektóre elementy i dodając inne. To było równie zajmujące jak tworzenie wystąpienia Veruma o spisku wymierzonym w prezydenta.

## 61

Patrzę, jak Joanna wraca do pokoju.

Idzie męskim krokiem.

Siada na kanapie i patrzy na mnie.

– Posłuchaj, co się stanie, Greg.

I opowiada mi niesamowitą historię.

Mam w niej zagrać rolę rozjuszonego syna, wściekłego na ojca (tu nie ma dużej przesady, choć oczywiście mówi o innym, cudzym ojcu). Wejdę jeszcze do dwóch mieszkań i zostawię tam konkretną stronę z gazety.

– Mam się włamać do jakiejś konkretnej osoby, którą masz na myśli? – pytam.

– Nie.

– A czy... – Mój wzrok zatrzymuje się na nożu i czuję w brzuchu przyjemną falę ciepła.

Marszczy brwi i odpowiada groźnie:

– Nie, absolutnie nie. Nikomu nie może spaść włos z głowy. Masz tylko dać do zrozumienia, że gazeta, którą zostawiasz, łże i robi sobie jaja z ludzi.

Kiwam głową.

Joanna patrzy na moje lateksowe rękawiczki i czapkę, a gdy się odzywa, znowu mówi protekcyjnym tonem surowej belferki.

– Jak wybierasz ofiary?

– Na podstawie tego, co widzę online. Kobiety, które mieszkają same. Oglądam ich wideo: patrzę na zamki, drzwi, okna, alarmy, sprawdzam, czy nie mają psów albo broni. Dobrze jest, jeżeli piją – wtedy mają twardszy sen. Jeszcze lepiej, gdy zauważę opakowanie suplementów diety, po których dobrze się śpi, albo leków nasennych.

– Czyli to przypadkowe osoby. – Moja przezorność wyraźnie ją cieszy. Po chwili wraca surowa mina. – Musisz być bardzo, bardzo ostrożny. Żaden ślad nie może prowadzić do mnie.

Kiwam głową. Zaczynam rozumieć, do czego zmierza.

– Czyli mam śledzić dwie osoby.

Natychmiast przychodzi mi na myśl Annabelle, którą mam na oku od jakiegoś czasu. Kto jeszcze? Może kobieta, która sprzedaje zabawki w mieszkaniu na Upper East Side. W grę wchodzi jeszcze parę innych.

– Co mam zrobić potem? – pytam Joannę.

– Nic. To będzie koniec twoich zobowiązań. Ja zajmę się resztą.



Czyli to ona zabije trzecią ofiarę, jak gdybym ja to zrobił. Ciekawe, kogo zamierza zamordować. Męża, kochanka, konkurenta biznesowego, kogoś, kto obraził jej wydatny nos?

Na myśl przychodzi mi lady Makbet.

I następne pytanie: kogo planuje zrobić w to zabójstwo?

– Chcę, żeby zrobiło się o tobie głośno. Musisz być sensacją z pierwszych stron. Wymyśl sobie jakiś pseudonim – ciągnie Joanna. – Zostaw na miejscu swój podpis... Nie wiem, podpisz się na stronie z gazety, którą zostawisz na miejscu.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Może „Klucznik”?

– Nie, to dawny dozorca albo strażnik – odburkuje.

Naprawdę? Nie słyszałem.

– Zostaniesz „Ślusarzem”. To będzie coś znaczyło dla mojego ojca.

Nie wiem, do czego odnosi się ta uwaga, ale pseudonim mi się podoba.

– I dopiszesz słowo „rozliczenie”.

Tu też nie dostaję wyjaśnienia, co to ma oznaczać, ale skoro to nie mój cyrk...

– Dobra – mówię. – Może napisać to szminką ofiar? – Myślałam akurat o influencerkach.

– Świetny pomysł. A teraz dowody.

– Mówiłem przecież, że jestem ostrożny.

– Nie o to mi chodzi – fuka na mnie belferka. Wyjaśnia, że mam ukraść dwóm ofiarom noże i jakąś bieliznę.

Żeby oczywiście podrzucić to w trzecim miejscu, gdzie będą zwłoki co najmniej jednej osoby.

– Chcę, żeby wszyscy w mieście od razu dowiedzieli się o tobie. Wrzucić do internetu zdjęcie gazety w mieszkaniu. Podaj adres tej kobiety. Zobaczą go reporterzy działów kryminalnych i oni już się zajmą nagłośnieniem całej sprawy. Możesz zamieścić gdzieś to zdjęcie anonimowo?

– Użyję jednego z imageboardów. Stamtąd rozejdzie się wiralowo.

– Bardzo dobrze. Dostaniesz jeszcze ode mnie kluczyki od samochodu. Audi. Będziesz mógł nim jeździć po mieście. Tylko pamiętaj, żeby wkładać rękawiczki. Albo wszystko dokładnie wycierać.

Znika w sypialni. Kiedy tym razem wraca, ma w rękach grubą kopertę.

– Dwieście tysięcy. Zaliczka.

Pieniądze wcale nie są takie ciężkie, jak przypuszczałem. Dokąd jechać? Może do Doliny Krzemowej. Tam jest wielkie zapotrzebowanie na moderatorów treści. A może do Manili. Mógłbym żyć jak król, a przypuszczam, że tamtejsza policja mniej gorliwie zajmuje się włamaniami i wypatroszonymi ciałami.

Joanna pomaga mi wstać. Przecina sznurek krępujący mi nadgarstki i siadam na tej pięknej kanapie. Potem odsuwa się i łapie za pistolet.

Nie dziwię się, że woli zachować ostrożność. Przecież chciałem ją zakłuć nożem na śmierć.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Mógłbym to wziąć?

Patrzę na mały, czerwono-czarny plastikowy przedmiot leżący w metalowym koszyku pełnym ładowarek do telefonów, słuchawek, ołówków, długopisów i opakowań aspiryny.

– Breloczek?

– Tak.

Przedstawia londyńską Tower i wygląda na tanią pamiątkę. Naprawdę uwielbiam Tower. Joanna wyjmuje go z koszyka i kładzie obok mojego portfela.

– Aha, jeszcze jedno. Nie kasuj więcej filmów Veruma z ViewNow.

– Nie będę kasował.

– Możesz iść.

Zabieram mosiężny nóż i resztę rzeczy. Potem pokonuję długi korytarz i wychodzę, zamykając za sobą drzwi do mieszkania numer 2019.

**CZEŚĆ PIĄTA**

# **Klucz szkieletowy**

28 MAJA, OBECNIE, GODZINA 11.00

Za drzwiami rozległ się jakiś stukot. I głosy, ale przyciszone.

Averell Whittaker zerknął na zamknięte drzwi pokoju, który służył mu za domowy gabinet. Pewnie wpadła Joanna. Czasem tu zaglądała. Pokojówka miała dziś wolne. Może bratanica i Alicia Roberts, jego ochroniarka, robiły herbatę albo kawę.

Wrócił do umowy sprzedaży, którą właśnie przeglądał. Osiemdziesiąt stron plus załączniki. A to tylko jedna z kilkunastu umów, które miał podpisać, by rozdysponować sprzęt, pojazdy, komputery... Lista była nieskończenie długa.

Trzeba się było natrudzić, by udało się to, co należało zrobić. Nie było żadnego guzika, który wystarczyłoby nacisnąć, by zmienić imperium Whittaker Media w dobroczynną fundację non profit.

Ale on wykorzystał czas, jaki mu pozostał, i tego dokona. Projekt dodawał mu energii. Dzięki niemu będzie można dokładnie analizować artykuły prasowe i materiały z mediów elektronicznych w USA i za granicą, poddawać je rygorystycznej ocenie przez weryfikatorów informacji, by wyłapać wszelkie nieścisłości. Fundacja będzie wskazywać reporterom zagrożenia, których w ostatnich latach gwałtownie przybyło. Będzie też finansować pomoc prawną dla dziennikarzy, jeśli zostaną aresztowani lub może im grozić uwięzienie. Będzie ujawniać powiązania między politykami, korporacjami a firmami medialnymi. Będzie monitorować Federalną Komisję Łączności i inne agencje rządowe, sprawdzać, czy przepisy i regulacje nie ograniczają praw wynikających z pierwszej poprawki do konstytucji. Będzie też wspierać edukację dziennikarską mniejszości.

Ale, jak często się to ostatnio zdarzało, wkrótce myśli Whittakera zaczęły krążyć wokół syna.

Trudno było uwierzyć policji, że to on jest tym psychopatą.

Chociaż z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że Kitt żywił do niego urazę. Całe życie był idealistą i nigdy nie lubił gatunku dziennikarstwa hołubionego przez Whittaker Media.

Oczywiście to nie wszystko. Nie można zapominać o braku zainteresowania ze strony ojca.

Jak mógłby jednak postąpić inaczej? Codziennie przez piętnaście godzin stał u steru firmy, by przetrwała sztormy, jakie groziły każdej działalności dziennikarskiej. Kitt nie chciał należeć do tego świata i nie nadawał się do niego. Stał się przypadkową ofiarą.

No i oczywiście te okropne okoliczności śmierci Mary.

Kiedy umarła, nie było przy niej męża.

Drugiego marca siedemnastego roku.

Ale to naprawdę było ważne dla rodziny, pomyślał. Musiałem kupić tę telewizję i to się musiało stać właśnie tamtego dnia, bo inaczej przepadłaby proponowana opcja i...

Zaśmiał się bezgłośnie. Jeszcze dzisiaj próbuję się usprawiedliwiać.

Owszem, zrobiłem to dla rodziny, ale przede wszystkim dla siebie.

Spojrzał na ogromne miasto, dziś spowite mlecznym woalem, który zniekształcał szeroki, najeżony wieżowcami horyzont.

A teraz jego syn został przestępcą... i zdaniem policji stanowił zagrożenie dla niego i innych.

Dając do zrozumienia ojcu, co o nim sądzi, Kitt jedynie zdenerwował parę osób, nic więcej. Whittaker modlił się, by policja znalazła jego syna, zanim skrzywdzi kogoś fizycznie.

Albo samego siebie.

Och, Kitt. Tak mi przykro...

Znowu usłyszał jakiś zgrzyt w pomieszczeniu obok.

Kto tam był?

Whittaker wstał i wspierając się na lasce, pokuśtykał do drzwi. Nie cierpiał jej, kojarzyła mu się z brakiem niezależności, słabością.

Stając w progu, powiedział:

– Halo, kto się tu...

Averell Whittaker zastygł na widok scenki, jaka ukazała się jego oczom.

– Kitt!

Jego syn siedział na wózku inwalidzkim. Miał bezwładnie zwieszoną na bok głowę i patrzył prosto przed siebie. Wyglądał na pijanego albo naćpanego. Za nim stał Martin Kemp, zaciskając dłonie na uchwyty wózka. Na jego dziecinnej twarzy jak zwykle malowała się niepewność. A na podłodze zaraz przy wejściu do salonu leżała ochroniarka, Alicia Roberts, z poderżniętym gardłem. Jej krew obficie wypływała na niebiesko-złoty dywan, który wiele lat temu Mary kupiła w Jordanii.

– Nie...

Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk, a gdy się odwrócił, jego bratanica zrobiła krok naprzód i zepchnęła go z niskich stopni prowadzących do salonu. Potknął się i runął na marmur z okrzykiem bólu.

Moje ramię – jęknął. – Złamałem...

Whittaker chwiejnie dźwignął się na nogi i z twarzą wykrzywioną grymasem powlókł się w stronę fotela. Opadła mu głowa, z trudem oddychał.

– Boli...

Joanna nie zwracała uwagi na stryja. Spojrzała na Kempa.

– Ona nie żyje? – Była zniecierpliwiona.

– Chyba tak, bo... – Wskazał na nieruchome ciało i dywan nasiąknięty wokół niej krwią.

Joanna drwiąco prychnęła.

– Może sprawdzisz, co?

– Ale mogę... nie zostawię na nich odcisków palców?

Zirytowana przymknęła na moment oczy.

– Dlaczego miałbyś nie sprawdzić, czy osoba pchnięta nożem żyje czy nie? Chyba każdy na twoim miejscu by sprawdził. Gdyby nie było twoich odcisków palców, to dopiero byłoby podejrzane.

– Aha, no tak.

Pochylił się nad kobietą, przycisnął palce do jej szyi.

– Nie czuję pulsu.

– Sprawdź oczy.

Zawahał się.

– To nie jest horror, Marty. Jej spojrzenie cię nie opęta.

Skrzywił się na ten werbalny policzek, po czym nerwowo zatarł dłonie i uniósł kobiecie powieki.

– Nie wiem... zdaje się... Tak, raczej nie żyje.

– Jo, błagam... – szepnął Whittaker. – Co ty wyprawiasz?

Kobieta obróciła w jego stronę rozczarowany wzrok.

– Pora się rozliczyć, Averell.

– Co? – Wzdrygnął się.

– Po pierwsze, za kradzież firmy od mojego ojca...

– Twój ojciec pił! – warknął Whittaker. – Oddawał akcje w zastaw, żeby pożyczkami finansować swoje nietrafione inwestycje. Nielegalnie. Unieważnienie tego trwało dwa lata. Dostał ode mnie sowite kieszonkowe.

– To go upokorzyło.

– Sam sobie tak pościelił – mruknął Whittaker. – Ktoś inny w ogóle wyzułby go z majątku.

– A rozwiązanie firmy? Wszystkiego, do czego ojciec doszedł własną pracą?

– Drukowaliśmy artykuły, przez które kilka osób straciło życie. Nie mogę dłużej w tym uczestniczyć.

Odwrócił wzrok, a Joanna kontynuowała:

– Ta twoja fundacja to jakaś farsa. Nikogo nie obchodzą prasa, wiadomości, fakty.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Nie zamierzałem rozwiązywać twojej organizacji.

Jej twarz spurpurowiała z gniewu.

– Z której córeczka twojego brata nie będzie się wychylać i nie narobi sobie żadnych kłopotów.

Spojrzał na syna.

– Co się z nim dzieje? Co mu zrobiliście?

– Jest naćpany.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Proszę...

Surowa twarz o mięsistym nosie i gęstych brwiach popatrzyła na niego chyba z nutą smutku w spojrzeniu.

Po chwili pomyślał o swojej strażniczce i wiedział, że żadne negocjacje nie wchodzi w grę.

Zobaczył w wyobraźni, jak rozegra się ta scena. Zabiją go tym samym nożem, a potem Kitta – prawdopodobnie wstrzykując mu śmiertelną dawkę narkotyku. Żeby wyglądało to na samobójstwo. Imperium trafi do rąk Joanny.

– Nie zakończysz działalności firmy – wyszeptał.

– Nie, za to poprowadzę ją w inną stronę. Veruma.

– Tego fanatyka, głosiciela teorii spiskowych. Znasz go?

Whittakerowi zdawało się, że w jej głosie pobrzmiwa duma, gdy oznajmiła:

– To ja nim jestem.

– Jo... nie! Przecież nie wierzysz w te dyrdymały.

Uśmiechnęła się drwiąco.

– A ty nie wierzysz, że na pierwszą stronę nadają się artykuły o nieślubnych dzieciach i dziadku wiceprezydenta, który pomógł Lee Harveyowi Oswaldowi zastrzelić Johna Kennedy'ego. Ale są na pierwszej stronie. I dzięki temu jesteś bardzo zamożnym człowiekiem.

– To co innego! – rzucił wściekle.

– Masz rację, Averell. Jestem następnym pokoleniem.

– Ta... tato... – Kittowi wracała świadomość. Spojrzał na swoje nadgarstki przypięte paskami do poręczy wózka. Pokręcił głową, nabrał powietrza do płuc. – Tato? – Głowa mu

opadła.

Joanna podeszła do narzeczonego, żeby z nim porozmawiać. Wydawała się zniecierpliwiona.

Whittaker nie słyszał, o czym dokładnie mówią. Najwyraźniej to ona zabiła ochroniarkę, a Kemp miał zamordować Whittakera i Kitta. Miał jednak opory. Twarz jego żony wyrażała pogardę.

Był gotów badać puls i zaglądać w oczy, był gotów potwierdzać zmyślane historyjki, ale nie zamierzał chwycić za nóż.

– Martin! – zawołał Whittaker.

Ale gdy tamten z żalną miną spojrział w jego stronę i otworzył usta, by odpowiedzieć, Joanna pstryknęła palcami i natychmiast umilkł.

Spojrzała na niego z niesmakiem i przez zakrwawioną foliową torebkę wzięła nóż, którym zabiła Alicię. Ruszyła w jego stronę przez wytworny dywan, przyglądając mu się uważnie, jak gdyby wahała się, czy podciąć mu szyję z lewej, czy z prawej strony.

Whittaker zapadł się w fotelu udającym chippendale'a, który kupili z Mary w Nowej Anglii i odnowili własnym sumptem, skończywszy wcześniej kurs trompe l'oeil i technik postarzania mebli. Ta bardzo przyjemna praca zajęła im tydzień.

– Kitt? – zawołał słabym głosem Whittaker. – Kitt? – powtórzył głośniej.

Jego syn otworzył oczy.

Joanna stanęła nad nim i Averell uniósł wzrok, spodziewając się zobaczyć cień żalu na twarzy, w której dostrzegał pewne podobieństwo do brata.

Niczego takiego nie zauważył. Tylko monarsze zniecierpliwienie.

– Coś ci tylko powiem – szepnął Whittaker i z grymasem przesunął się o parę centymetrów.

Zawahała się i przechyliła głowę w jego stronę.

– Przepraszam, synu.

Kitt wolno zamrugnął oczami.

Averell Whittaker chwycił oburącz łaskę – wcześniej tylko udawał, że uszkodził sobie ramię – i z całej siły uderzył jej mosiężną główką w twarz bratanicy.



## 64

Joanna klęczała i wyla z bólu i wściekłości.

Wciąż ścisnęła w dłoniach nóż i wymachiwała nim w stronę nóg Whittakera, kiedy podnosił się z fotela. Ostrze go jednak nie dosięgło, a on wymierzył jej nogą cios w brzuch, od którego zgięła się w pół.

Odwrócił się do Kempa. Ten, blady jak płótno, wziął inny kuchenny nóż. Powoli ruszył w jego stronę, ale jego przerażenie znacznie przeważało nad agresją.

Błagam, Boże, na dziesięć najbliższych minut daj mi tyle siły, ile możesz. Pozwól mi ocalić syna, a potem możesz mnie zabrać...

Wywijając laską, Averell Whittaker szedł przez salon, by stanąć oko w oko z Kempem.

Joanna usiłowała wstać. Splunęła krwią.

– Kochanie, nic ci nie jest? – spytał Martin.

– Kurwa, co za głupie pytanie. Zabij go!

Whittaker zatrzymał się dwa metry przed Kempem.

– Martin, możesz się uratować – powiedział. – Jeszcze nie jest za późno. Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście.

Zastanawiał się przez chwilę. Whittaker pomyślał, że naprawdę to zrobi. Ale nie. Nigdy nie odważyłby się nie posłuchać mamusi.

Trzymając przed sobą nóż, rzucił się naprzód z wyrazem dziwnej mieszaniny determinacji, złości i strachu na twarzy.

Whittaker odsunął się na bok i machnął laską, co zmusiło go do wycofania się o parę kroków. Nagle spojrzął za jego plecy i zawołał:

– Alicia, ty żyjesz!

Kemp stłumił okrzyk zdumienia i zanim zdążył się powstrzymać, odwrócił się w stronę leżącego ciała.

– Nie, ty idioto! – krzyknęła Joanna.

Trwało to tylko pół sekundy, ale tyle Whittakerowi wystarczyło. Machnął laską jak kijem baseballowym i trafił w dłoń trzymającą nóż. Kemp wrzasnął – wydał przenikliwy, zawodzący pisk, podczas gdy nóż wylądował na podłodze, a on sam osunął się na kolana, ściskając stłuczone palce. Averell odrzucił laskę i podniósł nóż.

Odwrócił się do bratanicy, która uważnie rozglądała się po podłodze przy wejściu.

Whittaker wcześniej od niej dostrzegł mały czarny pistolet.

Joanna na chwiejnych nogach ruszyła po broń. On nie miał szans jej wyprzedzić. Zrobił wobec tego jedyną rzecz, jaką mógł – wsunął nóż do kieszeni, przypadł do Kitta, po czym wtoczył wózek do najbliższego pokoju, biblioteki. Zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Usłyszał łoskot, gdy jedno z nich kopniakiem zaatakowało drzwi – prawdopodobnie Martin.

Joanna przestrzeliła zamek? To nie pasowałoby do wymyślonej przez nią historyjki, ale teraz znalazła się w rozpaczliwej sytuacji.

Kopanie ustało.

– Dobry pomysł – rozległ się głos Joanny.

Whittaker rozejrzał się i dostrzegł telefon stacjonarny. Podniósł słuchawkę i usłyszał:

– Po sygnale będzie godzina...

Widocznie Martin Kemp wykonał dobrze jedną rzecz.

Whittaker odłożył słuchawkę, podstawił krzesło pod klamkę. Usunął syna z linii strzału, na wypadek gdyby Joanna jednak zdecydowała się użyć broni.

Kemp znowu zaczął kopać w drzwi. Jeden z drewnianych paneli pękł.

Averell wyjął z kieszeni nóż.

Mój komputer wydaje sygnał dźwiękowy.

Zostałem wezwany przez algorytm ViewNow, wskakuję więc w buty moderatora treści. Przysuwam sobie bliżej laptop i maksymalizuję okno.

To kanał streamingowy VNLive. Tammybird335 prowadzi transmisję online. Jest ładną kobietą, wydaje mi się, że ma około dwudziestu lat. Jej długie ciemne włosy są rozpuszczone, kilka kosmyków przykleiło się do mokrej od łez twarzy. Ma na sobie luźną bluzę z logo jakiejś uczelni – z lepszego miejsca i lepszych czasów w swoim życiu.

Algorytm zareagował, ponieważ albo ona, albo ktoś w komentarzu użył słowa „samobójstwo”.

Tammy siedzi przy biurku. Za plecami ma niepościelone łóżko. Na ścianie wiszą zdjęcia z jakichś tropikalnych krajów. Na podłodze leży sfatygowany pluszowy psiak. Tammy mówi przez łyzy:

– Moja matka ciągle wychodzi ze swoim chłopakiem i ma mnie w dupie. A on ciągle próbuje się do mnie przytulać... W szkole dzieciaki są takie wredne... Jestem nieśmiała. Nic na to nie poradzę. Kurwa, mam tego dość! Nikogo nie obchodzi, zupełnie nikogo! Chyba powinnam to zrobić. Nie wiem...

Pod spodem wydłuża się lista napływających komentarzy.

OMG, poszukaj pomocy, szybko!

Zrób to na żywo!

Chłopak twojej mamy cię pieprzy? Wrzuć foto.

Zadzwoń na policję!

Zdejmij bluzę.

W podziemnych forach internetowych, gdzie można znaleźć prawie wszystko, jest sporo długich dyskusji na temat samobójstw. Nie prowadzi się ich po to, by nieść ludziom pomoc, to poradniki ze szczegółowymi instrukcjami. Setki tysięcy fanów samookaleczeń. Na forach można zamieszczać teksty, zdjęcia i GIF-y, więc materiał stamtąd rzadko tu trafia, ale czasem zdarza się jakieś wideo, które ktoś wrzuci na ViewNow.

W komentarzach widzę, że ktoś uprzejmie przesłał Tammy link do jednego z tych forów.  
– Nic nie ma sensu – ciągnie dziewczyna. – Mój chłopak mówi, że mnie nienawidzi; że jestem gruba. – Tammy zaczyna szlochać.

Wejdź na czat, pogadamy, znajdziesz pomoc!!!

Jesteś piękna, po co masz umierać?!!

Laska z ciebie! ♥ ♥

Masz tabletki?

Tabletki są dla lamerów. Tylko wieszanie. Wejdź na czat, powiem krok po kroku, jak to zrobić.

W ViewNow mamy dostęp do adresów IP wszystkich użytkowników. Mogę wysłać policji adres Tammybird, a ona zdobędzie nakaz, żeby dostawca internetu podał jej adres fizyczny – o ile nie używa proxy, a widzę, że nie używa. Wydaje się nakaz kontroli stanu fizycznego i psychicznego. To może nastąpić szybko, zwłaszcza wobec groźby samobójstwa. Służby mogą się zjawić pod jej drzwiami w ciągu godziny.

Mam jednak dylemat. Jeśli wcisnę ten guzik, żeby ją uratować, moje nazwisko pojawi się w raportach, które będzie czytać policja. Nie mam najmniejszej ochoty, by tak się stało.

Z drugiej strony, jeżeli Tammy skorzysta z rad niektórych życzliwych komentatorów i zdecyduje się na ten krok, a okaże się, że sprawdzałem tę transmisję, pojawią się pytania, dlaczego nie wezwałem do niej pomocy.

Znowu policja.

No więc co robić?

We własnym interesie postanawiam zawiadomić o tym nasz dział współpracy z organami ścigania.

Ale nie spieszę się z tym. Powoli stukam w klawisze, by poznać jej dostawcę internetu, myśląc, że jeżeli będę miał szczęście, to nie zdążą do niej dojechać.

A jeśli będę miał wyjątkowe szczęście, to może nawet skończy ze sobą podczas transmisji na żywo.

Oddział antyterrorystyczny zbliżył się do drzwi.

Cicho, zupełnie bezszelestnie.

Idąca na czele Sachs wiedziała, że to zawodowcy. Każdy metalowy element, który mógłby brzęknąć, został owinięty paskami tkaniny albo taśmą izolacyjną. Wszystkie telefony i nadajniki radiowe zostały wyciszone.

Cały sześćoosobowy zespół jednostki specjalnej ESU, czterech mężczyzn i dwie kobiety plus Sachs, starał się nawet bezgłośnie oddychać. To proste, choć może wyglądać komicznie – wystarczy szeroko otworzyć usta.

Akcję przygotowano bardzo szybko:

– Rhyme, mam wyniki analizy tej plamy na dywanie w mieszkaniu Kitta. Lepiej zobacz.

Przyjrzał się jej odkryciu, a potem z Sachs i Spencerem zaczęli dyskutować o całości dowodów ze wszystkich miejsc.

– To jest rozwiązanie tej zagadki – powiedział Rhyme. – Dzwon do Lona, niech montuje zespół ESU. Tylko szybko, nie mamy czasu.

I tak znaleźli się tutaj.

Przystanęli przy drzwiach i nasłuchiwali. Sachs dała znak specjalistce rozpoznania. Funkcjonariusz próbował znaleźć szparę między drzwiami a progiem, ale była za mała, by wsunąć do środka mikrokamerę światłowodową. Pokręcił głową.

Sachs podeszła bliżej i obejrzała drzwi. Pomyślała o subtelnej metodzie Ślusarza. Delikatne narzędzia, delikatna manipulacja skomplikowanym mechanizmem w środku. Przyłożyła do drzwi elektroniczny stetoskop i nasłuchiwała.

Jej to wystarczyło.

Odsunęła się i szepnęła:

– Zespół szturmowy, gotowi?

Nigdy nie przestrzeliwuje się zamka w drzwiach, jak to robią aktorzy w kinie i w telewizji. Amelia Sachs wiedziała, że to w najlepszym razie bezcelowe, a w najgorszym fatalne, ponieważ pociski rykoszetują albo rozpadają się, trafiając w rygle i powierzchnie zamka, które zostały przecież zaprojektowane po to, by wytrzymać uderzenia, między innymi kul z broni palnej. Taki odłamek mógłby z łatwością wybić oko.

Ale zawiasy... to już inna kwestia. Podczas wyważania drzwi zespół szturmowy używa specjalnej amunicji wystrzeliwanej zazwyczaj ze strzelb gładkolufowych kalibru dwanaście. Pociski są zrobione ze spieczonego materiału – metalowego proszku połączonego woskiem. Taki nabój trzask-prask niszczy zawiasy. Poczucie humoru gliniarzy nie ma sobie równych i w jednostce antyterrorystycznej ESU policji Nowego Jorku użycie tej amunicji nazywa się „wizytą Avonu”, co jest aluzją do domokrażnej sprzedaży kosmetyków, o jakiej Sachs słyszała od matki.

– Dawaj – szepnęła do człowieka z zespołu szturmowego.

Przyłożył lufę do dolnego zawiasu i nacisnął spust. Sachs odwróciła się, ale poczuła podmuch na górnej i dolnej części pleców, których nie osłaniała kamizelka kuloodporna. W zamkniętej przestrzeni korytarza huk był niewiarygodnie głośny. Potem strzał w górny zawias, a ostateczny cios zadał taran. Drzwi wpadły do środka i wylądowały na podłodze, prawdopodobnie z donośnym łoskotem – ktoś mógł go jednak usłyszeć po ogłuszającym grzmocie strzelby?

Idąca na czele oddziału Sachs i reszta funkcjonariuszy ESU wpadli do środka, rozpraszając się, by zniknąć z wąskiego gardła drzwi, nazywanego „kominem śmierci”.

– Policja! Mamy nakaz! – krzykali. – Policja! Pokazać się!

W ogromnym otwartym salonie apartamentu Averella Whittakera nie było nikogo prócz zwłok ochroniarki, Alicii Roberts, której śmierć nie była wielkim zaskoczeniem, ponieważ kobieta nie odbierała telefonów od swojego szefa, Lyle’a Spencera, kiedy próbował ją ostrzec, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Jedna z policjantek podeszła do ciała.

– Nie żyje.

Sachs zobaczyła, że drzwi do sąsiedniego pokoju zostały wyłamane kopniakami. Podeszła tam z dwoma funkcjonariuszami.

– Policja! Wychodzić z rękami nad głową.

– Ta dziewczyna z ochrony nie ma broni – powiedział czyjś głos za jej plecami.

– Położyć broń na podłodze! – zawołała Sachs. – Rzucić, żebym ją widziała!

– Zabiję Averella! – To był głos Joanny. – Wypuście nas.

– Wideo – poleciła specjalście od rozpoznania.

Policjant jeszcze raz włączył miniaturową kamerę i rozwinął elastyczny kabel obiektywu. Podeszedł do drzwi razem z Sachs, która go osłaniała. Wsunął do środka obiektyw, a na ekranie pojawiła się Joanna Whittaker z zakrwawioną twarzą, stojąca za plecami stryja i celująca z pistoletu w stronę drzwi. Jej narzeczony, Martin Kemp, z niepewną miną ścisnął nóż, stojąc nad młodym człowiekiem – rozpoznała w nim Kitta Whittakera – przywiązany do wózka inwalidzkiego.

– Rzuć broń!

– Zostawcie nas! Jeżeli mnie aresztujecie, będą kłopoty! Pozałujecie tego!

Cóż to miało znaczyć?

Sachs spojrzała na funkcjonariuszkę ESU, która sprawdzała, czy ochroniarka żyje.

– Petarda. Chcę to szybko załatwić. Nie będziemy negocjować.

– Okej, detektywie. – Zdjęła z pasa granat hukowo-błyskowy, który przypominał puszkę z gazem pieprzowym. Kartonowy korpus urządzenia zawiera silny ładunek wybuchowy. Aby użyć granatu, należy ścisnąć dźwignię z boku – „łyżkę” – i wyciągnąć zawleczkę. Następnie rzuca się go w wybrane miejsce. Trzy i pół sekundy później następuje eksplozja, której towarzyszy silny błysk i huk o natężeniu około stu czterdziestu decybeli. Znalezienie się w pobliżu takiego wybuchu to wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie.

– Nie żartuję – powiedziała Joanna. – Mam przyjaciół, o których nic nie wiecie. Wyjdźcie stąd!

Sachs skinęła głową drugiemu funkcjonariuszowi.

– Ty też. Przygotuj petardę.

Zawahał się.

– Na takie pomieszczenie wystarczy jedna.

– To będzie największy błąd w waszym życiu! – grzmiała Joanna.

Sachs się uśmiechnęła.

– Zostańmy przy dwóch. Wyciągnąć zawleczki.

Joanna Whittaker rozciągnęła się na brzuchu obok Kempa.

Podeszli do nich dwaj funkcjonariusze, skuli im ręce, po czym siłą podnieśli do pozycji siedzącej.

Na jej twarzy próżno było szukać oznak strachu, złości czy frustracji. Była całkiem obojętna, choć od czasu do czasu wykrzywiał ją grymas bólu. Najwidoczniej Averell Whittaker zadał jej porządny cios. Kość policzkowa wyglądała na pękniętą.

Martin Kemp jęczał i zawodził, co nie pozostawiało wątpliwości, kto w tym przestępczym stadle nosi spodnie, pomyślała Sachs, nawet jeśli to spostrzeżenie było anachroniczne i prawdopodobnie niepoprawne politycznie.

Kitt Whittaker został odurzony narkotykami. Sachs pomogła mu się przenieść na kanapę, a tymczasem reszta oddziału przeszukała apartament. Wprawdzie ona i Rhyme nie przypuszczali, by w intrygę był zamieszany ktoś jeszcze prócz Joanny i Kempa, ale procedury wymagały, by sprawdzić każdy centymetr kwadratowy miejsca zdarzenia. Gdy odebrała meldunek, że mieszkanie jest czyste, wezwała przez radio medyków.

Wkrótce w pokoju pojawili się ratownicy. Sachs dokonała wstępnej oceny poszkodowanych, więc w pierwszej kolejności zajęli się Kitem i stwierdzili, że ilość opiatów w jego organizmie nie zagraża życiu. Śmiertelną dawkę miał dostać później, po upozorowaniu morderstwa ojca.

Następnie opatrzono Joannę i jej narzeczonego – rozbitą twarz, a w jego przypadku rękę.

– Dobrze się pan czuje? – spytała Sachs Averella Whittakera, który spojrzał na nią nieobecny wzrokiem i skinął głową. Z powrotem skupił uwagę na Kitcie i spytał jednego z medyków:

– Mojemu synowi na pewno nic nie grozi? – Krzyczał, co było następstwem huku granatów.

– Na pewno. Dali mu tylko tyle, żeby podziałało uspokajająco. Nic mu nie będzie.

– Kitt... – Whittaker położył dłoń na ramieniu młodego człowieka. Syn półprzyciemnie odwrócił się w jego stronę, ale nic nie powiedział.

– Niech pani posłucha, proszę... – bąknął Kemp.

Joanna zerknęła na pochlipującego narzeczonego.

– Zamknij się, do cholery. Jeżeli piśniesz choć słowo...

Czyli kolejnym zarzutem będzie zastraszanie świadków. To jednak nie był największy z problemów prawnych tej kobiety.



W drzwiach zamajaczył cień. W pokoju pojawiły się dwie kolejne osoby, Lincoln Rhyme oraz Lyle Spencer.

Spencer ujrzał zwłoki pracownicy ochrony. Twarz mu spochmurniała, ukląkł przy niej i wziął ją za rękę. Potem pokręcił głową i wstał. Skierował wściekły wzrok na Joannę. Może Alicia i Spencer znali się nie tylko z pracy, lecz byli też przyjaciółmi albo nawet kimś więcej. Spencer zacisnął pięści i ruszył w stronę bratanicy Whittakera, która skuliła się ze strachu.

Powstrzymała go Sachs. I dotknęła jego ręki.

– Nie – powiedziała cicho. – Załatwimy to jak należy.

Wolno wypuścił powietrze z płuc i skinął głową.

Joanna posłała lodowate spojrzenie Rhyme'owi, a potem jego żonie, i zapytała:

– Jak? Jakim cudem?

– Rhyme, mam wyniki analizy tej plamy na dywanie w mieszkaniu Kitta. Lepiej zobacz. On i Spencer odwracają głowy w jej stronę.

– Elektrolity – mówi Sachs – sód, potas, wapń, magnez, wodorowęglany, fosforany, immunoglobuliny, proteiny, enzymy, mucyny, związki azotowe. To ślina.

– Czyja? Kitta?

Mel Cooper uruchamia analizator DNA. Unosi rękę. Mają próbkę DNA Kitta pobraną ze szczoteczki do zębów i szczotki do włosów w jego mieszkaniu.

– Szybciej. – Rhyme się niecierpliwi, choć Cooper nie może zmusić urządzenia do pośpiechu.

Wreszcie jest wynik.

– Jego.

– Jeszcze jedno – dodaje Sachs. – Krew. Bardzo mała ilość z mieszkania Kitta. Ta plama blisko drzwi, którą zauważyłeś.

Rhyme czuje w skroniach, że puls mu przyspiesza. Są na tropie czegoś ważnego.

Następny test DNA. Krew też pochodzi od Kitta.

– Za mała ilość, żeby wskazywała na śmiertelną ranę – zauważa Spencer. – Nawet po dwudziestcedwójce zostaje więcej niż taka plamka.

Rhyme zastanawia się przez chwilę.

– Sprawdź próbkę w AH.

Mel włącza analizator hematologiczny, kompaktowe urządzenie wielkości rozdętego laptopa. Przeprowadza test i odczytuje wyniki.

– Raczej w normie, ale jest parę nietypowych substancji, które rzadko spotyka się w zwykłej analizie krwi: kinaza kreatynowa, dehydrogenaza mleczanowa i mioglobina.

– Kitt został porażony paralizatorem – oznajmia Rhyme. – To są białka mięśniowe uwalniane w przypadku rhabdomyolizy. Uszkodzenia mięśni poprzecznie prążkowanych. Tak go obezwładnili. Upadł i pewnie uderzył się w głowę. Stąd krew.

- A może przygryzł wargę albo dłoń czy rękę, żeby zostawić ślad – sugeruje Spencer. Rhyme kiwa głową.
- Niewykluczone.
- Ale kto to zrobił? – woła Sachs.
- Oto jest pytanie. Tak, tak, wyjdźmy z założenia, że Kitt jest ofiarą. Został wrobiony, porwany, a dowody zostały podrzucone do szafy i szuflad z dokumentami. Przez kogo? Przyjrzyjmy się temu z szerszej perspektywy – mówi Rhyme wolno i w zamyśleniu. – Co jest dotąd niewyjaśnione? Morska woda w mieszkaniu Kitta. Co nam to mówi?
- Nikt nie odpowiada, ale to i tak pytanie retoryczne.
- Idźmy dalej. Następny zagadkowy składnik. Nawóz. Znaleziony w budynkach Sandleman i Bechtel – kiedy znalazłaś papierek po cukierku, Sachs. Nie, nie, nie... – Rhyme krzywi usta. – Nie sądzę, żeby Ślusarz wracał do budynku Bechtel. Wydaje mi się, że papierek celowo podrzucił ktoś inny, ostateczny sprawca. Porwał Kitta i zostawił w jego mieszkaniu cukierki, bieliznę i inne dowody. Ale przez nieuwagę zostawił też własne ślady. Nawóz i morską wodę.
- Kto? – powtarza Sachs.
- Jeżeli to nie Kitt, to...
- ...po co Ślusarz zostawiałby stronę gazety z zaszyfowaną datą śmierci Mary Whittaker? – kończy myśl Rhyme'a Spencer.
- Żeby rzucić podejrzenie na Kitta – mówi Sachs. – Co zresztą sugerowała bratanica Averella.
- Która ma pełnomorski jacht i oranżerię – dorzuca Rhyme, przypominając sobie artykuły o rodzinie czytane w internecie. – Lakieru do drewna, który znaleźliśmy, używa się do łodzi i samochodów.
- Spencer kiwa głową.
- Joanna hoduje orchidee. Byłem w jej mieszkaniu w Battery Park City.
- No i miałyby dostęp do całej biblioteki dawnych numerów „Daily Herald” – uzupełnia Sachs. – Mogłaby zdobyć tyle trzecich stron numeru z siedemnastego lutego, ile by chciała.
- Zabije pana Whittakera i Kitta – mówi półgłosem Spencer. – Odziedziczy firmę. Cholera. – Wybiera numer w telefonie i czeka. – Pan Whittaker nie odbiera. – Próbuje dzwonić do kogoś innego. Po chwili na jego twarzy odmalowuje się panika. – Alicia też nie.
- To jest rozwiązanie tej zagadki – mówi Rhyme. – Dzwon do Lona, niech montuje zespół ESU. Tylko szybko, nie mamy czasu.

Teraz w podniebnym apartamencie Averella Whittakera Lincoln Rhyme odpowiedział na pytanie Joanny – jakim cudem? – filuterną miną, która mówiła: domyśl się sama, jeżeli potrafisz.

Amelia Sachs – pełniąca służbowe obowiązki funkcjonariuszka policji – zabrała się do pracy. Podeszła do Joanny i Kempa, którzy siedzieli na podłodze. Kobieta zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem.

– Chcę krzesło.

Sachs, jak gdyby nie słyszała Joanny, poinformowała ją:

– Musimy poznać tożsamość prawdziwego Ślusarza i dowiedzieć się, gdzie go znaleźć.

– Skąd miałabym to wiedzieć? – zdumiała się tamta.

– Bo ty go wynajęłaś – odparła spokojnie Sachs. Zerknęła na noże skradzione z mieszkań Annabelle Talese i Carrie Noelle, z których jeden miał ślady krwi, a jego rękojeść była owinięta foliową torebką. – I możemy to udowodnić. Na nożach zapewne nie ma twoich odcisków palców, ale będą na torebce.

Cisza.

– Mów. Wtedy może uda się coś załatwić z prokuratorem.

Joanna Whittaker uśmiechnęła się chytrze.

– Chyba już czas na adwokata.

Jak ręka? – spytał ojca Kitt.

Averell Whittaker spojrzał na swoją kończynę. Miał tylko siniaki, ale gdy Joanna go pchnęła, upadek na podłogę wycisnął mu powietrze z płuc, a przebarwienie skóry robiło wrażenie.

– Nieźle – powiedział do syna. – A ty jak się czujesz?

– Jeszcze jestem półżywy. Głowa mnie boli. W moim mieszkaniu Jo albo Martin strzelili do mnie z paralizatora. – Dotknął strupa na głowie. – Upadłem. Potem coś mi wstrzyknęli. – Jego głos przeszedł w szept. – Moja kuzynka. Moja własna kuzynka...

Znajdowali się w letnim azylu Whittakera w Sag Harbor nad zatoką Long Island, sześciopokojowym domu w stylu Tudorów. Nieruchomość była pod zarządem powierniczym i prasa o niej nie wiedziała. Sępy nadal krążyły wokół wieżowca przy Park Avenue.

W tym domu roilo się od wspomnień. Zbudowali go z Mary – rok poświęcony na planowanie i prace budowlane był jednym z najszcześniejszych okresów w ich życiu. Spędzili tu z Kitem wiele weekendów. Często towarzyszył im jego brat Lawrence i kochana Betty.

No i Joanna.

Whittaker patrzył przez okno na połyskujące fale. Zatoka wydawała się mętna, przynajmniej przy północnym brzegu Long Island. Bure i kamieniste wybrzeże było licznie zamieszkane przez skrzypłocze, chyba najdziwniejsze istniejące morskie stworzenia, przypominające istoty pozaziemskie.

– Jak to wyglądało? Gdzie cię trzymali?

– Na ich łodzi. Twoim dawnym jachcie. Tym, który sprezentowałeś wujkowi Lawrence'owi. – Wzruszył ramionami, dając mu do zrozumienia, że to, co przecierpiał, nie było takie złe. Ale mogło być. Whittaker wiedział, że warunki mogły być nie do zniesienia. Kitt mógł być skuty łańcuchem czy skrupowany w inny sposób. Na dodatek wisiało nad nim widmo zbliżającej się śmierci.

Bronił się przed beznadzieją.

I poczuciem zdrady.

Kitt i Joanna nigdy nie byli sobie szczególnie bliscy – ona stosowała się do zasad panujących w kręgach ojca i stryja, jego natomiast w ogóle to nie interesowało. Ale

przecież tyle razy siedzieli przy wspólnym świątecznym stole. Spędzali rodzinne wakacje na Curaçao, Sint Maarten, Gwadelupie, w Antibes.

– Kitt, popełniłem błąd. Straszny błąd.

Syn wypił łyk piwa. Miał spękane wargi, a Whittaker znowu zagotował się ze złości z powodu tego, co zrobiła jego bratanica i ten tchórz, jej narzeczony.

– Twoja matka...

Wiedział już, że to nie jego syn zaplanował to okropne przestępstwo, nie zmieniało to jednak faktu, że założenie Joanny było słuszne: Kitt zniknął z oczu rodzinie z powodu tamtego strasznego dnia sprzed lat, drugiego marca, gdy Whittaker siedział w swoim gabinecie i po wyczerpujących negocjacjach podpisał umowę kupna stacji telewizyjnej, zamiast być w szpitalu Świętej Teresy.

– Słucham.

Wyznał mu prawdę o tamtej transakcji.

– Chcę cię tylko przeprosić – dodał – i błagać o wybaczenie.

Młody człowiek był wyraźnie skonsternowany.

– Bo nie było cię przy łóżku mamy?

Whittaker skinął głową i poczuł, że oczy napełniają mu się łzami.

– Przecież wiesz, że straciła przytomność dwa dni przed śmiercią. Powiem ci nawet, że byłeś jedną z ostatnich osób, z którymi miała świadomy kontakt – w tamtą sobotę. Siedziałeś przy niej całą noc i trzymałeś ją za rękę. Byłem przy niej, kiedy umarła. Spała. Lekarz mówił, że do końca nie odzyskała przytomności.

– Boże. Nie wiedziałem.

Kitt zaśmiał się bezbarwnie.

– Szczerze mówiąc, i tak nie chciałbym, żebyś tam wtedy był. O czym byśmy rozmawiali? Tato, nasze życie potoczyło się w różne strony. Nigdy nie czułem do ciebie nienawiści ani urazy. Byliście po prostu zupełnie innymi ludźmi.

– Obwinałem się. Nie interesowałem się tobą. To moja wina, że nie znalazłeś porządnej pracy. Powinienem ci doradzić.

– Nie znalazłem pracy?

– Joanna mówiła, że często zmieniałeś branże. Komputery, drony, nieruchomości, wideofilmowanie, ropa i gaz... Raz to, raz tamto.

Teraz śmiech zabrzmiał szczerze.

– Ależ ja mam pracę i powinienem ci za to podziękować.

Averell Whittaker zmarszczył brwi.

Przystojny młody człowiek odgarnął z czoła długie włosy.

– Chcesz znać prawdę, tato? Nie szanowałem tego, co robiliście z wujkiem Lawrence'em. Ta gazeta i telewizja... nie pomagaliście ludziom. Ja poszedłem inną drogą.

– Co właściwie robisz?

– Jestem prezesem firmy non profit, którą założyłem. Używamy dronów do ujawniania przypadków niszczenia środowiska.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Posługuję się panińskim nazwiskiem mamy.

– Na czym polega wasza praca?

– Agencja Ochrony Środowiska i lokalne organizacje ekologiczne wyznaczają nagrody. Tworzymy bazę danych tych, którzy naruszają prawo, i publikujemy ją w naszych serwerach. Rzeczywiście uczyłem się tych wszystkich rzeczy, o których wspominała Joanna. To nie były różne koncepcje. Wszystko miało związek z tą pracą.

– I jak wam idzie?

– Według twoich norm chyba nienadzwyczajnie. Ale w zeszłym roku zarobiliśmy pięćdziesiąt milionów.

– Boże... – Po chwili Whittaker zmarszczył czoło. – Kiedy zaginałeś, dlaczego nikt z firmy nie skontaktował się ze mną? Przecież wiedzą, że jestem twoim ojcem.

– Dużo czasu spędzam w terenie i zajmuję się lotami dronów. Czasem wyjeżdżam na parę tygodni.

Kitt dokończył piwo i otworzył drugie.

– Artykuły i komentarze w twojej gazecie popierały wielkie firmy naftowe i gazowe, przeciwników ochrony środowiska. Przypuszczałem, że nie będziesz chciał mieć ze mną nic wspólnego... Hej...

Whittaker odstawił kieliszek z winem i mocno objął syna. Po chwili Kitt odwzajemnił uścisk.

– Będzie ci brakowało gazety i telewizji? – zapytał nieoczekiwanie ojca.

– Wcale nie. Nie mogę się doczekać, aż zacznie działać fundacja. – Uważnie przyjrzał się synowi i opowiedział mu szczegółowo o swoich planach. Młody człowiek wyraźnie je popierał.

Nagle Whittaker posłał mu lekki, pełen nadziei uśmiech.

– Co?

– Pomyślałem sobie... Może chciałbyś się przyłączyć do tego przedsięwzięcia?

Po chwili zastanowienia Kitt odparł:

– Chciałbym. Nawet bardzo.

– Słuchaj, jesteś głodny? Zjadłbyś coś? Możemy tu zostać. Lepiej nie wychodzić ani nawet nie zamawiać niczego z restauracji. Ale Isla dba, żeby dom był dobrze zaopatrzony.

Whittaker poszedł do kuchni, a Kitt ruszył za nim.

Ojciec otworzył lodówkę. Syn przyglądał się temu z wyraźnym rozbawieniem, jak gdyby Averell nigdy wcześniej nie zaglądał za te drzwi. Co nie było wcale dalekie od prawdy.

– Omlet. Naprawdę nic innego nie potrafię przyrządzić.

– Moim zdaniem zapowiada się pysznie.

Whittaker otworzył butelkę dobrego wina z doliny Rodanu, Châteauneuf-du-Pape, czyli Papieskiego Domu, i nalał dwa kieliszki aromatycznego trunku.

Zaczął rozbijać jajka do miski, a potem wyławiać drobiny skorupki, które wpadły do środka. Zadanie wymagało zręczności. Kitt przygotował grzanki, ze zgrzytem noża posmarował je masłem i położył na półmisku.

Niebawem jajka raźnie skwierczały na patelni, a syn Averella Whittakera podszedł do kredensu w jadalni, by poszukać podkładek pod naczynia i sztuczków.

Rany obronne.

A ściślej mówiąc, brak ran obronnych.

Na ciele Alekosa Gregoriosa – człowieka zakłutego nożem w ogrodzie jego własnego domu w Queens – znaleziono tylko trzy rany.

Rhyme zauważył to już wcześniej, ale ponieważ poproszono go tylko o analizę mikrośladów, nie zwrócił na to szczególnej uwagi. A potem Richard Beaufort nieświadomie wzbudził w nim zainteresowanie tym detalem, gdy pokazał mu zdjęcie tablicy z konferencji prasowej.

Rhyme właśnie się jej przyglądał i zastanawiał się nad tą kwestią.

Owszem, tak jak domyślał się wcześniej, powodem braku ran obronnych mógł być fakt, że zabójca zaskoczył ofiarę. Po namyśle zadał sobie jednak pytanie: jak to możliwe, żeby osoba tak chaotyczna i rozedrgana jak bezdomny Xavier mogła podejść tak blisko człowieka, żeby zabić go trzema ciosami noża, a ofiara nie zdążyła unieść rąk i nie usiłowała złapać ostrza?

Tego na pewno nie można było wykluczyć, ale bardziej prawdopodobne wydawało się co innego – że Gregorios znał zabójcę, który znalazł się blisko niego, bo na przykład rozmawiali ze sobą. Nagle błysnął nóż i zaczęła się rzeź.

Ktoś znany ofierze.

To mógł być przyjaciel, sąsiad... albo członek rodziny.

Znali nazwisko jednej osoby, która tego dnia widziała ofiarę. Syna Gregoriosa. Około szóstej zjedli razem kolację, podczas której ojciec poinformował syna o spięciu z bezdomnym.

Ściśle rzecz biorąc, to syn powtórzył policji informację, którą usłyszał od ojca.

A jeżeli syn, który miał na imię Yannis, kłamał, żeby zrobić w zbrodnię bezdomnego?

Czyżby syn wrócił później, spotkał ojca w ogrodzie i tam pchnął go nożem? Potem zabrał mu portfel i skropił mu spodnie środkiem Miracle Sav, charakterystycznym, a przez to mocno obciążającym dowodem? I podrzucił to wszystko do schroniska dla bezdomnych, gdzie wybrał Michaela Xaviera na kozła ofiarnego?

Rhyme zamyślił się na moment.

– Mel?

Detektyw spojrział na niego ze sterylnej części laboratorium.

– Mam do ciebie prośbę. Trochę... dziwną.



- Dziwniejszą niż przeprowadzenie sekcji zwłok muchy?
- Tylko troszeczkę.
  
- Detektyw Tye Kelly?
- Przy telefonie.
- Tu detektyw Mel Cooper. Z laboratorium w Queens.
- Tak?
- Pracowałem z Lincolnem Rhyme'em.
- Co to za historia, czemu ktoś z komendy odsunął go od konsultacji? Idiotyczny pomysł.
- To prawda. Rhyme robił coś w związku ze sprawą Gregoriosa, zgadza się?
- Tak, pomógł nam ją zamknąć.
- Właśnie dlatego dzwonię. Przeglądałem akta sprawy – przypadkiem wpadły mi w ręce – i mam pewne wątpliwości.
- Kelly zachichotał.
- Nie jest pan pewien, czy Lincoln Rhyme doszedł do właściwych wniosków w związku ze śledztwem? Naprawdę chce pan w to brnąć?
- Cooper i Rhyme, którzy słuchali go przez głośnik, spojrzeli znacząco po sobie. Cooper najwyraźniej z trudem zachowywał powagę.
- Niech pan posłucha. – Powtórzył mu to wszystko, co Rhyme powiedział mu o braku ran obronnych, i przedstawił hipotezę, że syn wrobił bezdomnego w zabójstwo.
- Przecież sprawdziliśmy Yannisa – nawiasem mówiąc, to jest grecka wersja Johna. Mamy go na nagraniu kamery monitoringu, która zarejestrowała, jak wysiadł z samochodu około wpół do szóstej i poszedł do domu ojca, a potem wrócił około siódmej i odjechał.
- Rhyme rozmyślał nad tym przez chwilę. Nagryzmolił parę słów i podsunął kartkę Cooperowi, który przeczytał i skinął głową.
- Detektywie, gdzie on zaparkował wóz? – spytał.
- Na moment zapadła cisza. Usłyszeli stukot klawiatury.
- W centrum handlowym Arbor Vale, ulicę dalej od domu Gregoriosa.
- Przed domem był przecież podjazd, prawda? – Cooper już chwycił i Rhyme nie musiał mu suflować.
- Tak, był, ale syn powiedział, że chciał jeszcze wstąpić do sklepu spożywczego i kupić coś na kolację.
- Naprawdę?
- Tak.
- Rhyme napisał następną kwestię, a Cooper ją wygłosił.
- Wydaje się trochę dziwne, że zostawił tam samochód i poszedł pieszo.
- Może i dziwne. Musiałby krążyć jednokierunkowymi uliczkami. Pewnie na piechotę było szybciej.

Cooper przeczytał następną notatkę Rhyme'a.

– Halo, jest pan tam, detektywie? – zapytał Kelly.

– Tak. Ale można też wyjaśnić to tak, że zostawił auto pod centrum, aby mieć dowód, kiedy przyjechał i kiedy odjechał. Mówię o dowodzie wideo.

– Racja.

Kolejna notatka.

– Macie zapis monitoringu z centrum handlowego z całej nocy?

– Tak, po tym, co powiedział nam syn Gregoriosa, szukaliśmy jakiegoś bezdomnego, który kręcił się tam mniej więcej w porze zabójstwa. Ale na taśmie z centrum nikogo nie zauważyliśmy.

Rhyme znowu coś zanotował.

– Gdzie była kamera? – spytał Cooper.

– Po drugiej stronie ulicy, skierowana w stronę sklepów.

– Może pan odtworzyć to wideo?

– Do czego właściwie zmierzamy?

– Jest po prostu parę niewyjaśnionych szczegółów – zaimprovizował Cooper.

– No dobrze. – Kelly zaczął stukać w klawisze.

Rhyme zapisał swoją hipotezę. Cooper pokręcił głową i parsknął śmiechem.

– O co chodzi? – zdziwił się Kelly.

– Kolega właśnie pokazał mi prezent, jaki kupił swojej dziewczynie. – Zachichotał. – Tylko nie wiem, czy to prezent dla niej, czy raczej dla niego.

– Aha, taki prezent... Dobra, już mam to wideo.

– Niech pan przesunie suwak mniej więcej do pół godziny przed zabójstwem i przejrzy zapis do pół godziny po. Ale niech pan patrzy na to, co jest przed kamerą. Co się odbija w szybach przejeżdżających samochodów.

– Co się odbija – powtórzył z roztargnieniem. – Dobrze. Niewiele widać, tylko ulicę pod słupem, na którym jest zamontowana kame... Chryste...

Dwaj mężczyźni obecni w domu Rhyme'a znowu wymienili spojrzenia.

– Czy zatrzymuje się samochód i wysiada z niego Yannis? – spytał Cooper.

– Kurwa, we własnej osobie. Widzę go, jak odbija się w szybie autobusu. Dwudziesta czterdzieści osiem. Jakies dziesięć minut przed śmiercią jego ojca.

Cooper przekazał mu wyjaśnienie Rhyme'a:

– Yannis nie mógł stanąć na podjeździe przed domem ojca, kiedy wrócił go zabić. Zobaczyliby go sąsiedzi. Wiedział, że może zaparkować na ulicy w pobliżu centrum handlowego, ale chciał uniknąć kamery. Mógł się zatrzymać tuż pod nią, bo obiektyw tam nie sięgał.

Później dostał się do schroniska i podrzucił dowody obciążające Xaviera. Sprawdziłem, to miejsce nie ma praktycznie żadnej ochrony. Każdy może wejść i wyjść.

Ten fakt ustalił Ron Pulaski.

– Niech to szlag. Przecież to całkiem nowa sprawa. Zajmiemy się tym z moją partnerką... – Znowu rozległ się stukot klawiszy. – Właśnie ściągnąłem zdjęcie Yannisa z wydziału komunikacji. Poszukamy świadków, sprawdzimy, jak wyglądały jego relacje z ojcem.

Cooper odczytał ostatnią notatkę.

– Jeżeli prześle mi pan całość akt, przyjrzę się innym dowodom. Może uda mi się znaleźć coś na poparcie tej wersji.

– Tak, do cholery. – Usłyszeli klawiaturę. – Już jest w drodze. Nie wiem, jak panu dziękować. Wyjaśnić sprawę nie z tym podejrzanym to gorzej niż nie wyjaśnić jej w ogóle.

– W jego głosie zabrzmiał konspiracyjny ton. – Niech pan posłucha, detektywie, nie wiem, jak się skończy ta afera z Lincolnem Rhyme'em, ale niech się pan nie martwi. Nie pisnę ani słowa, że wytykał mu pan błędy.

– Miło z pana strony, detektywie Kelly. Czasem jest dość surowy.

– Podobno.

Miał to w twarzy.

Coś szczurzego.

W swoim ojczystym języku pomyślał: e *keqe*.

Zło.

Kłopoty.

Portier patrzył, jak wysoka rudowłosa wychodzi z holu Whittaker Tower – albo „Twierdzy”, jak wszyscy tutejsi portierzy nazywali budynek. Przeszła za policyjne barierki, które miały nie dopuszczać bliżej reporterów, chociaż było ich mniej niż zwykle; rozeszła się wieść, że pan Whittaker z synem wyjechali z miasta.

Sześćdziesięciopięciolatek miał na sobie długą szarą kurtkę i czapkę w tym samym kolorze. Epolety były pewną przesadą i wyglądał z nimi jak podupadły dowódca wojskowy sądzony przed międzynarodowym trybunałem, ale stanowiły element uniformu, więc musiał z nimi paradować.

Portier Whittakerów, Frank, którego widywał jakieś sto razy dziennie, nosił niebieski strój. Frank rzucił żart o wojnie secesyjnej, który on zrozumiał dopiero po chwili. Chodziło o ich mundury, szare i niebieskie. Pochodził z Kosowa i wiedział, że jest tylko jedna wojna godna uwagi – ta, w której zginęła twoja rodzina.

Rudowłosa, która właśnie wyszła z budynku Whittakera, rozmawiała przez telefon i kierowała się na północ, maszerując Park Avenue i nie zważając na to, co się dzieje wokół niej.

Nie zważając na człowieka o szczurzej twarzy, e *keqe*, który ją śledził.

Portier pomyślał o kłopotach, widząc, jak szcurek rozejrzał się po ulicy i ze spuszczoną głową wysunął się z cienia, gdzie chyba na nią czekał.

Szczupły, w ciemnej kurtce i dżinsach, z plecakiem zawieszonym na ramieniu.

Zbieg okoliczności?

Może tak, może nie. Gdy przeszła przez ulicę na zielonym świetle, zrobił to samo, chociaż nie na skrzyżowaniu. Kluczył między samochodami i roślinnością na pasie zieleni oddzielającym północną nitkę ulicy od południowej.

Gdy Ruda znalazła się po drugiej stronie ulicy, dalej szła na północ.

Szcurek też. Portier zauważył, że facet trzyma rękę w kieszeni.

Rudej groziło niebezpieczeństwo?

Gdy skręciła na wschód, w Osiemdziesiątą Drugą, zrobił to samo.

Może powinien zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

I co powiedzieć?

Że mężczyzna w ciemnym ubraniu śledzi kobietę w ciemnym ubraniu na Upper East Side w Nowym Jorku? Mógłby wspomnieć dyspozytorowi o twarzy mężczyzny. Też była ciemna. Nie, nie w sensie koloru skóry, ale podejrzana. Szczurza i zła.

Dyspozytor poprosiłby go, żeby wyrażał się jaśniej.

Pewnie to nic takiego, nie warto dzwonić ani robić zamieszania.

Może powinien podejść i sam ją ostrzec? W tym momencie musiałyby podbiec, ale dźwigał dziewięćdziesiąt kilo na kościach i nie był już najmłodszy, więc nie miał na to ochoty.

Poza tym dobry uczynek mógłby go kosztować utratę pracy.

Pieprzyć to.

Zresztą teraz musiał otworzyć drzwi pani Jankowski, która, choć jej nieżyjący mąż był właścicielem sieci gabinetów stomatologicznych, co roku na Gwiazdkę dawała mu nędzne pięć dolarów napiwku.

Stara kurvė...

Amelia Sachs szła Osiemdziesiątą Drugą z przyciśniętą do ucha komórką, zwracając uwagę, że z każdym mijanym skrzyżowaniem budynki stają się coraz skromniejsze.

A na chodnikach jest coraz mniej przechodniów.

W ostatnich latach artretyzm – jej nemezis – znacznie mniej dawał jej się we znaki, ale zadanie wymagało od niej szybkiego marszu i czuła ból w lewej nodze.

Na rogu York Avenue i Osiemdziesiątej Drugiej skręciła na północ, po czym szła dalej, choć odrobinę wolniej.

Zbliżyła się do magazynu, który dobrze знаła. W zeszłym roku dopadła tu handlarza żywym towarem i uratowała trzy młode kobiety, które przemycił z Salwadoru, by zmusić je do prostytucji.

Przyjrzała się budynkowi. Wyglądał prawie tak samo, choć był w lepszym stanie niż wtedy. Najwidoczniej został kupiony lub wynajęty przez firmę handlującą kawą. Odgadła to po zapachu.

Rampa przeładunkowa znajdowała się we wnęce i mijając ją, Sachs szybko skręciła do środka, schowała telefon i z prawej kieszeni na biodrze wyjęła nóż sprężynowy. Otworzyła go, policzyła do trzech i wyskoczyła z wnęki, by złapać człowieka, który śledził ją od Whittaker Tower.

Sheldon Gibbons wydał stłumiony okrzyk zaskoczenia.

Uniosła nóż i obróciła reportera.

– Co jest?

– Cicho!

Schowała nóż, zatrzasnęła mu na rękach kajdanki i odwróciła go twarzą do siebie.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Ciekawa jestem, czy sam postanowiłeś nazwać się Ślusarzem, czy to był pomysł Joanny Whittaker?

Jeżu, nie wiem, o czym pani mówi.

Amelia Sachs zrewidowała Gibbonsa i znalazła przy nim tylko portfel, telefon, klucze i dyktafon.

– Coś mi nie grało – wyjaśniła. – Przed budynkiem Whittakera przypadkiem wiedziałeś, że jestem gliną. I przypadkiem znalazłeś się pod domem Kitta?

– Wcześniej robię porządne rozeznanie. Znam wszystkich gliniarzy, o których trąbią media. Była modelka zostaje detektywem! Świetny materiał. Inspiracja dla wszystkich dziewczynek. – Słowa padały z prędkością karabinu maszynowego. – A u Kitta? Mam skaner częstotliwości policyjnych. Usłyszałem komunikat.

Tłumaczenie brzmiało logicznie, Sachs jednak odparła:

– Dzwoniłam do Frontpage Media, wydawcy „InsideLook”. Nie pracujesz tam. Pod numerem z twojej wizytówki odzywa się poczta telefonu na kartę. W redakcji nigdy o tobie nie słyszeli.

– Dobrze jest występować pod jakimś szyldem, to pomaga. Kiedy piszę jakiś tekst, pracuję pod przykryciem, zupełnie jak wy, gliniarze. Oskarża mnie pani, że jestem Ślusarzem, a nawet nie sprawdziła pani mojego alibi.

– Mam to w planach.

– No dobrze. Chce pani usłyszeć prawdę?

Sachs zastanawiała się, czy jej twarz nie zastygła w sardonicznym grymasie.

– Dotąd jeszcze nie słyszałam.

– Śledziłem panią, bo chcę zrobić wywiad z Averellem Whittakerem i jego synem. Ukrywają się gdzieś. Nikt w firmie nie chce ze mną rozmawiać. Dział prasowy odciął mnie od informacji. Myślałem, że idzie pani spotkać się z nimi. Piszę książkę, w której demaskuję Joannę. Kiedy pracowała u ojca, była złą czarownicą w świecie mediów. Terroryzowała pracowników, źródła informacji, napuszczała polityków na siebie nawzajem.

Sachs obserwowała jego ręce. Jeżeli był Ślusarzem, bez trudu mógłby się uwolnić. Odwróciłby jej uwagę, zsunął kajdanki i zaatakował albo po prostu by uciekł, ryzykując, że dostanie paralizatorem.

– Rozmawiałem też z pracownikami fundacji, którą kieruje. Tam jest taka sama – stuprocentowa nazistka. Mam jeszcze jeden smakowity szczegół. Jeden z księgowych

podejrzewa, że Joanna fałszuje dokumenty. Wpłatami na fundację finansuje na boku jakieś własne projekty. Być może ten kanał Veruma, który prowadzi.

- Podaj mi nazwę wydawnictwa.
  - To ściśle tajne. Mówię to tylko dlatego, że...
  - Wydawnictwo. Albo idziesz siedzieć.
  - Pierwsza poprawka.
  - Nazwa wydawnictwa albo do pudła – oświadczyła Sachs.
- Wyraz niesmaku na jego twarzy mógł się na długo wryć w pamięć.
- Allen-Drews Publishing – odpowiedział w końcu.
  - Redaktor?

Westchnął i podał jej nazwisko.

- Jeszcze numer.

Sachs zadzwoniła i telefon odebrał szef wydawnictwa. Przedstawiła się.

- Sheldon Gibbons był na miejscu zdarzenia, dlatego chciałabym potwierdzić, czy podpisał pan z nim kontrakt na książkę o Joannie Whittaker.
- Zgadza się. Czy coś się stało? – zaniepokoił się redaktor.
- Nie. Musiałam po prostu potwierdzić, czy miał uzasadniony powód, żeby tam być.
- Jeżeli to miało coś wspólnego z Joanną Whittaker, to miał.
- Dziękuję.

Rozłączyli się.

- To co, zdejmie mi pani kajdanki?
- Kontrakt na książkę nie oznacza jeszcze, że nie jesteś Ślusarzem. Podaj mi swoje alibi na jedno z tych włamań. – Podała mu daty i godziny wtargnięcia podejrzanego do mieszkań Talese i Noelle.

– Na pewno byłem w domu. Może pani zadzwonić do mojej żony. Niedawno urodziły się nam bliźnięta i często nie pozwalają mi spać. W budynku mamy portiera.

Sachs wzięła od niego numer i zadzwoniła. Rozmowa, jaką odbyła z kobietą, miała mniej więcej taki przebieg, jakiego się spodziewała. Żona potwierdziła jego obecność w domu wskazanego dnia, a płaczliwy duet w tle potwierdzał z kolei jej słowa. Mówiła głównie Sachs, pocieszając ją, że mężowi nie grożą żadne kłopoty ani niebezpieczeństwo.

Rozłączyła się.

- Odwróć się.

Potań oswobodzone nadgarstki, podczas gdy Sachs schowała chromowane kajdanki do futerału. Rozejrzał się po ulicy i uśmiechnął się szelmowsko.

- Przypuszczam, że nie jesteśmy daleko od kryjówki Averella Whittakera.
- Sachs kpiąco prychnęła na znak, że te próby to strata czasu.
- Skręciłam do tego magazynu tylko po to, żebyśmy mogli spokojnie pogadać.
  - Mogę zrobić z panią wywiad do książki?
  - Nie.



– Nigdy nie mówi pani „tak”? Albo „bardzo chętnie pomogę”?

– Nigdy.

– Może pani zyskać rozgłos.

Wobec decyzji, która zakazywała Lincolnowi Rhyme’owi angażowania się w śledztwa kryminalne, rozgłos był ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, dlatego znowu udzieliła odpowiedzi odmownej.

– W takim razie jako anonimowe źródło. Bez cytatów i nazwisk. Może mi pani zdradzić, co Whittaker powiedział o tym, że bratanica próbowała go zabić?

– Miłego dnia, Gibbons.

Gdy zaczął się oddalać, coś jej przyszło na myśl.

– Zaczekaj – rzuciła.

Odwrócił się z nieufną miną, jak gdyby znowu spodziewał się zobaczyć ostrze sprężynowca.

– Śledziłeś Joannę i Martina Kempa?

– Zgadza się. Sprawdziałem ich ulubione miejsca, sklepy, banki, prawników, znajomych.

– Czy w ciągu ostatniego tygodnia któreś z nich odwiedziło miejsce, które wyglądało na jakiś skład, magazyn czy warsztat?

– Tak się składa, że owszem.

– Gdzie?

– Na Lower East Side. W jednej z dzielnic, gdzie są stare kamienice.

Niewiele zostało ze starego, zaniedbanego Manhattanu. Hell’s Kitchen w zachodniej części Midtown już nie było. Harlem został przebudowany. Torowiska kolejowe znajdowały się dziś pod ziemią, a otaczające je bezładne zabudowania mieszkalne i przemysłowe zostały wyburzone i zastąpione blichtrzem nowych dzielnic. Na południu i wschodzie, gdzie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku osiedlali się imigranci, pozostały jednak niewielkie strefy odrapanych budynków – parterowych i jednopiętrowych. Ciekawe, pomyślała, że o tej części miasta Kemp w ogóle nie wspomniał, gdy usłyszał pytanie, gdzie Kitt chciał urządzić sobie warsztat.

– Kto tam był?

– Nie widziałem. Joanna odebrała jakąś torbę i coś zostawiła. Widziałem tylko rękę, a potem drzwi się zamknęły.

Jeśli to był warsztat Ślusarza, to bratanica Averella prawdopodobnie odebrała od niego bieliznę Annabelle lub Carrie i noże, które miały pogryźć Kitta.

– Masz adres?

Nie palił się do udzielenia informacji. Patrzył na Sachs wyczekująco, pytając wzrokiem, co za nią dostanie.

– Gdybym miał coś na wyłączność albo dostęp do dokumentów...

– Dobra, mam dla ciebie dobry materiał, Gibbons.

– Tak? – Oczy mu zabłyśły.

- Nawet podsunę ci tytuł: *Reporter robi to, co należy*.
- W tej branży zawsze trzeba próbować. – Wzruszył ramionami. – Argyle Street, Lower East Side. Numeru nie znam, ale budynek miał nazwę. Coś z Sebastiano.

Hm, dobrze się nie skończyło.

Jestem w swoim warsztacie w budynku Sebastiano, otworzyłem w komputerze kanał telewizyjny. To jedna z tradycyjnych stacji, nie WMG. Przypuszczam, że telewizja Whittakera nie przedstawiłaby obiektywnej relacji z aresztowania Joanny i jej narzeczonego za próbę zabójstwa członków rodziny.

Pakuję się do walizek i pudeł. Nie będę tu mógł zostać zbyt długo. W zamian za złagodzenie wyroku Joanna w końcu mnie wyda. Mam jednak jeszcze trochę czasu; na pewno okaże się twardą negocjatorką.

Od czasu do czasu rzucam okiem na ekran i poznaję odpowiedzi na pytania, które nasunęły mi się w mieszkaniu numer 2019: Joanna zaplanowała zabójstwa, by przejąć kontrolę nad imperium Whittaker Media, a osobą, którą chciała zrobić w rolę Ślusarza, był nie kto inny jak jej własny kuzyn, Kitteridge Whittaker, przystojny młody człowiek o rysach bezkompromisowego polityka.

Ponieważ nie jest rzeczywistym sprawcą, oznacza to, tłumaczy prezenterka oficjalnym tonem, że prawdziwy Ślusarz nadal jest na wolności.

Chyba nie trzeba tego mówić, ale nie znam przeciętnego ilorazu inteligencji odbiorców programu.

Szekspirowska tragedia rodziny Whittakerów interesuje jednak widzów znacznie mniej niż fakt, że Joanna to Verum.

Większość czasu antenowego zajmuje roztrząsanie tej wiadomości.

Doszło już do pewnych incydentów. Jej zwolennicy są głęboko niezadowoleni z tego aresztowania. Podpalenie, wybite okna, graffiti.

Widzę napis: *Uwolnić Verum!*

Jeden z ekspertów wyraża przypuszczenie, że chciała przejąć firmę stryja, ponieważ liczyła na to, że użyje mediów Whittakera jako tuby do rozpowszechniania głoszonych przez siebie tez.

Inny stwierdził, że wychowanie w duchu kapitalizmu wzbudziło w niej odrazę i jako prawdziwa rewolucjonistka chciała osłabić System, „przez duże S”.

Parskam głośnym śmiechem. Nie mają pojęcia, że wymyśliła sobie Veruma wyłącznie dla zaspokojenia własnej próżności i dla pieniędzy.

Kobieta w paskudnej dzianinowej czapce i brudnej kurtce skanduje:

– Uwolnić ją! Uwolnić ją! Modlimy się i jesteśmy gotowi!

Gdybym naprawdę był Bogiem i mógłbym moderować treści zrodzone przez ludzkość, skasowałbym tę starą wiedźmę wciśnięciem jednego klawisza.

Wiadomości kończą się informacją, że policja nie ma jeszcze żadnych wskazówek co do prawdziwej tożsamości Ślusarza.

Wracam do pracy. Niestety nie dostanę całej obiecanej kwoty, pół miliona, ale nie szkodzi. Dwieście tysięcy plus moje niemałe oszczędności i spadek wystarczą, by zacząć wszystko od nowa. Porządny warsztat/mieszkanie – wyposażone w to nowe krzesło, którego nie mogę się już doczekać. My, moderatorzy treści, wiemy dużo o dark webie. W ciągu tygodnia mogę stworzyć sobie zupełnie nową tożsamość.

I zabrać się do tego, do czego jestem stworzony.

Plan akcji wyglądał następująco:

Po drugiej stronie ulicy od domniemanego warsztatu Ślusarza, starego budynku Sebastiano Bakery Supply – snajperka i obserwator.

Zespół inwigilacji w zdezelowanej furgonetce firmy kwiaciarskiej, wpatrzony i wsłuchany w warsztat.

Jeden czteroosobowy oddział szturmowy od południa, jeden od północy, każdy w odpowiedniej odległości od drzwi frontowych. Oddziały czekały w pogotowiu w wozie firmy hydraulicznej oraz w nieoznakowanym, ale mocno odrapanym białym vanie, całkiem podobnym do pojazdu, który był dwutonowym rekwizytem w dramatycznym debiucie filmowym Sachs, reżyserowanym przez policyjnego tajniaka, Aarona Douglasa.

Uzupełnienie stanowiły niewidoczne z ulicy karetki i kompania mundurowych. A także wóz strażacki, na wypadek gdyby Ślusarz zamierzał powtórzyć próbę zniszczenia dowodów, tak jak w budynku Sandleman.

– Jesteśmy na miejscu, Rhyme – powiedziała do telefonu Sachs.

– Jakiś ślad?

– Żadnego. Okna zasłonięte żaluzjami. Do budynku można się dostać i wydostać jednymi drzwiami, od frontu. Wejście techniczne z tyłu jest zaryglowane na głucho. Jest jeszcze mała piwniczka ze zsypem na węgiel, ale drzwi do niej też są zamknięte. – Patrzyła na zdjęcie z miejskiego wydziału budownictwa, które przedstawiało rozkład budynku. Dokumentacja Nowego Jorku była równie stara jak sam Nowy Jork. – Myślałam, że gdy nas zauważy, zwieje przez sąsiednie piwnice, ale musiałyby się przebijać przez ściany – nie są połączone żadnymi drzwiami. Cegła i piaskowiec. W każdym razie mamy na oku budynki obok.

Rhyme w takich sytuacjach zwykle łączył się z nią przez radio na częstotliwości używanej podczas operacji tego rodzaju. Przebywał jednak w policyjnym czyścicu. Miał prawo dowiedzieć się o akcji dopiero po jej zakończeniu.

– Wchodzisz?

– Aha. Z zespołem z północy.

Domyślał się, że oddział wejdzie pierwszy, a Sachs, jako jedna z tej czwórki, będzie na jego czele.

Nie zamierzał pytać, czy nie wolałaby zostawić kowbojskich numerów młodszemu funkcjonariuszom ESU, których większość przeszła szkolenie wojskowe. Z podobnym

skutkiem można by zapytać Rhyme'a, czy na pewno chce spędzić jeszcze godzinę, dwie czy trzy na analizie drobinki śladu, w którym być może krył się klucz do zidentyfikowania sprawcy.

– Okej. Daj znać.

Rozłączyli się.

Sachs, w hełmie i kamizelce kuloodpornej, wysiadła z furgonetki i z trzema pozostałymi członkami oddziału przemykała chodnikiem w kierunku wejścia do dawnej firmy produkującej akcesoria do pieczenia. Oddział południowy też się zbliżył i miał wejść tuż za północnym.

Za pomocą samych gestów Sachs skierowała do drzwi czwartego członka oddziału – specjalistę forsowania wejść – podczas gdy reszta go ubezpieczała. W odróżnieniu od wejścia do apartamentu Whittakera, zamierzali użyć regularnych ładunków C4 do pokonania zawiasów i trzech zamków. Zabezpieczenia wyglądały groźnie i chyba były nowe, z pewnością nie tej marki, która sto lat temu odstraszała tu włamywaczy.

Specjalista zbliżył się i umieścił ładunki z lepłą warstwą obok każdego zawiasu, a większy na zamkach, następnie odsunął się na odległość trzech metrów i dźwignął taran, na wypadek gdyby ładunki nie zdołały do końca pokonać drzwi. Sachs skinęła głową kobiecie obok – miała na kamizelce napis SANCHEZ. Obie zdjęły z ramienia pistolety maszynowe Heckler & Koch MP5, a od pasa odczepiły granaty hukowo-błyskowe.

Amelia cicho powiedziała do mikrofonu:

– Snajper? – Spojrzała na drugą stronę ulicy, by upewnić się, że funkcjonariuszka i jej obserwator są dobrze ukryci, a lufa remingtona 700P kaliber .308 jest niewidoczna.

– Na pozycji, ubezpieczam. Żadnego ruchu w środku.

– Zrozumiałam. Zespół południowy?

Oddział był zaledwie dziesięć metrów od nich, więc zamiast odpowiedzieć, dowódca zespołu pokazał uniesiony kciuk.

Sachs czuła, jak wali jej serce i ogarnia ją radosne podniecenie. Dwie rzeczy na świecie sprawiały jej bezgraniczną przyjemność: brawurowa jazda samochodem z akompaniamentem wyjącego silnika oraz chwila tuż przed dynamicznym wejściem.

Dała znak wszystkim funkcjonariuszom, żeby się pochylili i przygotowali na wybuch, po czym uniosła trzy palce lewej dłoni i zaczęła je po kolei zginać. Gdy zniknął ostatni, specjalista od forsowania szepnął „uwaga” i wysłał sygnał do ładunków plastiku. Ziemią wstrząsnęły cztery jednoczesne eksplozje, a drzwi roztrzaskały się i wpadły do wewnątrz. Taran nie był potrzebny.

Najpierw Sachs, a potem Sanchez wyciągnęły zawlecзки i wrzuciły granaty do piwnicy.

Kilka sekund później, po detonacji, Amelia i jej trio, a tuż za nimi zespół południowy, wpadli do budynku, unosząc i opuszczając lufy, by nie mierzyć w siebie nawzajem, i omiatając półmrok wnętrza halogenowymi lampami zamocowanymi do pistoletów maszynowych.

– Policja! Policja! Policja!

Funkcjonariusze rozbiegli się po dużym pomieszczeniu, które wyglądało na puste.

Prócz niego była tu jakaś część magazynowa i łazienka. Szybko je sprawdzono.

Sachs rozejrzała się po wnętrzu. Nie było wątpliwości, że to warsztat Ślusarza. Na półkach stało chyba ze sto zamków. Były też urządzenia, w tym frezarka do wycinania kluczy, która, jak już wcześniej przypuszczali z Rhyme'em, należała do jego instrumentarium. Książki i gazety. Nigdzie nie zauważyła komputerów, telefonów ani tabletów, ale mogły być schowane w szufladach – albo, pomyślała ze złością, znalazły się razem z nim w zupełnie innym miejscu.

Prawdopodobnie w jakimś mieszkaniu, które miał gdzie indziej. W warsztacie stało łóżko i była tu mała kuchenka, ale nie wyglądało to na stałe miejsce zamieszkania.

– Wejście udane – powiedziała do nadajnika. – Na parterze brak podejrzanych. Wchodzimy do piwnicy.

W podłodze dostrzegła klapę. Jak uznała wcześniej, była to mało prawdopodobna droga ucieczki, ale może znalazł jeden z dawnych tuneli, których sieć oplatała tę część miasta, by pod ziemią można było transportować towary z firmy do firmy. Mapa miasta, którą wcześniej oglądała, nie uwzględniała takich tuneli.

Zespół północny podszedł do klapy. Sachs westchnęła. Nie znosiła zaglądać do piwnic.

– Odsunąć się. Mógł przygotować pułapkę.

Funkcjonariusze cofnęli się, a ona chwyciła za sznur, którym unosiło się klapę, i cofając się, szarpnęła za niego.

Żadnej eksplozji ani wystrzałów.

Razem z Sanchez podeszły i zajrzały w mrok, rozjaśniając go halogenami na lufach. Zobaczyła tylko rozsypujący się beton i cegły.

– Policja! Jeżeli ktoś tu jest, niech się pokaże.

Niespiesznie uniosły się tylko drobiny kurzu.

– Kamera.

Funkcjonariusz ESU o nazwisku Brill zdjął z pasa ten sam model kamery, którego użyli w apartamencie Whittakera. Wsunął obiektyw przez otwartą klapę i włączył tryb noktowizyjny. Obraz obejmujący trzysta sześćdziesiąt stopni ukazywał worki na śmieci, pudła, sterty drewna, kilka rdzewiejących urządzeń, których przeznaczenia nie umiała wydedukować.

– Policzyłem pięć osłon – odezwał się Brill. – Pudła i śmieci w zachodnim, północnym i wschodnim rogu. A w głębi skrzynia na węgiel.

– Zgoda.

Brill zamienił kamerę na pistolet maszynowy.

Sachs zdjęła z pasa drugi granat hukowo-błyskowy.

– Schodzę tam.

Zerknęła na pas Sanchez. Kobieta zawiesiła broń z przodu i też sięgnęła po granat.

– Każda po dwa, w każdy kwadrant.

Jeżeli Ślusarz był na dole, na pewno krył się z dala od klapy wejściowej. Zamierzały wrzucić granaty w stronę rogów piwnicy.

Kobieta skinęła głową.

– Ostatnia szansa. Pokaż się! – Nie doczekawszy się odpowiedzi, Sachs cisnęła pierwszy granat i się cofnęła, po czym Sanchez wrzuciła swój. Kiedy rozległy się dwa huki, powtórzyły ten układ choreograficzny, celując w pozostałe rogi.

Amelia spojrzała w dół, wyjęła glocka i postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów. Znieruchomiała.

Chryste...

– Do tyłu, do tyłu!

Wgramoliła się z powrotem na parter, padła na bok i szybko odsunęła się od otwartego wejścia, z którego buchnął w górę wirujący płomień wysokości około trzech metrów.

Sachs zdała sobie sprawę, że w workach na śmieci i pudłach musi być więcej ulubionej substancji Ślusarza – benzyny.

Gdy zaczęła schodzić, natychmiast poczuła jej specyficzny zapach.

Prawdopodobnie linka, być może zamocowana do klapy, uruchomiła timer, który tak został ustawiony, by do piwnicy weszło jak najwięcej policjantów, zanim włączy się detonator i spowoduje zapłon benzyny.

– Wyjść, wyjść! Mamy pożar! – nadała przez radio. – Potrzebna straż, natychmiast!

Pomogła wyjść Sanchez, która chyba złamała albo skręciła kostkę, gdy padła na podłogę, uciekając przed szalejącym ogniem.

Pomarańczowo-żółte tornado w towarzystwie czarnego, oleistego dymu huczało coraz bardziej i sięgało coraz wyższych partii starego budynku.

Sachs, krztusząc się od dymu, pomogła dotrzeć Sanchez do drzwi, skąd inny funkcjonariusz zaprowadził ją do karetki.

Odwróciła się, przecinając płomienie i dym snopem światła latarki, by się upewnić, czy nikt nie został w środku. Nie zauważyła żadnej osoby, ale przeliczyła głowy na zewnątrz; oddziały szturmowe były w komplecie i prócz Sanchez nikt nie odniósł obrażeń.

Cofnęła się z powrotem do sprawdzanego pomieszczenia – na tyle, na ile pozwalał dym. Podłoga była z solidnych dębowych desek, więc ogień potrzebował trochę czasu, by ją wypalić. Ruszyła w stronę stołu warsztatowego Ślusarza w nadziei, że uda się zebrać trochę – przynajmniej odrobinę – dowodów. Pomyślała o kluczowych śladach, które Lyle Spencer zdążył zabezpieczyć, zanim pożar strawił budynek Sandleman.

W połowie drogi do stołu poczuła, że od dymu kręci jej się w głowie.

Zapomniała o tym drobnym aspekcie pożarów...

O problemie z tlenem.

Zawróciła i zataczając się, wypadła na zewnątrz, gdzie wypełniła płuca świeżym powietrzem i wykasłała resztki dymu.

Pojawili się strażacy, którzy zaczęli rozwijać węże.

Dobrze, że wyszła. Podłoga w warsztacie mogła pewnie wiele znieść, ale płomienie wspięły się już na ściany i cały parter pochłonął szalejący ogień. Ile użył benzyny? Mnóstwo litrów.

Jednym ze skutków pułapki była strata wskazówek co do tożsamości sprawcy.



Pożar oznaczał jednak coś jeszcze. Ślusarz nie zastawiłby jej, gdyby tu jeszcze był. Po aresztowaniu Joanny i Kempa wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim zdradzą jego nazwisko w zamian za złagodzenie wyroku.

A to oznaczało, że niewątpliwie zapakował cały najważniejszy dobytek, wyczyścił konto w banku i był już prawdopodobnie sto pięćdziesiąt kilometrów od miasta, od którego wciąż się oddalał.

Równie skutecznie niszczył dowody, jak unikał ich pozostawienia na miejscach zdarzenia.

W swoim salonie Lincoln Rhyme oglądał zrobione przez Sachs zdjęcia wypalonego wnętrza firmy Sebastiano Bakery Supply. Zwrócił uwagę, że zniszczeniu uległy też sąsiednie budynki.

– Benzyna, jak w Sandleman?

– Tak – odparła Sachs. Wzięła już długi prysznic, ale przez lawendowy aromat szamponu wciąż przebijał zapach dymu.

– Budynek nie był stabilny – brak podłóg – ale mogłam stanąć w drzwiach i pstryknąć parę zdjęć.

– To wszystko zamki? – Rhyme głową wskazał na ekran, patrząc na dziesiątki przypalonych mechanizmów. – Niezła kolekcja.

– Znowu myślisz o Zegarmistrzu.

Uśmiechnął się przelotnie. Rzeczywiście tak było. Wyświetlił mu się w głowie obraz setek zegarów i zegarków w posiadaniu jego nemezis.

– Są ulepiani z tej samej gliny. Inteligentni. Taktycy. Można ich nazwać mrocznymi artystami. I obaj mają obsesję na punkcie urządzeń mechanicznych. Bardzo retro.

– Jesteś chyba dzisiaj w poetyckim nastroju.

Wrócił myślami do sprawy.

– I rzeczywiście ten dziennikarz ma alibi? Przypomnij mi, jak on się nazywa.

– Sheldon Gibbons. Rzeczywiście. Wszystko potwierdzają sąsiedzi, żona, a do tego bilingi telefonów i zapis kamer monitoringu. Dziwne. Wyglądał mi na najbardziej podejrzanego, a okazał się najbardziej prawdziwym dziennikarzem z całej zgrai. Píše książkę demaskującą Joannę.

– Jak idzie Nowemu?

– Niedługo skończy.

Pulaski przeprowadzał oględziny mieszkania Joanny w Battery Park City i przeszukiwał jacht. Nie mieli pojęcia, kiedy Ślusarz przebywał tam po raz ostatni – tydzień temu, może dwa. Raczej nie należało liczyć na to, że tych dwoje zapisało na papierze albo nośniku danych informacje pozwalające zidentyfikować Ślusarza, z którym przypuszczalnie kontaktowali się za pomocą telefonów na kartę. Rhyme miał nadzieję, że znajdzie się przynajmniej trochę mikrośladów.

To jednak też wydawało się mało prawdopodobne. Pulaski zameldował, że luksusowe wnętrza niedawno musiały przeżyć najazd niezwykle pracowitej ekipy sprzątającej. Bez względu na to, czy chodziło o wymazanie jakichkolwiek związków między nią a Ślusarzem, czy po prostu zawsze Joanna była tak pedantyczna – skutek był ten sam.

W sterylnej części laboratorium Mel Cooper kończył analizę śladów zebranych w apartamencie Averella Whittakera, choć Rhyme nie przypuszczał, by znalazło się tam coś istotnego. Ślusarz nigdy nie odwiedził tego miejsca.

I tak rzeczywiście było, poinformował go Cooper.

– Jedź do domu, Mel – poradził Rhyme. – Ale po drodze pokaż się w laboratorium w Queens. Pamiętaj, że jesteśmy zdrajcami.

Wciąż obowiązywała cena za głowę Rhyme'a i wszystkich jego współpracowników, wyznaczona przez Beauforta, Pottera i burmistrza Harrisona.

Cooper wyszedł z laboratorium, wyrzucił rękawiczki, czepek i ochraniacze butów, potem wrzucił biały bawełniany kitel do wiklinowego kosza, by Thom go wyprał. Poszedł do łazienki na parterze, wyszorował się, po czym rzucił „na razie” i opuścił dom tylnym wyjściem.

Z holu zawołał męski głos:

– Jesteśmy gotowi, pani detektyw!

– Złap go, Sachs! – krzyknął Rhyme.

Parsknęła śmiechem i wyszła na korytarz przy wejściu do domu.

Rhyme podjechał wózkiem do drzwi salonu.

Ekipa filmowa – trzech młodzi ludzie w dżinsach i koszulkach roboczych albo T-shirtach – ustawiła skomplikowaną kamerę na solidnym statywie. Jeden z nich podał jej mikroport, który przypięła do bluzki.

Na przenośnym metalowym stoliku stał niewielki monitor. Nadawano w nim transmisję z konferencji prasowej odbywającej się w komendzie głównej One Police Plaza. Prowadził ją naczelnik Brett Evans, który wsparł Rhyme'a podczas incydentu z uniewinnieniem Buryaka. Mówił o aresztowaniu Joanny Whittaker i jej narzeczonego, Martina Kempa, za usiłowanie zabójstwa stryja oraz porwanie Kitta, na którego zamierzali zrzucić winę za śmierć Whittakera.

– Będzie pan odliczał na palcach? – spytała operatora kamery Sachs. – Pięć, cztery, trzy?

Producent odpowiedział jej uśmiechem.

– A chce pani?

– Pewnie.

Głęboko zaczerpnęła tchu. Amelia Sachs była kobietą, która jeździła samochodami dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, do której nieraz strzelano i więcej niż raz próbowano pogrzebać ją żywcem – tego bała się najbardziej – lecz żadnemu z tych przeżyć nie towarzyszyło niekontrolowane przyspieszenie pulsu. Jako modelka pracowała dla największych firm odzieżowych i kosmetycznych na świecie – te zadania nie wymagały

jednak od niej wygłaszania żadnych kwestii; miała milczeć i po prostu wyglądać ponętnie. Rhyme miał wrażenie, że się denerwuje... i złości się na siebie, że nie umie zachować spokoju.

Posłał jej uśmiech. Zaśmiała się i odwróciła, by spojrzeć w obiektyw kamery.

– Zaraz wchodzimy.

Na ekranie Evans mówił:

– Chcielibyśmy też prosić o pomoc w odnalezieniu tego niebezpiecznego przestępcy wszystkich w obszarze metropolitalnym Nowego Jorku. Zwróciłem się do jednego z naszych detektywów z prośbą o podanie rysopisu Ślusarza oraz innych istotnych informacji. Jeżeli zobaczą państwo osobę, która waszym zdaniem odpowiada tej charakterystyce, proszę natychmiast zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Pod żadnym pozorem, powtarzam, pod żadnym pozorem nie należy podejmować prób zatrzymania go na własną rękę. Teraz poproszę o szczegóły detektyw Amelię Sachs z policji Nowego Jorku.

Głos z monitora zamilkł, zapaliła się czerwona lampka, odliczający na palcach operator zrobił, o co prosiła.

– Dobry wieczór. – Sachs nie miała napisanego tekstu, ale nie musiała. Stała obok tablicy, na której Mel Cooper swoim precyzyjnym charakterem pisma wypunktował najważniejsze dane Ślusarza. Wyrecytowała je teraz. Płeć, budowa ciała, numer buta, modus operandi, obsesyjne zainteresowanie zamkami, prawdopodobieństwo uczestnictwa w zjazdach lockpickingu, związek z budynkiem Sebastiano Bakery Supply przy Argyle Street. Ostatnio jeździł audi A6 i wiadomo, że odwiedzał miejsca, w których doszło do włamań, a także budynek Sandleman.

– Obecnie pracujemy nad analizą dowodów w laboratorium kryminalistycznym w Queens – dodała.

Zaimprovizowane zdanie było sprytnym posunięciem.

– Badamy ślady, które właśnie odkryliśmy. Niebawem spodziewamy się zwrotu w śledztwie, ale dowody to tylko jedna z dróg do znalezienia tego człowieka. Potrzebujemy świadków. Potrzebujemy was. – Skinęła głową, a czerwone oko kamery zgasło.

Głęboko odetchnęła.

– Świetnie. – Operator kamery uniósł brew. – Gdyby kiedyś znudziła się pani policyjna robota, mogłaby pani pomyśleć o aktorstwie.

– Raczej zostanę w policji. Mniej stresu.

Jem spartański posiłek w skromnym barze – całkiem sympatycznej knajpce pełnej fachowców pochylonych nad ekranami telefonów, tabletów, laptopów, rozgadanych pracowników fizycznych, zakochanych, którzy spędzili już ze sobą dwa, trzy miesiące i nie muszą się już umawiać w przesadnie eleganckich lokalach.

Oświetlenie jest zielone i zimne, ale nikt się tym nie przejmuje.

Miseczka zupy, grube grzanki ociekające masłem. Napój gazowany. Oczywiście bezkofeinowy.

Też mam przed sobą urządzenie – komputer, na którym czytam wiadomości o śmierci mojego warsztatu. Wszystko przepadło, wiele moich ukochanych narzędzi, zamków i kluczy. Dziwię się, że tak szybko się o nim dowiedzieli. Mam wrażenie, że to nie Joanna podała im adres; jakimś cudem ustalili go Lincoln i Amelia. (Niestety, Joanno, chyba właśnie straciłaś tę kartę przetargową).

Szkoda, że musiałem podłożyć w warsztacie bombę (i szkoda, że nikt nie zginął podczas nalotu policji). Nie miałem jednak innego wyjścia. Pora zabrać pieniądze, najważniejsze rzeczy, ulubione narzędzia i prysnąć.

Chociaż jeszcze nie do końca.

Przełączam ekran i ponownie loguję się na kanał Tammybird. Och, maleństwo wciąż jest wśród żywych. Siedzi właśnie w domu babci i dziękuje wszystkim za wsparcie. Bogu też, co wywołuje uśmiech na mojej twarzy, bo oczywiście mowa o mnie. Dziewczyna uzyska fachową pomoc. Na ekranie wydłuża się lista komentarzy.

Super, że lepiej się czujesz. LOL!!!

Cieszę się, że już u Ciebie dobrze. ♥

Luzerka.

Dzięki Tobie postanowiłam z kimś porozmawiać. ☺

Zdejmij górę!

Kogo to obchodzi, jesteś bardziej nudna niż klipy z unboxingu.

Do widzenia, Tam, myślę. I zaglądam na jeszcze jedną stronę. Teraz oglądam dziewczynę wykonującą ćwiczenia gimnastyczne, jakie dziesięć tysięcy innych dziewczyn i młodych kobiet pokazuje co dzień na ViewNow, YouTube i w innych serwisach.

Myślę o optymistycznej opinii doktor Patricii, że nie jestem całkiem stracony, skoro mam dziewczynę. Zadała mi pytanie, czy się z kimś widuję. Odparłem, że tak i że ma na imię Aleksandra.

Nie wiedziała tylko, że widywałem się z kimś, ale sytuację dokładniej oddawałoby słowo „oglądałem”. Godzinami wysiadywałem przed ekranem, obserwując kanał młodej Rosjanki na ViewNow. Aleksandra mieszka na przedmieściach Moskwy i nigdy nie była w Stanach Zjednoczonych. Pozostaję z nią w bliskim związku, chociaż ona w nim nie uczestniczy. Nie wie nawet o moim istnieniu.

Pamiętam, że w komentarzach pod instrukcją makijażu ktoś napisał, że z taką szczupłą figurą i włosami uczesanymi w kok wygląda jak gimnastyczka.

– Wszystkie rosyjskie dziewczynki, kiedy są małe, są tancerki albo gimnastyczki – odparła. – Nie ma żadnych wyjątków od reguły.

Dziewczyna, którą właśnie oglądam podczas ćwiczeń rozciągających, jest bez wątpienia utalentowana, chociaż zastanawiam się, czy wie, że większość z siedmiu tysięcy czterystu trzydziestu pięciu oglądających ją osób to nastolatki i mężczyźni w średnim wieku, którzy mają gdzieś układy na planszy i wprawę w ćwiczeniach na równoważni. Podejrzewam, że nie ma o tym pojęcia.

Jeżeli o mnie chodzi, to nawet nie oglądam wygibasów Rooney Soames. Patrząc na tło za nią, sprawdzam, co zapamiętałem z mieszkania, które zajmuje z matką, Taylor – kobietą, która na pewno co wieczór dręczy się pytaniem, kim naprawdę jest Ben Nelson i czego od niej chciał.

W szczególności sprawdzam, czy zniknięcie Nelsona niepokoi ją na tyle, by zmieniła zabezpieczenia domu. Widzę, że nie.

Zamek wpuszczany Hargrove i patentowa wkładka w gałce, które mogę otworzyć dwoma spinaczami.

Prosty alarm, żadnej sztaby antywłamaniowej.

Ciągle nie widzę też broni – na Manhattanie to niemal reguła (choć czasem zdarza się myśliwy i można zobaczyć wiekowy karabin dziadka z drugiej wojny światowej, równie celny i śmiertelny co sześćdziesiąt pięć lat temu).

Odkąd ostatni raz oglądałem klipy, dziewczyny nie sprawiły sobie rottweilera ani pitbula.

Dzisiejsza Wizyta pójdzie jak z płatką.

Teraz dziewczyna wygłasza mały wykład na temat mięśni udowych – zginaczy stawu kolanowego.

Ciekawe, czy będzie zdruzgotana, kiedy się dowie, że przez jej bezmyślnie zrealizowane wideo ukazujące światu słabe punkty mieszkania to ona będzie winna śmierci matki? Rooney już wygadała się przed Benem Nelsonem, że jedzie na obóz gimnastyczny do

Wilmington. Według mojej oceny powinna już wyjechać. Czyli wieczorem Taylor będzie w domu sama.

A jeśli nie... cóż.

Uczę się na pamięć rozkładu mieszkania, po czym wyłączam komputer. Kończę ostatnie łyżki zupy – jest całkiem pożywna i smaczna – i myślę o losie niewinnej kobiety.

Zaraz się jednak poprawiam.

Niewinnej?

Oczywiście, że nie. Jasne, nie zrobiła nic, by zasłużyć na to, co się z nią stanie, ale podobnie rzecz się ma z gazelą, która nieostrożnie odłącza się od stada i nie reaguje na zapach drapieżnika, bo nie potrafi się oprzeć tym kilku ostatnim listkom. Pojęcie sprawiedliwości jest związane wyłącznie z człowiekiem i nie zawsze pasuje do każdej sytuacji, w której ktoś zaczyna dzień żywy, a kończy martwy.

Och, Taylor...

Czuję w kieszeni ciężar mosiężnego noża. Wyobrażam sobie jego ostrze zawieszane nad ciałem.

Wyobrażam je sobie pograżone w ciele.

Plącę rachunek i wychodzę w nowojorski wieczór pełen zapachów spalin, czosnku z jakiejś włoskiej restauracji i perfum, którymi skropiono szyje kobiet ogarniętych właśnie randkową euforią i mijających mnie w towarzystwie swoich partnerów.

Po kilku minutach jestem przy swoim samochodzie – nie audi Kitta Whittakera, lecz mojej własnej skromnej toyocie. Na tylnym siedzeniu rozpinam płócienną torbę i wydaję brązowy kombinezon. Wkładam go i zapinam pod samą szyję. Podchodzę do bagażnika i go otwieram.

Jest tam karton przypominający paczkę, którą mógłby doręczyć kurier UPS. Wrzucam do niego radiowe urządzenie blokujące alarmy.

Kłapa bagażnika opada, a ja rozglądam się po okolicy, po czym ruszam na stację metra kilka ulic dalej i wsiadam do pociągu. Wkładam do uszu słuchawki, udając, że słucham muzyki, i przyglądam się współpasażerom. Zastanawiam się, gdzie mieszkają, jak wyglądają ich domy, jak wyglądają ze swoimi partnerami, gdy siadają do kolacji albo idą do łóżka.

Otwieram ich życie. Poznaję ich sekrety...

Gdy kolejka zatrzymuje się na stacji, wychodzę na peron, do słonego, pachnącego rozgrzaną gumą wnętrza nowojorskiego metra.

A potem wynurzam się na ulicę.

Parę ulic dalej mijam drzwi wejściowe, które niebawem sforsuję, i oglądam je pobieżnie, szukając zagrożeń.

Niczego takiego nie zauważam.

Widzę tylko ludzi, którzy biegną, jedzą, idą z kimś pod rękę, wloką się, skupieni na sobie i własnym bezpieczeństwie.

Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Jestem kurierem.

Jednym z tysięcy w Nowym Jorku.

Jestem niewidzialny.

Opieram się o solidne drzewo, udając, że rozmawiam przez telefon, dopóki nie uznaję, że zagrożenie jest minimalne.

Ściskając karton, wspinam się po schodkach do drzwi. Sięgam do pudła i wciskam włącznik nadajnika RF, by wysłać fale radiowe, które zmylą alarm po drugiej stronie drewnianej przegrody.

Klepię się po tylnej kieszeni, by się upewnić, czy mosiężny nóż jest w zasięgu dłoni. A potem wydaję klucze, które wcześniej wyciąłem.

Potraktowałem je grafitem, więc nie zacinają się w zamkach.

Otwieram drzwi, wchodzę do środka.

Powoli, głęboki wdech... ale pełne napięcia pięć sekund szybko mija; magiczne właściwości mojego radiowego szumidła znowu okazały się skuteczne. Kiedy delikatnie zamykam drzwi, alarm milczy.

Tym razem nic nie szczęka. Nie grozi mi katastrofa równa tej z 2019.

Wyjmuję z kieszeni nóż i otwieram, uważając, by ten manewr też odbył się w absolutnej ciszy.

Lincoln Rhyme przebywał w obcej sobie przestrzeni.

We własnej kuchni.

Nigdy nie przepadał za gotowaniem. Z pewnością nie miał nic przeciwko smacznemu daniu, ale traktował jedzenie przede wszystkim jak paliwo. Jeżeli cokolwiek naprawdę go interesowało, to chemia procesów kulinarnych. Thom, mistrz miksera, noża i ognia, opowiadał mu, jak ścinają się żółtka jajek, jak pęcznią drożdże, a oliwa i płyn – chemiczni wrogowie – zawierają sojusz, gdy mają trafić do sałaty.

Rhyme zasugerował asystentowi, by napisał książkę o nauce w kuchni. Thom odparł, że to o sto lat za późno.

Zabrzączał telefon.

– Sachs?

– Jestem w komendzie – powiedziała przez głośnik. – I w centrum operacyjnym. Po moim występie odebraliśmy ponad trzysta telefonów.

Nie spodziewał się aż tylu.

– Jakiś znaczący trop?

– Kilka razy chyba go widziano. W większości świadkowie z Argyle Street, w okolicy budynku Sebastiano.

– No i?

– Jeszcze sprawdzam. Rzuciliśmy okiem na zapis z monitoringu w pobliżu mieszkania Joanny, ale jeżeli Ślusarz w ogóle tam był, to udało mu się uniknąć kamer. Przy wejściu dla personelu jest ślepa strefa. – Zachichotała. – Dzwoniła jakaś kobieta i twierdziła, że Ślusarz jest kosmitą i ona ma na to niezbite dowody.

– Przy takich okazjach ujawnia się sporo płaskoziemców.

Spoważniała.

– Słyszałeś, jak rozwija się sytuacja Verum?

– Nie. Jako członek Ukrytych jestem niedoinformowany.

– Wygląda na to, że Joanna – a raczej jej alter ego – ma tysiące wyznawców. Nie są zachwyceni, że ich ukochana przywódczyni trafiła za kratki. Duży ruch w sieci, groźby. Jakieś zamieszki. Słowo daję.

– Kiedy wrócisz do domu?

– Późno. O drugiej, trzeciej. Albo wcześniej, jeżeli trafimy na ślad i go przyskrzynimy.

– Optymistka... Dobranoc.



Rozłączył się i rozejrzał.

Okna i panele w kuchni wyglądały jak sto pięćdziesiąt lat wcześniej, ale zainstalowano tu wiele najnowocześniejszych urządzeń – podobnie jak w salonie dziesięć metrów stąd.

Spojrzał na noże, łyżki i łopatki w dziwnych kształtach. Był tu drewniany cylinder z wypaloną skalą w calach i centymetrach. Aha, wałek do ciasta.

Nie odwiedził jednak tego pomieszczenia, by zgłębiać tajniki przekształcania fauny i flory w formy jadalne. Chodziło mu o whisky, a ściślej rzecz biorąc, całkiem złą osiemnastoletnią glenmorangie. Zdjął z półki butelkę, wsunął sobie między nogi, po czym krótkim ostrym nożem rozciął papierową osłonkę. Korek okazał się nieco większym wyzwaniem, ale pół minuty później było już po wszystkim. Rhyme nalał sobie szklaneczkę, nie roniąc ani kropli.

Odstawił butelkę na blat i wypił mały łyżeczek.

Niebo w gębie.

Za pomocą serdecznego palca lewej dłoni na panelu dotykowym zawrócił wózek i wyjechał na korytarz. Minął wejście do jadalni, pomieszczenia urządzonego tradycyjnie, zwieńczonego ozdobną listwą u sufitu, pod którym stał stół dla ośmiu osób. Nogi stołu były zakończone lwimi łapami trzymającymi kule – Rhyme zawsze odczytywał ten detal jako drwinę z siebie, ponieważ swoimi palcami stóp nie mógł i prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł niczego złapać. Było to jedno z wielu spostrzeżeń, które w ciągu pierwszych miesięcy jego odmienionego stanu sprawiały mu ogromny ból, a dzisiaj co najwyżej budziły w nim rozbawienie.

Ciekawie zmienia się perspektywa...

Tuż przed sprawami Buryaka i Ślusarza zjedli tu z Amelią bardzo smaczny posiłek.

Jadąc niemal bezszelestnie po gładkich dębowych podłogach, Rhyme skręcił wózką w prawo do większego z dwóch salonów od frontu, tego, w którym mieściło się laboratorium.

Zahamował i opuścił szklaneczkę, z której właśnie chciał się napić.

W pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersi stał mężczyzna o średniej budowie ciała, ciemnych włosach, w brązowym uniformie kuriera. Patrzył na jedną z tablic, na której spisano listę dowodów w sprawie zabójstwa Alekosa Gregoriososa.

Intruz trzymał w prawej dłoni nóż. Bładożółty kolor oznaczał, że ostrze zostało zrobione z mosiądzu, najprawdopodobniej domowym sposobem. Rhyme domyślił się teraz, że drobne skrawki tego metalu, które Amelia znalazła na miejscu zdarzenia, być może nie powstały podczas wycinania kluczy, lecz ostrzenia tego noża.

Mężczyzna odwrócił się do niego.

Rhyme spojrzał na jego twarz spod lekko przymrużonych powiek. Trudno go było zaskoczyć, teraz jednak na pewno się zdumiał.

Oczywiście nie miał wątpliwości, że mężczyzna w kombinezonie, który z taką łatwością sforsował zamki w drzwiach i system alarmowy, to Ślusarz.

Nigdy nie odgadłby jednak jego prawdziwej tożsamości: rzut oka na zdjęcie z wydziału komunikacji, które zawieszono na tablicy, potwierdził, że to Yannis Gregorios, który zakłuł nożem własnego ojca w ogrodzie za bezpretensjonalną rezydencją rodzinną w uroczej części Queens.

Zanim się jeszcze odezwał, zorientowałem się, że w pokoju jest ze mną Lincoln Rhyme.

Dziwne, jak to się dzieje. Dochodzi być może do załamania fal akustycznych, które są pochłaniane w inny sposób, gdy przestrzeń naruszy dynamicznie poruszająca się ludzka postać, zwłaszcza na skomplikowanym pojeździe mechanicznym.

– Nie zadawaj sobie trudu i do nikogo nie dzwoń – mówię do niego. Wskazuję na nadajnik RF. – To pudełeczko zagłusza wszystkie obwody. Włączyłem je, kiedy skończyłeś rozmawiać z Amelią.

Palec Lincolna mimo to leży na panelu dotykowym. Zielona lampka na moim nadajniku oznacza jednak, że jesteśmy odizolowani od reszty świata, jak to tylko jest możliwe na Manhattanie.

Odwracam się z powrotem do tablicy, na której wisi moje zdjęcie i zdjęcie ojca. Fotografii zrobił technik kryminalistyki, któremu udało się nieźle uchwycić grymas bólu poprzedzający spokój śmierci.

A więc Lincoln uważa mnie za podejrzanego. Ciekawe dlaczego.

Moje zdjęcie pochodzi z prawa jazdy. Nic dziwnego, że policja, która przeczesła całe miejsce zdarzenia, czyli dom ojca, nie znalazła żadnej odpowiedniej fotografii. Nie miał ani jednej.

*Pański syn to zboczeniec...*

– Nie uwierzyliście, że zrobił to Xavier?

Rhyme z niewzruszonym spokojem mówi:

– To nie była moja sprawa, więc nie skupiałem się na szczegółach, dopóki nie pomyślałem o braku ran obronnych. Sprawcą mogła być osoba, którą ofiara znała. Byłeś tam wcześniej, może wróciłeś. Rozmawiałeś z nim. I nagle... – Ruchem głowy wskazuje nóż.

Słyszę głos Joanny:

*Dlaczego chciałeś mnie zabić?*

*Musiałem...*

Jak użytkownik ViewNow, który wrzucił scenę egzekucji przeprowadzonej przez Los Zetas, musiałem mieć coraz więcej i więcej...

Stąd moja Wizyta w mieszkaniu 2019, stąd pierwsze użycie noża.

I sam zobaczyłem, jak to się skończyło.

*Nie, absolutnie nie. Nikomu nie może spaść włos z głowy...*

Ale pragnienie nie zniknęło.

Dlatego złożyłem wizytę ojcu.

*Musisz z nim o tym porozmawiać. Powiedz mu, jaki wpływ wywarła na ciebie ta piwnica. Możliwe, że będzie cię prosił o wybaczenie. Pogodzicie się...*

To właśnie zrobiłem. Umówiłem się z nim na kolację i rozmawiałem z nim o moim uwięzieniu.

Powiedział, że dzięki temu stałem się mężczyzną.

Odparłem, że na pewno dzięki temu stałem się tym, kim jestem.

Podziękowałem za kolację i wyszedłem, ale kilka godzin później wróciłem i zabiłem go trzema ciosami noża.

Rzeczywiście prosił. Ale nie o wybaczenie, tylko o darowanie życia.

Lincoln przygląda mi się badawczo. To intensywne, wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie. Ciemne oczy przenikają mnie do głębi.

– Wiem, że jesteś dobry w tym, co robisz – mówi i chyba nie żartuje. – Ale jak ci się tu udało...

Urywa i prychnie ponurym śmiechem, zerkając na drzwi wejściowe.

– Zobaczyłeś wideo, które zrobiła Amelia! Zwróciłeś uwagę na markę zamka i go otworzyłeś!

– To prawda, jestem dobry, ale nie miałbym czasu bawić się w otwieranie zamków na Central Park West. Dostałem się, bo miałem klucze. Pojechałem za wami do tego pożaru na Lower West Side. Miałem plan stuknąć kierowcę w głowę i sfotografować klucze. Na swoje szczęście zostawił je w stacyjce mercedesa sprintera. Ale potrzebowałem tego nagrania, żeby zobaczyć, jaki to alarm. BRT-4200. Dobry system. Musiałem zaprogramować trzy osobne kody blokady. Skomplikowana sprawa. – Wskazał na panel alarmu. – Ale jak słyszysz – a raczej nie słyszysz – nie aż tak skomplikowana.

Lincoln na moment przymyka oczy.

– A więc tak dostawałeś się do mieszkań ofiar. Dzięki wideo. Annabelle Talese to influencerka. Carrie Noelle prowadziła w mieszkaniu sprzedaż zabawek.

W jego oczach dostrzegam błysk, który postanawiam zinterpretować jako podziw.

– I w ten sposób poznałeś Joannę Whittaker – ciągnie Lincoln. – Oglądałeś jej występy jako Verum. To musiało być trudne. Przypuszczam, że zadała sobie wiele trudu, by zachować anonimowość.

– To było wyzwanie – odpowiadam. I cmokam z dezaprobatą. – Ale nie nazywałbym ich „ofiarami”, Lincoln. Każdy, kto nagrywa wideo w domu, staje się współwinny.

Opowiadam mu o swojej teorii, że media społecznościowe to forma doboru naturalnego.

– Usuwam tylko osobniki nieświadome, głupie i słabe.

Rhyme znowu spogląda na drzwi.

– Jesteśmy zupełnie sami. Jeżeli chcesz mi powiedzieć, że niedługo wróci twój asystent, to pół godziny temu widziałem, jak wychodził. Wsiadł do samochodu przyjaciela.

Pocałowali się. Wiem o Thomie i jego partnerze – w internecie były artykuły o jego wiernej służbie na twoim dworze. Czyli dzisiaj ma wolne. A Amelia jest w komendzie. Słyszałem, jak sama ci to mówiła. Zresztą to nie potrwa długo.

– Yannis. Chcesz, żeby tak do ciebie mówić?

– Mówią mi Greg. Od nazwiska.

– Greg. – W jego głosie brzmiał rzeczowy, analityczny ton. Bez cienia obawy. Przychodzi mi do głowy, że ktoś w jego stanie często mierzy się z groźbami śmierci. – Czy oprócz twojego ojca są jeszcze inne ofiary? Przepraszam, ale to naprawdę są ofiary.

Przypominam sobie, jak daleko posunąłem się z Carrie – niewiele brakowało do odegrania sceny pod prysznicem. Śmierć ojca mnie wyzwoliła, ale Joanna powiedziała „nie”, więc wyszedłem, nie wyjmując noża z kieszeni.

– Nie, tylko on.

– A teraz chcesz mnie zabić i uciec z miasta?

Wprawdzie wolałbym złożyć Wizytę w brooklińskim mieszkaniu Amelii Sachs – po prostu nie potrafię wyrzucić z głowy obrazu jej włosów jako skrzydeł jastrzębia – ale musiałem najpierw iść do Lincolna. Gdybym zabił ją pierwszą, zrobiłby wszystko, by mnie znaleźć.

A gdy go już nie będzie, przyjdzie pora na moją Wizytę u Taylor Soames.

Przyglądam się uważnie Lincolnowi.

– Zamykamy samochody, domy, biura, pieniądze w bankach. Wiem wszystko o zamkach, każdego rodzaju, ale nigdy wcześniej nie natknąłem się na kogoś takiego jak ty.

– Ja?

– Zamkniętego człowieka. Jesteś zamknięty, Lincoln. I może cię uwolnić tylko jeden klucz.

Czy to jest narzędzie zbrodni? – pyta Lincoln.

– Zgadza się.

– Pomazałeś jego krwią nóż do mięsa i podrzuciłeś do szafki Xaviera w schronisku.

Kiwam głową i przypominam sobie, jak ostrzyłem swój składany nóż. Wymagał osełki po bliskim spotkaniu z żebrami ojca.

– Mosiądz – zauważa Lincoln. – Stop miedzi i cynku. Czasem z dodatkiem manganu, aluminium, arsenu.

Ten metal zawsze ciekawił mnie pod względem chemicznym – to stop substytucyjny. Niektóre atomy miedzi są zastępowane atomami cynku. Podoba mi się ta symetria. Ale dlaczego mosiądz? Jest bardziej miękki od brązu, na którego cześć nazwano całą epokę historyczną.

– Bo z mosiądzu robi się klucze – wyjaśniam. I uśmiecham się kpiąco. – Poza tym nie powinieś go tak deprecjonować. To instrumenty dęte, monety, łuski amunicji.

Lincoln kręci głową.

– Na miejscach odwiedzonych przez Ślusarza znaleźliśmy zaschniętą krew. Określiśmy jej pochodzenie mniej więcej na dzień, w którym został zabity twój ojciec. I w ogóle nie skojarzyliśmy jednego z drugim.

Jak gdyby mówił do siebie.

Przechodzę do następnego punktu.

– Zakazano ci współpracy z policją Nowego Jorku. Jesteś w takim stanie, w jakim jesteś.

– Spoglądam na wózek. – Można by pomyśleć, że nie miałbyś nic przeciwko śmierci. Nauczyłeś swoją żonę, Amelię, i protegowanych wszystkiego, co wiesz. Przekazałeś pałeczkę. Masz nerwy w szyi?

– Wszędzie mam nerwy – odpowiada kwaśno Lincoln.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Mam czucie w szyi. Poniżej barków już nigdzie.

– Nie chcę, żeby cię bolało. Czyli żyła szyjna nie wchodzi w grę. Ale gdybym przeciął żyły na rękach, nie poczułbyś tego?

– Nieprawda. Poczulbym cholerną złość.

Jak mam się nie uśmiechnąć?

– Jesteś zagadką, Lincoln. Tak samo jak najlepsze zamki. Łamigłówki i zamki bębnekowe mają dużo wspólnego. Słyszałeś o Richardzie Feynmanie?

– Oczywiście. To fizyk. Jeden z twórców bomby atomowej.

– Uwielbiał zamki. W Alamogordo po godzinach było niewiele do roboty. Zabawiał się otwieraniem zamków szyfrowych w szafkach na dokumenty, gdzie przechowywano sekrety broni jądrowej. Zamki, zagadki...

Za długo to trwa, powinienem już iść. Nie mogę się doczekać Wizyty u Taylor Soames i być może Roonie.

*Powoli rozciągnijcie mięśnie udowe i nie zapomnijcie włożyć getrów...*

Ruszam w jego stronę.

Przechyla głowę.

– Zanim to zrobisz, proszę, odpowiedz na jedno pytanie.

Przystaję.

– Jak twoim zdaniem wyglądałoby piekło?

Jest tylko jedna możliwość: wieczne uwięzienie w miejscu, gdzie nie mogę zaglądać w niczyje prywatne życie, nie mogę nikomu wśliznąć się do sypialni i podejść na tyle blisko, by wyczuć ciepło bijące od śpiącego ciała. Nie mogę otworzyć niczyjego sekretu.

Nie mogę otworzyć niczyjego ciała...

Oczywiście nie odpowiadam na to pytanie.

Wygląda jednak na to, że nie muszę. Na twarzy Lincolna Rhyme'a widzę wyraz pełnego zrozumienia. Towarzyszy temu minimalne przymrużenie oczu, które kojarzy się ze smutkiem i goryczą.

I w szoku uświadamiam sobie, że to spojrzenie nie wyraża żalu nad własnym losem, lecz współczucie dla mnie.

Chryste, nie!

Nagle otwierają się drzwi drugiego salonu po przeciwnej stronie wejścia i wybiega stamtąd kilka osób, mężczyzn i kobiet. Część z nich ma mundury, wszyscy trzymają broń. Nie dziwi mnie widok Amelii na czele i rozumiem już, że to, co mówiła przez telefon, było przygotowaną wcześniej kwestią, która miała mi wmówić, że jest w komendzie głównej.

Krzyczą tak głośno, że każde słowo wibruje mi w piersi.

– Rzuć to, rzuć broń!

Jestem tak wstrząśnięty, że nie potrafię się ruszyć, nie potrafię rozluźnić zaciśniętych na nożu palców.

*Wieczne uwięzienie w miejscu, gdzie nie mogę zaglądać w niczyje prywatne życie...*

Biję się z myślami, czy zrobić krok w ich stronę.

I pozwolić, żeby tak się to wszystko skończyło.

Ale robią to nie po raz pierwszy i wykorzystując chwilę mojego wahania, rzucają się na mnie.

Niech mnie diabli, jeżeli to nie jest mimo wszystko gliniarz psycholog.

Rhyme spojrzął z ukosa na swojego dawnego partnera.

– Słucham? – burknął.

– Mówię o twoim przesłuchaniu – wyjaśnił Sellitto. – Skłoniłeś faceta, żeby przyznał się do zabójstwa ojca. Dowiedziałeś się, że nie było więcej ofiar. Wystarczyło trochę zamącić mu w głowie. Widzisz, Linc, dowody to jednak nie wszystko.

Wzruszenie ramion.

– Uznałem, że skoro już go mamy, to czemu nie pogadać? To jasne, że ma problemy z ojcem, więc pomyślałem, że trochę go zirytuję i zobaczę, co z tego wyniknie. Łatwo jest skłonić kogoś do przyznania się do winy, jeżeli za chwilę zamierza zamordować tego, komu się przyznał. Ale prawdę mówiąc, dowody to znacznie bardziej elegancki sposób uzasadnienia zarzutów i nic nigdy tego nie zmieni.

– Zawsze musisz mieć ostatnie słowo, co, Linc? – rzekł z uśmiechem Sellitto.

– Mhm.

Yannis Gregorios siedział na krześle ze skutymi z tyłu rękami. Jego oczy bezustannie się poruszały.

Amelia Sachs wyrecytowała przysługujące mu prawa, a potem spytała:

– Czy przed przesłuchaniem chce się pan zrzec prawa do rozmowy z adwokatem?

– Nie – odpowiedział z roztargnieniem Gregorios.

Decyzja nie miała żadnego znaczenia, mieli dość dowodów, by zamknąć go na zawsze.

Rhyme zwrócił uwagę, że przygląda się drzwiom i oknom – a konkretnie klamkom i zamkom.

– Nowy?

– Tak, Lincoln? – odezwał się Ron Pulaski.

– Załóż mu plastikowe bransoletki.

– Mamy kajdanki z podwójnymi zamkami. Nikt nie potrafi się z nich wywinąć.

Rhyme opuścił głowę, a policjant widocznie zrozumiał, że zatrzymany, którego niebawem odstawią do centrum, nosi pseudonim „Ślusarz”.

– Aha, racja.

Młody człowiek zatrzasnął mu na przegubach jednorazowe plastikowe kajdanki.

Twarz Gregoriososa nie zdradzała złości, jakiej można by się spodziewać. Spoglądał na Rhyme’a, jak gdyby byli rywalami w szachowym meczu o tytuł mistrza, a Lincoln właśnie



wykonał pierwszy ruch w długo wyczekiwanej partii.

Kiedys Zegarmistrz popatrzył na niego z identycznym wyrazem twarzy.

Przyjechało dwoje mundurowych, mocno zbudowany mężczyzna i kobieta.

– Transport do centrum zatrzymań.

Pulaski ruchem głowy wskazał Gregoriosa, po czym funkcjonariusze patrolu wzięli go pod rękę i skierowali się do drzwi, a Pulaski ruszył za nimi.

– Chwileczkę – odezwał się Gregorios. Jego eskorta przystanęła. Obejrzał się i popatrzył na Rhyme'a. – Wygląda na to, że teraz obaj jesteśmy zamknięci. Ciekawe, kto uwolni się pierwszy.

Odwrócił się i cała czwórka zniknęła za drzwiami.

W rozmowie z Gregoriosem Rhyme wyraził zdziwienie łatwością, z jaką wdarł się do jego zamku – i do domów innych ofiar. W rzeczywistości jednak jego zespół domyślił się, na czym polegał modus operandi Ślusarza – Talese i Noelle pokazywały w internecie swoje mieszkania, systemy bezpieczeństwa, można się było zorientować, że mieszkają same, łykają tabletki pomagające zasnąć i pozwalają sobie na kieliszek wina do poduszki.

Dlatego Rhyme zaproponował, by Sachs z jego domu nadała apel o pomoc w śledztwie i by obiektyw kamery ujął zamki w drzwiach i panel sterowania systemu alarmowego.

Nie wiedzieli, czy to przyniesie skutek. Ale warto było spróbować.

Zespół obserwacyjny z policyjnego działu technicznego zainstalował kamery przed domem, a potem Rhyme dał Thomowi wychodne i polecił mu odjechać z partnerem. Sellitto i Sachs zainstalowali oddział specjalny w drugim salonie.

Ślusarz połknął haczyk.

Teraz Sachs i Mel Cooper pakowali dowody. Na ekranie telewizora, nastawionego na kanał informacyjny w telewizji kablowej, pojawił się napis Z OSTATNIEJ CHWILI. Prezenterka powiedziała:

– Na Manhattanie aresztowano podejrzanego, domniemanego Ślusarza. Trzydziestoletniemu Yannisowi Gregoriosowi, moderatorowi treści w serwisie ViewNow, postawiono zarzuty popełnienia serii włamań, którymi terroryzował miasto.

Jest on również podejrzany o zabójstwo swojego ojca, Alekosa Gregoriosa, który w zeszłym tygodniu zginął od ciosów nożem.

Według źródła zbliżonego do policji, członkiem grupy ścigającej podejrzanego o zabójstwo był słynny kryminolog Lincoln Rhyme. Były kapitan policji Nowego Jorku jest najbardziej znany ze schwytania Kolekcjonera Kości, seryjnego porywacza i zabójcy, który przed laty grasował na ulicach miasta.

– O cholera – mruknął Sellitto.

Rhyme skrzywił usta.

– Wiem, wiem. Też doprowadza mnie to do szału. Zawsze myślą jedno z drugim. Kryminolog bada socjologiczne aspekty przestępstw, a dla mnie nie może być nic nudniejszego. Jestem kryminalistyką.

– Kurczę, przecież nie o to mi chodzi.

Rhyme zdał sobie sprawę, że Sellitto, Cooper i Sachs przerwali wykonywane czynności i na niego patrzą.

Nagle zrozumiał.

Teraz wszyscy – nie wyłączając osób z komendy głównej – będą wiedzieli, że złamał zakaz pełnienia funkcji konsultanta.

– Nie widzę żadnego problemu – oznajmił pogodnie. – Tak się składa, że złapałem tego psychopata, prawda? Stawiam dziesięć dolarów, że wybaczą i zapomną. Nie. Założę się o sto. Kto wchodzi?

**CZĘŚĆ SZÓSTA**

**Klucz krzyżakowy**

29 MAJA, GODZINA 9.00

Aresztować go.

Burmistrz Nowego Jorku, Tony Harrison, stał w oknie swojego gabinetu i patrzył na trójkątny fragment miasta, jego miasta, gdzie należało wykonywać wydawane przez niego rozkazy i przestrzegać ustanawianych przez niego zasad.

Najwyraźniej tak się nie działo.

– Rhyme ma trafić za kratki. Chcę, by wyrzucono wszystkich jego ludzi. Sachs, Pulaskiego... wszystkich. Na bruk. Bez prawa do emerytury. Da się to zrobić? – Harrison zauważył, że ma nierówno podwinięte rękawy; spod prawego wystawał łokieć. Poprawił to.

– Z emeryturami bym uważał. – Te słowa padły z ust barczystego, ogorzałego detektywa, Richarda Beauforta, który pracował w ochronie burmistrza. Mężczyzna był uderzająco podobny do pewnego aktora, którego nazwiska Harrison nie potrafił sobie przypomnieć. Może grał gliniarza w jakimś serialu. Albo agenta FBI.

– Musimy załatwić to ostrożnie – ciągnął Beaufort. – Przecież złapali Ślusarza. I tę Whittaker.

W spotkaniu uczestniczył także Abe Potter. W odróżnieniu od wystudiowanego luzu burmistrza, jego asystent nosił się z nienaganną elegancją – miał na sobie trzyczęściowy garnitur, dziś raczej rzadkość.

Wysportowany burmistrz przyglądał gęstą, starannie ułożoną siwiejącą czuprynę.

– Któryś z was widział oświadczenie Rolanda?

Miliarder Edward Roland, jego wygadany rywal do rezydencji gubernatora w Albany, wygłosił oświadczenie dla prasy trwające całe dwadzieścia minut.

– Nie – odrzekł Beaufort.

– Ja widziałem – przyznał Potter. – Niedobrze.

– Co mówił? – spytał Beaufort.

– Że nie panuję nad swoimi własnymi ludźmi. Wezwał mnie do wycofania się z wyborów. I powiedział, że zatrzymanie Ślusarza wymagało tyle czasu z powodu nadużyć w policji. Cytował posty Veruma.

– Którym była ta psychopatyczna bratanica Averella Whittakera – zauważył Potter. – I która już siedzi za zabójstwo.

– Jej zwolennicy – a jest ich naprawdę sporo – nie wierzą w te zarzuty. Twierdzą, że została wrobiona.

Harrison usiadł na zwykłym krześle biurowym, z którego korzystał, gdy był członkiem rady miasta na Brooklynie. Pierwszego dnia urzędowania kazał usunąć z gabinetu tron poprzedniego burmistrza.

– Trzeba to odkręcić i przypudrować. Damy do zrozumienia, że Rhyme nie odegrał żadnej istotnej roli w śledztwie. Że wyolbrzymiono jego zasługi. Dodamy, że jego niewielki – podkreślam, niewielki – wkład w dochodzenie w ogóle nie przyczynił się do wytropienia zabójcy.

Potter chrząknął.

– Hm, Tony, to za co właściwie mamy aresztować Rhyme’a, jeżeli to jego jedyna wina?

Harrison skrzywił twarz. Racja. Zastanawiał się przez chwilę.

– Ta ochroniarka...

– Słucham? – Beaufort nie wyglądał na przekonanego. Burmistrz dostrzegł jego wątpliwości i gest dłoni, który oznaczał, że to niewiele.

– No dobrze. Rhyme i jego zespół samowolnie przejęli śledztwo. Gdyby prowadził je lokalny posterunek i centralne biuro detektywów, sprawa zostałaby zamknięta wcześniej i nikt by nie zginął.

Przez chwilę panowała cisza. Potter przeniósł wzrok na Beauforta, po czym ponownie spojrzął na swojego szefa.

– Nie pracuję w organach ścigania, ale nawet ja wiem, że Rhyme z Amelią Sachs i resztą rozwiązują sprawy szybciej niż jakikolwiek inny zespół śledczy w mieście.

– Fakt – przytaknął Beaufort.

Burmistrz jeszcze raz poprawił rękawy.

– Wy dwaj może o tym wiecie, ale opinia publiczna nie.

Opinia publiczna, czyli wyborcy.

– Zajmę zdecydowane stanowisko. Przyznam, że owszem, złapali Ślusarza, ale prowadząc własną akcję, wbrew moim poleceniom. Opóźnili dochodzenie, co mogło doprowadzić do śmierci niewinnej osoby. Okażę jednak wielkoduszność. Puścimy kontrolowany przeciek, że zastanawiałem się nad postawieniem Rhyme’owi zarzutu nieumyślnego spowodowania śmierci, lecz poprzestanę na utrudnianiu postępowania karnego. To wykroczenie z kategorii A, za które grozi do roku pozbawienia wolności. Trzeba znaleźć sędziego, który odważy się wlepić mu jakiś wyrok. Cztery, pięć miesięcy – myślę, że powinno wystarczyć.

– A resztę wyrzucić? – zapytał Potter.

Harrison zastanowił się nad tym.

– Trochę za dużo. Zawieszenie bez prawa do pensji. Zlekceważenie poleceń służbowych. Powiedzmy, że na pół roku.

Beaufort drgnął niespokojnie.

– Trzy miesiące. – W odpowiedzi detektyw skinął głową.

– A co zrobimy z jego niepełnosprawnością? – spytał Potter.

– W areszcie sobie z tym poradzą. – Harrison dostrzegł zmartwioną minę Beauforta. – Ty i Al Rodriguez nie mieliście nic przeciwko temu, żeby go śledzić, a teraz coś takiego ci przeszkadza?

– Śledzenie było na pokaz – odparł Beaufort. – Żeby prasa – i opinia publiczna – zobaczyły, że traktujesz poważnie własne polecenie dotyczące konsultantów. Nawet przez chwilę nie przypuszczałem, że naprawdę będziesz chciał go przymknąć.

– To nieuniknione. Inaczej stracę wiarygodność. I Roland nie zostawi na mnie suchej nitki. Musimy zwerbować jakiegoś prokuratora.

– O’Shaughnessy będzie dobry – stwierdził Potter. – Zrobi wszystko, co mu każemy.

– Dzwon do Rodrigueza – polecił Harrison. – Niech się zajmie tym zatrzymaniem. I sprowadźcie tu Rhyme’a. Nie chcę żadnych nalotów na jego dom.

– Dobrze.

– Żadnych melodramatów. Ten człowiek jest na wózku. Trzeba to załatwić w białych rękawiczkach.

– I zapuszkować go w Kazamatach – mruknął Beaufort.

– Tak jest – odparł Harrison, przybierając odpowiednio surowy ton, niezadowolony z niesubordynacji Beauforta, choć detektyw dał jej wyraz w dość umiarkowany sposób.

Zadzwiećwał telefon Pottera, który przeczytał wiadomość i ściągnął brwi.

Harrison westchnął.

– Znowu frontalny atak ze strony Rolanda?

– Nie, zdaje się, że doszło do jakichś zamieszek na Broadwayu i Herald Square.

– O co chodzi?

– Demonstracje i protesty w sprawie Veruma. Nie wiadomo dokładnie. Ale pali się dom towarowy Meyer’s.

Burmistrz zerknął na Beauforta.

– Dzwon do Rodrigueza. Niech załatwi tę sprawę z Rhyme’em. A ty – zwrócił się do Pottera – zadzwon do komendanta i dowiedz się, co się dzieje na Midtown. – Prychnął drwiąco i spojrzął na miasto. – Rozruchy. Akurat tego mi teraz potrzeba.

Alonzo Rodriguez nastroszył podkręcone wąsy, używając kieszonkowego lusterka, które nosił właśnie w tym celu.

Ponury pięćdziesięciodwuletni gliniarz w czasach swojej służby na ulicach miasta nałapał немало przestępców. Lista dokonanych aresztowań była długa, a stosunek aresztowań do wyroków skazujących – wzorowy. Wszyscy złapani przez niego sprawcy byli winni, choć wielu z nich budziło w nim odrobinę współczucia. Wpadli w tarapaty finansowe, mieli rodziny, dzieci na utrzymaniu, a większość z nich trafiała do pudła za narkotyki, nie mając na sumieniu żadnych brutalnych czynów.

Nie znosił tylko funkcjonariuszy organów ścigania, którzy łamali obowiązujące ich zasady, i nie miał do nich cierpliwości.

To przestępstwo powinno jego zdaniem ściągać na sprawców gniew Boży.

Zadzwoił jego telefon.

– Tak?

– Jest tu Lincoln Rhyme – poinformowała go aksamitnym altem sekretarka. – Jedzie na górę ze swoim asystentem.

– W porządku. – Rodriguez przypuszczał, że jego odpowiedź zabrzmiała szorstko. Nie, wiedział, że zabrzmiała szorstko. Choćby nie wiem jak się starał, nie potrafił wymówić ani jednej sylaby, która nie miałaby ostrych, kanciastych krawędzi, całkiem jak tłuczony kamień.

Otworzył dolną szufladę biurka i wyjął kompaktowego glocka 26. Jako naczelnik biura od kilku lat nie nosił przy sobie broni. Trzymał ją naładowaną, ale bez naboju w komorze. Glocki mają niewielki opór spustu. Teraz przeładował i uważając, by nie dotykać palcem języka spustu, wsunął broń do kabury, którą przypiął do paska.

Rodriguez wstał i wyszedł do sekretariatu. Jego asystentka, brunetka w średnim wieku z delikatnymi włosami ujarzmionymi lakierem, skinęła głową. Na jej twarzy malował się niepokój. Pewnie nie wiedziała, co się dzieje – jej szef z pistoletem?! – wyczuwała jednak, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Tu się nie myliła.

Wyszedł na korytarz, skręcił do windy i zjechał kilka pięter. Wstąpił do biura wydziału rabunków i zabójstw. Podszedł do dwóch znanych sobie detektywów. Byli to mocno zbudowani mężczyźni, biali i czarnoskóry. Przywitali się.

– Muszę was wypożyczyć na kwadrans. Macie chwilę?

Wymienili zaciekawione spojrzenia, po czym przytaknęli. Jeden z nich dostrzegł broń, a jego mina jasno świadczyła o tym, że chyba jeszcze nigdy nie widział naczelnika z pistoletem u pasa.

– O co chodzi, Al?

– Trzeba kogoś zgarnąć. Chcę was wziąć jako obstawę.

– Nie ma sprawy. Ale tylko piętnaście minut. Dokąd idziemy?

– Niedaleko.



## 81

Miałem tu gabinet – mówił do Thoma Lincoln Rhyme. – W dawnych czasach.

Byli na dwunastym piętrze komendy głównej, One Police Plaza, w korytarzu przy windzie, z której przed chwilą wysiedli.

Departament policji Nowego Jorku, jak wiele dużych organizacji publicznych, wiecznie przemianowywał swoje potomstwo. Technicy kryminalistyki byli teraz pracownikami Wydziału Analiz Kryminalistycznych Biura Detektywów. Kiedy na czele ich jednostki stał kapitan Rhyme, stanowił część Wydziału Wsparcia Dochodzeniowego.

– Spędzałem tu niewiele czasu – ciągnął. – Zwykle byłem w terenie albo w laboratorium.

Inne różnice między tamtymi czasami a teraźniejszością: komenda główna była wtedy „Centralą”. Mundury miały nieco inny krój, w korytarzach widziało się więcej kobiet i osób o innym kolorze skóry. Głęboko wciągnął powietrze do płuc. Za to używano tego samego środka czyszczącego. Taki przynajmniej pamiętał zapach, choć przyznawał przed sobą, że może tylko był to wytwór jego wyobraźni.

– Brutalizm – powiedział do Thoma.

– Co? – Jego asystent zmarszczył brwi.

– Mówię o stylu budynku. Architektonicznym.

– To nie może być prawdziwa nazwa.

– Ale jest. Betonowy styl, kanciasty, bezbarwny. Brzydki. Popularny w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

– Gdybym był architektem i stał za tym ruchem – rzekł Thom – wynająłbym firmę PR, żeby wymyśliła mi lepszą nazwę.

Styl budynku znacznie różnił się od dawnej siedziby komendy głównej przy Centre Street 240, gdzie nowojorska policja urzędowała od tysiąc dziewięćset dziewiątego do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Na Dolnym Manhattanie nie można było znaleźć piękniejszego budynku. Wiktoriański, rokokowy, z szerokimi łukami, kopułami i wieżyczkami. Mnóstwo marmurów, mosiądzu i fazowanego szkła.

Zmierzali korytarzem do gabinetu naczelnika Brettana Evansa, który zaproponował Rhyme’owi pracę w New Jersey i który wkroczył do akcji, by pomóc mu w starciu z Potterem i Beaufortem.

Thom otworzył drzwi i znaleźli się w sekretariacie.

– Domyślam się, że pan Rhyme – powiedziała sekretarka. Miała trzydzieści kilka lat, dość ciemną karnacją i głębokie czarne oczy. Nosila elegancki lawendowy kostium, a na

dużym biurku leżały dwa tomy orzeczeń w procesach karnych, w których tkwiło mnóstwo żółtych, gęsto zapisanych karteczek. Ciekawe, gdzie wieczorowo studiowała prawo.

– Pani Williams – odparł, przeczytawszy nazwisko na identyfikatorze. – Jesteśmy trochę za wcześnie.

Wyraźnie nie przejmowała się tym, że gość siedzi na wózku inwalidzkim.

– Naczelnik Evans rozmawia przez telefon. Za minutę czy dwie powinien skończyć.

Chwilę później Rhyme usłyszał, jak drzwi znowu się otwierają i czyjś głos mówi:

– Lincoln.

Odwrócił wózek. Zobaczył Ala Rodrigueza w towarzystwie dwóch zwalistych, ponurych detektywów. Jeden z nich odchylił poły marynarki, zapewne po to, by mieć łatwiejszy dostęp do kanciastego pistoletu. Policjanci ze złotymi odznakami spojrzeli na Rhyme'a i przywitani go skinieniem głowy. Rodriguez zerknął na Thoma. Rhyme nie pamiętał, czy ich sobie przedstawił. Być może. Teraz nie zwracał sobie tym głowy.

– Smutny dzień – zauważył Rodriguez.

Lincoln milczał. Nie było sensu zaprzeczać ani potwierdzać; emocje interesowały go tylko o tyle, o ile w znalezionej na miejscu zdarzenia krwi stwierdzono zwiększony poziom testosteronu lub zmniejszony poziom kortyzolu, co oznaczało, że krwawiąca osoba była zła albo poruszona, a to z kolei mogło pomóc wyciągnąć wniosek, co właściwie się tam stało.

A poza tym? Spostrzeżenia o dobrym czy złym samopoczuciu były zawsze stratą czasu.

Sekretarka Williams miała niepewną minę.

– Panie naczelniku, naczelnik Evans jest za kilka minut umówiony z panem Rhyme'em. Mogę coś dla pana zrobić?

– Proszę, żeby wyszła pani na korytarz – oświadczył stanowczym tonem.

– Ale... dlaczego?

– Chodzi o sprawę urzędową. – Posłał jej szczególne spojrzenie, na którego widok kobieta wzięła telefon, torebkę i wycofała się z sekretariatu.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Rodriguez rzekł do Rhyme'a:

– Pora to wreszcie załatwić.

Kryminalistyk skinął głową.

Wdarli się do gabinetu Evansa – pierwszy Rodriguez, za nim dwaj detektywi, a potem Rhyme z Thomem. W przestronnym pomieszczeniu na wyłożonych drewnem ścianach wisały zdjęcia i portrety dawnej kadry dowódczej policji Nowego Jorku.

Jak zawsze dystyngowany Evans uniósł wzrok i na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Ta reakcja szybko jednak minęła. Westchnął. Zacisnął usta. Wstał.

– Nie jesteś uzbrojony, Brett?

Pokręcił głową.

Mimo to Rodriguez dał znak detektywom, którzy podeszli i szybko zrewidowali naczelnika. Rodriguez osobiście zatrzasnął mu kajdanki na przegubach.

– Bretcie Evans, jesteś aresztowany pod zarzutem utrudniania postępowania karnego, udziału w spisku, kradzieży i przyjmowania korzyści majątkowych. Inne zarzuty poznasz później. Także dotyczące zabójstw. – Rodriguez odczytał formułkę o przysługujących mu prawach.

Evans zaśmiał się słabo.

– Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz kogoś aresztowałem. Chyba nie dałbym rady zrobić tego bez ściągawki.

– Chcesz zrzec się prawa do adwokata?

– Nie sędzę.

– Do centrum zatrzymań – powiedział do detektywów Rodriguez. – Będzie tam porucznik Sellitto. Zna zarzuty.

– W porządku, Al.

Evans został cicho i sprawnie wyprowadzony przez dwóch rosłych policjantów.

Rodriguez podkreślił koniec wąsa.

– Masz ochotę pogadać z burmistrzem? – spytał.

Rhyme przytaknęła.

– To powinna być ciekawa rozmowa.

Burmistrz Tony Harrison, bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli, wstał i minął osoby obecne w jego gabinecie.

Złapał za klamkę i wyglądał, jak gdyby się wahał, czy nie trzasnąć drzwiami. Były jednak dość ciężkie i gest nie wypadłby odpowiednio dramatycznie. Poza tym Rhyme wyczuł, że zależy mu na zachowaniu dobrych manier.

Nawet w tych okolicznościach.

Rhyme i Thom oraz Al Rodriguez i Richard Beaufort o sylwetce futbolisty znajdowali się w obszernym gabinecie udekorowanym zbiorem pamiątek z historii Nowego Jorku, jakiego nie powstydziliby się muzeum. Z okien roztaczał się wspaniały widok na miasto, choć ograniczony zaledwie do skrawka gigantycznej aglomeracji, którą rządził ten człowiek. Jak na ironię, za oknem wychodzącym na północ, daleko od nich, leżało niewidoczne stąd Albany, ziemia obiecana lokatora gabinetu, z którą wiązał wielkie nadzieje.

Choć polityka w ogóle nie interesowała Lincolna Rhyme'a, to gdyby kazano mu rządzić, bez wahania wybrałby Nowy Jork, na pewno nie cały stan.

Harrison wrócił za biurko.

– Czekam na wyjaśnienia. – Ostre słowa zostały skierowane do Rodrigueza. – Brett Evans został aresztowany?! Nie on? – Spojrzał na Rhyme'a.

– Dwa tygodnie temu poprosiłem kapitana Rhyme'a o pomoc w przygotowaniu pewnej prowokacji. O akcji zostali poinformowani komendant, prokuratura okręgowa i dział prawny naszego departamentu.

– Prowokacji? W jakiej sprawie?

– Chodziło o wyjaśnienie, dlaczego ostatnio policja tyle razy kompromitowała się w śledztwach i przygotowaniu aktów oskarżenia.

Burmistrz przymrużył oczy – jego przeciwnik w kampanii wyborczej powoływał się właśnie na argument nieudolności policji.

Beaufort milczał, choć raz czy dwa razy niepewnie zerknął w stronę Rhyme'a.

– Poświęciłem wiele dni na analizę, co poszło nie tak – ciągnął Rodriguez – dlaczego namierzają naszych obserwatorów, dlaczego nasi informatorzy nagle zmieniają front albo kończą w kanale Gowanus. Naliczyłem kilkadziesiąt zdarzeń, które zrujnowały nam dochodzenie – nie doszłoby do nich, gdyby ktoś nie dawał cynku podejrzanym i oskarżonym.

– Ktoś od nas... – mruknął Harrison. – Mieliśmy kreta.

Rodriguez skinął głową.

– Jedyne trop było takie, że ta wtyczka sprzedawała policyjne informacje Viktorowi Buryakowi. Dlatego prokurator okręgowy polecił jednemu ze swoich ludzi, Johnowi Sellarsowi, oskarżyć Buryaka o zabójstwo Leona Murphy’ego.

– A ja z premedytacją położyłem tę sprawę – odezwał się Rhyme.

– Celowo... źle zinterpretował pan dowody przeciwko niemu? – szepnął burmistrz.

– Przez jakiś czas sytuacja była niepewna – dodał Rodriguez. – Nie wiedzieliśmy, czy ława przysięgłych uniewinni Buryaka, ale dzięki Bogu to zrobiła. Wrócił do gry, do życia w mieście, lecz okropnie się bał, że Lincoln, który – z całym szacunkiem – jest znany z wysokiego mniemania o sobie...

– Nie obrażam się.

Pod podkreśloną wąsami pojawił się nikły uśmiech.

– No więc Buryak bał się, że Lincoln dalej będzie go ścigał. Tak więc postaraliśmy się przekazać mu wiadomość, że Lincoln jest gotów zrobić wszystko, by go dopaść.

– Jak?

– Och, ludzie Buryaka założyli podsłuch w sali konferencyjnej oskarżenia w gmachu sądu. Podejrzewaliśmy to i sprawdziliśmy pomieszczenie. Zostawiliśmy te pluskwy jeszcze na jakiś czas, żeby wiadomość do niego dotarła.

– O kurwa...

– Byliśmy pewni, że Buryak zwróci się do kreta w policji, aby się dowiedzieć, co planuje Lincoln – dorzucił Rhyme.

– Prowadziliście operację i nie pisnęliście ani słowem mnie ani burmistrzowi? – warknął Beaufort.

Rhyme nie znosił oczywistych pytań i najczęściej na nie nie odpowiadał.

Ale Rodriguez wyjaśnił:

– Nie wiedzieliśmy, gdzie jest przeciek. Pański urząd dostaje kopie wielu poufnych informacji z policji. Ktoś stąd mógł do nich zaglądać.

Burmistrz parsknął śmiechem.

– Też byłem podejrzany?

Rhyme nie zwrócił mu uwagi na żenujący błąd w rozumowaniu. Handel przez niego skradzionymi informacjami nie miałby żadnego sensu, ponieważ majstrowanie przy śledztwach i oskarżeniach działało na szkodę Harrisona jako kandydata na gubernatora.

Rodriguez odpowiedział nieco delikatniej:

– Pan nie, ale ma pan rozbudowaną infrastrukturę. Do przecieku mogło dojść w każdym miejscu. Kret musiał być dość wysoko postawioną osobą, z dostępem do danych o śledztwach w każdym wydziale. Nie mogliśmy wyłączyć z kręgu podejrzeń ratusza.

– No więc jak odkryliście, że to Brett Evans? – spytał Beaufort.

– Stało się to, na co liczyliśmy: Buryak wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby powstrzymał moje rzekome dochodzenie przeciwko niemu. Przysłał Aarona Douglassa.

– Douglass jest detektywem w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej, pracuje pod przykryciem w organizacji Buryaka – wyjaśnił Rodriguez.

– Może rzeczywiście był czysty, ale był naszym jedynym łącznikiem z Buryakiem, wymyśliliśmy więc z Amelią historyjkę o dostawach narkotyków na przystań Red Hook na Brooklynie.

– Poleciałem śledzić Douglassa – powiedział Rodriguez. – Zdobyliśmy to. Nagranie w ogródku kawiarni na East Side. Nasz człowiek siedział obok stolika Douglassa i nagle pojawia się przy nim Evans we własnej osobie. – Położył na biurku transkrypcję nagrania.

**Evans:** *Co u Buryaka?*

**Douglass:** *Dzięki Bogu, nie ogląda wiadomości. Mówiłem mu, że załatwiłem tę Sachs w centrum, że stuknąłem ją samochodem. A tu, kurwa, pojawia się w telewizji i prosi ludzi, żeby pomogli im znaleźć Ślusarza.*

**Evans:** *Mógłbyś się jakoś wykręcić.*

**Douglass:** *Tak, Viktor mi ufa. Coraz bardziej. Ale mimo wszystko.*

[Niezycielny gwar]

**Douglass:** *Słuchaj, mam coś, co możesz sprzedać Viktorowi. Na przystani Red Hook będzie seria transportów towaru. Sporo. Jeżeli dowiesz się szczegółów, Viktor może to wystawić na swojej aukcji. Jego klienci sporo płacą, żeby wiedzieć, kiedy wóz techników zabiera dostawę do laboratorium w Queens. Łatwo wyhaczyć taki busik, zwłaszcza ciemną nocą.*

**Evans:** *Świetnie. Zaraz zadzwonię do narkotykowego i dam ci znać... Aaron, o coś cię spytam. Igrasz z ogniem. Jeszcze na niczym nie nakryłeś Buryaka. Twój kapitan nie zaczął się niecierpliwic? Pół roku i żadnego konkretnego przeciwko niemu. Masz pomysł, jak to rozegrać?*

**Douglass:** *Zgarniam dziesięć kawałków na miesiąc. Zostanę jeszcze na pięć, może sześć miesięcy, a potem zwinę żagle. Emerytura.*

**Evans:** *I co wtedy zamierzasz?*

**Douglass:** *Otworzę sieć food trucków. Mam już plan. Możesz być moim pierwszym klientem. Dostaniesz rabat.*

[Śmiech]

Burmistrz odsunął wydruk.

– Jezu... – bąknął. – Nigdy nie domyśliłbym się, że to Brett. Zawsze wydawał się solidny jak skała.

– Też myślałem, że powinienem go potraktować bardziej podejrzliwie – przyznał Rhyme. – To dziwne, że zadzwonił do mnie, kiedy mnie wyrzucono. Jasne, pomogłem mu

w karierze, ale to było lata temu i od tego czasu niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Mówił, że znajdzie mi pracę w komercyjnym laboratorium albo załatwi konsultacje dla policji stanowej w New Jersey. Ale on tylko próbował mnie wybadać, chciał wiedzieć, co planuję.

Harrison pokręcił głową. Dystygowana grzywa siwych włosów niezbyt pasowała do podwiniętych rękawów koszuli. Tak jak teraz, rzadko zapinał ostatni guzik przy kołnierzyku, a krawat zawsze miał przekrzywiony.

– Wygląda na to, że wyrzucając pana, wszystko jeszcze bardziej skomplikowałem.

– Delikatnie mówiąc – mruknął Rhyme.

– Kiedy się dowiedziałem o wydanym przez pana zarządzeniu, panie burmistrzu – rzekł Al Rodriguez – zadzwoniłem do Sally Willis i wprosiłem się do ekipy, która miała nadzorować ten środek dyscyplinarny. Musiałem wkroczyć do akcji, żeby wyglądało to tak, że Lincoln i jego zespół wykonują polecenie, gdy tymczasem zaczęliśmy polowanie na kreta.

Burmistrz spojrzał na port.

– A zabójstwo Murphy’ego? Popełnił je Buryak?

– Nie – odparł Rodriguez.

– A gdyby przysięgli uznali go za winnego?

– Mamy prawdziwego sprawcę – siedzi w policyjnym domu dla świadków w Queens. Przyznał się do winy, podpisał zeznanie. Buryakowi nic nie groziło. A Sellars miał powód, by wnieść oskarżenie: motyw i środki.

– Mamy naszego kreta. Co z Douglassem?

– Przepadł. Szukamy go.

– A Buryak? – Harrison miał posępną minę. – Też macie go na taśmie?

– Nie – przyznał Rodriguez. – Jak zawsze jest ostrożny.

– Czyli w jego przypadku wracamy do pieprzonego punktu wyjścia.

– Ale jeśli o to chodzi... – rzekł w zamyśleniu Rhyme i zerknął na swój telefon.

Siedząc za kierownicą fordą torino w bardzo ładnej części Queens, Amelia Sachs usłyszała trzask w swoim walcie-talkie.

– Detektyw pięć osiem osiem pięć, uwaga, obiekt widziano w jego samochodzie, kieruje się w stronę domu. Do celu ma jeszcze dwa skrzyżowania. Odbiór.

– Pięć osiem osiem pięć – nadała. – Jest sam? Odbiór.

– Tak. Odbiór.

Niech to szlag. Liczyła na to, że uda się złapać dwa ptaszki za jednym zamachem, ale ten był znacznie ważniejszy, a dłużej nie mogli już czekać.

Wrzuciła bieg, ruszyła naprzód, po czym skręciła za róg i zatrzymała wóz. Znalazła się naprzeciwko otoczonej zielenią eleganckiej nieruchomości. Wyłączyła silnik.

– Pięć osiem osiem pięć, jestem na miejscu. Mam w polu widzenia pojazd obiektu. Dwie ulice dalej. Przygotować się do akcji. Odbiór. – Patrzyła, jak biały mercedes sedan płynnie zmierza w jej stronę.

Cztery zespoły w nieoznakowanych wozach zameldowały, że są gotowe.

Uniosła radio do ust, czując znajomy ostry zapach, jaki wydzielają te urządzenia.

– Pięć osiem osiem pięć. Jest na skrzyżowaniu Holly i June. Odbiór.

Dwie minuty później mercedes zatrzymał się przy bramie wjazdowej, a Sachs zobaczyła dłoń, która sięgnęła do osłony przeciwsłonecznej i wcisnęła przycisk pilota otwierający czarne metalowe wrota.

Nic się nie stało. Odbiornik pół godziny temu został wyłączony przez funkcjonariusza jednostki specjalnej.

– Wchodzimy, wchodzimy! – krzyknęła Sachs, biegnąc sprintem do auta. Lufa glocka była wymierzona w głowę kierowcy. Pozostałe samochody zatrzymały się dookoła, a jeden zablokował go z tyłu. W ciągu paru sekund mercedesa otoczyło dziewięciu ludzi.

– Otworzyć drzwi! – krzyknęła Sachs.

Kierowca spełnił polecenie.

– Pokaż ręce, nie chowaj ich nawet na chwilę. Rozumiesz? Nawet na sekundę!

Viktor Buryak wysiadł, kiwając głową, z podniesionymi rękami. Sachs zrewidowała go, ubezpieczana przez pozostałych policjantów.

Gdy krzepki funkcjonariusz skuwał mu ręce, Buryak zaśmiał się drwiąco.

– Chyba sobie żartujecie. Jeżeli Evans albo ktoś inny coś wam powiedział, to kłamie. Nie macie żadnych nagrań, nic. I co to za cholerna komedia z antyterrorystami?!



Sachs nie odpowiedziała. Odczytała mu prawa i poinformowała go o zarzucie zabójstwa drugiego stopnia.

Lincoln Rhyme zakończył rozmowę telefoniczną z Amelią Sachs w gabinecie burmistrza Tony'ego Harrisona.

Skinął głową Alowi Rodriguezowi i poinformował burmistrza, naczelnika i Beauforta:

– Buryak jest w areszcie i zostanie przewieziony do hrabstwa Garner, gdzie usłyszy zarzuty zabójstwa.

Rhyme'owi zdawało się, że burmistrz stłumił okrzyk zgrozy.

– On zawsze trzymał się z daleka od wszystkiego, przez co mógłby być wmieszany w jakąś aferę – powiedział Rodriguez. – Ale szukaliśmy przez wiele lat, prześwietając też zbrodnie i zagadkowe śmierci w promieniu kilkunastu kilometrów od biur i domów Buryaka – jego rezydencji w Forest Hills i letniego domu w hrabstwie Garner. Dwa miesiące temu ustaliliśmy, że w zeszłym roku jakiś budowlaniec w Garner zginął, gdy samochodem wracał do domu. Uznano to za wypadek, ale sprawa wyglądała podejrzanie. Do zdarzenia doszło w pogodne popołudnie, na prostym odcinku drogi – i zaledwie pięć kilometrów od wiejskiego domu Buryaka.

– Dotarliśmy do wyciągów z kart kredytowych – włączył się Rhyme – z których wynikało, że mniej więcej w czasie tego wypadku Buryak kupił materiały budowlane za dwa tysiące dolarów. Stąd nasza hipoteza: czyżby budowlaniec pracował w jego domu i zobaczył coś, co mogło obciążyć gospodarza? A ten czym prędzej go wyeliminował i upozorował wypadek?

– To mógł być tylko zbieg okoliczności – ciągnął Rodriguez. – Ale Amelia Sachs i Ron Pulaski pojechali tam i zebrali ślady. Znaleźli dowody łączące Buryaka ze śmiercią budowlanca.

– Po tak długim czasie?

Rhyme postanowił nie robić burmistrzowi wykładu na temat umiejętności tych dwojga specjalistów kryminalistyki. Sam trochę w tym pomógł.

– Mieliśmy na niego haka już w marcu – kontynuował Rodriguez – i w każdej chwili mogliśmy go przymknąć, ale trzeba go było zostawić na wabia, żeby znaleźć naszego kreta. Skoro już mamy Evansa, to nie było przeszkód, by zgarnąć Buryaka.

– Chryste Panie... – Harrison pokręcił głową. Potem utkwiał wzrok w Rhymie. – Proszę przyjąć moje przeprosiny, kapitanie. Za moją decyzję w sprawie konsultacji. Oczywiście to była tylko polityka. Nie cierpię jej.

Czasem nie cierpisz, poprawił go w duchu Rhyme.

– Natychmiast odwołam ten zakaz. Zadzwońię do komendanta policji i komisarza.

Burmistrz odchylił się na krzesle i przesunął rozluźniony węzeł krawata z lewej strony kołnierzyka na prawą.

– Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze? – zapytał Rhyme'a. – Cokolwiek?

Po długim wahaniu Lincoln odparł:

– A wie pan, że chyba tak?

Przez minioną godzinę miał laboratorium tylko dla siebie, a to lubił najbardziej.

Thom był w kuchni i przygotowywał coś na kolację, Sachs tymczasem wyszła kupić wino i przystawki.

Miał nadzieję, że dziś będą świętować.

Kończył raport z analizy, która pozwoliła postawić Viktorowi Buryakowi zarzut zabójstwa. Gdy Sachs i Pulaski znaleźli dowody łączące go z kamieniem, na którym ujawniono ślady DNA budowlanca, miejscowe służby wykonały sądowy nakaz rewizji letniego domu w Garner. Rhyme trafnie domyślił się motywu zbrodni. Znaleziono pokój, gdzie Buryak ukrywał gotówkę i nośniki pamięci związane ze swoją działalnością. Płynął stąd logiczny wniosek, że budowlaniec natknął się na pieniądze i zobaczył to Buryak. Wtedy gangster zaatakował go młotkiem lub innym tępym narzędziem, zawlókł do samochodu, a potem wywiózł na pustą drogę stanową, gdzie stopą trupa wcisnął pedał gazu, po czym wrzucił bieg. Po kraksie wyciągnął z wraku zwłoki i uderzył je w głowę kamieniem, by wyglądało to na przyczynę śmierci.

Małe miasteczko, kręte drogi i nie więcej niż kilka wypadków? Miejscowe służby nie nabrały podejrzeń.

Rhyme złożył na raporcie cyfrowy podpis i wysłał do Lona Sellitta, Amelii Sachs, szefa nowojorskiego wydziału zwalczania przestępczości zorganizowanej i prokuratora Johna Sellarsa, a także prokuratora okręgowego w hrabstwie Garner.

Na ekranie telewizora zamontowanego wysoko na ścianie niesterylnej części salonu Rhyme zobaczył słowo:

PILNE...

Często pojawiało się w programach informacyjnych, ale tym razem było jasnoczerwone i zapisane wielkimi literami.

Typografia wskazywała na to, że to nie żadna rozdmuchana historia, lecz istotne wydarzenie.

Na pasku u dołu ekranu przesuwiał się tekst wiadomości:

*Zamieszki i podpalenia w trzech miastach... jedna ofiara śmiertelna, dziesiątki rannych. Zwolennicy Veruma wychodzą na ulice.*

Wyłączył telewizor, słysząc dudnienie nadjeżdżającego forda Sachs. Będzie musiał jej przekazać wieści o dziwnym rozwoju wypadków.

Przez okno zobaczył, że samochód hamuje z piskiem opon tuż przed budynkiem – chyba nie znała innego sposobu zatrzymywania pojazdów.

Wyłączyła silnik, ale nie wysiadała. Może pisała albo odczytywała wiadomość. Na przykład raport na temat popełnionego przez Buryaka zabójstwa, który właśnie wysłał.

W tym momencie spojrzął dalej, na drugą stronę Central Park West, i zauważył mężczyznę, który najwyraźniej obserwował Sachs zza food trucka specjalizującego się w kuchni jamajskiej. Jadł kanapkę zapakowaną w papier i folię aluminiową.

Wyrzucił resztę kanapki, a gdy serwetką otarł usta i palce, założył czarny beret i ciemne okulary.

Nie!

To był Aaron Douglass, cyngiel Buryaka.

Krew pulsowała w skroni Rhyme'a, pompowana coraz szybciej przez serce. Usiłując zachować spokój, polecił:

– Zadzwoń do Sachs.

– Dzwonię do Sachs – odpowiedział elektroniczny głos w telefonie.

Nie rozległ się żaden sygnał; od razu włączyła się poczta głosowa.

Chryste!

Rhyme zobaczył przez okno, jak Douglass wyjął z kabury u pasa broń i rusza na drugą stronę ulicy.

– Thom! Dzwon pod dziewięćset jedenaście. Uzbrojony człowiek przed domem!

Do pokoju wbiegł jego asystent z telefonem w dłoni, nie zadając żadnych pytań i wybierając numer alarmowy.

– Chce zaatakować Amelię! – zawołał Rhyme.

Thom ruszył do wyjścia.

– Stój! Ciebie też postrzeli!

Asystent przystanął, rozmawiając z dyspozytorem, a Rhyme rozpedził wózek i uderzył dłonią w przycisk uruchamiający automatyczne otwieranie drzwi. Zanim jednak zdążył do niej zawołać, żeby ją ostrzec, Douglass stanął przed fordem i wpakował sześć kul w przednią szybę. Pociski bez trudu przeszły szkło.

– Nie! – krzyknął Rhyme.

Douglass odwrócił się, a gdy Rhyme błyskawicznie wycofał się z drzwi, posłał w jego stronę kilka kul. Chybił i pociski uderzyły w mur, wyrwijąc kilka odłamków piaskowca. Jeden z nich boleśnie drasnął Lincolna w policzek.

Napastnik ruszył w jego stronę, ale nagle wyraźnie zabrzmiały syreny. Zawahał się, po czym sprintem ruszył na południe i zniknął mu z oczu.

Chwilę później Rhyme usłyszał następne strzały. Policjanci byli jeszcze daleko. Niemożliwe, żeby to oni otworzyli ogień. Pewnie Douglass strzelił w powietrze, żeby

zatrzymać i porwać jakiś samochód. A może po prostu z zimną krwią zastrzelił kierowcę, zwłoki wyrzucił na ulicę i skradł auto.

Rhyme utkwił wzrok w fordzie torino.

Wydawało mu się, że widzi wyciągniętą rękę, jak gdyby wzywającą pomocy, usiłującą otworzyć drzwi albo unoszącą się w ostatnim rozpaczliwym geście.

Ramię przez chwilę pozostało wyprostowane, a potem opadło i zniknęło mu z oczu.

Lekarz sądowy w kombinezonie z tyveku szedł z wyraźnym trudem. Nie był już młody, jak większość specjalistów w tej dziedzinie medycyny.

Jeśli ktoś chciał dostać się na szczyt, to fach lekarza sądowego powszechnie uważano za odskocznię do lepszej kariery medycznej – podobnie było z zastępcami prokuratorów, którym marzyła się praca w kancelariach prawnych na Wall Street. Rhyme dobrze znał doktora Jonny’ego Christena. Pracowali razem, gdy Lincoln był technikiem, a potem szefem policyjnej kryminalistyki. Często zjawiali się na miejscu zdarzenia jednocześnie z Christenem – nawet gdy Rhyme awansował do dowództwa i nie miał żadnych powodów, by osobiście przeprowadzać oględziny, ale po prostu uwielbiał to robić.

Christen był legendą zakładu medycyny sądowej. Stwierdzał zgon chyba tysiąca celebrytów, polityków i gwiazd sportu.

Podpisywał też karty zgonu policjantów.

Podobnie jak dziś.

Gdy badał zwłoki funkcjonariusza policji, zawsze sprawiał wrażenie, jakby traktował je z większym szacunkiem niż innych.

Pulchny mężczyzna z białym wąsem spojrzał na ciało leżące na wznak na chodniku, z przykrytą prześcieradłem twarzą i tułowiem. Promień słońca akurat padł na złotą odznakę na pasie, zmieniając ją w gorejącą gwiazdę.

Rhyme skinął głową. Patrzył na zakrwawione prześcieradło. Jedno z wybranych przez Amelię Sachs, ciemnoszare, w kolorze, który bardzo mu się podobał, choć można powiedzieć, że to w ogóle nie jest kolor, tylko połączenie czerni i bieli. Ściśle mówiąc.

Można by też powiedzieć – Lincoln Rhyme chyba wiedział o tym najlepiej – że prześcieradło użyte na miejscu zdarzenia może zanieczyścić ślady. Tak było w teorii, ale tutaj, na ruchliwej arterii miasta, pełnej naocznych świadków, dowody kryminalistyczne należało uznać – wbrew przekonaniom Rhyme’a – za mniej niezbędne niż w innych okolicznościach.

Christen naciągnął prześcieradło.

– Trzy w pierś, jeden w szyję.

Za jego plecami rozległy się kroki.

To był Ron Pulaski.

– Lincoln, nic ci się nie stało?

– Oczywiście, że nic, Nowy. Uważaj, żebyś jeszcze bardziej nie zanieczyścił tego miejsca.

Technicy kryminalistyki już zabezpieczali ślady, robiąc obchód po siatce.

Młody funkcjonariusz patrzył na zwłoki.

Spoglądał na chodnik, gdy usłyszał kobiecy głos:

– Jakie to będzie miało skutki?

Lincoln odwrócił się i zobaczył zbliżającą się Amelię Sachs. Odpowiedział słowem, które właśnie przyszło mu na myśl:

– Niedobre.

Aaron Douglass mógł im pomóc zebrać mnóstwo dowodów obciążających Viktora Buryaka.

Ale Aarona Douglassa już nie było.

– Nie miałam innego wyjścia – powiedziała, wyraźnie zmartwiona, że napastnik nie pozostawił jej wyboru i musiała go zabić.

Wracając pieszo do domu północnym chodnikiem, Sachs niosła dwie torby zakupów z delikatesów. Była świadkiem, jak Douglass wpakował kilka pocisków w forda torino i strzelił w stronę Rhyme'a, a potem pobiegł na południe, gdzie zaparkował samochód. Rzuciła torby, wyjęła Glocka i kazała mu rzucić broń.

Wybrał konfrontację – niezbyt rozsądnie, zważywszy na jej umiejętności strzeleckie (drugie miejsce to wprawdzie nie najwyższa nagroda, ale oznaczało, że pociski trafiają tam, gdzie trzeba, w dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych procent przypadków). Zdążył unieść lufę nie wyżej niż o trzydzieści stopni i w tym momencie dostał kilka kul jedna po drugiej.

Rhyme zastanawiał się, czy w chwili śmierci zadawał sobie pytanie, do kogo właściwie strzelał za kierownicą forda torino.

Odpowiedź brzmiała: do Lyle'a Spencera, szefa ochrony Whittaker Media Group.

Wyglądało na to, że Spencer darzy wielką sympatią sportowe samochody, więc Sachs podała mu kluczyki ze słowami:

– W schowku masz niebieskiego koguta. Chyba lepiej będzie nie przekraczać stu pięćdziesięciu na godzinę. – Po czym ruszyła na zakupy.

Rhyme dopiero teraz dowiedział się o pieszej wyprawie do delikatesów i wypożyczeniu samochodu Spencerowi – co tłumaczyło wcześniejszy napad paniki.

Lyle Spencer, myślał Rhyme: człowiek, który jak gdyby nigdy nic wspiął się po linie na wysokość trzydziestu metrów, żeby uratować życie Ronowi Pulaskiemu.

Człowiek, który zastanawiał się nad skokiem z wybitego okna w budynku Sandleman.

Człowiek, który był pierwszorzędnym gliną, ale zaryzykował wszystko, by ocalić córkę – i wszystko stracił.

Człowiek, który właśnie podszedł do Rhyme'a i Sachs, lekko utykając i krzywiąc się z bólu po każdym kroku.

– Na czym się skończyło? – spytała go Sachs.

– Na dwóch pękniętych żebrach i siniakach w kształcie i kolorze bakłażanów. I tego samego rozmiaru. No dobrze, może trochę przesadzam.

Wprawdzie kryminalna przeszłość Spencera uniemożliwiła mu noszenie broni, ale gdy znalazł się w terenie, nigdy nie rezygnował ze środków ochrony osobistej. W tym wypadku była to kamizelka CoolMAX 3A.

– Zjesz z nami kolację. – Sachs zbierała rozsypane zakupy, wśród których jedyną ofiarą była butelka włoskiego wina barolo. Wrzuciła do pojemnika na śmieci szklane skorupy.

Skrzywiła się niezadowolona z kosztownej straty.

– Chętnie przyjąłbym zaproszenie, ale dzwonił pan Whittaker. Chce się ze mną spotkać. Proponuje mi awans. – Obejrzał zniszczoną koszulę i marynarkę. – Wcześniej muszę się przebrać.

– Awans – powtórzył wolno Rhyme. Wymienili z Sachs konspiracyjne spojrzenia.

Sprawa, którą mieli poruszyć, dotyczyła jej podwórka, więc Rhyme milczał, pozwalając jej mówić.

– A co byś powiedział na degradację?

– Słucham?

– Przy tej sprawie zwróciłeś na siebie uwagę pewnych osób. Z najwyższych szczebli dowództwa. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdybyś chciał się u nas zatrudnić.

– Konsultanci wrócili do łask, hm? Jestem zaszczycony, ale domyślacie się chyba, ile mi płaci pan Whittaker. Budżetu miasta chyba na to nie stać.

– Nie, nie chodzi o rolę konsultanta. Zostałbyś regularnym gliniarzem. Ale zacząłbyś jako detektyw trójka. O to mi chodziło, kiedy powiedziałam o degradacji. W Albany byłeś detektywem pierwszego stopnia, prawda?

Parsknął głuchym śmiechem.

– Dzięki. Naprawdę jestem wdzięczny. Tylko... pamiętasz, że mam na koncie wyrok?

Jak większość policji, nowojorska nie przyjmowała w swoje szeregi ludzi skazanych prawomocnym wyrokiem.

Do rozmowy włączył się Rhyme.

– Nie byłbyś przestępcą, gdybyś został ułaskawiony, a wyrok skazujący uległby zatarciu.

Spencer miał nieruchomą twarz.

– To możliwe tylko w przypadku niesprawiedliwego skazania. Moje takie nie było. Popełniłem przestępstwo, zostałem złapany. Zresztą nawet gdyby departament policji chciał, to nie może nikogo ułaskawić.

– Ale gubernator może – zauważyła Sachs.

Spencer podejrzliwie zmarszczył czoło.

– A jego kandydatem na stanowisko w Albany w listopadzie tego roku jest burmistrz Tony Harrison – poinformował go Rhyme.

*Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze? Cokolwiek...*



– Jeżeli chcesz, załatwimy to – namawiał go dalej Rhyme.

Potęźnie zbudowany facet przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach i Rhyme znowu zwrócił uwagę na bliznę. I na tatuaż na obnażonym ramieniu. T.S. Spencer głęboko zaczerpnął tchu i intensywnie rozważał propozycję. Rhyme zastanawiał się, czy w tej powodzi myśli jakieś miejsce zajmuje jego córka. Może liczył na to, że pójdzie w jego ślady i też zostanie policjantką.

– Tak, chcę – szepnął.

– To dobrze – powiedziała z uśmiechem Sachs. – Zadzwoń do Averella. Zostań na kolacji.

Spencer i Sachs weszli do domu; Rhyme zauważył, że przed budynkiem parkuje nieoznakowany wóz Lona Sellitta. Tuż za nim zatrzymał się radiowóz. Z obu pojazdów wysiedli detektyw i dwaj mundurowi.

Sellitto obrzucił wzrokiem miejsce zdarzenia, zwłoki Douglasa i forda torino Sachs. Rhyme zadzwonił do niego, żeby go poinformować o strzelaninie i powiedzieć, że Sachs i Spencer są cali i zdrowi. Detektyw skinął głową Lincolnowi, po czym we trójkę odwrócili się i przeszli na drugą stronę ulicy, zmierzając w stronę food trucka, za którym krył się Aaron Douglass.

O co chodziło? Chyba nie przyjechali aż tutaj na kanapki z grillowaną koźliną.

Sellitto powiedział coś do sprzedawcy, który skrzywił się i zgarbił. Odwrócił się, a jeden z policjantów skuł mu ręce i zaprowadził go do radiowozu. Detektyw podszedł do Rhyme'a.

– Buryak miał między innymi plan, żeby sprzedawców w food truckach używać jako szpiegów. Zarządzał nimi Douglass. Zgarniamy ich teraz w całym mieście.

Wóz po drugiej stronie ulicy stał tam od kilku dni. Czyli ludzie Buryaka cały czas obserwowali Rhyme'a.

– Muszę wracać do centrum – rzekł Sellitto. – Słyszałeś najnowsze wiadomości?

– To znaczy?

– Sam zobacz.

Wyjął telefon i odtworzył wideo, na którym prezenterka mówiła:

– *Ten materiał został właśnie zamieszczony w ViewNow i wielu innych serwisach społecznościowych.*

Na ekranie pojawiła się rozbita na piksele postać w ciemnym, nijakim pomieszczeniu. Głębokim, elektronicznie zniekształconym głosem powiedziała:

– *Przyjaciele, Verum to męczennica walki przeciwko Ukrytym. Ale podejmę jej dzieło. Poświęcę się walce w waszym imieniu – za wasze życie i waszą wolność. Ukryci muszą wiedzieć, że to jest wojna.*

*Módlcie się i bądźcie gotowi!*

*Nazywam się Vindicta, po łacinie „zemsta”. Oto wasz święty obowiązek. Od was zależy, jak go wypełnicie.*

Rhyme pokręcił głową. A więc niedorzeczne wymysły Joanny przetrwały, a jej potomstwo traktowało je niezwykle poważnie. Ruch rósł w siłę.

Zastanawiał się też, czy stacja telewizyjna odtwarzająca to wideo sama nie dolewa oliwy do ognia. Ciągła walka prasy: gdzie leży granica między informacją a indoktrynacją.

Sellitto schował telefon.

– Wszyscy jesteśmy w pogotowiu. Ktoś włamał się do arsenału Gwardii Narodowej. Niczego nie wyniósł, ale to i tak wystarczający zgryz. – Zaśmiał się. – Nie, sprawdziłem, Ślusarz dalej siedzi w areszcie.

Spojrzał na Rhyme'a.

– Możesz być nam potrzebny.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – odparł.

Sellitto wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał.

Rhyme obrócił wózek na chodniku i spojrzał na ulicę. Przyglądał się funkcjonariuszom, którzy z wprawą pakowali do torebek łuski po pociskach, robili zdjęcia i kręcili wideo, mierzyli kąt strzałów i zbierali „pył” Locarda. Inni policjanci rozmawiali z przechodniami. Rhyme'a, Sachs i Spencera też czekało przesłuchanie, ale z tym nie było pośpiechu.

Zatrzymał wzrok na rosnącej grupce dziennikarzy i gapiów, których przyciągnęła zbrodnia: jak światło na ćmy działały na nich miejsca badane przez techników w strojach astronautów, karetki, przykryte zwłoki, poszatkowana kulami przednia szyba samochodu.

Niektórzy wpatrywali się w to wszystko wstrząśnięci, inni z tłumioną satysfakcją, jeszcze inni z całkiem jawną.

Niejedna osoba zerkała też w stronę Rhyme'a.

Przed laty, zaraz po wypadku, czuł, że ludzie gapią się na niego, gdy przypuszczali, że nie patrzy, a unikają jego wzroku, gdy sądzili, że patrzy. Na początku budziło to w nim złość; miał ochotę wrzeszczeć: „Jestem tak samo normalny jak wy!”.

Jednak z biegiem lat się z tego wyleczył. Nauczył się, że nie ma czegoś takiego jak normalność. Kto na świecie jest fizycznym i psychicznym ideałem i potrafi bezbłędnie przeżyć każdą minutę swojego życia? Niepełnosprawność to kontinuum. Każdy z nas ma swoje miejsce na tym paśmie.

Liczy się to, co robimy z naszą własną wyjątkową częstotliwością.

Skarcił się w duchu za sentymentalne filozofowanie, nawet jeśli szczerze wierzył w słuszność tych myśli.

Serdecznym palcem lewej dłoni zawrócił wózek i po pochylni wjechał do swojego domu, by dołączyć do Amelii Sachs i ich nowego przyjaciela.

# PODZIĘKOWANIA

Powieści nie są owocem samodzielnej pracy. Aby powstały i trafiły do rąk i serc czytelników, konieczny jest wysiłek zespołu ludzi, a mam wielkie szczęście współpracować z najwspanialszą grupą na świecie; należą do niej: Sophie Baker, Felicity Blunt, Berit Böhm, Dominika Bojanowska, Penelope Burns, Annie Chen, Sophie Churcher, Francesca Cinelli, Isabel Coburn, Luisa Collichio, Jane Davis, Liz Dawson, Julie Reece Deaver, Danielle Dieterich, Jenna Dolan, Mira Droumeva, Jodi Fabbri, Cathy Gleason, Alice Gomer, Iven Held, Ashley Hewlett, Sally Kim, Hamish Macaskill, Cristina Marino, Ashley McClay, Emily Mlynek, Nishtha Patel, Seba Pezzani, Rosie Pierce, Abbie Salter, Roberto Santachiara, Deborah Schneider, Sarah Shea, Mark Tavani, Madelyn Warcholik, Claire Ward, Alexis Welby, Julia Wisdom, Sue i Jackie Yang. Jesteście najlepsi!

# Spis treści

## CZĘŚĆ PIERWSZA. Klucz cylindryczny

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19

## CZĘŚĆ DRUGA. Klucz uniwersalny

- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28
- 29
- 30
- 31
- 32
- 33
- 34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

### CZĘŚĆ TRZECIA. Klucz patentowy

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

### CZĘŚĆ CZWARTA. Klucz uderzeniowy

59

60

61

### CZĘŚĆ PIĄTA. Klucz szkieletowy

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

CZĘŚĆ SZÓSTA. Klucz krzyżakowy

79

80

81

82

83

84

85

PODZIĘKOWANIA